

YERONICA SATTLER

*Królowa*

Tytuł oryginału  
*GABRIELLE*

RS

# Prolog

*Pałac w Wersalu: Wiosna 1789*

*Mon Dieu*, jak dobrze znowu być tu z wami! - powiedziała Maria Antonina i łagodnym skinieniem dłoni dała do zrozumienia dygającym przed nią kobietom zgromadzonym w saloniku, że w tym gronie nie muszą przestrzegać sztywnej dworskiej etykiety. W końcu wszystkie były jej najbliższymi powiernicami. - *Vraiment* - dodała z jawnym niesmakiem - myślałam, że dzisiejsze przyjęcie nigdy się nie skończy.

Jedwabny panier królowej kołysał się majestatycznie w rytm jej kroków. Setki drobnych pereł, którymi obszyta była góra sukni, mieniły się w świetle blasku. W ślad za Marią Antoniną niósł się delikatny zapach białej róży, będącej symbolem rodu Burbonów. Z dumnie uniesioną głową, królowa stapała lekko, jakby nie dotykała stopami bezcennego jedwabnego dywanu.

Maria Antonina usiadła na miękkiej aksamitnej sofie i rozejrzała się po saloniku. Uśmiechnęła się, kiedy jej modre oczy spoczęły na kobiecie stojącej przy kominku.

- Louise, chodź, usiądź przy mnie, moja droga przyjaciółko. Całe wieki nie rozmawialiśmy ze sobą.

Louise de Saint-Germain, hrabina d'Auxerre, uśmiechnęła się do przyjaciółki i dostojnym krokiem, godnym królowej, przemierzyła komnatę. Ta kobieta o nie tkniętych przez czas rysach twarzy i dziewczęcej sylwetce, jako jedyna z kręgu zaufanych osób Marii Antoniny, młodość miała już za sobą. Królowa nie znosiła towarzystwa starych ludzi; dobitnie świadczył o tym dobór jej powiernic. Poza hrabiną d'Auxerre żadna z nich nie przekroczyła jeszcze trzydziestki.

- Moja droga przyjaciółko - powiedziała królowa. - Co też działo się z tobą ostatnimi czasy? Brakowało mi twojego towarzysztwa. A gdzie twoja piękna córka? Słowo daję, to dziecię pięknieje z każdym dniem.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Louise nie była pewna, czy wyjawić prawdziwą przyczynę nieobecności Gabrielle. Nie wątpiła, że zainteresowanie Marii Antoniny jest szczere. Królowa, która sama była oddaną matką, nie skrywała sympatii do Gabrielle. Niedawno po raz pierwszy wyraziła zgodę na jej udział w jednym z wieczornych spotkań w gronie zaufanych dam dworu. Louise wiedziała, że wystarczy słowo, by Maria Antonina stanęła w obronie czci jej córki.

Gdybym tylko chciała, ten zuchwalec znalazłby się na wygnaniu - albo spotkałoby go coś gorszego! Oczywiście duszy Louise wyraźnie widziała tamto zdarzenie. Popołudnie, promienie słońca wpadające przez okna pałacu... ona, jeszcze w sukni podróżnej, z czepkiem w dłoni, zakręt korytarza... krzyk córki, odbijający się echem od ścian pałacu... i wtedy - *Mon Dieu!* - Gabrielle, z twarzą pobladłą ze strachu, rozpaczliwie usiłująca wyrwać się z lubieżnych łap młodego dworzanina.

Louise wciąż miała w pamięci swoje ostre słowa skierowane do hrabiego d'Avaronne:

- Panie hrabio, proszę natychmiast zostawić moją córkę w spokoju. Natychmiast. I jeśli kiedykolwiek zobaczę pana w jej pobliżu, daję słowo, osobiście pana wychłostasz!

Młody zuchwalec zbladł i czym prędzej zniknął. Jego postępek pozostawił jednak piętno na psychice Gabrielle. Biedne dziecko nie mogło powstrzymać drżenia. Louise zrobiła, co mogła, by uspokoić córkę, po czym odesłała ją do łóżka, pod baczny okiem zaufanej służącej.

Wystarczyłoby, żeby napomknęła królowej o tej zniewadze, a d'Avaronne, odesłany z dworu, straciłby dobre imię. Wiedziała jednak, że pozbycie się jednego młodego lubieżnego arystokraty nic nie da. Głównym problemem była atmosfera panująca w Wersalu. Coraz trudniej było Louise chronić pełną wdzięków córkę przed otaczającą dekadencją.

I czymś jeszcze gorszym - dodała w duchu, zdecydowana, że na razie nic nie powie Marii Antoninie. Myśl o przyszłości,

Louise - nakazywała sobie. O kataklizmie, który zagraża nam wszystkim.

- Ja też stęskniłam się za tobą, Wasza Wysokość - odparła spokojnym tonem. - A Gabrielle nie mogła się doczekać dzisiejszego wieczoru.

Nie było to do końca prawdą, jako że Gabrielle bardzo chciała zostać w Auxerre. Louise nie mogła jednak zostawić jej tam samej. Nie w tych niebezpiecznych czasach.

- Niestety, nie czuła się najlepiej po podróży - dodała Louise. - Prosiła, żebym przekazała, jak bardzo żałuje, że nie może być teraz z nami.

Królowa pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Biedactwo. Nie powinna się przemęczać. Ach, wiem, co jej dobrze zrobi. Może jutro przyjedziecie do mnie do Trianon? Nic tak nie poprawia samopoczucia jak parę dni na wsi w pięknej okolicy.

Louise skinęła głową, nie dając po sobie poznać, że dostrzega w tym pewną dozę ironii. Dopiero co przyjechała z córką z ich domostwa w pełnej winnic, sielankowej Burgundii, w porównaniu z którą „piękna okolica” Trianon była tylko mamą imitacją. Ale Maria Antonina i tak nigdy tego nie zauważyła.

*Le Petit Trianon* był oazą spokoju i uwielbianą obsesją królowej. Ta niepozorna neoklasycystyczna budowla z kamienia w kolorze miodu, oddalona zaledwie o milę od pałacu, została zaprojektowana jako wiejska rezydencja. Jednakże ze wsią, tak jak ją widzą bądź wyobrażają sobie zwykli wieśniacy, nie miała nic wspólnego.

Wewnątrz znajdowało się tylko siedem pokoiów - za to urządzonych z przepychem, bogato umeblowanych i ozdobionych świeżymi kwiatami. Ściany obite były jedwabiem, wzrok przykuwały aksamitne draperie i bezcenne dzieła sztuki. Trianon był zabawką kapryśnej królowej.

Jednakże zabawką o niezwykłej wartości. Trianon był prezentem od jej szczerzego męża i miejscem, gdzie mogła zapomnieć o wszelkich obowiązkach, bawić się, śmiać i plotkować do woli. Gdzie mogła być sobą.

- No? - ponagliła Maria Antonina. - Nie powiesz mi, co robiłaś przez ostatnie dwa tygodnie? - Królowa uśmiechnęła się

i uniosła błyszczący wachlarz. - Z pewnością nie chodziło tu o romans, moja droga - dodała nieco ciszej. - Przecież twój urodziwy d'Albrel został tutaj z resztą dworu.

Louise była już zbyt dojrzałą kobietą, by się zarumienić. Poczuliła jednak, jak na wspomnienie o Antoine d'Albret serce zabiło jej żywiej, i w głębi duszy skarciła się za to. Antoine, jej kochanek, jej obsesja - tak by go określiła, gdyby tylko potrafiła być wobec siebie szczerą. Ach, jakże chciała się od niego uwolnić, a jednocześnie pragnęła, by znalazł się w jej łóżku. Już dzisiaj, kiedy skończy się pora plotek i frywolnych pogaduszek, przyjdzie do jej komnaty. Musi. Inaczej ona oszaleje.

Louise, doskonale obeznana w tajnikach życia na dworze królewskim, w sztuce ukrywania głębszych doznań, nie pozwoliła, by wyraz jej twarzy zdradził targające nią sprzeczne uczucia.

- Nie, *ma reine*. Inne sprawy zawiodły mnie do Auxerre. Sprawy rodzinne.

Dłoń Louise mimowolnie powędrowała ku górze i musnęła piękny wisiołek z szafirem, spoczywający na gładkiej skórze tuż nad piersiami. Następnie, by nie niepokoić królowej, wspomniała o kilku błahostkach, którymi mogła się zająć podczas pobytu w Auxerre.

Mogła, ale tego nie uczyniła. W trakcie rozmowy nie potrafiła odpędzić myśli o prawdziwej przyczynie wyjazdu z dworu: przygotowaniu się do tego, co wkrótce nastąpi. Do *le deluge*.

-*Après moi, le deluge* - rzekł stary Król Słońce, kiedy ostrzeżono go o nadchodzących ciężkich czasach. „Po mnie choćby potop”. Louise była przekonana, że miał rację.

Od śmierci Ludwika XIV upłynęło wiele lat. Ale to, co zasiał - jego szaleństwa, kosztowne wojny, które pochłaniały coraz więcej pieniędzy - wszystko to wreszcie puściło korzenie. *Ancien regime* sypał się w gruzy. Gruzy, które miały przynieść Ludwika XVI, prawnuka Króla Słońce. Ludwika i wszystkich z jego otoczenia. Na przykład Louise, która stała się jedną z najbardziej zaufanych osób jego słodkiej, czarującej, okropnie naiwnej królowej Austriaczki.

Jedna z dam dworu wzięła Marię Antoninę na stronę, by zamienić z nią parę słów na osobności. Spojrzenie Louise spoczęło na profilu królowej. Ogarnęła wzrokiem wysokie czoło zwieńczone koafiurą pieczęłowicie umodelowaną z jasnych włosów, dłu-

gi, nieco zakrzywiony, ale proporcjonalny nos, małe - mimo grubych, habsburskich warg - usta i lekko zaokrąglony podbródek. Piękność pośród królowych; z pewnością najpiękniejsza z córek cesarzowej Marii Teresy.

Córka. To słowo przypomniało Louise o tym, co ostatnimi czasy spędzało jej sen z powiek. Jej dłoń znowu odruchowo powędrowała do wisiorka z szafirem. Muszę myśleć o swojej córce. O Gabrielle.

Gabrielle-Marie, jej jedyne dziecko. Tylko i wyłącznie dla niej opuściła Wersal prawie na dwa tygodnie. Gabrielle, urzekająco piękna szesnastolatka i dziecię jej serca. Potop nadejdzie - pomyślała Louise, rozglądając się po urządzonych z przepychem komnatach Wersalu. Ale nie pochłonie on Gabrielle!

- Widzę, że włożyła pani Królową Morza, hrabino.

Louise, wyrwana z zadumy, podniosła głowę i napotkała spojrzenie jasnobrazowych oczu Yolandy de Polastron, hrabiny de Polignac. Maria Antonina ceniła Yolandę, podobnie jak Louise, za niewzruszony spokój. Ich towarzystwo działało na nią uspokajająco, kiedy miewała swoje humory.

Louise uśmiechnęła się i poklepała dłonią miejsce zwolnione przez królową.

- Zaraz po wyjeździe musiałam dać zapinkę do naprawy - skłamała - włożyłam dziś Królową, żeby w ten sposób uczcić jej powrót do zdrowia.

Yolanda zaśmiała się. Wszyscy słyszeli o tym wspaniałym klejnocie, wiedzieli, że nazwa - Królowa Morza - wywodzi się ze starej legendy, opowiadającej o jego pochodzeniu.

Błękitne oczy Louise, harmonizujące odcieniem z klejnocem, nagle spoważniały. Nie mogła opędzić się od myśli o rozszerzających się niepokojach w kraju. Atmosfera w Paryżu była szczególnie gorąca. Polityczne wstrząsy, które przerażały Louise. Głodujący ludzie, walczący na ulicach o żywność. Większość z nich obwiniła o wszystko Marię Antoninę. Czy nie jest cudzoziemką?

- Powiedz mi - szepnęła, wyraźnie zaniepokojona - jak radzi sobie moja droga królowa?

Yolanda skierowała pełne smutku spojrzenie na Marię Antoninę.

- Jest tym wszystkim wstrząśnięta, *madame*. Przewzisko „*Madame Deficit*” było szczególnie przykre, ale ostatnio słyszymy rzeczy jeszcze gorsze... o wiele gorsze.

- Kłamstwa - syknęła Louise. - Kłamią albo tak przekręcają jej słowa, że na jedno wychodzi.

- Tak jak to było z tą historią o rogalikach - mruknęła Yolanda tonem pełnym odrazy.

- No właśnie - szepnęła Louise.

Kiedy królowa spytała, czemu ludzie się buntują, powiedziano jej, że nie mają chleba. A ona, jak zwykle rozbijając naiwna, stwierdziła: „Cóż, nikt im nie broni jeść rogalików!”.

A teraz po całej Francji krążyła opowieść, że skąpa, bezlitosna królowa powiedziała tonem pełnym okrucieństwa: „Niech jedzą ciasto!”.

- Najgorsze, co można o niej powiedzieć - mruknęła Louise - to to, że żyje w odosobnieniu, z dala od ludu. Ale przecież tak to już jest z monarchami. Wiedziała, że te słowa dotyczą całej arystokracji, nie tylko rodziny królewskiej. Louise, dzięki temu, że była inna niż ludzie z jej sfery, doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Kiedyś na dworze królewskim rozeszła się wieść, że podczas epidemii ospy w jej włościach opiekowała się chłopską rodziną. Stała się wówczas obiektem drwin wielu dworzan. Teraz ci sami ludzie, którzy wytykali ją palcami, nie chcieli dostrzec tego, co dzieje się w kraju. *Le deluge*...

- Ach, *madame* - odezwała się - serce mi się kraje, jak słyszę, co o niej mówią. A nasz biedny król...

- Nadal nie daje się nakłonić do wyjazdu? - Louise mówiła ledwo słyszalnym szeptem. Tylko garstka osób wiedziała, że Maria Antonina gorąco pragnie dołączyć do hord *emigres* uciekających z Francji. Król jednakże nie chciał nawet o tym słyszeć, a ona nie zamierzała wyjechać bez niego i dzieci.

„Jestem pewien, że lud mnie kocha - powtarzał jej wielokrotnie. - Jeśli zostanę, wszyscy zobaczą, że jestem lojalny wobec moich poddanych, wobec mojego kraju”. Głupiec. Co za głupiec!

Yolanda potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że król jest bardziej naiwny niż nasza biedna królowa. A co ty zamierzasz, Louise? Myślałaś już o tym?



Czy o tym myślałam? Myślę o tym bez przerwy - odparła w duchu. Wiedziała, że bez względu na to, co się wydarzy, pozostanie przy królowej. Jeśli nie pomoże Marii Antoninie nakłonić flegmatycznego monarchy do ucieczki, podzieli ich los. Tak wiele zawdzięczała królowej. Bez jej przyjaźni, jako młoda owdowiała matka, za żadne skarby nie poradziłyby sobie na dworze.

Ale Gabrielle - to co innego. Nawet jeśli Louise nie umknie przed nadciągającą falą, jej córka będzie bezpieczna. Wszystko było już załatwione. Nie powiedziała o tym nikomu, nawet Antoine'owi. Musiała to zachować w całkowitej tajemnicy. Nie zamierzała ryzykować. Przecież stawką była przyszłość Gabrielle.

Louise ponownie dotknęła chłodnej krawędzi szafiru spoczywającego nad piersiami. Królowa Morza podobno chroniła tego, kto ją nosił, od wszelkiego zła. Boże spraw, żeby tak było. Louise już zdecydowała, że przekaże ją córce.

RS

# 1

Paryż, 1793

Uważaj, jak idziesz, ofermo!

Młoda pokojówka z Hotel Liberte zaczerwieniła się, upokorzona i wściekła zarazem. Błyskawicznie spuściła wzrok, powstrzymując się od zjadliwej riposty. Kobieta, która właśnie wytrąciła jej z rąk stertę bielizny pościelowej, była gościem hotelowym, a gość zawsze ma rację. Gdyby zwykła pokojówka ośmieliła się złamać tę zasadę, mogłaby znaleźć się na bruku.

- Proszę o wybaczenie, *madame* - wydusiła ze skrucną w głosie.

- Tylko nie *madame*, ty głupia smarkulo! - skarciła ją kobieta.

- Teraz mówi się „obywatelko”. Nie wiesz jeszcze, że w naszej Republice wszyscy są sobie równi?

- Tak... tak obywatelko - odparła pokojówka, schylając się, by podnieść porzucaną pościel. Wszystko się zgadza, tyle że najwyraźniej niektórzy są „równiejsi”!

- Hm - prychnęła kobieta, pękata jejmość o twarzy, która nigdy nie była ładna. Z zazdrością przyjrzała się zgrabnej sylwetce pokojówki zbierającej z podłogi porzucaną pościel... jedwabistej skórze jej szczupłych ramion... rudozłotym lokom wysuwającym się spod czepka. - Jak się nazywasz, obywatelko? - spytała ostrym tonem.

Dziewczyna podniosła głowę. W jej błękitnych oczach pojawił się niepokój. Nie mogła stracić posady. Gdyby ta kobieta złożyła skargę...

- Nazywają mnie Brielle, obywatelką Brielle-wydusiła z siebie - Brielle Lafleur.

- Zatem, obywatelko Lafleur - jejmość sapnęła - na przyszłość radzę ci, żebyś wbiła sobie do głowy, że Francja to już inny kraj. I uważaj, jak chodzisz!

Gabrielle de Saint-Germain pokornie skinęła głową i odechnęła z ulgą, nie spuszczać wzroku z odchodzącej kobiety. Nagle poczuła znajome ukłucie w sercu. Francja to już inny kraj.

Jakby trzeba jej było o tym przypominać. Jakby każdy dzień nie był świadectwem tego, że wszystko się zmieniło. Wstawała przed świtem i do późnego wieczoru pracowała jako służąca. Sześć i pół dnia w tygodniu - pół dnia przypadało na niedzielę. Dawniej chodziła do kościoła, teraz nie mogło być o tym mowy. Kościół uważany był za część spuścizny wyklętego *ancien regime*.

Tak jak ja i *maman*, pomyślała.

Na myśl o matce ból stał się silniejszy. Kolejny raz przypominała sobie ostatnie chwile spędzone razem.

Były wtedy w Varennes, w drodze do majątku krewnych. Przy najmniej tak to miało wyglądać. Prawdziwy cel ich podróży był jednak inny. Miały niepostrzeżenie dołączyć do rodziny królewskiej i podjąć próbę ucieczki z kraju. Tyle że Gabrielle nic nie wiedziała o planie. Wtedy jeszcze nie.

Matka wysłała ją przodem, pod eskortą zaufanych służących, którzy mieli zaczekać na hrabinę w gospodzie na skraju miasta.

Teraz Gabrielle wiedziała już, że matka zataiła przed nią cel podróży, by zapewnić jej bezpieczeństwo; skoro dziewczyna o niczym nie wiedziała, w żaden sposób nie mogła się przed nikim zdradzić. Z tego samego powodu pojechała przodem. Widok arystokratki opuszczającej Paryż w towarzystwie córki mógł wzbudzić podejrzenia. Zwłaszcza w owym czasie. *Maman* zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby ich ucieczka nie zwróciła niczyjej uwagi.

Gdyby tylko król był równie ostrożny. A tak Ludwik, w kiepskim przebraniu, został zidentyfikowany przez niskiego rangą urzędnika, który nawet nigdy nie widział go na własne oczy. Rozpoznał natomiast profil Ludwika XVI wytłoczony na każdej francuskiej monecie.

Teraz król już nie żył, a królowa i jej dzieci były uwięzione w Tempie. Wraz z Louise de Saint-Germain, hrabiną d'Auxerre. *Maman*, która była zbyt lojalna wobec królowej, by ją opuścić. Zbyt lojalna, by, jak nakazywał rozsądek, uciec wcześniej. *Maman...* w więzieniu. I tylko dzięki niej Gabrielle nie spotkał ten sam, czy nawet gorszy, los.

Na ustach Gabrielle pojawił się smutny uśmiech. Przypomniała sobie, jak pokłócili się tamtego poranka. Matka kazała jej się ubrać w łachmany odkupione od pomywaczki w gospodzie. Pozwoliła tylko, by narzuciła na siebie czarną żałobną pelerynę, która miała ukryć to upokorzenie.

Upokorzenie! Gabrielle nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Temu „upokorzeniu” i chłodnej rozwadze *maman* zawdzięczała życie. Louise wyjrzała przez okno powozu w chwili, kiedy mała karetka króla została zatrzymana. Natychmiast wypchnęła córkę na zewnątrz, nakazując jej, żeby naciągnęła kaptur na głowę i powoli poszła przed siebie.

- Idź do najbliższego kościoła, Gabrielle - powiedziała. - Zrobię, co mogę, żeby odwrócić ich uwagę. Ale gdyby ktokolwiek cię zatrzymał, mów, że jesteś zwykłą pomywaczką i idziesz modlić się za zmarłych bliskich. A teraz idź i nie oglądaj się! Idź, jeśli mnie kochasz!

„Idź, jeśli mnie kochasz”. Cztery proste słowa, które na zawsze zmieniły ich życie. Ach, *maman*, jak bardzo chciałam...

- Brielle? Coś się tak rozmarzyła? - Z zamyślenia wyrwał ją głos dobiegający zza jej pleców.

Odwróciła się, przyciskając do piersi stertę bielizny pościelowej, o której już zdążyła zapomnieć.

- Ach, to ty, Mignon. - Mignon, nieco młodsza od niej wysoka brunetka, była pokojówką, podobnie jak ona. Gdyby nie to, że Gabrielle unikała bliskich kontaktów z ludźmi, mogłaby nawet zostać jej przyjaciółką.

Mignon spojrzała na nią z rozbawieniem. Jej wzrok padł na stertę przybrudzonej i wygniecionej bielizny pościelowej.

- Reynard chce, żebyś przyszła do spiżarni - powiedziała - ale najpierw zrób coś z tymi szmatami, wycierałaś nimi podłogę, czy co?

- W pewnym sensie. - Gabrielle skrzywiła się. - Gdzie mam zostawić...

- Daj, ja to wezmę. - Mignon wyciągnęła ręce. - I tak szłam do pralni - przewróciła filuternie oczami - żeby zerknąć na tego nowego portiera z parteru. Babette mówiła, że on ma takie duże brązowe oczy - dodała z zawadiackim uśmiechem.

Mignon była niepoprawną kokietką. Gabrielle obawiała się, że kiedyś narobi sobie przez to kłopotów.

- Jesteś pewna, Mignon? - spytała wahając się, czy oddać jej pościel. - Nie chciałabym, żebyś przeze mnie straciła pracę, a te rzeczy są..

- Co tam! - wykrzyknęła Mignon. - Za bardzo się przejmujesz. Przemknę się do środka, rzucę to na stertę brudów i nikt nie zauważy, no nie? - Mrugnęła porozumiewawczo do Gabrielle i wzięła od niej pościel. Odwracając się w stronę schodów, machnęła ze zniecierpliwieniem ręką. - Lepiej się pospiesz, Brielle. Stary Reynard nie jest dziś w najlepszym humorze.

Reynard był majordomusem i ostatnio rzadko miewał dobry humor; akurat teraz, kiedy przyjeżdżało dużo gości, wielu służących trafiło do wojska, a ci, którzy zostali, ledwo dawali sobie ze wszystkim radę. Gabrielle westchnęła i skierowała kroki do spiżarni.

Jason Trace podszedł do swojego asystenta, stojącego pod salą, w której zbierał się Komitet Bezpieczeństwa Publicznego. Twarz Jasona nie wyrażała żadnych uczuć. Ale Conor O'Shea znał go już od wielu lat, znał zbyt dobrze, żeby nie dostrzec złowieszczonego błysku w jego oczach.

- Jakież problemy? - mruknął Conor, porządkując papiery wyglądające na jakieś oficjalne dokumenty; po chwili wsunął je pod pachę.

- Chodźmy stąd. - Jason kiwnął głową w stronę wyjścia. Choć rozmawiali po angielsku, wśród kręcących się po korytarzu ludzi mógł znaleźć się ktoś, kto znał ten język. Jason nie miał wątpliwości, że Komitet, gdyby tylko istniała taka możliwość, nastąpiłby na niego szpiegów.

Na rue Madeleine nie było prawie nikogo. Ruszyli w stronę ambasady amerykańskiej. Ambasador zaproponował, że wyśle po nich powóz, ale postanowili pójść na piechotę. Wreszcie mieli okazję rozprostować nogi po długiej, monotonnej podróży morskiej.

- Chłopie, a cóżes ty taki markotny? - Conor wciąż jeszcze nie wyzbył się melodyjnego akcentu charakterystycznego dla mieszkańców jego rodzinnej Irlandii. Nie zatarło go nawet dwadzieścia lat pobytu w Wirginii. - Co, wściekli się? - dodał marszcząc czoło.

- Nie, przyjęli to dość spokojnie. - Jason rozejrzał się po ulicy.

Byli w Paryżu zaledwie czterdzieści osiem godzin, ale już dane im było widzieć okropne rzeczy: złąkniony krwi i zemsty motloch, wrzeszczący na widok wozów ze skazańcami... bandytów krążących po ulicach w poszukiwaniu okazji do wszczęcia burdy. Dlatego też obydwoj mieli przy sobie pistolety, ukryte pod surdutami.

- Raczej nie mieli wyboru - ciągnął Jason - bo przecież członkowie Komitetu to w większości realisci. Wiedzą, że nasza neutralna postawa im nie zaszkodzi. Ale było i paru takich, którzy przyjęli decyzję Waszyngtona z oburzeniem, uważając, że powinniśmy sprzymierzyć się z nimi w ich przeklętej wojnie.

Wojna, o której mówił, właściwie rozpoczęła się w lipcu 1789 roku, po szturmie na Bastylię. Ale tak na dobre wybuchła dopiero po egzekucji Ludwika XVI. Monarchie europejskie, zwłaszcza Austria, Prusy i ostatnio Anglia, niezbyt dobrze przyjęły wiadomość o zabójstwie namaszczonego monarchy.

- Ha! - prychnął Conor. - Jeszcze czego! Po tym, co ostatnio wymyślili? Toż to skandal! Lafayette zdracą? Jeszcze trochę i oskarżą Maryję Dziewicę i Pana Naszego. Nie dziwota, że Waszyngton ogłosił neutralność. Mają szczęście, żeśmy nie stanęli po drugiej stronie!

- To było niemożliwe, Conor, przecież wiesz. Waszyngton chce, żeby Stany Zjednoczone trzymały się z dala od wszelkich konfliktów poza granicami kraju. To główny cel jego polityki zagranicznej. Póki będzie prezydentem, dołoży starań, żebyśmy pozostali neutralni.

Conor spojrzął na swego towarzysza kątem oka.

- Co innego nasi znajomi, nie? - rzekł. - Gdyby tylko mogli, co? Jason odpowiedział mu szerokim uśmiechem.

- Powiedzmy, że sekretarz stanu jest frankofilem i nic na to nie poradzi. Tom Jefferson kocha Francję, odkąd spędził tu parę lat jako minister. Jak dołożysz do tego jeszcze jego republikańskie zapatrywania, to zrozumiesz, dlaczego namawiał Waszyngtona do poparcia Francuzów.

- Tak, a w tym samym czasie Hamilton gardłował za tym, żeby skumać się z Anglikami i koalicją, ale stary dobry Tom za nic by do tego nie dopuścił. To właśnie dzisiaj powiesz Rolandowi i tym jego żyrondytom? - spytał Conor.

Jason skinął głową i uśmiechnął się kwaśno.

- Tyle że nieco bardziej dyplomatycznie. - Był plantatorem, a nie dyplomata, ale wiele nauczył się od ojca, który miał wypełnić tę misję. Niestety, Alexander Trace złamał nogę na polowaniu. Z jego poręczenia Waszyngton mianował Jasona swoim specjalnym wysłannikiem.

- Jasne, że wszystko, co powiesz tym Francuzikom, będzie nieoficjalne! - Conor wybuchnął śmiechem.

Jason zawtórował mu. Oficjalnie przyjechał do Francji po to, by powiadomić władze rewolucyjne o tym, że Waszyngton zamierza jeszcze w tym miesiącu ogłosić proklamację neutralności. Prezydent chciał rozwiać wszelkie złudzenia Francuzów co do postawy Stanów Zjednoczonych.

Ale nie z tego powodu było im tak wesoło. Otóż ich misja miała również inny, ukryty cel. Gdyby Waszyngton dowiedział się o tym, z pewnością przeklinałby, jak na starego wojaka przystało. Jefferson, sekretarz stanu w jego rządzie, nie zamierzał złożyć broń w związku z planowaną deklaracją neutralności; dlatego też w tajemnicy poprosił Jasona, by ten spotkał się z umiarkowanymi żyrondistami i zapewnił ich, że Francuzi nadal mogą liczyć na „wysoko postawionych przyjaciół” w Stanach Zjednoczonych. A Jason, jako przyjaciel Jeffersona, zgodził się.

Nagle unióśł brwi. Z jego twarzy zniknął uśmiech. Conor przyjrzał mu się z rozbawieniem.

- Co, zmieniłeś zdanie, czy jak?

Jason potrząsnął głową.

- Zastanawiam się, czy Tom nadal tryskałby entuzjazmem, gdyby ścięli Lafayette'a.

Conor przytaknął. Lafayette cudem uniknął schwywania, a tym samym pewnej śmierci; kiedy się dowiedział, że Zgromadzenie Narodowe ogłosiło go zdrajcą, zbiegł do armii pruskiej.

- To cię tak dręczy?

- W pewnym sensie. Conor, chodzi o to, że... - Jason urwał w połowie zdania. Ich uwagę przykuły dźwięki dobiegające z od dali: przytłumiony odgłos werbli, a następnie radosny wrzask setek gardeł.

Kiedy wrzawa ucichła, Amerykanie spojrzeli po sobie ponuro. Kolejny „zdrajca Republiki” stracił głowę.

- Niech to diabli, Jason - mruknął Conor. - To barbarzyństwo. Ci sankiuloci stoją na tym placu, radośni, jakby byli na weselu. Te krwiożercze dranie kierują tą rewolucją!

- Nie całkiem - odpowiedział Jason, kiedy ruszyli dalej - ale są tacy, którzy wiedzą, jak zdobyć ich przychylność. Jak manipulować nimi dla własnych celów.

- Mówisz o tych, z tamtej sali? - Conor nie uczestniczył w spotkaniu, bo to nie miałyby najmniejszego sensu; w odróżnieniu od Jasona Trace'a nie mówił po francusku.

Jego towarzysz skinął głową.

- Burżuazja. Ci ekstremiści, którzy określają siebie mianem „górali” i jakobinów. Chociaż wydaje mi się, że, z dwojga złego, jakobini są bardziej niebezpieczni. Przywódcą „górali” jest Georges Danton, a on przynajmniej wydaje się w miarę rozsądny. Ale nie jestem pewien, czy zdoła przeciwstawić się radykalizmowi jakobinów. Zwłaszcza Marata i Robespierre'a.

Conor zauważył, że w oczach Jasona znowu pojawił się błysk gniewu.

- Chłopie, co oni ci, u licha, powiedzieli? - zaciekawiał się.

- Spytałem, jak naród, który jeszcze niedawno walczył przeciwko tyranii i wygrał tylko dzięki pomocy Francji, może haniebnie zachować bezczynność i odmówić spłacenia długu wdzięczności.

Conor kiwnął głową.

- Oczywiście, tego należało oczekiwać. Cóż im odpowiedziałeś?

- Że my nie zabiliśmy króla ani nie urządziliśmy ogólnonarodowej jatki. Powiedziałem im, że teraz, kiedy wojna jest już za nami, wielu lojalistów żyje w zgodzie ze swoimi sąsiadami - patriotami. Nasze zwycięstwo, dodałem, to triumf rozumu i oświecenia nad siłami, które próbowały stłamsić szlachetniejsze cechy ludzkiego ducha.

Conor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Matko Boska, coś mi się widzi, żeś rozminął się z powołaniem. Z taką gadką powinieneś kandydować do Kongresu.

Jason uśmiechnął się, ale potrząsnął głową. Widział, czym było piastowanie państwowego urzędu dla ludzi, takich jak Waszyngton czy Jefferson, którzy musieli na większą część roku przeno-



sić się na północ. Obydwaj z pewnością byli oddani ojczyźnie i za to ich podziwiał. Jednak wiedział też, jak bardzo pragnęliby wrócić do swoich domów w Wirginii, które kochali nade wszystko. Tak jak Jason kochał Fairhills.

- Komitet mnie przeraża, Conor - rzekł. - Wiesz, co powiedział Robespierre, kiedy wspomniałem o rzeziach? - Położył dłoń na ramieniu Conora i z ponurą miną spojrzał mu w oczy. - Powiedział, że są konieczne. Że to dopiero początek. Mówił o „rzadach terroru”, które skapiają Francję we krwi, dopóki nie zamilknie ostatni z wrogów Republiki. Rozumiesz? Rządy terroru, działające „bez niczyjej pomocy, bez cienia skrupułów czy żalu”.

Conor przypomniał sobie wrzaski oszalałego tłumu. Ciarki przeszły mu po plecach.

- Żona ambasadora mówiła, że już wzięli się za niewinnych. Widziała, jak wzięli na szafot pomocnicę jej krawcowej. To było jeszcze dziecko, miała raptem kilkanaście lat! Powiedz, cóż takie niewinne stworzenie mogło im zrobić? Małe dziewczę wrogiem Republiki?

Jason potrząsnął głową. Przez chwilę Conorowi zdawało się, że przez usta przyjaciela przemknął gorzki uśmiech, ale w tym świetle mogło to być tylko złudzenie. Nieszczęsne dziewczę musiało być niewinne. Nawet Jason na pewno zdawał sobie z tego sprawę.

Ale z nim nigdy nie wiadomo. Jason Trace żywił głęboką nieufność do kobiet, szczególnie Francuzek. Owszem, ich ciała dostarczały mu sporo przyjemności; urodziwy był z niego diabeł i nigdy nie narzekał na brak kobiet oferujących mu swoje wdzięki. Jednak z żadną nigdy nie łączyło go głębsze uczucie. Po prostu im nie ufał. Inna sprawa, że miał powody.

Conor spojrzał kątem oka na przyjaciela i westchnął. Jasona nękały widma przeszłości. Pewnie nigdy się nie ożeni, wbrew nadziejom Alexandra. No tak, ale Alexander Trace był niepoprawnym romantykiem o gołębicim sercu. Nie to, co jego syn. O Jasonie można było wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że ma gołębie serce i jest romantykiem.

W drodze do ambasady nie spotkały ich żadne niemiłe niespodzianki. Na miejscu Jason złożył raport gubernatorowi Morrisowi. Ambasador Stanów Zjednoczonych postanowił nie podejmować żadnych działań, dopóki proklamacja nie zostanie

ogłoszona oficjalnie. Zanim Jason z Conorem zdążyli się przebrać i przygotować do wizyty u Rolanda, któremu mieli przekazać tajną wiadomość od Jeffersona, zapadł już zmierzch.

Morris ponownie zaproponował im, by skorzystali z jego powozu. Tym razem się zgodzili. Po zachodzie słońca w Paryżu na przechodniów czyhało zbyt wiele niebezpieczeństw.

Jason podał stangretowi adres i powóz ruszył powoli przez Champs-Elysees w stronę Hotel Liberte.

- Mieszkają w hotelu? - spytał Conor, sadowiac się wygodnie na obitym pluszem siedzeniu.

Jason uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- *Hotel* to po francusku „pałac”. Roland i jego żona to burżuazja. Żyje im się teraz tak dobrze jak arystokratom, których swego czasu pomogli się pozbyć. Nie sądzę, żeby ich rezydencja zawsze nazywała się „Hotel Liberte”. Najwyraźniej rewolucja objęła też nazewnictwo.

Conor skinął głową. Cholerne zabójady pozmieniały nawet nazwy miesięcy. No cóż, Francja to zaiste dziwny kraj, co do tego nie miał wątpliwości. Im wcześniej stąd wyjadą, tym lepiej.

Przyjechał tu tylko dlatego, że poprosił go o to Jason, jego najlepszy przyjaciel. Jednak następnym razem raczej by odmówił. Podobnie jak on był tylko plantatorem; ich plantacje, położone niedaleko Charlottesville, sąsiadowały ze sobą. Dla Conora liczyła się tylko ziemia.

Przybył do Ameryki jeszcze jako dzieciak, z jedną koszulą na grzbiecie. Tylko swojej pracowitości zawdzięczał to, że w pełni wykorzystał możliwości, jakie dawała człowiekowi ta nieujarzmiona ziemia. Dzisiaj był już właścicielem dużej plantacji i szczyił się tym, co udało mu się osiągnąć. Cóż mógł wiedzieć o dyplomacji i cudzoziemcach? Dlaczego nie został w domu? Tam było jego miejsce.

Za odpowiedź wystarczyło mu spojrzenie na człowieka, który siedział obok. Jason Trace był więcej niż przyjacielem; miał cechy urodzonego przywódcy. Komuś takiemu jak on po prostu nie sposób było się sprzeciwić.

Podczas wojny o niepodległość Conor służył w oddziale Jasona. Mimo że dowódca zaliczał się do najmłodszych oficerów w armii Waszyngtona, w trakcie walk błyskawicznie awansował,

zresztą nie bez powodu. Był świetnym strategiem i parokrotnie uratował swoją kompanię dragonów przed, wydawało się, nieuchronną klęską.

Poza tym Jason nigdy nie stawiał swoim ludziom większych wymagań niż sobie. No i uratował Conorowi życie w czasie odwrotu Greene'a z Karoliny Północnej w osiemdziesiątym pierwszym. Kiedy wojna dobiegła końca, Conor wiedział, że bez wahania skoczyłby za przyjacielem w ogień i wodę.

Chyba właśnie to zrobiłem - pomyślał, rozglądając się po ciemnych ulicach Paryża. Nie pierwszy raz przyszło mu do głowy, że immunitet dyplomatyczny może nie ochronić ich przed tą rozszalałą dziczą. Daleki był od tego, żeby kwestionować słuszność walki o wolność, ale, jego zdaniem, we Francji roku 1793 ta walka przeobraziła się w zbiorowe szaleństwo.

A oni, Jason i Conor, musieli oszaleć, żeby zgodzić się tu przyjechać. Co gorsza, Jason postanowił zostać dłużej. I po co? Z jakiej chorej ciekawości.

Po wypełnieniu oficjalnych misji zamierzał wybrać się do krajiny winnic. Cóż chciał przez to osiągnąć? Czy Francuzi czasem nie zarazili go swoim szaleństwem?

Był to tylko kolejny dowód na to, że ciągle nie może wyrwać się ze szponów przeszłości. Conor westchnął ciężko.

- Coś cię martwi, Conor? - W ciasnym powozie głos Jasona wydał się zaskakująco donośny.

- Och, tak tylko myślę, że może byś darował sobie tę przejażdżkę do... eee... Brugrundii, czy coś takiego? - Conor, ze swoim akcentem, całkowicie przekręcił francuską nazwę.

Jason nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie wystarczy ci, że kaleczysz mowę naszego byłego króla? Musisz robić to samo z francuskim?

- Lepiej kaleczyć język niż tracić głowę. Ponoć na prowincji ścigli o wiele więcej głów niż na tym cholernym placu.

- Conor, nie prosiłem cię, żebyś jechał ze mną. - Jason nagle spowaźniał. - Właściwie wolałbym, żebyś został w Paryżu. To coś... co muszę zrobić. Nie chcę obarczać tym ciężarem nikogo innego. Ale pojedę tam.

Conor skinął głową, powstrzymując kolejne westchnienie. To szaleństwo, inaczej tego nie da się określić. Jason, jesteś moim

najlepszym przyjacielem, ale czasem nie mam pojęcia, co dzieje się w tej twojej łąpetynie - pomyślał.

Powóz zatrzymał się nagle, wyrrywając go z rozważań. Przed jego oczami rozciągał się imponujący swoim przepychem Hotel Liberte.

Fronton budynku i rzeźbione fryzy jaśniały dumnie w świetle dziesiątków pochodni. Wszedłszy przez główną bramę na rozległy dziedziniec, Conor zadarł głowę, by obejrzeć mansardowy dach pałacu.

- Matko Boska! A ja myślałem, że nasze domy są duże. - Zarówno domostwo Trace'ów w Fanhills, jak i jego w Shamrock Farm zmieściłyby się we wnętrzu tego gmaszyska. Można by jeszcze dorzucić do tego Monticello, ukochaną posiadłość Jeffersona!

Jason kiwnął głową.

- Może teraz zrozumiesz, dlaczego żyrondyści mają takie wpływy. Nie splamili się współpracą z królem, ale pieniędzy im nie brakuje.

Z pałacu wybiegła grupa służących. Stajenni zaciągnęli konie do stajni, a lokaje wprowadzili gości po schodach do budynku.

Tutaj Conor znów oniemiał z podziwu. Hall ozdobiony był z rzadko spotykanym przepychem. Wysoko w górze ciągnęło się sklepienie pokryte freskami, a w złoconych fryzach tkwiły wspinające dzieła sztuki.

Conor zauważył, że Jason również stanął jak wryty; jego spojrzenie jednak skierowane było na schody z różowego marmuru, górujące nad hallem. Czy też na kogoś, kto znajdował się na schodach - drobną, szczupłą dziewczynę, która, sądząc ze stroju, była zwykłą służącą. Zgodnie z panującym zwyczajem, przywdziała barwy rewolucji - miała na sobie sukienkę w czerwono-niebieskie paski, na tle której odznaczał się wykrochmalony fartuszek i biały czepiek. Ale Conor w życiu nie widział służącej, która poruszałyby się tak wdzięcznie.

A jej twarz! Spowijały ją rudozłote loki wymykające się spod czepka. Zaiste, pomyślał, na widok tak cudnego lica młodzi wdychają w rozmarzeniu, a starzy żałują, że nie są parę lat młodsi. Kiedy dziewczyna podeszła bliżej, uznał, że tak właśnie wyglądają anioły.

Jason uniósł brew, widząc, jak przyjaciel wpija się wzrokiem w młodą służącą.

- Niezła, co? - spytał.

Conor zdobył się na skinienie głową, nie mogąc oderwać oczu od dziewczyny.

- Ma szczęście, że żyje w tych czasach. Za monarchii nie dałaby sobie rady.

- Dlaczego?

Jason prychnął.

- Popatrz tylko, jak ta smarkula zadziera nosa. Jakby była boginią... albo królową. Słyszałem, że francuska służba zachowuje się arogancko, ale nie wyobrażam sobie, żeby arystokraci pozwalali na coś takiego.

Conor nieustannie wpatrywał się w dziewczynę.

- Takiś pewien? Je-ezu Chryste, toż to doprawdy piękność. Któż nie oddałby...

- Uroda nic by jej nie dała. - Jason spojrzął na przyjaciela, wyraźnie rozbawiony. - To znaczy, gdyby ta panienka chciała pracować jako służąca. - Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. - Oczywiście, można by wykorzystać ją inaczej... nie powiem, żebym miał coś przeciwko temu... zwłaszcza na szerokim francuskim łóżu.

Conor dał mu znak, by mówił ciszej, jako że dziewczyna właśnie do nich podchodziła. Mówili jednak po angielsku, więc nie należał.

Po chwili miał tego pożałować.

- Panowie Trace i O'Shea z ambasady amerykańskiej? - spytała dziewczyna. W jej angielskim słychać było tylko ślad francuskiego akcentu. Jej twarz płonęła rumieńcem.

Conor zauważył, że przyjaciel też poczerwieniał, oddając pokłon.

- Witam panów - ciągnęła. Conor zauważył, że dziewczyna unika ich spojrzeń. - Jestem obywatelka Lafleur i jako że mówię po angielsku... - powiedziała to takim tonem, żeby nie było wątpliwości, co mają przez to rozumieć - ...wprowadzę panów do salonu. Proszę za mną.

## 2

Gabrielle wymknęła się bocznymi drzwiami do ogrodu i ostrożnie rozejrzała się na wszystkie strony. Krzewy rosnące wzdłuż posypanych żwirem ścieżek tonęły w półmroku, ale było jeszcze zdecydowanie zbyt jasno. Od tej pory będą musieli spotykać się później; dni stawały się coraz dłuższe. A nikt nie mógł jej tu zobaczyć.

Na drugim końcu ogrodu, pośród cieni, coś się poruszyło. Ten człowiek wiedział, jak się ukrywać. Spojrzawszy w okna górującego nad nią pałacu, nie zauważyła nikogo. Mimo to nie mogła być pewna, że nikt jej nie obserwuje. Zwłaszcza teraz, kiedy Komitet Bezpieczeństwa Publicznego sprawował faktycznie dyktatorską władzę.

Na samą myśl o Komitecie ciarki przeszły jej po plecach. Przystanęła na chwilę, by zebrać odwagę. Następnie z bijącym sercem ruszyła naprzód, skradając się pod murami pałacu.

Wydawało jej się, że upłynęły całe wieki, zanim dotarła do cienia, w którym czekał już na nią mężczyzna. Odetchnęła z ulgą, ujrawszy znajomą, ospowatą twarz. Z pewnym zaskoczeniem uzmysłowiła sobie, że jego wygląd już jej nie przeraża.

Widziała rzeczy o wiele straszniejsze.

- Coś długo musiałem na ciebie czekać, siostró! - syknął mężczyzna, którego znała tylko jako Le Feu. *Le Feu* - Ogień.

Gabrielle tylko wzruszyła ramionami. Le Feu zawsze był wybuchowy, ale to też już nie robiło na niej wrażenia. Liczył się tylko fakt, że on i jego grupka spiskowców mieli wpływ na o wiele ważniejsze sprawy. Na przykład... o Boże... *los mamantl* - przypomniała sobie, przejęta rozpaczą.

Le Feu podrapał się po zarośniętym podbródku i wyszczerzył żółte zęby w obleśnym uśmiechu.

- Co, nie tracimy zimnej krwi? - spytał charakterystycznym, gardłowym dialektem ulic Paryża.

W odróżnieniu od człowieka, który go tu przysłał, Le Feu pochodził z niskich sfer. Początkowo Gabrielle dziwiła się, że d'Albret mu ufał. Co takiego prostaka mogło łączyć z grupą rojalistów? Teraz jednak nic już jej nie dziwiło; wiedziała, że za pieniądze można kupić niemal wszystko.

Kiedy jego grubiański żart nie wywołał żadnej reakcji, Le Feu spoważniał i przeszedł do rzeczy.

- Rozumiem, że nie znalazłaś tego, czego szukamy.

Gabrielle potrząsnęła głową, wstrzymując łzy. Od wielu tygodni udzielała mu tej samej odpowiedzi. Czuła się tak, jakby w ten sposób przyznawała się do osobistej klęski.

- Ale nie udało mi się jeszcze przeszukać co najmniej kilkunastu pokojów- powiedziała. - Uprzedzałam, że to potrwa. Służba nie ma wstępu do wszystkich pomieszczeń. Gdybyśmy tylko wiedzieli, w którym pokoju mieszkała *maman!*

- Gdybyśmy, gdybyśmy! - rzucił Le Feu. - Gdyby życzenia były koźmi, żebracy mieliby na czym jeździć, obywatelko Lafleur!

Wymówił jej przybrane nazwisko tonem pełnym sarkazmu. Wiedział, kim Gabrielle jest naprawdę, mimo że ona nie znała jego prawdziwego nazwiska.

Wiedział również, że jej życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie, gdyby to wyszło na jaw. W domostwie żyrondistowskiego ministra Jeana Rolanda i jego żony, Gabrielle de Saint-Germain była dla wszystkich śliczną Brielle Lafleur, skromną służącą.

Jednak nie chodziło tylko o życie Gabrielle. Była jeszcze *maman*, aresztowana w Varennes wraz z rodziną królewską tuż po tym, jak uratowała swoją córkę. Dobrzy obywatele Republiki ścięli króla w styczniu i nie ulegało wątpliwości, że ten sam los czeka matkę Gabrielle i wielu innych - chyba że znajdzie się sposób na zorganizowanie ucieczki.

To właśnie stało się celem Gabrielle. Zrobiłaby wszystko, zapłaciłaby każdą cenę, byle uratować matkę. Tylko *maman* została jej na tym świecie. Straciły wszystko - ziemię, godności, dawny styl życia - ale to było do zniesienia, dopóki istniała nadzieja, że uda się uratować Louise przed wygłodniałą paszczą gilotyny.

- Żadne tłumaczenia nie zadowolą gilotyny, obywatelko - powiedział Le Feu, jakby czytał w jej myślach. - Jej potrzeba głów. Wycackanych arystokratycznych głów. Bez pieniędzy nie da się uśmierzyć jej głodu. Dlatego musimy mieć Królową.

Brielle skinęła głową. Królowa, o którą mu chodziło, nie siedziała w więzieniu. Ba, nie była nawet człowiekiem. Miał na myśli ogromny szafir, otoczony brylantami i umieszczony w wisioru. Kamień ten nazwano Królową Morza nie tylko ze względu na jego barwę; nazwa ta upamiętniała długą podróż morską wschodniego władcy, który przebył wiele mil, by podarować go osobiście staremu królowi. Szafir był piękny i bezcenny.

Jednak teraz miał cenę: życie *maman*. Plan uwolnienia jej matki i rodziny królewskiej był już gotowy. Brakowało tylko jednego: pieniędzy, niezbędnych do przekupienia strażników i innych ludzi, których milczenie było kluczem do sukcesu. A w tych czasach tylko słynny kamień szlachetny, podarowany hrabinie d'Auxerre przez Ludwika XV, mógł zapewnić spiskowcom tak ogromne sumy.

Ale nikt, poza *maman*, nie wiedział, gdzie jest wisior. Louise nie miała go przy sobie podczas aresztowania. Również ludzie, którzy skonfiskowali jej własność, nie znaleźli Królowej. Cela, w której zamknięto hrabinę, była ściśle strzeżona. Żeby dostać się do królowej Marii Antoniny i pozostałych więźniów, trzeba było zapłacić tyle samo, co za ich uwolnienie.

Ostatnim razem widziano wisiora na szyi Louise tuż przed wyjazdem do Varennes. Przebywała wtedy tutaj, w domu ministra.

„Idź, jeśli mnie kochasz”. Gabrielle odpędziła natrętne myśli.

- Czy znalazł już kogoś, kto kupiłby szafir?

Nie było potrzeby precyzować, o kogo chodzi. Plan zrodził się w myśli Antoine'a d'Albreta. Był on jedynym człowiekiem, który miał wystarczająco rozległe koneksje, by wprowadzić go w życie. Antoine d'Albret - były nadworny galant, często określany mianem najprzystojniejszego mężczyzny we Francji, przez ponad dziesięć lat kochanek Louise de Saint-Germain.

D'Albret potrafił przetrwać wszelkie polityczne burze. Nie bez powodu przyłgął do niego przydomek „Le Chat”. Tym razem również mu się udało. Kiedy zdał sobie sprawę, że *ancien regime* wkrótce legnie w gruzach, natychmiast przeszedł na stronę rewolucjonistów. Teraz z łatwością poruszał się w ich kręgach.



Co prawda, trzeba mu przyznać, że próbował przekonać Louise, by poszła w jego ślady. *Maman* jednak odmówiła; powiedziała mu wprost, że nie może opuścić przyjaciół w potrzebie i porzucić swojego stylu życia. Nie, nie mogła zdradzić królowej, która była tak dobra dla niej i Gabrielle po śmierci hrabiego d'Auxerre. Owszem, Maria Antonina była dziecinnie naiwna i zachowywała się nad wyraz ekstrawagancko, ale mimo to zasłużyła sobie na jej lojalność.

Tymczasem Antoine d'Albret nie był lojalny wobec nikogo. No, poza nim samym. Między innymi dlatego Gabrielle nigdy za nim nie przepadała. Jak można ufać komuś takiemu? A teraz wszystko zależało od tego kameleona. Nie miała wyjścia, musiała mu zaufać.

Poza tym *maman* gorąco go kochała. Tylko i wyłącznie dlatego Gabrielle zdecydowała się z nim współdziałać. Skoro *maman* kochała d'Albreta... Gabrielle wiele o tym myślała i wreszcie przekonała samą siebie, że on odwzajemnia to uczucie i naprawdę chce uwolnić Louise. W przeciwnym razie, po co podejmowałby takie ryzyko? Zresztą, był jedynym człowiekiem, do którego mogła się zwrócić.

- Znalezienie kupca na Królową nie będzie problemem - powiedział Le Feu. - No, ale zdobycie funduszy na jej kupno to ciężka sprawa - dodał z chytrym uśmieszkiem.

- Wiesz, o czym mówię! - wybuchnęła Gabrielle. Już po chwili tego pożałowała. Antagonizowanie Le Feu mogło się źle skończyć. Bóg jeden wie, do czego ten człowiek jest zdolny. - Przepraszam - szepnęła. - Nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko się skończy.

Le Feu burknął coś pod nosem, a po chwili powiedział, że bogaty kupiec z kraju, z którego wywodziła się Królowa, zebrał już wystarczająco dużo pieniędzy.

- Ale żeby mógł ją kupić, obywatelko - dodał nieprzyjaznym tonem - trzeba ją najpierw znaleźć!

Po chwili rozpląnął się w mroku niczym zjawa. Było już zupełnie ciemno; w wielu oknach pałacu rozbłysły światła. Niedługo wszyscy zaczną się zastanawiać, gdzie się podziewam - pomyślała Gabrielle. *Madame* Roland często podejmowała gości, zwykle po to, by zyskać poparcie dla żyrondistów. Tego wieczoru również miało się odbyć przyjęcie.

Mimo to Gabrielle przystanąła na chwilę, rozmyślając o rozmowie z Le Feu. I o tym, czego mu nie powiedziała.

Nauczyła się być szczególnie ostrożna; dlatego też w rozmowie ze spiskowcami przemilczała jedną - niezwykle ważną - informację. Tylko Gabrielle wiedziała, dlaczego Królowa Morza zniknęła: Louise ukryła klejnot, na wypadek gdyby nie udało im się uciec z Francji. Oczywiście, czyniąc to, zakładała, że Gabrielle pozostanie na wolności; dlatego też podjęła wszelkie możliwe działania, by uratować córkę i umożliwić jej przetrwanie.

„Idź, jeśli mnie kochasz...”.

Na wspomnienie tych słów łąy zawsze napływały Gabrielle do oczu. Stojąc w ciemnym ogrodzie, przypomniła sobie chwilę, w której zostały wypowiedziane. Kiedy wybiegła z powozu, patrząc w pełne łez oczy *maman*. Była to chwila, która na zawsze odmieniła jej życie.

„Idź, jeśli mnie kochasz”, ostatnie słowa, które usłyszała z ust matki, ale nie ostatnia wiadomość od niej. Kiedy rewolucjoniści przesłuchali Gabrielle i pozwolili jej odejść, skierowała kroki do opustoszałego wiejskiego kościoła. Weszła do środka i usiadła na jednej z ław, zastanawiając się, co dalej robić. Jeszcze zanim tam dotarła, usłyszała o aresztowaniu rodziny królewskiej.

Kiedy uklękła, by się pomodlić, usłyszała szelest papieru pod spódnicą. I znalazła list, przypięty do wystrzępionej halki. Nie było wątpliwości, że był on przeznaczony tylko i wyłącznie dla Gabrielle. Po pierwsze, wskazywał na to sposób, w jaki został przekazany. Po drugie, napisany był po angielsku. Obydwie mówiły płynnie w tym języku, bo papa przekonał je, że warto się go nauczyć. On sam zajmował się literaturą angielską.

W pogrążonym w mroku paryskim ogrodzie Gabrielle szepciem wyrecytowała wiersz, którego nauczyła się na pamięć:

*Jestem królową, błękitną jak morze,  
Moje piękno na cały świat słynie.  
Ja, dar króla, cud nad cudami,  
Pomogę ci w mrocznej godzinie.  
Spójrz na kominek, a ujrzysz mój znak,  
Pod wieżą i fosą się ukryłam.  
Potem uciekaj! Tyś wolna jak ptak,  
Myśl o tym, co będzie! Zapomnij, co było!*

Gabrielle westchnęła. Szafir miał pomóc jej rozpocząć nowe życie - samotnie. *Maman* nie zamierzała opuścić swojej przyjaciółki królowej, i nie chciała zyskać wolności za cenę tego kosztownego kamienia. „Zapomnij, co było!”.

Ale jak Gabrielle mogła zapomnieć o matce? Matce, która dała jej życie i wychowała ją. Która zastępowała jej ojca, odkąd papa umarł na febrę, i kochała córkę tak bardzo, że była gotowa dla niej poświęcić swoje życie.

- Wybacz, *maman* - szepnęła Gabrielle - ale nie mogę cię opuścić. Jeśli wszystko się powiedzie, znowu będziemy razem.

Najpierw jednak musiała odnaleźć szafir. A żeby to zrobić, należało odgadnąć znaczenie wiersza. A to nie było takie łatwe.

Nie dawało jej spokoju słowo „kominek” - wszak mogło chodzić o niemal każdy kominek we Francji! Jednak d'Albret był przekonany, że wisiołek jest ukryty gdzieś w pałacu Rolandów; właśnie dlatego załatwił jej tu posadę. Oczywiście, dzięki temu miała też dach nad głową, pieniądze na życie i schronienie przed szalejącym terrorem. Ale była tu głównie z powodu szafiru. Dlatego właśnie została Brielle Lafleur.

Uśmiechnęła się kwaśno, spojrzawszy na swoje spracowane dłonie. Dłonie Brielle. Dłonie Gabrielle de Saint-Germain były białe i delikatne. Przyzwyczajone najwyżej do trzymania cugli pięknego, pełnokrwistego rumaka w czasie przejażdżki po parku - zresztą wtedy wkładała rękawiczki.

Tamte bez troskie dni, spędzone na galopowaniu przez park w stroju do jazdy konnej, zaprojektowanym przez osobistą *modiste* królowej, minęły bezpowrotnie. Podobnie jak cała reszta: popołudnia w Trianon, spędzane na zabawie w mleczarki dojące wyperfumowane krowy; wystawne bale w Wersalu, na których *maman* baczyła, by mężczyźni tańczący z Gabrielle nie pozwalali sobie na zbyt wiele; przyjemne pogawędki z królową oraz...

Dosyć - powiedziała w duchu. Teraz jesteś Brielle Lafleur, masz spracowane dłonie i musisz wypełnić swoje zadanie. Wtedy twoja harówka i wszystkie upokorzenia, o których ci się nawet nie śniło, kiedy byłeś dziecieniem *ancien regime*, nabiorą znaczenia!

Gabrielle wyrwała się z zamyślenia i skupiła na swoim zadaniu: odnalezieniu Królowej Morza. Musi się dowiedzieć, w której komnacie mieszkała *maman* podczas pobytu w *hotel madame*

Roland, dostać się tam i dokładnie obejrzeć kominek. Tajne kryjówki nie były niczym niezwykłym we francuskich pałacach. Stanowiły świadectwo intryg prowadzonych na dworze królewskim w minionej epoce.

Antoine miał rację. Szafir musi być schowany w tym pałacu. Ale w *hotel* było ponad czterdzieści komnat, a ona do tej pory nie zdołała dostać się do większości z nich.

No cóż, nie było innego wyjścia. Trzeba przeszukiwać dom, dotąd aż...

Gabrielle zamarła w bezruchu i ciarki przeszły jej po plecach. Z oddali dobiegł złowieszczy turkot, który mógł oznaczać tylko jedno.

*Mon Dieu!* Egzekucje odbywały się już nawet nocą.

Nie mogła zapomnieć chwili, kiedy usłyszała ten dźwięk po raz pierwszy. Wozy wiozące skazańców brukowanymi uliczkami Paryża. Na Plac Rewolucji, gdzie czekała gilotyna.

Ten odgłos zmroził jej krew w żyłach. Nogi ugięły się pod nią. Któregoś dnia w jednym z tych wozów może znaleźć się *maman* i... nie! Nie mogła tak myśleć! Jeszcze trochę i oszaleje, a wtedy obydwie byłyby zgubione.

Skup się na swoim zadaniu. Znajdź ten przeklęty wisiorek, Gabrielle - powiedziała w duchu, po czym skierowała się w stronę domu. Znajdź go albo bądź przeklęta na wieki!

### 3

Chętnie spędziłabym z nim godzinę sam na sam.

Gabrielle spojrzała na Mignon, która właśnie porozumiewawczo trąciła ją łokciem.

- Z kim? - spytała jakby nigdy nic, chociaż doskonale wiedziała, o kogo chodzi. Wysoki, ciemnowłosy Amerykanin o nazwisku Trace od chwili przyjazdu stał się obiektem westchnień wszystkich kobiet w domostwie państwa Rolandów. Był pięknym, kusząco przystojnym mężczyzną.

- Ba! - prychnęła Mignon. - Nie udawaj, że nie wiesz. Jego towarzysz jest niczego sobie, co prawda, ale ten czarnooki diabeł... - Mignon nabrała głęboko powietrza i przewróciła oczami. - Na sam jego widok robi mi się mokro!

Gabrielle spojrzała na nią pytająco, ale Mignon tylko uśmiechnęła się lubieżnie. Chociaż często ze sobą przebywały, nie łączyła ich przyjaźń. Gabrielle nie mogła sobie na to pozwolić.

Czasami jednak czuła potrzebę rozmowy, a Mignon była jedyną służącą w jej wieku. Z drugiej strony, kiedy mówiła takie rzeczy, wydawało się, że w pewnym sensie jest od Gabrielle o wiele starsza.

Dziewczęta stały przy drzwiach do jadalni, zgodnie z poleceniem *madame* Roland. Miały bacznie obserwować gości i służyć im, gdyby czegoś zabrakło na stole.

Dla Mignon było to niewątpliwą atrakcją; jeden z gości nie musiał się obawiać braku zainteresowania z jej strony. Gabrielle nie podzielała jej entuzjazmu. Wszystko, co pociągało Mignon w przystojnym gościu z Ameryki, w niej wzbudzało jakiś nieokreślony niepokój. Nie mogła się doczekać, kiedy wieczór dobiegnie końca.

Wiedziała, że to niemądre z jej strony, ale nic na to nie była w stanie poradzić. Nie miała zaufania do mężczyzny, zwłaszcza

tych przystojnych, emanujących męskością. *Maman* zrobiła wszystko, by chronić ją podczas pobytu w Wersalu, ale było to niemożliwe; każdy, kto przebywał na dworze królewskim, musiał się zetknąć z panującą tam dekadencją. Gabrielle poznała ją głównie z drugiej ręki, dzięki Bogu. Mimo to rzeczy, które widziała i o których słyszała...

- Zimno ci, Brielle? - Mignon, stojąca tuż obok, wyczuła jej drżenie.

Gabrielle potrząsnęła głową. Jej ciemnowłosa towarzyszka uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- A może to przez tego Amerykanina, co? - dodała żartobliwym tonem. - Ja też widziałam, jak włożył ostrygę do tych swoich rozkosznych ust! Słowo daję! Ileż te usta mogłyby dać przyjemności!

Gabrielle przełknęła ślinę i odwróciła spojrzenie. Tym razem wiedziała, o co chodzi. Potrząsnęła głową, usiłując zapomnieć o umalowanym dworzaninie, który napastował ją, kiedy miała ledwie piętnaście lat... uszminowane wargi brutalnie rozchyłające jej usta, sztywny język, który wdarł się tak głęboko, że aż się nim zakrzuszyła. Kiedy dłoń tego brutala zaczęły ścisnąć jej piersi, zwymiotowała na niego.

Na szczęście jej myśli rozproszyły się, kiedy dostrzegła, że towarzysz Trace'a ma pusty kieliszek i patrzy wyczekująco na nie-uważnego lokaja.

Dyskretnie podeszła do kredensu i lekko trąciła próżniaka nogą.

- Rusz się, głupcze - wycodziła przez zęby. - Zajmij się tym rudym!

Lokaj czym prędzej podbiegł do stołu, a *madame* Roland spojrzała na Gabrielle i z aprobatą skinęła głową. Następnie niemal niedostrzegalnym gestem nakazała jej pozostać w miejscu.

Dziewczyna spełniła polecenie. Przesunawszy się nieco w bok, oparła się o ścianę. Dopiero kiedy podniosła głowę, uzmysłowiła sobie, że stoi dokładnie na wprost Trace'a, który przygląda jej się na wpół przymkniętymi oczami.

Gabrielle wstrzymała oddech, niemal czując, jak jego spojrzenie wędruje po jej ciele. Jeszcze nigdy nie widziała oczu tak ciemnych i przepastnych jak oczy tego mężczyzny.

Na jego pięknie wykrojone usta wypłynął lekki uśmiech. Gabrielle od razu przypomniała sobie nieprzystojne uwagi na jej temat, które skierował do swojego przyjaciela w hallu, gdy jeszcze nie miał pojęcia, że ona mówi po angielsku. Ale i bez tego wiedziałaby, że Trace jej pragnie. Wyczytała to w jego gorącym, drażniącym spojrzeniu.

Conor również zauważył, na kim spoczywa wzrok Jasona. Dostrzegł, że policzki dziewczęcia spłonęły rumieńcem. Zrobiło mu się przykro. Jason, mimo że nie ufał kobietom, chętnie korzystał z ich wdzięków. Nie było w tym nic złego, kiedy miał do czynienia z doświadczoną, pewną siebie niewiastą. Ale ta służąca była jeszcze niemal dzieckiem.

Gdyby potrafił czytać w myślach, zdziwiłby się, Jason bowiem myślał niemal dokładnie to samo. Lafleur wyglądała w jego oczach jak niezwykle piękne dziecko. Jednak było to dziecko o ciele kobiety, sądząc z pełnych piersi skrywających się pod muślinową suknią. I połyskujących, rudozłotych loków kontrastujących z modrymi oczami.

Ta smarkuła była prawdziwą pięknoscią. Trace'a zaintrygowała też jej nieskrywana godność. Zaczął żałować, że wkrótce będzie musiał opuścić Francję. Z przyjemnością skosztowałby paru francuskich dań. Pieniądze sprawiały, że nie narzekał na brak kobiet chętnych zaspokoić jego żądze. Chociaż z Francuzkami nigdy nie wiadomo.

Jason nagle zdał sobie sprawę, że gospodarz coś do niego mówi, i zwrócił się w jego stronę. Roland był niskim, łysiejącym mężczyzną z wystającym brzuchem, świadczącym o zamiłowaniu do doczesnych uciech. Mimo to w skupieniu wysłuchał wcześniej postania od Jeffersona, a Jason widział w jego oczach błysk inteligencji. Teraz jednak, dla odmiany, gospodarz tryskał dobrym humorem, podochocony tematem poruszonym przez Trace'a w rozmowie z *madame* Roland.

- *Vraiment, monsieur* Trace? Zamierza pan wybrać się na południowy wschód, do krainy winnic? Ach, Burgundia! Znam tę okolicę jak własną kieszeń. W dzieciństwie spędziłem tam wiele czasu, u wuja, który jest właścicielem winnicy. Piękna okolica! - Nagle spoważniał i pochylił się w stronę Trace'a. - Ale od tamtej pory wiele się zmieniło - dodał nieco ciszej. - Muszę pana uprzedzić, *monsieur*...

Następnie Roland zaczął pouczać gościa z Ameryki o niebezpieczeństwach czyhających na podróżników w kraju rozdartym rewolucją. Tymczasem Gabrielle zastygła w bezruchu, wstrzymując oddech. Burgundia!

Piękna dolina, w której przyszła na świat, leżała w samym sercu Burgundii. Oczyma duszy widziała łagodne pagórki, wymalowane zielenią i złotem w świetle słońca... winnice pełne winogron... błękit nieba, pod którym w dzieciństwie hasała i bawiła się, wolna od trosk. Och, jakże jej tego brakowało!

Ale nie dlatego Gabrielle musiała tam pojechać. Z zazdrością przysłuchiwała się, jak Amerykanin bez większych trudności przekonuje Rolandów, by pomogli mu w zdobyciu przepustki podróźnej. Nie, nie kierowała nią nostalgia.

Chwilę po rozstaniu z Le Feu po raz kolejny zaczęła rozmyślać o wierszu *maman*. "Spójrz na kominek...". Nagle doznała olśnienia. Wiedziała już, o który kominek mogło chodzić.

„Spójrz na kominek, a znajdziesz mój znak; pod wieżą i fosą się ukryłam...”. W herbie rodu d'Auxerre widniała wieża zwieńczona blankami, u stóp której biegła częściowo tylko widoczna fosa. A herb wyrzeźbiony był na obramowaniu kominka w salonie! Może tam właśnie znajdowała się skrytka? Wszystko się zgadzało. Tak, to musiało być tam.

W jakiś sposób, pomiędzy wizytą w Paryżu a ucieczką do Varennes, *maman* udało się wrócić do domu, by ukryć Królową. Ale jak? To musiało potrwać parę dni i odbyć się w całkowitej tajemnicy; wtedy wszyscy arystokraci byli już bacznie obserwowani. A może wysłała jakiegoś służącego? Na przykład Pierre'a. Stary kamerdyner papy był niezwykle inteligentny i z pewnością pozostałby wierny do grobu.

Nieważne, jak to się stało. Gabrielle była przekonana, że wpadła na właściwy trop. Teraz musiała tylko dostać się do rodzinnego domu i dokładnie obejrzeć kominek. Nie miało znaczenia, że rewolucjoniści już przetrząsnęli zamek w czasie konfiskaty majątku; bez tego wiersza nie wiedzieli, gdzie należy szukać.

Ale jak się tam dostać? Nie mogła tak po prostu pójść do d'Albreta. Już sobie wyobrażała, jak by to wyglądało: och, *a propos*, Antoine, nie powiedziałaś ci jednej istotnej rzeczy i w związku z tym chciałabym, żebyś był miły i załatwił mi przepustkę po-



drożną. Czego ci nie powiedziałam? Nie, nie pytaj! Muszę to zachować w tajemnicy. Masz coś przeciw temu?

Gabrielle uśmiechnęła się ponuro. W tej samej chwili usłyszała, jak jej pracodawca obiecuje Trace'owi, że zobaczy, co się da zrobić w związku z jego prośbą o przepustkę. Nie zwróciła by na to specjalnej uwagi, gdyby nie słowa *madame* Roland. *Madame* nie tylko zapewniła gościa, że załatwienie przepustki nie będzie problemem, ale w dodatku zaczęła nalegać, aby mąż udostępnił mu swoją karecię.

Gabrielle z trudem powstrzymała się przed okazaniem radości. Jej plan zaczynał się krystalizować. Karecię Rolandów ciągnęły cztery gniade konie. Na dachu było miejsce na bagaż, a z tyłu dwa siedzenia dla służby. Gdyby udało jej się schować...

Nie, to było niemożliwe. Musiałyby ukryć się pośród bagażu, a wtedy z pewnością ktoś by ją zauważył. A nawet gdyby się udało, to przecież podróż do Burgundii trwa kilka dni.

Były i inne sposoby. Na przykład mogłaby się przebrać. Ale za kogo? Zacisnęła wargi na myśl o nieżyjącym królu; on przebrał się za lokaja. Jednak jego przebranie było tak nieudane, że nie wiadomo, jakim cudem w ogóle wy dostał się z Tuileries. Mogła to sobie wyobrazić - Ludwik, jak zwykle naiwny i oderwany od rzeczywistości, z pewnością nie potrafił udawać człowieka niższego stanu. Jej maskarada musi być o wiele lepiej przygotowana.

To nie musiało być aż tak trudne. W końcu już od dłuższego czasu udawała kogoś, kim nie jest. I całkiem nieźle jej to wychodziło. Brielle Lafleur tak dalece różniła się od Gabrielle de Saint-Germain, jakby były dwiema zupełnie różnymi osobami. Jednak Gabrielle od dzieciństwa miała okazję obserwować zachowanie pokojówek i naśladowanie ich nie przychodziło jej z większym trudem. A teraz nawet Brielle, służąca, musiała zniknąć. Po pierwsze, Trace już ją znał. Po drugie, żadna kobieta, chyba żeby była pasażerką, nie jechałaby...

Wtedy olśniła ją niespodziewana myśl. Oczywiście! Służące nie podróżowały kareciami, ale służący to co innego. Owszem, nie było mowy, żeby przebrała się za stangreta, ale zostawały jeszcze te dwa miejsca z tyłu. A gdyby tak zająć jedno z nich?

Było to dość ryzykowne. Podając służącemu wino, usiłowała w myśli ustalić wszelkie słabe punkty swojego planu.

Amerikanin, być może, nie wybiera się w jej rodzinne okolice. Tak czy inaczej, znalazłaby się w Burgundii. Gdyby okoliczności zmusiły ją do tego, poradziłaby sobie sama. Powrót do Paryża nie stanowiłby problemu; w tych czasach trudniej było wydostać się ze stolicy niż do niej wrócić. Wiedziała, że nie jest brzydka; wykorzystując swój wdzięk, namówiłaby jakiegoś wieśniaka jadącego na rynek, by ją podwiózł. Oczywiście, musiałaby się wcześniej pozbyć męskiego stroju. Kiedyś być może wzdrygałaby się przed takim postępowaniem, ale teraz już nie, zwłaszcza że od tego zależało życie *maman*.

Pozostawała jednak sprawa przebrania. Wszyscy stajenni byli albo zbyt potężnie zbudowani, albo za wysocy. Poza tym nie znała zbyt dobrze tych nieokrzeszańców. Nie była pewna, czy potrafiłaby się z nimi dogadać.

Dobrze, że chociaż Maurice, stangret, był sympatycznym człowiekiem, który czasami uśmiechał się do niej po ojcowsku. Musiałaby jakoś go nakłonić, by odwrócił wzrok, kiedy stanie przed nim dziwnie znajomy służący. Może dałby się przekonać, że Gabrielle jedzie z nimi jako osobista służąca pasażera?

Spojrzała z obawą na ciemnowłosego Amerykanina. Jego też musiała jakoś oszukać. A Tracę nie wyglądał na człowieka, który łatwo daje się wyprowadzić w pole.

Właśnie rozsiadł się wygodnie w oczekiwaniu na ostatnie danie wieczoru. Przyjęcie miało być, zgodnie z zapewnieniami *madame*, „skromne i nieoficjalne”; tymczasem na stolach pojawiło się siedem dań, a nakrycia zmieniono kilkanaście razy. Tracę, choć skosztował wszystkiego, co mu podawano, nie jadł dużo.

Gabrielle dyskretnie ogarnęła spojrzeniem jego muskularne ciało. Choć był wysoki i szczupły, miał szerokie ramiona człowieka, który prowadzi aktywny tryb życia.

Nic dziwnego - pomyślała, przygląda jąc się wyniośle jego ogorzalej skórze - czego można się spodziewać po Amerykaninie? Przecież mieszka w dziczy, *n'est-ce pas*? Pewnie bez przerwy ugania się za Indianami.

Wyraz twarzy musiał zdradzić jej myśli, bo zauważyła, że Tracę patrzy na nią, wyraźnie zaciekawiony. Wykrzywiając kąciki ust w lekko drwiącym uśmiechu, ponownie obejrzał ją od stóp do głów. Poczowała się urażona. Jak on śmie! Arogancka świnia!

Nagle Gabrielę uzmysłowiła sobie, że jeszcze żaden mężczyzna nie zrobił na niej takiego wrażenia jak on. Nawet kiedy odwróciła wzrok, przed oczami miała jego mocno zarysowaną szczękę oraz wydatny, ale zgrabny nos. Widok czarnych, kręconych włosów Trace'a rozbudzał drzemiące zmysły Gabrielę. Musi się z tego otrząsnąć! Ten mężczyzna miał jej tylko pomóc w osiągnięciu celu, nic więcej!

Opanowanie się kosztowało ją sporo wysiłku. Po chwili wreszcie udało jej się skupić i ponownie zaczęła rozmyślać nad trudnościami, jakie mogły wyniknąć z podróżowania w towarzystwie tego mężczyzny. Uważne oko Trace'a z pewnością wychwytyłoby wszelkie typowo kobiece zachowania. Muszę nauczyć się chodzić i gestykulować jak mężczyzna - postanowiła.

Spojrzała z niepokojem na swoje delikatne dłonie. Nie, ktokolwiek je zobaczy, będzie wiedział, że nie ma do czynienia z mężczyzną. To oznaczało, że musi przebrać się za chłopca... i na wszelki wypadek włożyć rękawice. Ale który z chłopców nosi...

Rene! Rene przechwalał się wczoraj, że znalazł w śmieciach parę skórzanych rękawic do jazdy konnej. Paradował przed nią, wymachując rękami, jakby maszerował w defiladzie.

- Tylko trochę zużyte, obywatelko Lafleur - powiedział wtedy ze swoim szelmowskim uśmiechem na ustach - ale jeszcze całkiem, całkiem. Teraz moje delikatne dłonie są bezpieczne.

Poza tym ten próżny nicpoń był mniej więcej tej samej budowy ciała co ona. I jak na fanfaron przystało, odznaczał się chciwością. Z ciężkim sercem zdecydowała, że odda mu szczerzoty medalion, który nosiła na szyi, pod chustą. Z pewnością wart był mnóstwo pieniędzy, ale nie dlatego czuła opór przed oddaniem go w cudze ręce. Dostała go od matki na szesnaste urodziny; w środku znajdowały się miniaturowe portrety rodziców. Poza peleryną *maman* nie zostało jej po nich nic więcej.

Nie, było coś jeszcze... przypomniała sobie o kartce z wierszem, ukrytej za pękniętym lustrem w jej pokoju.

No, ale cóż miała począć? Mogła przynajmniej spróbować wyjąć miniaturowy medalion. Jeśli się nie uda...

Jej serce ścisnął ból. Gdyby ktokolwiek zobaczył portret *maman*... Nawet zwykły obdartus rozpoznałby rudozłote włosy hrabiny d'Auxerre, słynne na całą Francję.

Na myśl, że głowa, którą porastały te piękne włosy, mogła się znaleźć pod ostrzem gilotyny, ciarki przeszły Gabrielle po plecach. Westchnąwszy ciężko, rozejrzała się. Goście zaczęli przechodzić do głównego salonu. Nareszcie po wszystkim.

Jednak gdy odwróciła się, by pomóc w sprzątaniu, napotkała spojrzenie ciemnych oczu. Trace - a właściwie *monsieur* Jason Trace, słyszała, jak jego przyjaciel zwracał się doń po imieniu - okrążył stół i podszedł do kredensu, przy którym stała.

- Proszę się nie bać, *mademoiselle*. Ja nie gryzę - powiedział po angielsku, kiedy cofnęła się o krok.

- *Monsieur*? - Udawała, że nie wie, o co mu chodzi. Czuła się przy nim niepewnie i nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Przyszedłem, by panią przeprosić, *mademoiselle* Lafleur. Za to, co mówiłem wcześniej. Gdybym...

- Gdyby wiedział pan, że mówię po angielsku, nie powiedziałby pan tego? - spytała, może nieuprzejmie, ale on stał zbyt blisko i był zbyt... męski.

Przez jego usta przewinał się cień ironicznego uśmiechu.

- Chciałem tylko powiedzieć, że gdybym był mniej zmęczony po całym dniu spotkań z różnymi ludźmi, może zachowałbym się bardziej... taktownie. Jeszcze raz przepraszam, *mademoiselle*.

Gabrielle skinęła głową. Przepraszał ją tylko za tamte nieobyczajne słowa, i to wszystko. Zapomniał już, jak rozbierał ją oczami?

- To nie było nic takiego, *monsieur* - odparła wyniosłym tonem - ale miło mi, że zdecydował się pan mnie przeprosić.

Jason skrzywił się. Założę się, że to dla ciebie „nic takiego”, ty zuchwała smarkulo. Chryste! Francuzki i te ich maniery. Co ona myśli, że jest Marią Antoniną?

Skłonił się szarmancko, po czym odwrócił się i dołączył do reszty gości.

Gabrielle przez chwilę nie mogła się ruszyć z miejsca. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, jak wyjaśnić to dziwne uczucie, które ogarniało ją, gdy patrzyła na jego szczupłą sylwetkę. Poruszał się... jak kot czy jakiś wielki drapieżnik z dżungli. Roztacza! wokół siebie wdzięk i jakąś moc; a nade wszystko atmosferę zagrożenia.

- Co on ci powiedział, Brielle? - Podekscytowany głos Mignon z trudem przebijał się przez brzęczenie szuściców zbieranych ze stołu przez służbę.

- To znaczy... podziękował mi za... za to, że... że tak jakbym była ich tłumaczką. Mignon.

Wszyscy wiedzieli, że Gabrielle mówi po angielsku. To d'Albret zasugerował, żeby napomknęła o tym swoim pracodawcom; służąca znająca obcy język mogła uzyskać dostęp do większej liczby komnat. Dlatego Gabrielle wymyśliła historię o ojcu, który był żyjącym w nędzy nauczycielem języków.

Ciemnowłosa pokojówka potrząsnęła głową z udawanym smutkiem.

- Pomyśleć, że byłam zazdrosna. Myślałam, że umawia się z tobą na schadzke. Ach, gdybym to ja znalazła się na twoim miejscu, już bylibyśmy umówieni.

Ciarki przeszły po plecach Gabrielle. Umówić się na schadzke? Z tym... z tym tygrysem? Jej policzki spłonęły rumieńcem. Dzięki Bogu, była jeszcze dziewicą, mimo atmosfery rozpasania panującej w Wersalu.

Jednak niepokojem napawało ją to, że Jason Tracę stawał jej przed oczami, nawet kiedy starała się myśleć o czymś innym. Uśmiechnęła się gorzko. Być może dekadencja panująca na dworze królewskim wywarła jednak piętno na jej duszy, choć ciało pozostało nie skalane.

Gabrielle powoli ruszyła schodami w dół, muskając palcami medalion spoczywający w kieszeni fartucha. Kształt tej drogocennej pamiątki wrył się jej głęboko w pamięć. Już tyle razy dotykała małej róży wygrawerowanej na wieczku.

Nie rozpłaczę się, nie! - pomyślała po raz setny od chwili, kiedy wróciła do swojej izby po wypełnieniu porannych obowiązków. Z dołu dobiegło bicie zegara. Gabrielle przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Wpół do pierwszej. Straciła już dość czasu. Nie, nie straciła, po prostu broniła się przed tym, co nieuniknione.

Musiała oddać medalion Rene. Tylko w ten sposób mogła go przekupić. Wcześniej jednak z ciężkim sercem zniszczyła miniaturowe portrety rodziców. Czas płynął nieubłaganie, a ona, zamiast wreszcie pójść do stajni, stała w swojej izbie, wstrzymując cisnące się do oczu łzy.

Dziś miała pół dnia wolnego. Gdyby nie spotkała się z Rene, straciłaby swoją szansę. Jason Trace wyruszał do Burgundii następnego poranka.

Kierując się na tyły pałacu, Gabrielle z najwyższym wysiłkiem skupiła się na bardziej praktycznych sprawach. Musiała znaleźć wytłumaczenie kilkudniowej nieobecności. Miała szczęście, że akurat przypadało jej pół dnia wolnego. Dzięki temu mogła wmówić wszystkim, że wybrała się w odwiedziny do krewnej - na przykład ciotki - i okazało się, że owa krewna zapadła na jakąś ciężką chorobę, a Gabrielle, oczywiście, nic mogła pozostawić jej bez opieki. Przynajmniej na te parę dni. Reynard, major-domus, był dość szorstki w obejściu, ale miał miękkie serce i kochał swoją matkę. Z nim raczej nie będzie problemów.

Brukowany podwórzec przed stajnią skąpany był w promieniach kwietniowego słońca. W powietrzu unosiła się przyjemna woń siana, zmieszana z charakterystycznym zapachem koni. Ludzkie głosy zlewały się z trelami ptaków oraz tupaniem i parsaniem rumaków.

Stajenni, korzystając z ładnej pogody, wykonywali swoje obowiązki pod gołym niebem - począwszy od pucowania siwego wierzchowca należącego do pana domu, a skończywszy na czyszczeniu karety, tej samej, do której Gabrielle planowała się dostać.

Kilku stajennych na chwilę uniosło głowy, ale ujrawszy znajomą służącą wrócili do przerwanej pracy. Brielle uwielbiała konie i dlatego często przychodziła do stajni.

Odetchnęła z ulgą. Renę był sam. Właśnie siedział na kamieniu i wcierał wosk w skórzaną uprząż. Nie robił tego zbyt starannie. Leniwy nicpoń - pomyślała i jakby nigdy nic podeszła do niego lekkim krokiem. Przynajmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało.

- Ach, obywatelka Lafleur! - wykrzyknął chłopiec, zdejmując szarmanckim gestem przybrudzoną czapkę. - W tak piękny wiosenny dzień trudno nie dostrzec, skąd wzięto się pani nazwisko, *mademoiselle!* - Omiótł spojrzeniem dużych, ciemnych oczu jej kręcone włosy, tym razem wyjątkowo nie upięte pod czepkiem, który zostawiła w izbie. - Lafleur, kwiat... jesteś pani jako kwiat ucałowany przez słońce!

Uśmiech zadrżał na ustach Gabrielle. Gdyby Rene wkładał w pracę tyle wysiłku, co w wymyślanie kwiecistych zwrotów, mógłby wreszcie zacząć na siebie zarabiać. Od Mignon wiedziała, że Reynard uważał chłopca za beznadziejnego nieroba. Mimo to przyjął go do pracy, jako że Rene był sierotą rewolucji. Jego rodzice zostali zdeptani na śmierć podczas szturm na Bastylię... przynajmniej tak twierdził sam Rene.

- Ty nicponiu - powiedziała - jestem kwiatem tylko w twoich pochlebstwach.

- To prawda - odparł, śmiertelnie poważny - ale mój talent wymaga godnego przedmiotu uwielbienia, a pani, *mademoiselle*, jesteś...

- Dobrze, dobrze, wystarczy już. Muszę zamienić z tobą słowo na osobności.

Uniósł brew, po czym ze zdwojoną energią przystąpił do szorowania uprząży.

- Ale jak pani widzi, obywatelko, jestem dziś bardzo zajęty. Pan Reynard...

- Zobaczysz, nie pożałujesz.

Przerwał szorowanie i spojrzął na nią z rozbawieniem.

-Mówię poważnie, Rene. -Gabrielle znacząco poklepała kieszeń fartuszka. Oprócz medalionu przezornie schowała tam drugi przedmiot. Rozległ się charakterystyczny brzęk.

- Za stajnią, za pięć minut - mruknął odwróciwszy spojrzenie. - Pani pójdzie pierwsza. Ja zaraz przyjdę.

- Dzień dobry, koguciku - powiedziała głośniej i skierowała kroki w umówione miejsce. Rene, mimo że miał raptem dziesięć czy jedenaście lat, dorównywał jej wzrostem. Gabrielle nazwała go kogucikiem ze względu na jego nieuleczalną skłonność do przechwalania się. Przywodził jej na myśl napuszonego karłowatego koguta paradującego po podwórzu.

Rene dotrzymał słowa. Nie zdziwiła się. Oprócz lenistwa cechowała go pazerność. Mogłaby przysiąc, że kiedy przed nią stanął, jego oczy płonęły chciwością.

- No i? - zaczął. - Czegóż pani trzeba, *mam'selle*? Może koronek, żeby wystroić się dla nowego adoratora, czy... - Zawiesił głos i palnął się w głowę. - Ach, zapomniałem. W tych czasach nie-mądrze jest się stroić, *n'est-ce pas*? Sankiuloci mogliby panią zobaczyć, a wtedy... - Syknął i znacząco przeciągnął dłonią po szyi.

Ciarki przeszły Gabrielle po plecach. Spojrzała na chłopca. Na głowie miał czerwoną czapkę-frygijkę z wełny - jakobiński symbol rewolucji. Poza tym ubrany był w popularne wśród rewolucjonistów luźne niebieskie spodnie trzymające się na szelkach, przeciwieństwo ciasnych bryczesów noszonych przez arystokrację; miał na sobie również krótki kaftan przewiązany czerwoną chustą i, oczywiście, trójkolorową wstążkę w czapce. Do wyglądu prawdziwego dziecięcia rewolucji brakowało mu tylko sabolów noszonych przez lud; zamiast nich nosił zniszczone skórzane luny.

Gabrielle spojrzała mu w oczy.

- Chcę pożyczyć twoje ubranie, Rene.

-*Pardon*? - Nie sądziła, że cokolwiek jest w sianie zaskoczył tego ulicznika, który, pod wieloma względami, nie był już



dzieckiem. Ale wyglądało na to, że jej prośba całkowicie zbiła go z tropu.

- Tylko na kilka dni - powiedziała. - Potem wszystko ci oddam. - Pogroziła mu palcem. -I nie próbuj mi wmówić, że nie będziesz miał co na siebie włożyć. Sama słyszałam, jak po świętach chwaliłeś się nowymi ubraniami. Wygląda na to, że *monsieur* był dla was bardziej hojny niż *madame* dla nas. Dostałyśmy tylko nowe fartuchy.

Renę westchnął ciężko.

- Co ja poradzę, że nasza praca jest tak trudna? Jesteśmy mężczyznami, *mam'selle*. Nam daje się najpoważniejsze zadania. Pracujemy w pocie czoła, to i ubrania się niszczą. Nie to, co wy, zwykłe kobiety.

Gabrielle spojrzała na niego wzrokiem bazyliuszka. Mogłaby mu pokazać swoje pończochy, poprzecierane na kolanach w wyniku pracy „zwykłych kobiet”. Ale to nie była odpowiednia pora na kłótnie; musiała sobie zapewnić przychylność tego chłopca.

Uśmiechnęła się do niego najpiękniej, jak potrafiła. W jej policzkach pojawiły się dołki. Papa zawsze powiadał, że kiedy córka tak się uśmiecha, niczego nie potrafi jej odmówić.

- W każdym razie masz parę ciuchów na zbyciu - powiedziała.

Popatrzył na nią bystrym wzrokiem.

- Cóż, to zależy, *mam'selle*... - zerknął znacząco na kieszonkę jej fartucha.

Gabrielle westchnęła.

- Od ceny, jaką zaproponuję? - odparła, wsuwając rękę do kieszeni.

-*Mademoiselle* Lafleur, doprawdy, rani mnie pani! -*Mam'selle* zmieniało się w *mademoiselle*, kiedy zaczynał swoje dramatyczne monologi. Ze zboląłą miną położył rękę na sercu. - Chciałem po prostu zapytać, czy jest coś jeszcze, co mógłbym dla pani...

Trafił w sedno.

- Nie wątpię, że właśnie to miałeś na myśli. Tak czy inaczej, zgadłeś. To jeszcze nie wszystko.

- A nie mówiłem? - stwierdził, zadowolony z siebie. - Znam się na interesach, *mapetite chou*. Wiem, co i jak.

- Nie wątpię. Poza tym, nie jestem twoją „małą kapustą”! - rzuciła ostrym tonem.

W odpowiedzi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przejdźmy do rzeczy, Rene. Teraz posłuchaj, musisz zachować wszystko w tajemnicy. Nikt, powtarzam, nikt nie może się dowiedzieć, że pożyczłam od ciebie ubranie, a tym bardziej że zamierzam... - Zawiesiła głowę, obawiając się, że powiedziała za dużo. Renę mógł się przydać, nie tylko do zdobycia przebrania. Cwany był z niego urwis; a dla kogoś takiego jak on medalion miał wielką wartość. Czemu ten nicpoń miałby zdobyć go za bezcen?

Chłopiec znowu przyjrzał jej się bystro.

- Co właściwie zamierzasz, Brielle?

Ach, teraz była dla niego „Brielle”? W zasadzie nie miała nic przeciwko temu. Taka poufałość mogła go trochę zmiękczyć. Co prawda trzymała w zanadrzu jeszcze jeden atut. Nadeszła pora, by wyłożyć go na stół.

- Wszystko w odpowiednim czasie, Rene. Najpierw chciała-bym cię uprzedzić, co się stanie, jeśli nie dochowasz tajemnicy.

Mina mu nieco zrzedła. W jego głosie jednak nadal brzmiała niewinność.

- Cóż takiego?

Gabrielle spiorunowała go wzrokiem.

- Jeśli coś komuś powiesz, Rene, ja też zacznę mówić. A właściwie, przypomnę sobie coś, o czym do tej pory nie pamiętałam. Chodzi o tajemniczego złodzieja, który pewnego wieczoru zwędził Reynardowi klucze i wziął sobie...

- Nie udowodnisz tego! - Opanowanie Rene prysnęło jak bańka mydlana.

- *Non?* - Brielle uśmiechnęła się i wyciągnęła z kieszeni drugi przedmiot, który, oprócz medalionu, wzięła ze sobą. - Nawet kiedy pokażę wszystkim to?

Chłopcu opadła szczęką. Przez długą chwilę nie mógł odebrać wzroku od kolczyka w kształcie półksiężyca, kolczyka, który wszyscy rozpoznaliby bez najmniejszej trudności, jako że dokładnie taki sam tkwił w jego prawym uchu. Był święcie przekonany, że zgubił go gdzieś w sianie, kiedy pałaszował słodczyce przysłane Reynardowi przez jego ukochaną matkę.

- Gdzie... - Rene oblizał suche usta. - Gdzie go znalazłaś?

- Jak to? W spiżarni oczywiście. Nie pamiętasz, że właśnie mnie Reynard wysłał tam, żebym posprzątała bałagan, jaki zo-

stawieś? Ale żeby podgryzać ciastka agrestowe? No, no, Renę, ależ z ciebie łakomczuch.

Chłopak wzruszył ramionami, udając obojętność.

- Mogłem go zgubić gdzie indziej. Przecież minęło parę tygodni od...

Słowa zamarły mu na ustach, kiedy dostrzegł przesywające go spojrzenie modrych oczu.

- Owszem, mogłeś. Z drugiej strony, nie sądzę, żeby ktokolwiek zapomniał, że dziwnym trafem zgubiłeś kolczyk tego samego ranka, kiedy zniknęły słodczyce biednego Reynarda. Pamiętasz? Przecież rozpaczałeś razem z nim, mówiłeś, że to pechowy dzień dla was obydwo.

Przez chwilę Renę nic nie mówił. Jego spojrzenie ześliznęło się na kieszeń fartucha Gabrielle.

- Masz tam coś jeszcze?

Gabrielle skrzywiła się. Czuła niesmak, ale bardziej do siebie niż do niego. Prawdopodobnie sama groźba wystarczyłaby, żeby Renę zrobił *to*, czego chciała. Ale *to* byłoby nie w porządku. *Maman* wychowała ją w poszanowaniu pewnych zasad, a ich podstawę stanowił honor. Gdyby poprzestała na groźbie, nie oferując chłopcu żadnej nagrody za dotrzymanie umowy, postąpiłaby niewłaściwie.

Podążyła mu medalion. Przez chwilę przyglądał mu się z zainteresowaniem. Gdy jednak podniósł go do ust i ugryzł, Gabrielle wydała okrzyk przerażenia i rzuciła się do niego, usiłując odebrać mu tę droгоценną pamiątkę.

Renę zwinnie się jej wymknął i z szerokim uśmiechem na ustach potrząsnął głową.

- Umowa stoi, Brielle. Za coś takiego pożyczylbym ci wszystkie moje ubrania.

- Hm! Tylko ostrożnie się z tym obchodź, nicponiu. To prezent od... drogiej mi osoby.

Chłopiec przez chwilę milczał, wpatrując się w jej twarz.

- Ale zdaje się, że nie od kochanka. Widzę w twoich oczach, że jeszcze nie byłaś z mężczyzną. Może od matki albo siostry? Tej samej osoby, która dała ci tę dziwną czarną pelerynę?

Gabrielle aż zaparło dech w piersiach.

- Skąd wiesz...

- Miałaś ją na sobie, kiedy się tu zjawiłaś, *ma belle*. Nie wiem, czy pamiętasz, padał wtedy deszcz. Kiedy zdjęłaś z siebie pelerynę, gładziłaś ją jak kogoś bliskiego. Poza tym jest na ciebie o wiele za długa. - René wzruszył ramionami. - Nie dziw się. Każdy, kto ma tak sokole oczy jak ja, domyśliłby się, że wspominasz osobę, od której to dostałaś.

Rzeczywiście, sokole oczy, pomyślała Gabrielle z podziwem. Dobrze byłoby o tym pamiętać. Poczwała ulgę, że ma na niego i kij, i marchewkę. Jego spostrzegawczość mogła się okazać pomocna, ale gdyby ktoś chciał wykorzystać René przeciwko niej...

Porzuciła tę myśl i przystąpiła do objaśniania mu swojego planu. Powiedziała, że chce odwiedzić swoje rodzinne okolice, że poczuła nagły przypływ nostalgii, że pragnęła spotkać się z przyjaciółmi z lat dzieciństwa. Zresztą mówiła prawdę - tyle że niecałą.

Nie była pewna, czy jej wierzył. Ale sam plan niezwykle go zainteresował. Rozmowa tak go wciągnęła, że zaczął zwracać jej uwagę na szczegóły, o których do tej pory nie pomyślała. Po raz kolejny ucieszyła się, że zwróciła się o pomoc akurat do niego.

- Jak chcesz przekonać Amerykanina, żeby wiał cię ze sobą? - spytał w pewnej chwili. - A jeśli sam wybierze służących lub zrobi to Maurice? Miejsca starczy tylko dla dwóch.

- Nie pomyślałam o tym! Co mam teraz...

- Zostaw to mnie, *ma belle* - powiedział, pewny siebie. - Zobaczysz, niedługo *monsieur* Trace będzie się zarzekał, że bez ciebie nie ma mowy o żadnym wyjeździe.

Było jeszcze mnóstwo szczegółów do omówienia. W tej chwili jednak od strony podwórza dobiegł strumień obelg przepłatanych imieniem Rene. Gabrielle czym prędzej umówiła się z nim na spotkanie w ogrodzie po zmierzchu. Chłopiec obiecał, że przyniesie ubrania i nauczy ją „jak się je nosi”.

A. fuj! - Gabrielle zakrztusiła się, wynurzając się z cienia, w którym przebrała się w rzeczy René. Unosił się z nich okropny smród; czuć było wszystko, od czosnku po rzeczy, o których wolała nawet nie myśleć. - Czy ty w ogóle się myjesz?

Wyszczerzone w uśmiechu zęby Rene zabłysły w świetle księżyca.

- Oczywiście - powiedział z dumą. Gdy mimo to dostrzegł zwątpienie malujące się na jej twarzy, dodał: - Słowo honoru, co roku

się myję. W dzień urodzin króla, przysięgam! - Urwał i zaczął udawać zakłopotanie. - No, ale w tym roku... - Westchnął ciężko, po czym wzruszył ramionami i uśmiechnął się szelmowsko.

Gabrielle czuła, jak jej usta same składają się do uśmiechu. Co za gałgan! Nie mogła się powstrzymać od wesołości. Cieszyła się, że ten urwis jest po jej stronie.

- Słuchaj. - Chłopiec nagle spowaźniał. Wskazał ręką żywopłot oddalony o kilka jardów. - A teraz idź, proszę.

- Co?

- Do żywopłotu i z powrotem. Idź krokiem mężczyzny.

Gabrielle skinęła głową i ruszyła przed siebie.

- Stój! - krzyknął. - Ani kroku więcej! Co to za drobienie nogami? - Wzdrygnął się. - To tak wyglądam w twoich oczach?

Spojrzała na niego, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

- Kazałem ci iść krokiem mężczyzny. Tak jak ja. - Wypiął swoją chudą pierś i zademonstrował, o co chodzi: wymachując rękami, pokonał cały dystans długąskimi krokami.

Gabrielle skinęła głową, nie spuszczać z niego oczu. Ale łatwiej było obserwować niż naśladować. Wiele się nachodziła, zanim uzyskała aprobatę Rene.

Potem nastąpiły kolejne lekcje: między innymi jak pluć. Sprawdziło się to do jednego - trafić śliną jak najdalej od własnych butów.

I jak kłać. To znaczy kłać jak mężczyzna. Długo sprzecali się na ten temat. Rene miał więc okazję zademonstrować swoje umiejętności w tym fachu - wszystkie obelgi kierował pod adresem Gabrielle. No i poskutkowało; tak ją rozwścieczył, że skłęła go w słowach, jakich nie powstydziliby się pijany marynarz. Oczywiście spotkało się to z najwyższą aprobatą tego nicponia.

Księżyc wisiał już wysoko na niebie, gdy jej nieustępliwy nauczyciel przystąpił do prezentacji innych typowo męskich zachowań: wycierania nosa w rękaw, drapania się po całym ciele - co akurat nie było zbyt trudne, zważywszy na stan pożyczonych od niego ubrań. Była ciekawa, co też mogło się w nich znaleźć.

Pokazał jej nawet, jak przeżuwać jedzenie i żłopać wino. Zademonstrował to na kawałku sera i butelce wina, które miał ze sobą, chociaż nie chciał się przyznać skąd.

Gdy księżyc chylił się już ku zachodowi, Rene wreszcie oznajmił, że Gabrielle „ujdzie w tłoku”, pod warunkiem że nie

zapomni owinać piersi, aby nie wystawały. W odpowiedzi wycedziła przez zęby jedną z bardziej soczystych fraz poznanych tego wieczoru. Rene zaczął tak głośno rechotać, że musiała zatkać mu usta dłonią, by nie pobudził domowników.

- Aha, jeszcze jedno - powiedział, kiedy wreszcie udało mu się ochłonać.

Jego szelmowski uśmiech powinien był wystarczyć za wszelkie ostrzeżenia. Nicpoń zaproponował, że nauczy ją „szczać jak mężczyzna”. Ona w odpowiedzi zaproponowała, że pourywa mu uszy, i skierowała kroki do swojej izby.

Wyjechali zaraz po świcie. Gabrielle nie mogła się powstrzymać od ziewania. Na szczęście pamiętała, by, jak prawdziwy mężczyzna, nie zasłaniać przy tym ust. Rene, zgodnie ze swoją obietnicą, obudził ją przed świtem, ciskając żołędzie w okno jej izby.

Czym prędzej wciągnęła na siebie jego brudne spodnie, szorstką bawełnianą koszulę i inne rzeczy, z rękawicami włącznie. Była mu wdzięczna za pobudkę. Przespała raptem kilka godzin; gdyby nie on, na pewno wstałaby za późno. Upychając włosy pod czapkę, Rene nie mogła wyjść z podziwu, że ten nicpoń nie zasnął.

Potem przypomniała sobie, co z niego za ptaszek; nocne wypadki zdawały się leżeć w jego naturze. Prawdopodobnie już od ładnych paru lat za odpoczynek starczały mu krótkie drzemki.

Zgodnie z obietnicą, zatroszczył się również o to, by znalazło się dla niej miejsce w karcie. Dla Maurice'a i Jasona Trace'a miała być jego „kuzynem Bernardem”, dzielnym chłopakiem, który tak świetnie znał Burgundie, że nie zabłądziłby tam nawet z zawiązanymi oczami. Poza tym, *monsieur* potrzebuje przecież kogoś, kto świetnie zna się na koniach.

Trace na początku zmierzył ją sceptycznym spojrzeniem. Gabrielle wstrzymała oddech, pełna obawy, że jednak może się nie udać. Na szczęście Amerykanin po chwili kiwnął głową na znak aprobaty i wskazał jedno z miejsc dla służących. Gramoląc się na siedzenie, Gabrielle uśmiechnęła się z wdzięcznością do Rene; chłopiec odpowiedział jej porozumiewawczym mrugnięciem.

Udało się! Nareszcie była w drodze do *chdteau* Saint-Germain. Królowa Morza wkrótce znajdzie się w jej rękach.

## 5

Kareta wytoczyła się z miasta. Świeciło słońce, ale z północnego zachodu dął chłodny wiatr. Za plecami podróżnych wznosiła się bogato zdobiona żelazno-mosiężna brama, jedna z czterdziestu siedmiu strzegących Paryż przed nieprzyjaciółmi, od niedawna również tymi „z wewnątrz”. Gdy strażnicy miejsy zakończyli kontrolę karety i nie zauważyli niczego podejrzanego, Gabrielę wreszcie odetchnęła z ulgą.

Wiatr z każdą chwilą stawał się coraz silniejszy. Gabrielę zaczynała doceniać zalety obszarpanej kamizelki i grubych wełnianych rajtuzów Rene. Wiatr, chmury kurzu wzbijane przez kopytą koni i nierówna, wyboista droga czyniły podróż wysoce uciążliwą.

Mimo to wóz posuwał się naprzód w dość szybkim tempie. Gabrielę czuła się pewniej, mając świadomość, że znalazła się już za Paryżem. Spędziła w tym mieście niemal rok, który nie przyniósł nic poza strachem i niepewnością.

Przypomniała sobie powrót z Varennes. Błagała wtedy obcych ludzi o podwiezienie, a gdy jej prośby nie odnosiły skutku, szła pieszo. Przez cały czas jej serce ścisnął strach, że ją złapią, nim dotrze do d'Albreta. A potem długie miesiące w *hotel*, ciągłe udawanie kogoś, kim nie była.

Oczywiście, jeszcze nie mogła przestać udawać. Jason Trace może nie wydałby jej władzom, ale samo odkrycie przezeń prawdy byłoby niemal równie nieprzyjemne.

Tymczasem Jason siedział sztywno na miękkim siedzeniu i bił się z myślami. Czy wybierając się w rodzinne strony matki rzeczywiście kierował się „chorą ciekawością”, jak powiedział mu Conor? Czy naprawdę był szalony?

To możliwe. W dzieciństwie czasem o tym myślał. Szaleństwo. W tamtych czasach czuł się tak obco wśród ludzi, ludzi, którzy mieli rodziny, kochające matki... Zawsze ogarniało go jakieś dziwne poczucie, że jest... inny.

Nie brakowało mu bynajmniej miłości rodzicielskiej. Dzięki Bogu, Alexander był wspaniałym ojcem. Jednak Jason zawsze odczuwał jakiś brak, jakąś pustkę w sercu, której w żaden sposób nie mógł wypełnić. Był pewien, że to nie z powodu braku matczynej opieki. Znał innych chłopców, którzy stracili matki. Życie kobiet w Nowym Świecie nie było lekkie; wiele z nich umierało młodo, często podczas porodu. Niektórzy chłopcy stracili nawet oboje rodziców i nie czuli się tak, jak on.

Później, kiedy stał się mężczyzną, to wszystko jakby przestało być dla niego takie ważne. Znalazł swoje miejsce w życiu. Nadeszły lata wojny - gorzkich klęsk i trudnych zwycięstw. Najlepiej wspominał właśnie tamte ciężkie, krwawe czasy.

Ale wojna dobiegła końca, a lata spędzone w Fairhills z Alexandrem upływały w spokoju. Do niedawna. Do chwili, kiedy bezimienne demony przeszłości znowu zaczęły, w miarę nadchodzenia wieści zza oceanu, coraz głośniejsze szeptać o Rewolucji.

Dlatego właśnie przystał na wypełnienie tej misji. Gdyby potrafił być wobec siebie szczery, przyznałby, że uczynił to z najwyższym entuzjazmem. Owszem, wieść, że ojciec złamał nogę, w żadnym razie nie była dla Jasona radosna, ale z drugiej strony to, co się stało, wydawało się zaiste szczęśliwym zrzędzeniem losu. Los w ten sposób skłonił go do odbycia pielgrzymki, która miała dopomóc w wypędzeniu demonów. Chryste, jakże pragnął, by to się udało. Miał już dość życia z duchami.

Kareta zatrzymała się po raz pierwszy, kiedy słońce sięgało zenitu. Postój przyszedł w samą porę. Brielle nie jadła tego dnia nic poza kawałkiem sera na śniadanie - częścią łupu Rene z poprzedniej nocy - i odczuwała niesamowity głód. Jej skóra była zaczerwieniona od wiatru i bolały ją mięśnie, o których istnieniu dotąd nawet nie wiedziała. Postanowiła, że od tej pory większym szacunkiem darzyć będzie służących, którzy zajmowali te okropnie niewygodne miejsca.

Zatrzymali się pod małą, nie znaną jej karczmą, Gabrielle nigdy jeszcze tu nie była, jako że zwykła podróżować w luksusowo-



wych warunkach, a takich ten lokal nie zapewniał. Domyślała się, że są przy drodze do Fontainebleau.

Podeszła niepewnym krokiem do drzwi karety, otworzyła je i opuściła składane schodki. Maurice wydał jej serię poleceń. Miała pilnować koni w czasie, gdy on pójdzie rozejrzeć się za obrokiem, a następnie napić je i „mieć oczy otwarte”.

Posłusznie skinęła głową. Pozbawieni skrupułów karczmarze często karmili konie czymś trującym, by zatrzymać gości na dłużej. Rene uprzedził ją, że jej głównym zadaniem będzie dopilnowanie, by nikt nie zbliżył się do zwierząt.

Maurice dokładnie obejrzał konie i karetę, po czym odpędził obszarpanego chłopaka, który wybiegł ze stajni, oferując pomoc. Gabrielle odetchnęła z ulgą, kiedy Jason Tracę zignorował wszystkich i od razu skierował się do wejścia do piętrowego budynku. Im mniej będzie na nią patrzył, tym lepiej.

Stajenny, wysoki chudy chłopak wyglądający na mniej więcej trzynaście lat, pomógł jej zaczerpnąć wodę w studni. Skinęła głową z wdzięcznością, gdy podał czerpak, by mogła zaspokoić pragnienie. Najpierw dokładnie przepłukała usta, chcąc pozbyć się zwiru, który utkwiał jej między zębami. Splunęła po mistrzowsku, mierząc daleko od butów Rene, po czym przełknęła resztę wody.

- Co, boisz się zamoczyć buciki?

Gabrielle uniosła głowę. Chłopak patrzył na nią z pogardliwym uśmiechem. Spojrzawszy w dół, zobaczyła, że jest bosy; jego stopy owinięte były tylko kilkoma kawałkami brudnych szmat.

W jej sercu zbudził się dziwny żal. Z bólem uświadomiła sobie, że do tej chwili nęcza tych, którzy zbuntowali się przeciwko *ancien regime*, była dla niej niczym więcej jak niesprecyzowaną ideą. Dla kogoś, kto prowadził życie arystokraty, cierpienia ludu wydawały się czymś zgoła nierzeczywistym. Nawet długie miesiące, które spędziła udając zwykłą służącą, nie otworzyły jej oczu tak, jak widok bosych stóp owiniętych szmatami.

Nic dziwnego, że ten chłopaczyna patrzył na nią spode łba. Poprzecierane buty Rene byłyby luksusem dla każdego wieśniaka, a co dopiero dorastającego chłopca. Skąd właściwie Rene je wzięł?

- Nie są moje - powiedziała, schylając się po wiadro - są pożyczone. Muszę je oddać, jak tylko...

- Kłamiesz! - Nagle zagroził jej drogę. - Wiem, że je ukradłeś, i teraz mi je oddasz.

Był od niej dużo wyższy. Gabrielle musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy wypełnione zawiścią. Przestała mu współczuć.

- Dawaj je, złodzieju! - krzyknął.

Gabrielle miała ochotę zwrócić mu uwagę, jak ironicznie brzmią jego słowa w tej sytuacji. Rozejrzała się ze strachem. Poza kareta i końmi, wpatrującymi się łakomie w trzymane przez nią wiadro, podwórze było puste.

- Ja ich nie ukradłem - powiedziała, usiłując przybrać jak najspokojniejszy ton. - Mówię ci, że...

- Nawet nie umiesz kłamać - stwierdził, uśmiechając się pogardliwie. - Kto by pożyczył buty takiemu jak ty? No już, ściągnij je!

Gabrielle poczuła, że jej strach przeobraża się w gniew. Owszem, ostatnimi czasy okoliczności zmusiły ją do oszukiwania wielu ludzi, ale tym razem mówiła prawdę.

- Z drogi, kanalio - wycedziła odpychając go wiadrem.

Ledwie zdążyła złapać oddech, znalazła się na ziemi, ale mimo to nie wypuściła wiadra z ręki. Kościsty chłopak runął na nią; w jej nozdrza uderzył silny odór brudu i nawozu.

Walczyli ze sobą przy akompaniamencie parsknięć i rżenia wystraszonych koni. Gabrielle, wijąc się pod ciężarem chłopaka, wyrzuciła z siebie przekleństwo, z którego Rene byłby dumny. Obszarpaniec, który również kłął jak szewc, wbił łokieć w jej zębra. Gabrielle krzyknęła z bólu.

Jednak to tylko spotęgowało jej wściekłość. Kiedy chłopak spróbował ściągnąć but z jej prawej nogi, pisnęła i odepchnęła go na tyle skutecznie, że przewrócił się na bok. Wtedy zamachnęła się wiadrem. Rozległo się głuchoe stuknięcie.

Chłopak ucichł. Gabrielle przestraszyła się, że go zabiła. Ale musiał mieć twardą głowę, bo po chwili ryknął niczym zranione zwierzę. Poczuła, jak obraca się w jej stronę, po czym ponownie rzucił się na nią, sięgając brudnymi rękami do jej gardła.

Ręka, w której trzymała wiadro, była przygnieciona ciężarem chłopaka; na szczęście mogła posłużyć się drugą. Szybko podniosła ją i wbiła mu palce w oczy.

Wrzasnął i odchylił się gwałtownie.

- Łajdak! - krzyknął, po czym ponownie rzucił się jej do gardła. - Zapłacisz mi za to! Będziesz mnie błagać o...

- Dosyć! - Gabrielle poczuła, że czyjaś dłoń chwyta ją za kołnierz i silnym szarpnięciem stawia na nogi. Była to dłoń Jasona Trace'a.

- Bernard! Co to ma znaczyć? - spytał ją Maurice, który przytrzymywał stajennego.

- On chciał ukraść mi buty! - krzyknęła rozjuszona, mimo że znajdowała się w dość groteskowej pozycji. Trace podnosił ją nad ziemią, jakby była nieporadnym kociakiem.

Obdartus, oczywiście, wszystkiemu zaprzeczył. Spojrzenia Maurice'a i Trace'a spoczęły na nodze Gabrielle. But był do połowy ściągnięty.

- Jestem skłonny wierzyć Bernardowi - powiedział Jason, stawiając ją z powrotem na ziemi.

Gabrielle ostrożnie pomacała się po głowie, by sprawdzić, czy włosy nie wysunęły się jej spod czapki. Odetchnęła z ulgą, kiedy upewniła się, że czapka jest na swoim miejscu, nie tknięta. Bez słowa wcisnęła prawy but, otrzepując się z kurzu. Maurice w tym czasie odciągnął stajennego, zapewniając Trace'a, że zajmie się nim karczmarz.

- Rozumiem, że chciałeś napoić konie? - Jason wskazał mokłą plamę na ziemi.

- Tak, *monsieur* - mruknęła Gabrielle. Zgodnie z radą Rene mówiła chrapliwym głosem, by nie wzbudzać podejrzeń. Schyliła się po wiadro, unikając wzroku Amerykanina. Co prawda zasłaniała twarz nisko zsuniętą czapką, ale, zdaniem Rene, musiała też odwracać oczy. Ich niezwykły kolor, mówił, zdradzi ją o wiele skuteczniej, niż gdyby miała odsłonić piersi. Zamiast podziękowania Gabrielle wtedy wykręciła mu ucho.

- No to do roboty - rzekł Trace, podnosząc drugie wiadro. Położył na kamieniu kawałek sera i chleb, po czym skierował kroki w stronę studni.

Gabrielle, zdumiona, że tak ważny człowiek - w końcu był dyplomatą - chciał pomóc w napojeniu koni, przez chwilę patrzyła na niego tępo. W samą porę przypomniała sobie, by spuścić wzrok. Miała szczęście, jako że właśnie wtedy Trace zerknął na nią przez ramię.

- No żywo, chłopcze! - krzyknął. - Jedzenie mi stygnie, a pewnie ty też chciałbyś coś przegryźć... - Wskazał chleb i ser leżące na kamieniu. - ...zanim ruszymy w dalszą drogę. A może lubisz jedzenie przyprawione kurzem?

Popędziła w ślad za nim, zastanawiając się, skąd dyplomata może wiedzieć o niewygodach siedzeń dla służących.

Pół godziny później ruszyli w dalszą drogę. Gabrielle, mimo że nie mogła już narzekać na głód, czuła się jeszcze gorzej. Po bóyce ze stajennym zostały jej sińce, które przypominały o sobie dotkliwym bólem, gdy tylko karetą podskakiwała na nierównej drodze. A kurz był nie do zniesienia. Po pewnym czasie wpadła na pomysł, by zasłonić twarz czapką, ale to okazało się niemal równie nieprzyjemne: odór tłustych włosów Rene przyprawiał ją o mdłości.

Mijała godzina za godziną. Karetą przemierzała ziemie położone na południowy wschód od Paryża. Gabrielle miała zakrytą twarz i nie widziała okolicy. Dopiero późnym popołudniem, usłyszawszy gniewne głosy, uchyliła czapkę. To, co zobaczyła, wystarczyło, by naciągnęła ją ponownie.

Na skrzyżowaniu dróg zgromadziła się grupa obdartusów, którzy groźnie potrząsali pięściami w stronę przejeżdżającej karety.

- Arystokratyczne świnię! - krzyknął jeden z nich.

- Krwiopijcy! - zawtórował mu inny. - Gilotyna to na was za mało!

Gabrielle wzdrygnęła się i odetchnęła z ulgą, kiedy Maurice popędził konie. Grudka ziemi trafiła w bok karety. Nim znaleźli się poza zasięgiem motlochu, kolejna trafiła Brielle w obojczyk.

Do uszu Jasona dobiegł okrzyk bólu. Natychmiast zdał sobie sprawę, że to głos chłopaka, którego stangret nazywał Bernardem. To tylko dziecko, u licha! Jason zaczekał, aż znajdą się daleko za skrzyżowaniem, po czym dwukrotnie stuknął w sufit - był to umówiony sygnał, że pasażer chce, by powóz się zatrzymał.

Kiedy karetę stanęła w miejscu, Jason czym prędzej wyskoczył na zewnątrz. Po tym, co wydarzyło się pod karczmą, zaczął darzyć Bernarda głębokim szacunkiem; ten niepozorny chiopaczyna stawił czoło byczkowi cięższemu od niego o co najmniej dziesięć kilo i, co ważniejsze, nie dal mu się. Byłoby nie w porządku, gdyby miał przypłacić zdrowiem wypełnianie swoich obo-

wiązków. Zwłaszcza że ten dzielny smarkacz brał na swoje barki pracę, którą zwykle wykonywali ludzie dorośli.

- Coś ci się stało? - spytał.

Gabrielle właśnie podniosła czapkę, by obejrzeć obolałe ramię. Teraz znowu opuściła ją na czoło.

- Właściwie nie, *monsieur* - powiedziała chrapliwym sopranem. - Tylko, tylko...

- Do karety - nakazał Jason. - I to j uż! - dodał, kiedy chłopak zastygł w bezruchu. - No, rusz się!

No cóż, nic się nie da zrobić - pomyślała Gabrielle, kiedy Trace, nie czekając na nią, odwrócił się w stronę drzwi. Czy to jej się podobało, czy nie, miała się znaleźć z nim sam na sam. Z od-dali dobiegły głośne, rozgniewane głosy, więc czym prędzej wskoczyła w ślad za Amerykaninem do karety.

Jason od razu zauważył, że chłopak czuje się niepewnie w jego towarzystwie. Bernard, gdy tylko wszedł do karety, skulił się w przeciwnym rogu, jak najdalej od niego. I nie podniósł tej przeklętej czapki nawet o cal.

Oczy Jasona spoczęły na trójkolorowej wstążce wetkniętej w czerwoną czapkę. Przecież to symbol rewolucji! Czego ci wieśniacy chcieli od tego biedaka? Może nie zauważyli wstążki, a może byli tak rozjuszeni, że nie sprawiało im różnicy, kogo zaatakują.

I właśnie tu leżał pies pogrzebany. Ludzie, którzy powstali przeciwko tyranii, już dawno przestali zachowywać się w sposób racjonalny. W odróżnieniu od rewolucji amerykańskiej, zryw Francuzów nie opierał się już na sile ludzkiego rozumu.

- Nie bądź taki spięty, Bernard - powiedział - oprzyj się wygodnie i odpocznij sobie. Przecież cię nie ugryzę.

Gabrielle zamarła. Czy to możliwe, żeby Amerykanin coś wyczuł? W ten sam sposób zwrócił się do Brielle w pałacu. Potrząsnęła głową i nie odezwała się.

Jason spojrzął na skulonego chłopaka, wzruszył ramionami i rozparł się na siedzeniu. Ziewając, nasunął tricornie na czoło, po czym ziewnął ponownie i zaczął oddychać głęboko, jakby zapadł w sen.

Gabrielle przez chwilę przyglądała mu się niepewnie, nie rozumiejąc, jak to możliwe, by tak spokojnie zasnął po tym, co wy-

darzyło się przed chwilą. Ona nadal z trudem chwyciła powietrze, a jej serce waliło jak młot. Mimo że tu, w karecie, była bezpieczna.

Zaczęła się wiercić. Za koszulę wpadły jej grudki ziemi. Co gorsza, niektóre z nich jakoś dostały się pod płócienny pasek, oderwany z halki, którym obwiązała biust. Przy każdym ruchu ocierały się boleśnie o piersi.

Przez pewien czas znosiła to ze stoickim spokojem. Jednak kareta nie przestawała podskakiwać na wybojach, potęgując jej ból. Gabrielle zaciskała zęby, ale... *Mon Dieu!* Jeszcze trochę, a jej skóra będzie zdarta do krwi!

Zerknęła kątem oka na Amerykanina. Nic nie wskazywało na to, żeby miał się wkrótce obudzić. Siedział bez ruchu z wyciągniętymi nogami, odzianymi w płowozółte bryczesy i wysokie buty.

Gabrielle popatrzyła na jego długie, umięśnione nogi, charakterystyczne dla ludzi o atletycznej budowie ciała. Na skrzyżowane stopy w błyszczących czarnych butach. Potem podniosła głowę, kierując spojrzenie na szerokie ramiona, z których emanowała jakaś moc. Nagle Gabrielle poczuła, że ogarniają ją dziwne dreszcze.

W tej samej chwili kareta wjechała na szczególnie nierówny odcinek drogi; ból wyrwał dziewczynę z zamyślenia. Musiała coś zrobić, nim opaska zerwie jej skórę z piersi.

Amerykanin pozostawał w tej samej pozycji. Uznała więc, że nic jej nie grozi. Z najwyższą ostrożnością rozpięła surdut i kamizelkę. Ponownie rzuciła okiem na Trace'a. Ten nawet nie drgnął. Wtedy pospiesznie rozwiązała przód koszuli Rene. Na jej kolana posypały się okruchy wyschniętego błota. Nie zwracając na to uwagi, chwyciła uciążliwy płócienny pasek.

Jason przez chwilę był przekonany, że jednak zasnął. Bo to musiał być sen. Albo jakieś zwidy. Co, u licha, wyprawiał ten mały obdartus? Owszem, wytrząśnięcie tego zaschniętego brudu spod koszuli miało sens, ale...

Wtedy kareta wjechała w dziurę na drodze i przechyliła się gwałtownie na bok, by wkrótce odzyskać równowagę. Jednak nagły wstrząs spowodował, że tricornie osunął się Jasonowi na oczy. Amerykanin zmełł w ustach przekleństwo.

Ostatnią rzeczą, jaką zauważył, był długi kawałek materiału, który chłopiec wyciągnął spod koszuli. Dziwne. Ale to nie wszystko. Jason dałby sobie głowę uciąć, że to cholera było obszyte koronką.

## 6

Zatrzymali się na noc w Fontainebleau. Nie w pałacu, który Gabrielle znała z wcześniejszych wizyt, lecz w zajeździe w małej wiosce o tej samej nazwie. Na szyldzie widniał lew, z którego płatami schodziła złota farba - najwyraźniej właściciel miał zbyt wysokie mniemanie o swoim lokalu. Hotel de Lion D'or prezentował się tylko nieco lepiej niż karczma, do której zawitali w południe.

Mimo to Gabrielle ucieszyła się z kolejnego postoju. Owszem, wewnątrz karety było luksusowe w porównaniu z siedzeniami dla służących, ale nie udało jej się ani trochę wypocząć, zwłaszcza gdy naprzeciwko niej siedział Jason Trace.

Bolały ją wszystkie mięśnie. Nie dość, że doskwierały jej sińce, to w towarzystwie Trace'a musiała siedzieć w całkowitym bezruchu. Amerykanin zdrzemnął się tylko na chwilę, tak krótką, że Gabrielle ledwie zdążyła wcisnąć opaskę z powrotem pod surdut. Potem jednak nie zmrużył już oka. I choć Gabrielle unikała jego wzroku, miała wrażenie, że cały czas bacznie się jej przygląda.

Gdy z Maurice'em skończyli wyprzęgać konie i wprowadzili je do stajni, zapadał już zmierzch. Musieli wszystko robić sami, jako że w okolicy odbywał się festyn i personel zajazdu był wyjątkowo zapracowany.

Trace od razu poszedł wynająć izbę, w której mogliby przenoćować. Gabrielle, zajęta oporządzeniem koni, nie miała czasu, by zaprzętać sobie nim głowę. Kiedy jednak z nieodgadnionym wyrazem twarzy podszedł do niej i Maurice'a, ogarnęło ją dziwne przecucie, że nie spodoba jej się to, co za chwilę usłyszy.

- Nie mają wolnych miejsc - powiedział do Maurice'a. - Nawet na strychu nad stajnią, który chciałem wziąć dla ciebie i chłopaka.

Stangret zmarkotniał. Gabrielle wiedziała, że na jej twarzy również odmalowało się rozczarowanie. Czy to oznacza, że trzeba będzie znowu zaprzęgnąć konie i ruszyć w dalszą drogę? Ale konie są zmęczone, a poza tym...

- Nie ma się co martwić. - Jason mrugnął okiem porozumiewawczo. - Parę amerykańskich złotych monet przekonało karczmarza i jego żonę, by akurat tę jedną noc spędzili w izbie swoich córek. - Wyszczyrzył zęby w uśmiechu. - Mam nadzieję, że nie chrapiesz, Maurice. Dostaliśmy ich łóżko, no i...

- Ależ, *monsieur*, niech pan się nami nie przejmuje! - Maurice zdecydowanie potrząsnął głową. Nieważne, że nosił strój w barwach rewolucji, jak na dobrego obywatela Republiki przystało. Przyuczono go do służby za czasów *ancien regime* i ciężko było mu się wyżyć dawnych nawyków. - Taki ważny człowiek jak pan - ciągnął - nie może dzielić izby z...

- Bzdura - przerwał mu Trace, odwrócił się i dał znak, by poszli za nim. - W czasie wojny jakoś dawałem sobie radę w o wiele gorszych warunkach. No, ruszcie się, bo nie podadzą nam kolacji. Umieram z głodu!

Gabrielle też była głodna, ale wchodząc do jadalni, nie myślała o jedzeniu, którego zapach unosił się w powietrzu. Martwiła się tym, gdzie przyjdzie jej spędzić noc.

W jednym pokoju z Jasonem Trace'em? To niemożliwe! Renę zapewniał ją, że służący i stangreci zawsze śpią przy koniach. Spodziewała się, że, w najgorszym razie, położy się na sianie, może nawet obok Maurice'a, ale bynajmniej nie z nim. Oczywiście, nie zdjęłaby wówczas ubrania, by się nie zdradzić. Dzięki temu nie musiałyaby szukać ustronnego miejsca, w którym mogłaby się przebrać. Wszystko wydawało się takie proste.

Tyle że teraz będzie w sypialni z... Jedno podwójne łóżko dla całej trójki? To niemożliwe!

Przebranie już nie prezentowało się tak dobrze jak na początku. Dzięki opasce piersi nie odznaczały się, ale wyrzucenie zostało. Widziała już oczyma duszy, jak trudno będzie ukryć kobiecą figurę, gdy znajdzie się w łóżku między dwoma mężczyznami. Musiała coś wymyślić. I to szybko.

- Yyy... właśnie tak sobie pomyślałem, *monsieur Trace*... - zaczęła niepewnie, gdy podano im wspaniale pachnącą chłopską strawę.



Trace zerknął na Gabrielle, po czym ponownie nachylił się nad talerzem. Kiedy jednak nie dokończyła swojej wypowiedzi, odłożył widelec i popatrzył na nią z lekkim rozbawieniem.

- To bardzo pożyteczne zajęcie, mój chłopcze. Tak mi się przynajmniej wydaje. Choć nie mogę być pewien, dopóki się nie wystowisz.

- *Monsieur?*

Uśmiech zdrzął w kącikach ust Trace'a.

- Mówię o myśleniu, Bernard. Jeśli nie powiesz mi, cóż takiego sobie pomyślałeś, obawiam się, że w żaden sposób nie będę mógł ci odpowiedzieć. A być może myśl, która ci oświeciła, jest naprawdę godna uwagi.

Naigrawał się z niej. No, nie całkiem z niej, ale na pewno z Bernarda.

- Ba! - Maurice włączył się do rozmowy. - Nie płacą ci za myślenie, tylko za pracę.

- To prawda - powiedział Trace - no, ale przynasz, Maurice, że chłopak całkiem nieźle sobie radzi. Szczerze mówiąc, zamierzam pochwalić go przed twoim pracodawcą.

Maurice spojrział na Gabrielle ze zdumieniem, po czym mrknął coś pod nosem. Chłopaczyna był drobny jak na swój wiek - jeśli można było wierzyć zapewnieniom Rene, że jego kuzyn ma dwanaście lat. Oczywiście, trudno było brać za dobrą monetę słowa tego urwipołcia. No, ale przecież on, Maurice, prosty stangret, nie będzie się kłócił z Amerykaninem.

Tymczasem Trace znowu spojrział na chłopaka.

- No więc, Bernard? O czym to sobie pomyślałeś?

Gabrielle zaczynała żałować, że zwróciła na siebie uwagę. Pochyliła się więc nad miską, udając, że jest całkowicie zaabsorbowana pałaszowaniem. Jednak w ten sposób nie mogła rozwiązać nurtującego ją problemu. Przełknawszy kolejny kęs, sięgnęła po kubek z winem rozcieńczonym wodą.

- To znaczy j...ja proszę unizienie, żeby pozwolił mi pan przemocować w karecie, *monsieur*.

- W karecie? A to dlaczego? - Jason spodziewał się czegoś w tym rodzaju. Czuł, że Bernard coś ukrywa, więc nie zamierzał spuszczać z niego oka, dopóki nie dowie się, o co chodzi.

- Żeby jej pilnować - powiedziała - bo... ten... bo po podwórzku kręci się paru podejrzanych typów. A karetka jest warta dużo

pieniędzy. Szkoda byłoby, gdyby rozkradli części, prawda? Same latarnie muszą być warte...

- Nie martw się o to, chłopcze - rzekł Tracę. - Już się tym zająłem. Kareta i konie są bezpieczne.

- Z-zajął się pan tym? - Gabrielle skłęła się w duchu za to, że powiedziała te słowa pełnym rozpaczony tonem. Wyglądało na to, że *l'Americain* o wszystkim pomyślał. A niech go diabli!

- Pilnują ich dwaj synowie karczmarza. - Jason wzruszył ramionami i sięgnął po wino. - Zdziwiłbyś się, ile można zdziałać przy pomocy odrobiny amerykańskiego złota. Bardziej je tu cenią niż te wasze asygnaty.

Ha! Cóż w tym dziwnego? - pomyślała Gabrielle. Asygnaty były banknotami wyemitowanymi przez rząd rewolucyjny. Za zabezpieczeniem ich wartości miały być ziemie skonfiskowane arystokracji, między innymi jej matce. Mimo to od 1790 roku, kiedy to asygnata została wprowadzona do obiegu, władze musiały ją już kilka razy dewaluować. Trudno było się dziwić, że właściciel zajazdu preferował złoto.

Do końca posiłku już się nie odzywali. Na sali zapanował zbyt duży rozgardiasz, by można było rozmawiać. Ławy zapełniły się podejrzanymi wyglądającymi ludźmi, którzy bez najmniejszego skrępowania rzucali nieprzyzwoite żarty, nagradzane salwami śmiechu. W kącie sali dwoje muzyków grało *Ca Ira* na akordeonie i kobzie. Obok nich siedło paru ludzi, którzy zaczęli śpiewać rewolucyjną pieśń.

*Ach! Wnet nadejdzie ten czas.*

*Mówią ludzie bez ustanku,*

*Ach! Wnet nadejdzie ten czas.*

*Ucichną głosy zdrajców.*

*Ach! Wnet nadejdzie ten czas.*

*Nie będzie księży ni szlachty,*

*Wszyscy będą sobie równi.*

*Ach! Wnet nadejdzie ten czas.*

Gabrielle poczuła dziwny ucisk w żołądku. Oczywiście, wiele razy słyszała już tę pieśń. Mieszkając we Francji, nie sposób było jej nie znać. Jednakże za każdym razem dodawano do niej nowe

wersety. Ostatnio, kiedy ją słyszała, słowa mówiły o śmierci despotyzmu i triumfie wolności. Tymczasem tu, w tej, wydawało się, spokojnej wiejskiej karczynie, pieśń nabrała zupełnie innej wymowy:

*Arystokraci na latarnie!  
Ach! Wnet nadejdzie ten czas.  
Wszystkich ich powywieszamy!  
Ach! Wnet nadejdzie ten czas.*

Straciła apetyt. I przestała się zastanawiać, jak znaleźć osobne miejsce do spania. Na myśl, że miałaby sama spędzić noc w stajni czy karecie, ciarki przeszły jej po plecach. Mimo woli spojrzała na szerokie ramiona Amerykanina. W jego towarzystwie będzie się czuła bezpieczniej niż na strychu.

Po kolacji skierowali się ku zapleczu karczmy. Tracce szedł pierwszy, Gabrielle została z tyłu. Przeszły ją dreszcze, gdy usłyszała, że cała sala podchwyciła nową pieśń, która stała się niezwykle popularna w całym kraju, *Marsylianke*:

*Pod broń, obywatele!  
Formujcie bataliony!  
Marsz, marsz naprzód,  
Niech krew wrogów ziemię naszą zrosi!*

Sypialnia gospodarza okazała się małą izbą, do której wchodziło się bezpośrednio z kuchni. Na podwójnym łóżku leżał wypchany słomą materac. Pod ścianą stał wysłużony, odrapany kredens, a obok, na podłodze, leżała wyszczerbiona balia i dzban. Wszystko wyglądało tak, jakby nie było myte od niepamiętnych czasów.

Jeśli w łóżku nie ma robactwa, to ja jestem pasztetem z gęsich wątróbek! - pomyślała Gabrielle zrezygnowana. Była tak zmęczona, że nie mogła powstrzymać ziewnięcia.

- Śpiący jesteś, chłopcze? - W głębokim głosie Tracce'a brzmiała nuta rozbawienia. W tej samej chwili Maurice odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi, oznajmiając, że idzie „się odlać”.

Gabrielle zarumieniła się. By Tracce tego nie dostrzegł, odwróciła się i spojrzała na nierówny materac.

- Cz-czy zmieścimy się tu... we trzech, *monsieur*? - spytała, między kolejnymi ziewnięciami.

- We dwóch powinniście się zmieścić - stwierdził Trace i zachichotał. Nim Gabrielle się zorientowała, co Amerykanin zamierza, poczuła, że silne ręce unoszą ją w powietrze. Po chwili wylądowała na materacu.

- *Monsieur*? - wydusiła.

- Nie będę spał z tobą w łóżku - powiedział Trace. - Położę się pod drzwiami. Ktoś musi być na straży, a poza tym - popatrzył krytycznie na łóżko - podejrzewam, że i tak będziesz miał towarzystwo, Bernardzie, wielonogie towarzystwo, którego wołałbym uniknąć.

Gabrielle miała ochotę powiedzieć mu, że ona też. Jednak, tak czy inaczej, miała na sobie ubranie Rene, tak brudne, że nieustannie musiała się drapać po całym ciele niczym ulicznik.

Najważniejsze, że Trace nie będzie spał z nią w tym samym łóżku. Oczywiście, pozostawał jeszcze Maurice, ale stangret był w na tyle podeszłym wieku, że myśl o dzieleniu z nim łóżka nie wydawała jej się aż tak przerażająca. Jakoś sobie poradzi. Zwłaszcza że nie musiała się rozbiierać. Tak czy owak, wszystko szło po jej myśli.

Kiedy tak rozmyślała, poczuła, że powieki robią się niebywale ciężkie. Łóżko, ku jej zdziwieniu, okazało się wygodne. Przed zaśnięciem usłyszała jeszcze głos Jasona Trace'a. Dziwne. Zdało jej się, że *monsieur* mówi stangretowi, by ten wyciągnął spod łóżka siennik.

Jason leżał z otwartymi oczami, wsłuchując się w chrapanie stangreta. Gdy karczmarz dowiedział się, że przybyli tu we trójkę, użył im siennika. Wprawdzie Jason planował, że będzie na nim spał, odstępując łóżko Maurice'owi i chłopakowi, ale musiał zmienić plany. Bo chłopak był dziewczęciem.

Nie miał wątpliwości, że podnosząc „Bernarda” na łóżko, wycał pod jego ubraniami kobiece kształty.

Pod jej ubraniami - poprawił się w duchu.

Kim, u licha, ona jest? Co ona tu robi - w jego towarzystwie - i dlaczego udaje chłopaka? Ogarnięty gniewem, przez chwilę żałował, że nie dopuścił do tego, by spała w jednym łóżku z Mauri-

ce'em; to by jej na pewno nie ucieszyło. Czyż nie dlatego właśnie chciała spać w karecie? Miałaby za swoje, bezczelna mała suka.

Jednak zaraz potem jego myśli pobiegły innym torem. A może stoi za tym Komitet Bezpieczeństwa Publicznego? Czy ta kobieta, ta Francuzka, miała za zadanie go szpiegować?

Doskonale zdawał sobie sprawę, że w rewolucji francuskiej kobiety brały bardziej czynny udział niż w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Wszyscy wiedzieli, że *monsieur* Roland w każdej, nawet najdrobniejszej sprawie, radził się swojej o wiele młodszej żony, chociaż to on był ministrem. Nawet sankiuloci liczyli się z tymi harpiami, które w milczeniu obserwowały wszystkie procesy i egzekucje, pochłonięte szydełkowaniem. Niestawne, krwiożercze trykociarki.

Wszystko to wskazywało, że nie mylił się w swoich odczuciach. Kobiety - a zwłaszcza Francuzki - to zdradliwe żmije. Począwszy od Ewy były plagą wyniszczającą mężczyzn.

Może matka wyrządziła mu przysługę, dając mu tę lekcję tak wcześniej. To było ostrzeżenie. A człowiek ostrzeżony to człowiek przygotowany na niebezpieczeństwo - pomyślał, ogarniając spojrzeniem drobną postać skuloną na łóżku. Nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale, na Boga, dowie się - i to już wkrótce!

O świcie wyruszyli w dalszą drogę. Ku przerażeniu Gabrielle, Tracę nalegał, by i tym razem jechała z nim w karecie. Usiłowała się jakoś wykręcić, ale robiła to niezbyt przekonująco. W nocy zaczął padać deszcz i nade wszystko nie chciała przemoknąć. Niestety, przewidywania Tracę'a dotyczące „towarzystwa” w łóżku sprawdziły się - jej skórę pokrywały dziesiątki swędzących bąbli. Gdyby jeszcze miała przemoknąć do suchej nitki...

Przez długi czas nie działo się zupełnie nic. Dochodziło południe, gdy Maurice niespodziewanie zatrzymał powóz, po czym zwłóknął się z koźła i podszedł do drzwi.

- *Monsieur* Tracę - jęknął zbolalym głosem.

- Maurice? Co się dzieje? - Jason otworzył drzwi. Oczom Gabrielle ukazała się twarz stangreta, szara i zalana potem. - Co ci się stało, chłopie?

- Nie... nie wiem, *monsieur*. Może... coś mi zaszkodziło. Mój żołądek... - Złapał się za brzuch. - Czuję się, jakby...

- Trzymaj się! - Jason w ostatniej chwili złapał ślaniającego się na nogach Maurice'a. - Bernard, pomóż mi.

Gabrielle stanęła przy drzwiach i pomogła Trace'owi wnieść cierpiącego stangreta do karety. Położyli go na jednym z siedzeń. Rozpinając mu surdut, Jason zarzucił go pytaniami.

Ich śniadanie składało się z rogalika i kubka czekolady. Jednak Maurice skusił się ponadto na kawałek kiełbasy, której Jason i Gabrielle nie wzięli do ust, bo wydała im się zbyt tłusta. Teraz stangret przypomniał sobie, że mięso było „tak jakby nieświeże”.

Jason zaklął pod nosem po angielsku, po czym zwrócił spojrzenie na Gabrielle.

- Ani chybi zatrął się zepsutym mięsem.

Gabrielle popatrzyła z niepokojem na pobladłą, wykrzywioną bólem twarz Maurice'a.

- Czy... czy... on...?

- Umrze? - Jason rzucił okiem na chorego. - Zależy, ile zjadł, czy jest wytrzymały i tak dalej. - W wojsku spotkał się z przypadkami zatrucia pokarmowego; nie było to przyjemne, ale nie musiało też okazać się śmiertelne.

- Najważniejsze - ciągnął - żeby jak najszybciej ktoś się nim zajął. Pamiętam, że Maurice wspominał coś o jakiejś karczynie niedaleko stąd. Miej na niego oko, a ja poprowadzę karecię. Dasz sobie radę?

Gdy przytaknęła, Jason wdrapał się na kozioł i chwycił za cugle. Jechał wolno, by oszczędzić choremu wsirząsów, ale Gabrielle pragnęła jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Maurice wił się z bólu. Nie znała się na leczeniu, ale pomacała mamana opiekować się ojcem na łożu śmierci. Choć Maurice nie mini febry, jego blada, wilgotna skóra przywodziła jej na myśl i twarz papy w tych ostatnich chwilach.

Po mniej więcej godzinie dotarli do karczmy i powierzyli nieszczęsnego Maurice'a opiece żony właściciela. Zażywna kobieta na zapewniła ich, że ma doświadczenie w tych sprawach, chociaż takie rzeczy nigdy, przenigdy nie spotykają klientów stołujących się w jej lokalu. Przeklinając pod nosem podrzędne karczmy.

Jason i Gabrielle zostali na dole. Amerykanin kazał jej przypilnować koni, a sam przyniósł coś do jedzenia. Po pewnym czasie z domu wyłonił się jeden ze służących i powiedział im, że stangret czuje się już nieco lepiej. Dodał jednak, że pani stwierdziła, iż przez najbliższy dzień, a może dwa, nieszczęśnik musi zostać w łóżku.

Jason westchnął ciężko i wszedł do izby, w której leżał Maurice. Rzeczywiście, służący mówił prawdę; starszek był pogrążony w głębokim śnie, a jego policzki wyraźnie się zaróżowiły. Tracę podziękował żonie karczmarza, po czym zapłacił jej sowicie za opiekę nad chorym.

Po kilku minutach zszedł na podwórze, gdzie czekał na niego „Bernard”... Jak też ona naprawdę miała na imię? Przestało padać; dziewczyna stała przy koniach, karmiąc jednego z nich suszonym jabłkiem. Przez chwilę Jason przyglądał się jej bacznie. Była drobna i szczupła, dlatego tak łatwo przychodziło jej udawanie chłopaka. Jednak gdy popatrzył dokładniej, dostrzegł inne szczegóły i zaczął w duchu wyzywać siebie od idiotów: jak, u diabła, mógł tak długo dać się zwodzić?

Kiedy gładziła konia po pysku, jej ruchy były pełne dziewczęcego wdzięku. A jej dłoń - tak delikatna, kobieca, mimo że skrywała się w tej obszarpanej rękawicy. Z rysów dziewczęcia wyzierała zwiewna elegancja, która wydawała się - przemknęło mu przez głowę jakieś krótkie, niewyraźne wspomnienie - znajoma. Gdzie on widział tę twarz? Dałby sobie głowę uciąć, że ten zgrabny nos...

Wtedy zwróciła się twarzą w jego stronę, więc czym prędzej pochylił głowę, spoglądając na zegarek, który przezornie wyciągnął z kieszeni. Druga po południu - najwyższy czas ruszać w dalszą drogę.

Jason z ledwie skrywaną radością powiadomił ją, że do doliny rzeki Yonne będą musieli pojechać we dwójkę, a Maurice'a zabiorą stąd w drodze powrotnej.

Będą sam na sam. Doskonala okazja, by zmusić ją do wyjaśnienia prawdy. Już nie mógł się doczekać!

Gabrielle mimo woli przygryzła dolną wargę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Robiła tak zawsze, gdy stał przed nią trudny problem. Była sama we wnętrzu karety. Amerykanin siedział

na koźle, kierując końmi, i niechętnie musiała przyznać, że świetnie mu to wychodziło.

Wydawało się, że potrafił wszystko i dałby sobie radę w każdej sytuacji. Cokolwiek by się zdarzyło, Jason Trace doskonale wiedział, co robić.

I tu właśnie leżał pies pogrzebany. Dlaczego ostatniej nocy zmienił zdanie i pozwolił jej, by spała sama? Czemu, domyśliwszy się wszystkiego, miałby bez powodu tak postąpić?

Gabrielle była niemal pewna, że Trace miał jakiś powód. Jednakże nic nie przychodziło jej do głowy, a karetą dojeżdżała już do Chablis, kierując się ku Auxerre. Wkrótce Gabrielle, rozradowana powrotem w rodzinne strony, przestała łamać sobie głowę nad zagadką, jaką był Jason Trace.

Na widok znajomych miejsc wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Ujrzała *Route du Cidre*, biegnącą *przez pays d'Othe*; tutaj w dzieciństwie często chodziła z osobistym kamerdynerem papy po wino. A tam był zamek Fleurigny. Tam kościół, do którego przychodziły z *mamon* na msze; dotąd pamiętała, jak matka opowiadała jej, że właśnie w tym kościele król Francji, który później został wyniesiony na ołtarze, święty Ludwik, otrzymał ciemnową koronę Chrystusa.

Łzy napłynęły jej do oczu. Musiała odwrócić wzrok, by nie wybuchnąć płaczem. Jeśli teraz tak reaguje, to co będzie, jak ujrzy rodzinną posiadłość? Czy załamie się całkowicie?

Na szczęście w tej chwili karetą zatrzymała się, wrywając Gabrielle z zamyślenia. Trace zszedł z koźła.

- Jesteśmy na miejscu, Bernardzie - powiedział otwierając drzwi.

Wyszła na zewnątrz i rozejrzała się. Nie było tu nic. Nic poza ciągnącymi się we wszystkie strony winnicami. Żadnej wioski, żadnego zamku, w ogóle żadnego budynku. Podniosła wzrok na Trace'a, pamiętając, by nie patrzeć mu prosto w oczy.

- Na miejscu, *monsieur!*

- Tak. Przynajmniej, jeśli o mnie chodzi - powiedział, rozglądając się po żyznych wzgórzach. Chwilę wcześniej zobaczył drogowskaz z napisem Joigny. To była jedyna nazwa, jaką rozpoznał, ale wystarczyła. Tu właśnie znajdowała się słynna winnica, znana już od kilku wieków pod nazwą Côte Saint-Juques. Dom jego matki powinien stać tuż za pobliskim wzgórzem.



Spojrzał na „Bernarda”, wykrzywiając usta w złośliwym uśmiechu.

- Zaczekasz tu z końmi, a ja przespaceruję się trochę, w porządku? Z tym że najpierw może załatwimy te bardziej palące sprawy. Pęcherz mi zaraz pęknie.

Gabrielle pobladła, widząc, że jego ręce wędrują do sznurka przewiązującego bryczesy. Z jej ust wyrwał się okrzyk przerażenia. Amerykanin natychmiast zwrócił się twarzą do niej.

- No? - ponaglił. - Coś nie w porządku?

Wbiła w niego wzrok. Słowa uwięzły jej w gardle. Na policzkach wykwitły rumieńce.

Jason zarechotał nieprzyjemnie.

- A może czegoś ci brak... chłopcze?

- Ja... ja nie wiem, o czym... o czym pan mówi, *monsieur* - wyjąkała.

Jason prychnął z pogardą.

- Wygląda na to, że dalej nie pojedziesz, Bernardzie - powiedział i jednym susem, zanim Gabrielle zorientowała się w jego zamiarach, Tracę wyciągnął rękę i chwycił jej czerwoną czapkę.

- *Non!* - krzyknęła, ale był za szybki i za silny. Poczowała, jak czapka zsuwa się z jej włosów.

- Kim ty, u licha, jesteś? - ryknął, po czym z wrażenia aż go zatkało. Nie mógł nie rozpoznać tych rudozłotych włosów, które opadły na kark dziewczyny. Chryste! - pomyślał. To ta smarkula z pałacu!

## 7

No, no, no! Toż to obywatelka Lafleur. - Ton, jakim Trace wypowiedział te słowa, był równie nieprzyjemny jak uśmiech, który wypłynął na jego usta. W ciemnych oczach Amerykanina pojawił się stalowy błysk.

Gabrielle z trudem przełknęła ślinę. Trace wydawał się niezwykle potężny i groźny, gdy stał tak blisko. Na jego ogorzałej twarzy odznaczały się białe linie pod oczami, tam gdzie nie sięgały promienie słońca... Gabrielle widziała płomienie gorejące w jego hebanowych źrenicach.

Z trudem wytrzymała jego przenikliwe spojrzenie. *Mon Dieu*, on jest wściekły!

- Skąd... skąd pan wiedział? - wydusiła z siebie.

- Wyczułem dłonią twoje piersi - odparł bez najmniejszego wahania, uśmiechając się bezczelnie. - Powinnaś była przewiązać je dokładniej, moja droga. - W głosie Trace'a brzmiała irytująca pewność siebie. Jego spojrzenie prześliznęło się po ciele Gabrielle, jakby za wszelką cenę chciał wyprowadzić ją z równowagi.

- Kanalia! - rzuciła przez zaciśnięte zęby. - Zresztą wiedziałam, że z pana żaden dżentelmen.

- A z ciebie żadna dama, jak widać! - Gdy zaczęła się cofać, złapał ją za ramię.

- Puść mnie! - Próbowała się wyrwać, ale przytrzymał mocno.

- Nie ma mowy. Najpierw odpowiesz mi na parę pytań. - Potrząsnął nią gwałtownie. - Po co ta maskarada? Kto kazał ci mnie szpiegować, kobieto?

Potrząsnął nią ponownie, tym razem silniej.

- Szpiegować?! Nie jestem szpiegiem, *monsieur*, przysięgam! - A nawet jeśli, to nie ma to z tobą żadnego związku - dopowiedziała w myśli.

- Nie? - Znowu ten nieprzyjemny uśmiech. Głos był podejrzanie łagodny. Zwłaszcza że w tej chwili w Amerykaninie nie było ani krzty łagodności. Jego pierś była twarda niczym mur z granitu; dłonie zaciśnięte na jej ramionach wydawały się ze stali.

Gabrielle próbowała naprędce coś wymyślić.

- Nie. Ja... po prostu chciałam się dostać do Burgundii. - Próbowała wzruszyć ramionami, ale trzymał ją zbyt mocno. Na litość boską, przez niego będzie miała sińce! - Jestem tylko uboga służąca, *monsieur*. Takim jak ja nie dają przepustek podróźnych, a ja chciałam... bardzo, bardzo chciałam pojechać do domu.

- Do domu - powtórzył drwiącym tonem - domu, który znajduje się w tej samej okolicy, do której wybierał się amerykański dyplomata. Cóż za korzystny zbieg okoliczności!

Gabrielle ogarnęła spojrzeniem pobliskie zbocza porośnięte winoroślami, zieleniejącymi w wilgotnym powietrzu. Ten widok też był boleśnie znajomy. Ileż razy z rodzicami podążała tą drogą do Joigny? Dziesiątki?

Otrząsnęła się z ogarniającej ją nostalgii.

- Nie w tej okolicy, *monsieur* Trace. Urodziłam się w Auxerre. To zaraz za...

- Wiem, gdzie to jest! - Przypomniał sobie, jak bezustannie studiował mapy, jakby dokładne poznanie okolicy, z której pochodził, czy raczej z której pochodziła jego matka, miałoby mu pomóc zrozumieć. - Chciałbym tylko się dowiedzieć - powiedział beznamiętnie - dlaczego postanowiłaś wykorzystać mnie, by się tam dostać, jeśli mówisz prawdę.

- Och, ale musi mi pan uwierzyć, *monsieur*! Tak bardzo pragnę zobaczyć mój dom. - To przynajmniej było prawdą. Teraz pora na resztę. - Ale, widzi pan - ciągnęła szybko, by nie zdążył nabrać kolejnych podejrzeń - chociaż spędziłam dzieciństwo w zamku w Auxerre, byłam tylko dzieckiem wieśniaków, którzy od wielu pokoleń służyli... rodzinie, *monsieur*. Potem, gdy trochę podrosłam, sama zaczęłam pracować u państwa. Ale nadeszła... rewolucja i wszystko się zmieniło. Musieliśmy wyjechać do Paryża, żeby... żeby znaleźć pracę.

Z trudem wstrzymała łzy cisnące się jej do oczu. To, co mówiła, było niezwykle bliskie prawdy.

- Potem rodzice... odeszli i moje życie stało się bardzo ciężkie. Zostałam sama. Chciałam tylko jeszcze raz zobaczyć rodzinny dom i, być może, przyjaciół z lat dzieciństwa.

Znowu próbuje mnie zwodzić, pomyślał Jason. Jednak gdy zobaczył łzy w jej oczach, prychnął i puścił ją.

Ależ ze mnie głupiec. Czemu miałbym jej ufać? - pomyślał, przyglądając się, jak dziewczyna trze obolałe ramiona. W każdym razie na pewno nie zobaczyła tyle, by domyślić się, co on tu robi. Nawet Conor, który znał go tak dobrze, nie miał pojęcia, o co mu chodzi. Ba! Sam Jason nie bardzo wiedział, czemu właściwie tu przyjechał.

- Jak już wspominałem, dalej nie jadę - powiedział wreszcie - nie planowałem podróży do Auxerre.

- Wiem o tym, *monsieur*. - Gabrielle dumnie podniosła głowę. - Jestem gotowa udać się tam sama.

- Do Paryża daleka droga - rzekł. - Nie mam zamiaru czekać na...

- Proszę mi wierzyć, nie mam zamiaru być dla pana ciężarem, *monsieur* Trace. Wrócę sama. - Odwróciła się na pięcie, szykując się do odejścia.

- Chwileczkę.

Gabrielle przystanąła i powoli, bez słowa, zwróciła się twarzą do Amerykanina. Usiłowała nie myśleć o tym, jakie robił na niej wrażenie, gdy stał w rozkroku, z pięściami wspartymi na biodrach. Wiatr burzył jego czarne, kręcone włosy, okalające jakże urodziwą twarz.

- Wziąłem cię ze sobą po to, żebyś zajmowała się końmi - powiedział - i będziesz mi jeszcze na pewien czas potrzebna. Nie bój się, muszę tylko rozejrzeć się z tego wzgórza. - Wskazał starą ścieżkę wijącą się pośród winnych krzewów.

Gabrielle posłusznie skinęła głową i odwróciła się na pięcie.

- Zaraz, zaraz - powstrzymał ją. - Ich spojrzenia ponownie się skrzyżowały. Jason przez chwilę zastanawiał się, czemu na jej twarzy, w tych pięknych oczach maluje się taka determinacja. - Skąd mam wiedzieć, czy nie uciekniesz, zanim wrócę, Her... jak ty właściwie masz na imię, u licha?

Nie widziała powodu, dla którego miałyby wyjawić mu swoje prawdziwe imię, to, które otrzymała na chrzcie. Jednak rozsądek podpowiedział jej, że lepiej było Trace'a nic drażnić jesz-

cze bardziej. Mógłby się poskarżyć na nią Rolandom, a za nic nie mogła stracić posady.

- Nazywają mnie Brielle, *monsieur*. I może mi pan zaufać. Gdyby właściciele Hotel Liberte dowiedzieli się o moim... postępowaniu, miałabym duże kłopoty. Proponuję panu układ: ja przypilnuję karety i koni, a pan w zamian obieca, że zachowa w tajemnicy to, co się stało, *monsieur* Tracę.

- Jason - powiedział, nie wiedząc nawet dlaczego. Myślał o jej oczach i o tym, jak doskonale pasowały kolorem do tych długich, rozwiewanych przez wiatr włosów. Ta dziewczyna była naprawdę piękna, mimo że jej wdzięki skrywały się pod obskurnym chłopcym ubraniem. Szkoda, że nie miał czasu na...

- *Monsieur*?

Otrząsał się z zamyślenia. Alexander też dał się omotać pięknej Francuzce i prosił, jak to się dla niego skończyło.

- Powiedziałem, że mam na imię Jason. Wet za wet - dodał wruszając ramionami. - Chyba nie widzisz nic złego w tym, żeby mówić mi po imieniu, co, Brielle? Równość... czy nie o to chodzi w tej waszej rewolucji?

Nie w mojej rewolucji, nigdy! - pomyślała. Nie dając po sobie nic poznać, skinęła posłusznie głową, po czym zerknęła w stronę karety. Konie zachowywały się coraz bardziej niespokojnie.

- Czyli umowa stoi, *mon...* Jason?

Uśmiechnął się złośliwie. W jego oczach pojawił się istic szelmowski błysk.

- Teraz to ty będziesz musiała mi zaufać. Jesteś pewna, że dotrzymam obietnicy, Brielle, kiedy twoja pomoc nie będzie mi już potrzebna?

Spojrzenie jej modrych oczu stało się posępne.

- Na tym świecie niewiele jest rzeczy pewnych, Jasonie Tracę. - Wzruszyła ramionami. - Wygląda na to, że muszę zaryzykować. - Odwróciła się na pięcie i podeszła do koni.

Jason przyglądał jej się przez chwilę, nie mogąc zrozumieć, jak to się stało, że uważał ją za chłopaka. Jej biodra tak zgrabnie się kołysały... Potrząsał głową, odwrócił się i ruszył ścieżką ku szczytowi wzgórza.

Gdy dotarł na górę, przystanął. W dole ujrzał szesnastowieczny dwór stojący w gęstwinie drzew. Skąpiana w słońcu szara, gra-

nitowa fasada spowita bluszczem przydawała okolicy sielankowego wyglądu.

Tymczasem Jason bynajmniej nie cieszył się z tego, że wreszcie ujrzał to miejsce. Czyli to tutaj Alexander poznał Juliette de Sancerre, matkę Jasona, niech Bóg ma go w swojej opiece. Poznał i próbował zdobyć jej serce. A ona mizdrzyła się do niego. Udawała, że go kocha, i zgodziła się go poślubić. A przez cały ten czas nosiła w sobie dziecko innego mężczyzny!

Przeżył wszystko raz jeszcze.

Dokąd idziesz, *mamon*?

Jason! Czemu nie jesteś z niańką? Myślałam....

Zostaw go, Juliette! Przecież ustaliliśmy, że chłopak zostaje.

Ale....

Konie czekają, Juliette. No, chodźże!

*Maman! Maman*, proszę, nie odchodź z tym panem. On mi się nie podoba. *Maman! Zostań!*

Jason potrząsnął głową, jakby w ten sposób chciał sprawić, by ból minął. Do tej pory miał przed oczami twarz człowieka, który owego dnia zabrał ze sobą Juliette Trace. Twarz tak podobną do tej, którą każdego ranka widział w lustrze.

Twarz jego ojca. Czy raczej człowieka, który zapłodnił Juliette de Sancerre, by wkrótce potem ją porzucić. Sześć lat później ten sam człowiek zmienił decyzję i przyjechał po nią aż do Fairhills. A w Fairhills pozostał człowiek, który wychował syna Juliette i dał mu swoje nazwisko, człowiek, który nie dość, że sam głęboko przeżył jej odejście, to jeszcze musiał wesprzeć na duchu dziecko.

Dziecko, które zostało porzucone przez matkę i ojca.

Nie, nie ojca, pomyślał gorzko Jason. Tylko Alexander zasłużył sobie na to miano. To on obdarzył Jasona miłością, której nie dali mu rodzice.

Dłonie Trace'a zacisnęły się w pięści. Conor miał rację: to szaleństwo. Nie było tu żadnych odpowiedzi. Z trudem otworzył dłonie i jeszcze raz skierował pełne nienawiści spojrzenie na miejsce, w którym został poczęty. Następnie z kamienną twarzą odwrócił się na pięcie i ruszył w drogę powrotną.

Znowu zaczęło padać. Gdy Jason był już blisko karety, nastąpiło prawdziwe oberwanie chmury. Natychmiast podszedł do schowka i wyciągnął zeń *tricorne*. Bez słowa wcisnął na głowę i wsiał na

kozioł. Gabrielle ledwie widziała twarz Jasona w strugach padającego deszczu. Ale nie miała żadnych wątpliwości, że to, co zobaczył za tym wzgórzem, ani trochę nie poprawiło mu nastroju. Przeszył ją dreszcz. Trace przypominał zranione dzikie zwierzę, którego zachowania nie sposób przewidzieć. I przez to niebezpieczne.

Gdy tylko usiadł na koźle, puściła uzdę pierwszego konia w zaprzęgu i ruszyła w stronę Auxerre. Nie brukowana droga zmieniła się w bagno. Buty Brielle zanurzały się w błocie po kostki.

- A dokąd to, u licha?

Gabrielle odwróciła się i otarła rękawem oczy z wody, która ściekała z przesiąkniętej czapki. Trace patrzył na nią, marszcząc czoło.

- Wydawało mi się, że to oczywiście, *monsieur*. Idę do...

- Jason - burknął. Był w takim nastroju, że tylko czekał na okazję do kłótni. - Tylko jedno jest dla mnie oczywiście, gadasz głupoty. Wsiadaj.

Gabrielle podniosła głowę z godnością.

- Tego nie było w naszej umowie. Ja tylko próbuję wypełnić swoją obietnicę *i...*

- Brielle, przestań udawać cierpieniczkę i wsiadź do karety. Nie jestem jakimś tam barbarzyńcą *i*, na Boga, nie pozwolę, żebyś kogoś takiego ze mnie zrobiła!

Gabrielle przestała ocierać twarz z wody. Jej wysiłki i tak szły na marne. Nie odwracając wzroku, zdjęła czerwoną czapkę i dokładnie ją wyżeła. Następnie ostrożnie wcisnęła ją na uszy i zmroziła Jasona hardym spojrzeniem.

- *Au reuoir*, Jason. Powiedz Maurice'owi, że odesłałeś mnie... to znaczy, Bernarda. Jestem pewna, że wymyślisz jakiś powód.

Jason zaklął siarczyście, gdy odwróciła się i ruszyła drogą w stronę Auxerre. Ubranie przylegało do niej ciasno niczym bandaż. Wiatr dał jej prosto w twarz smaganą strugami deszczu. Napraszała się o co najmniej zapalenie płuc. Nie, nie będę jej miał na sumieniu - pomyślał.

Zaciskając zęby, zawrócił powóz i ruszył za nią. Jeśli nawet zobaczyła czy usłyszała, co zrobił, nie dała tego po sobie poznać i nieprzerwanie sunęła naprzód. Po chwili kareta się z nią zrównała.

Klnąc siarczyście pod nosem, Jason szarpnął lejce tak, że konie skręciły w prawo. Uśmiechnął się szeroko, widząc minę Gabrielle, gdy zdała sobie sprawę, że zatarasował jej drogę.

Spojrzała na niego, chcąc coś powiedzieć. Nie zdążyła.

- Właż! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Gabrielle westchnęła ciężko. Dlaczego właściwie się opierała? Była przemoczona do suchej nitki, a Trace po prostu zachował się jak prawdziwy dżentelmen. Oczywiście, najpierw musiało go ruszyć sumienie. Dziwne. Gabrielle już zaczynała podejrzewać, że coś takiego jak wyrzuty sumienia jest mu całkowicie obce.

Poza tym mogła wygodnie dojechać do zamku w Auxerre. Wnętrze karety było ciepłe i suche. A on tym razem będzie na koźle. W strugach deszczu. Bez słowa wsiadła do karety.

Mimo że przemokła do suchej nitki, wkrótce zapadła w drzemkę. Ocknęła się dopiero, gdy powóz nagle się zatrzymał. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło. Otworzywszy drzwi, zobaczyła, że ulewa zmieniła się w mżawkę.

- Właśnie przejechaliśmy most Paul-Bert! - krzyknął Jason. Wskazał most, z którego sterczały dwie wieże zegarowe. - Nie wiem, jak dalej jechać. Musisz pokazać mi drogę.

Skoro przebył już taki szmat drogi, nie zamierzał, ot tak, pozwolić jej odejść. Nadal nie wyzbył się wątpliwości co do jej motywów.

- Gdzież jest to cudo, które tak bardzo pragniesz zobaczyć?

Gabrielle zignorowała jego sarkastyczny ton i wskazała katedrę Saint-Etienne, której wspinała gotycka fasada wyłaniała się z mgły. Dobry Boże, przecież jestem już prawie w domu! - pomyślała.

- Trzeba minąć katedrę i kościół Saint-Germain. Kawałek dalej zaczynają się winnice Chateau de Saint-Germain. To już niedaleko.

Nakazał jej gestem, by zamknęła drzwi karety. Wkrótce jechali już przez wioskę, którą Gabrielle tak dobrze знаła. Chłonęła ten widok roziskrzonymi oczami. Wszystko było tak znajome... i tak drogie jej sercu.

Ze względu na pogodę wszyscy ludzie pochowali się w domach. Ale Gabrielle dostrzegła dymy wijące się ze znajomych kominów, doniczki, które *madame* Roussel zawsze wystawiała pod swoimi drzwiami. Podobnie jak każdej wiosny, były pełne kwiatów.

Dom... wracała do domu. Te słowa rozbrzmiewały w jej duszy i sercu niczym jakiś upajający refren. Oto i winnice, zieleniejące w kwietniowej mgle. A tam - staw, nad który przyjeżdżała na



swoim kucyku. Ileż razy? Jak dawno temu? Jakże to były piękne czasy. Nigdy nie myślała, że ta sielanka może się skończyć.

Jason jako pierwszy wypatrzył olbrzymią budowlę, której wieże, dachy i kominy odcinały się na tle nieba. To musiał być zamek, o którym mówiła. Nie sposób było nie zwrócić na niego uwagi. Stał na wysokim wzniesieniu nad rzeką Yonne i winnicami. Pochodził z czternastego wieku i choć później został rozbudowany, wszystkie elementy budowli idealnie wkomponowały się w całość.

- Tamtędy! - Głos Gabrielle drżał ze wzruszenia. Wyrzała przez okno i wyciągnęła rękę. - Ta droga prowadzi na dziedzińiec główny.

Jason nie mógł zaprzeczyć, że dziewczyna sprawia wrażenie, jakby naprawdę była podekscytowana przyjazdem. Jeśli udawała, wychodziło jej to o wiele lepiej niż odgrywanie roli chłopaka. A jej entuzjazm był zaraźliwy. Jason sam zaczął podziwiać to zamczysko, które ona nazywała domem. Zjechał na posypaną żwirem drogę i popędził konie.

Po chwili wjechali przez otwartą bramę na niezwykle przestronny dziedzińiec. Ledwie Jason zatrzymał konie, Gabrielle wyskoczyła z karety. Po chwili w ciszę wdarł się jej krzyk, krzyk pełen rozpacz.

Nie musiał na nią patrzeć, by dowiedzieć się, co było przyczyną. Z zamku pozostały tylko wypalone ruiny. Jason powoli zszedł z kozła, wpatrując się w zgliszcza.

Gabrielle zastęła w bezruchu. Jakby nie ruszając się z miejsca mogła jakoś cofnąć czas, wymazać wszystko, co się tu stało. Popiół... tylko popiół... nic więcej nie zostało z jej domu. Kiedy wreszcie udało jej się ruszyć z miejsca, zauważyła, że to nie wszystko.

Wszędzie wałało się mnóstwo śmieci. Na bruku widać było ciemne kręgi po ogniskach. Wokół leżały resztki z uczt - ogryzione kości, porozbijane butelki po winie. Na jednej z nich zachowała się etykieta, na której widniał starannie wykaligrafowany napis informujący, że jest to wino z prywatnej piwnicy jej ojca.

Gabrielle odwróciła wzrok. Na ścianach, które ocalały z pożaru, ktoś wypisał kawałkiem zwęglonego patyka slogany rewolucyjne: „Obywatele, wszyscy razem! Wolność! Równość! Braterstwo! Śmierć arystokratom!”.

Z przerażeniem rozejrzała się w poszukiwaniu choćby najdrobniejszych śladów mogących przypomnieć jej o spokoju i miłości, których tu zaznała. Nic... zupełnie nic. Zburzone ściany zdawały się z niej kpić, bo śmiała wierzyć, że ujrzy je takimi, jakie zawsze były; puste otwory, które niegdyś były pięknymi oknami, patrzyły na nią, jakby w milczeniu naigrawały się z jej naiwności.

Poczuła na ramieniu dotyk ręki. Zdała sobie sprawę, że nawet nie zauważyła, jak padła na kolana; spojrzawszy w górę, zobaczyła pochylonego nad sobą Jasona Trace'a. Uzmysłowała sobie, że jest przemoczony do suchej nitki. Woda ściekała z jednego z kantów tricorne'a; buty Jasona pokrywało błoto.

- Chodź, Brielle - powiedział cicho. - Nic tu nie znajdziesz. - Chciał pomóc jej wstać, ale wyrwała się z jego rąk.

- Ach, ależ mylisz się - rzuciła, zrywając się na równe nogi. - Jest tu coś dla mnie. - Podniosła głowę i spójrzała na niego gorejącymi oczami. - Nauka - powiedziała, czując, jak gorące łzy płynące po jej policzkach mieszają się z kroplami deszczu. - Dzięki temu, co tu zobaczyłam, dowiedziałam się, jak nieludscy są ludzie, poznałam bestię kryjącą się w ludzkiej skórze. Cywilizacja to blichtr. A ludzkość! - krzyknęła. - Ludzkość to stado dzikusów!

Jason w zasadzie mógł się z nią zgodzić, ale czyż nie była jednym z tych „dzikusów”? Czyż nie wywodziła się z klasy społecznej, która dokonała tych zniszczeń?

Kiedyś życie w tym zamku musiało być pełne uroku i piękna. Ale cieszyła się nim tylko arystokracja, gnębiąca ciemnych wieśniaków, którzy jej służyli. Wieśniaków, którzy nie mieli niemal żadnych praw. Wieśniaków takich jak Brielle Lafleur.

Nie był w stanie pojąć jej dziwnego zachowania.

- Byłaś przywiązana do tej rodziny, tych Saint-Germain? - zaryzykował. - Byli dla ciebie dobrzy?

Tymczasem spojrzenie Gabrielle powędrowało w górę, by po chwili spocząć na jednym ze zniszczonych okien, z którego wystawał brudny kawałek materiału. Tam niegdyś mieściła się jej komnata. Osmalona szmata była bez wątpienia tym, co zostało z bezcennego gobelinu, który zdobił jedną ze ścian. Gabrielle wpatrywała się niewidzącymi oczami w powiewający na wietrze skrawek, wspominając, jak wspaniale niegdyś prezentowała się ta piękna tkanina.

- Brielle? - Jason obawiał się, czy nie przeżyła zbyt wielkiego wstrząsu. Dziewczyna nie odzywała się, patrzyła tylko pustym wzrokiem przed siebie. - Brielle - powtórzył. - Pytałem, czy ta rodzina była ci bliska?

Drgnęła, jakby zbudziła się z głębokiego snu, i spojrzała na niego.

- Bliska? Tak, byli mi... bliscy. Byli dla mnie... jak rodzina.

W świetle tego, co Jason słyszał o francuskiej arystokracji, wydało mu się to czymś niemożliwym. No cóż, od każdej reguły zdarzają się wyjątki.

- A zwłaszcza hrabina d'Auxerre - ciągnęła Gabrielle. - Była... była taka dobra, pełna wdzięku i ogłady... dla wszystkich miała ciepłe słowo. No i była tak piękna! Nawet w wieku czterdziestu lat miała skórę tak gładką jak młode dziewczyny.

- Rozumiem - powiedział Jason niemal szeptem i delikatnie obrócił Gabrielle w stronę karety. Posłusznie poszła w ślad za nim, jakby nie miała siły więcej stawiać oporu. - Wiesz może, co stało się z nią i jej mężem?

- Pan hrabia - odparła zmęczonym głosem - nie żyje od z górą dziesięciu lat. Przynajmniej los oszczędził mu tego wszystkiego. - Zatoczyła ręką łuk w powietrzu.

Jason skinął głową. Hrabia był jednym z tych, którzy mieli szczęście.

- A jego żona?

Gabrielle przystanąła przy drzwiach do karety i zwróciła się twarzą do niego.

- Louise de Saint-Germain jest w Tempie razem z królową - odparła oziębłym tonem. - Mówi się, że razem z nią pójdzie na szafot.

Zanim się odwróciła, Jason zauważył w jej oczach nieopisany ból. Nie, to tylko złudzenie, pomyślał. Owszem, na pewno ogarnął ją smutek, ale, jako zwykła służąca, nie mogła odczuwać takiego bólu, jaki zdawał się wyzierać z jej oczu. Chociaż... wchodząc do karety, zgarbiła się, jakby na jej barkach spoczywał ogromny ciężar.

To złudzenie, wmówił sobie. Zamknął drzwi, po czym wdrapał się na kozioł.

## 8

Najpierw musieli wrócić po Maurice'a. Nareszcie przestało padać, a lekki wietrzyk i słońce, które wyłoniło się zza chmur, wysuszyły ubranie Jasona. On nawet nie zwrócił na to uwagi.

Co innego zafascynowało jego myślni. Ciagle miał przed oczami zalaną łzami twarz Brielle Lafleur. Nie dawały mu spokoju gorzkie słowa, które dziewczyna wypowiedziała łamiącym się głosem.

„Cywilizacja to blichtr"? Jak to możliwe, żeby prosta dziewczyna z ludu mówiła takie rzeczy? A zwłaszcza Francuzka. Jak by tego było mało, Brielle doskonale znała angielski; rozmowa w tym języku nie sprawiała jej najmniejszej trudności. Po francusku zaś mówiła jak osoba wykształcona. A od chwili, gdy ją zdemaskował, zachowywała się z niezwykle wręcz godnością.

Jak to się stało, że zwykła prostytutka nabrała takich manier? Oczywiście, mogła być po prostu dobra w naśladowaniu innych. Udawanie chłopaka wychodziło jej całkiem niezłe. Czy po prostu naśladowała maniery i mowę arystokratki, o której tak ciepło się wyrażała? A może hrabina d'Auxerre postanowiła, nie zważając na różnice klasowe, zaopiekować się tą dziewczyną i zapewnić jej odpowiednie wychowanie?

Kto wie? Jednak Jasonowi wydawało się to mało prawdopodobne. Któż z kręgów *ancien regime* zdobyłby się na ignorowanie różnic klasowych? A co dopiero arystokratka, która została uwięziona z samą królową. Nie, to niemożliwe.

Z każdą chwilą Jason był coraz bardziej zaintrygowany tą tajemniczą dziewczyną. Jedno jest pewne - powiedział sobie w duchu - Brielle Lafleur nie jest zwykłą prostytutką.

Gabrielle również pogrążyła się w myślach. Po wstrząsie, jaki przeżyła, przez pewien czas nie była w stanie na niczym się sku-

pić. Nie chciała myśleć. Nie chciała czuć. Jednak miarowy stukot podków końskich o bruk i łagodne kołtysanie karety działały na nią uspokajająco. Wkrótce myślała już tylko o tym, co przyniosło ją do Auxerre. O jej misji.

Nie mogło być mowy o przeszukaniu obramowania kominka w zamku. Nie dość, że wszystko zostało spalone, to wejście było zawałone gruzami. Nawet gdyby miała dość siły, żeby przebić się przez stos kamieni, za nic nie potrafiłaby wytłumaczyć Jasonowi Trace'owi, dlaczego właściwie to robi.

No to co dalej? Nic - pomyślała. Jeśli Królowa Morza naprawdę była ukryta w zamku... *Mon Dieu, maman*, czy cię zawiodłam?

Czym prędzej zdławiła strach, który ogarnął ją na samą myśl o tym. Strach był wszechobecny, od wielu miesięcy stał się nieodłączną częścią jej życia. Nie mogła mu teraz ulec.

Pozostawało jej tylko jedno. Musi przyjąć założenie, że klejnot, mimo wszystko, jest w Hotel Liberte. Musi siebie do tego przekonać! Dopóki nie przeszuka wszystkich komnat, nie będzie rozważała jakiegokolwiek innej możliwości.

A jeśli, mimo to, nic nie znajdziesz? - nękał ją jakiś wewnętrzny głos. Gabrielle nie dopuściła, by ogarnęło ją zwątpienie. Jeśli nawet poszukiwania nie dadzą efektu, zdaży jeszcze podjąć jakieś inne działania. Lecz w miarę upływu godzin coraz trudniej było Gabrielle nie myśleć o tym, że czego jak czego, ale czasu mogło nie starczyć, ani jej, ani matce. Czas ma to do siebie, że zawsze jest go za mało.

Gdy dotarli do karczmy, okazało się, że Maurice czuje się już o wiele lepiej. Ponieważ zbliżał się wieczór, zjedli na miejscu kolację, a Jason postanowił, że zostaną tu na noc. Okazał się człowiekiem honoru - nie napomknął stangretowi ani słowem o Gabrielle, ale za to wystarał się dla niej o oddzielną izbę. Zresztą Maurice też miał nocować osobno, rzekomo po to, by mógł się wypaść w spokoju.

Następnego dnia ruszyli w dalszą drogę. Jason nalegał, by Gabrielle i tym razem jechała w karecie, dla jej własnego bezpieczeństwa; ale teraz, kiedy nie musiała już przy nim udawać chłopaka, podróż w jego towarzystwie nie była dla niej aż tak straszną perspektywą. Co prawda, Gabrielle zrzuciła tylko jedną ze

swoich masek. Jednak przeobrażenie w Brielle dokonało się tak dawno temu, że zdążyła już przywyknąć do swojego drugiego ja.

Wczesnym popołudniem znaleźli się z powrotem w Paryżu. Gabrielle poczuła w sercu ukłucie niepokoju, gdy zobaczyła, jak dokładnie strażnicy sprawdzają wszystkich wjeżdżających. Gdyby nie to, że jechała z Trace'em, mogła nie dostać się z powrotem do miasta. Może był to znak od losu, wskazujący, że wszystko tak właśnie musiało być. Że Królowa nadal jest w Paryżu i właśnie tu należy jej szukać. Gabrielle niemal udało się to sobie wmówić.

Jason pogawędził chwilę ze strażnikami i po drodze do pałacu Rolandów tłumaczył Gabrielle, w jak ciężkiej sytuacji znalazła się Francja.

Armia francuska, stawiająca czoło całej Europie, musiała być nieprzerwanie zaopatrywana w żywność. Odbijało się to niekorzystnie na życiu zwykłych obywateli. Wartość bonów gwałtownie spadła, powodując niebotyczny wzrost cen. Jason wspominał o powstaniu w Vendee, które wybuchło w marcu. Istniały obawy, że może się ono rozszerzyć; sytuacja w Caen, Bordeaux, Marsylii, Tulonie, Lyonie oraz na Korsyce z każdym dniem stawała się bardziej napięta.

Paryż przypominał obleżoną fortecę. Z okien karety widać było krążące po ulicach uzbrojone bandy. Ze wszystkich stron dobiegały wrogie okrzyki. A Gabrielle słyszała coś jeszcze, dźwięk, którego nie pomyliłaby z żadnym innym - turkot kół wozów ze skazańcami.

Po powrocie do pałacu nikt nie czynił jej wyrzutów; Reynard pochwalił ją nawet za to, że, jak na dobrą siostrzenicę przystało, zaopiekowała się biedną, schorowaną ciotką. Gabrielle odetchnęła z ulgą i natychmiast powróciła do wypełniania swoich obowiązków. Ale jak wkrótce miało się okazać, nie był to koniec jej kłopotów.

Tego wieczoru, ujrawszy pod drzwiami swojego pokoju kartkę, na której narysowana była biała róża, zeszła do ogrodu na spotkanie z Le Feu. Tyle że to nie Le Feu czekał tam na nią. Jej oczom ukazał się sam Antoine d'Albret.

Kochanek matki nie stracił ani trochę ze swojego uroku, mimo że miał na sobie luźne, typowe dla rewolucjonistów odzienie, które nie podkreślało jego męskich przymiotów tak,

jak obciste bryczesy noszone na dworze królewskim. Jednakże na sam widok jego twarzy wszystkim kobietom krew szybciej zaczynała krążyć w żyłach. Gabrielle do tej pory widziała tylko jednego mężczyznę, który dorównywał mu urodą. Był to Jason Tracę.

Właściwie są do siebie podobni - pomyślała, przyglądając się w świetle księżycy twarzy swojego współnika. Zwłaszcza teraz, kiedy d'Albret patrzył na nią, gniewnie marszcząc czoło.

- Przepraszam, jeśli musiałeś na mnie czekać - powiedziała - ale dzisiaj trudno było wyrwać się z pałacu.

- O ile wiem, jakoś nie miałaś trudności z wyjazdem do Burgundii.

Gabrielle zamarła.

- Skąd...

- Mam swoje źródła informacji, Gabrielle - odparł nieprzyjemnym tonem. - Niestety, nie dowiedziałem się, po co tam pojechałaś. Zaraz temu zaradzimy.

Gabrielle nigdy jeszcze nie widziała, żeby był tak rozgniewany. Jego gniew jednak był w pełni kontrolowany; d'Albret mówił spokojnym, beznamiętnym tonem.

- Miałam możliwość wyjazdu do Burgundii, więc z niej skorzystałam, to wszystko.

- To wszystko? Ot, miła przejażdżka do krainy winnic? Uważasz mnie za głupca? Pojechałaś do Auxerre!

Skąd mógł o tym wiedzieć? Może miał w domostwie Rolandów swojego szpiega? Ale nawet Maurice nie wiedział, że pojechali do Auxerre! D'Albret był naprawdę świetnie poinformowany. No, ale przecież miał wysoko postawionych przyjaciół. I bez względu na to, co działo się wokół, Le Chat, jak prawdziwy kot, zawsze spadał na cztery łapy.

- Tak - zaczęła niepewnie - przynaję, pojechałam do Chateau Saint-Germain. Korzystając z okazji, chciałam przeszukać zamek.

- I tak jakoś zapomniałaś nas o tym poinformować, zgadza się? - Głos d'Albreta nadal był niezwykle spokojny, ale nie sposób było nie zwrócić uwagi na brzmącą w nim groźbę.

- Nie było czasu!

- Może... - Wbił w nią wzrok.

Gabrielle z trudem wytrzymała przenikliwe spojrzenie jego ciemnych oczu. Nigdy nie przepadała za d'Albretem, ale nigdy też nie czuła przed nim takiego lęku jak teraz.

- Antoine, proszę, musisz mi uwierzyć. Przecież wiesz, że nikt nie pragnie odnaleźć Królowej tak bardzo jak ja.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- No dobrze - powiedział wreszcie. - I cóż znalazłaś?

- Nic - szepnęła, a przed jej oczami ponownie stanął widok zrujnowanego zamku. Nic. Powiedziała mu, jakim przerażeniem napełniło ją to, co tam ujrzała. Nareszcie mogła podzielić się bólem z kimś, kto pamiętał Chateau Saint-Germain takim, jakie było w czasach swojej świetności. Gdy skończyła tę przejmującą opowieść, jej twarz zalewały łzy. Spojrzała na dłonie. Nawet nie zauważyła, kiedy zacisnęła je w pięści.

- Ty smarkata idiotko!

Gabrielle uniosła głowę i spojrzała z przerażeniem na d'Albretta. Jego zimne oczy wpijały się w nią, jakby zastrugiwała na pogardę.

D'Albret zawsze wydawał jej się oschły; ale gdy widziała, jak świetnie jej matka czuje się w jego towarzystwie, składała swoją niechęć na karb wybujałej wyobraźni.

Teraz już wiedziała, że nie myliła się co do niego. Pozostawało jej mieć nadzieję, że nie popełniła błędu, pokładając w nim zaufanie. Jak matka mogła pokochać kogoś takiego? Gabrielle nie chciała nawet o tym myśleć.

- Gdybyś zapytała, powiedziałbym ci, co tam znajdziesz - burknął. - Nic. Niepotrzebnie ryzykowałeś. Mówię ci, Królowa Morza jest tu, w Hotel Liberte!

Gdy zapewniła go, że mu wierzy, wydawał się nieco udobruchany. Zapytała jeszcze, czy słyszał coś nowego o matce. W odpowiedzi powtórzył krążące w mieście plotki: że Antonina i Louise na razie nie mają kłopotów ze zdrowiem, choć była królowa ponoć zamartwia się o los swoich dzieci, które zostały jej odebrane. Wszyscy więźniowie z rodziny królewskiej, podobnie jak hrabina, przebywali w osobnych pojedynczych celach.

Powstrzymując łzy cisnące się do oczu, Gabrielle obiecała d'Albretowi, że dokładnie przeszuka *hotel*. Gdy biegiem wracała do pałacu, przed jej oczami stanął obraz matki siedzącej samotnie w celi więziennej. Musiała, po prostu musiała, znaleźć ten klejnot!



Gabrielle przemknęła przez pogrążone w ciemności kuchnie do klatki schodowej dla służby. O tej porze nie było tu nikogo. Mimo to serce podchodziło jej do gardła za każdym razem, gdy stawała na skrzypiącym stopniu. Kiedy wreszcie dotarła na górę, usłyszała, że ktoś ją woła. Zastygła w bezruchu.

Dopiero po chwili rozpoznała osobę ukrytą w ciemności.

- Mignon! - wydusiła z siebie. - Co ty tu robisz o tej porze?

- Kto wie, może to samo co ty - odparła wymijająco Mignon.

- Brielle, przejrzałam cię na wylot - dodała grożąc jej palcem. - Widziałam, jak idziesz do stajni. Który wpadł ci w oko? Ten nowy stajenny, Victoir? Coś w nim jest.

Odzyskawszy zimną krew, Gabrielle uznała, że najlepiej będzie nie wyprowadzać jej z błędu.

- Może... chociaż on jest ździebko za chudy. Wolałabym kogoś bardziej... męskiego, ty nie?

Brunetka uśmiechnęła się lubieżnie.

- *Oui*, na przykład tego czarta z Ameryki, co?

Gabrielle udała, że na wspomnienie Trace'a przebiega ją rozkoszny dreszcz. O dziwo, przyszło jej to bez najmniejszego trudu. Skarciła się w duchu. Trace był przystojny, to wszystko. Zignorowała cichy wewnętrzny głos, który przypomniał jej, że d'Albret też jest urodziwy, a dźwięk jego imienia nigdy jeszcze nie rozbudził w niej tak dziwnych uczuć.

Mignon zauważyła jej reakcję i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- A wiesz co? Jutro wieczorem ci Amerykanie przyjdą na kolację. I zgodzili się, żeby tu przenocować.

Gabrielle nie potrafiła ukryć zaciekawienia. Myślała, że nigdy już nie zobaczy Jasona.

- To nie wszystko - ciągnęła Mignon, wyraźnie podekscytowana. - Zostałam przydzielona do zielonego apartamentu, tego samego, w którym zamieszka *monsieur* Trace. To ja przyniosę mu kawę... a może brandy... - Znacząco przewróciła oczami. - ... czy też cokolwiek sobie zażyczy.

Gabrielle z trudem zmusiła się do okazania radości. Dlaczego myśl, że Mignon mogłaby wylądować w łóżu Amerykanina, napawała ją takim dziwnym niepokojem?

- Ach, gdyby ściany zielonego apartamentu mogły mówić - ciągnęła Mignon. - Czyż ten zdrajca Lafayette nie mieszkał tam

w zeszłym roku? I ta ruda suka, która teraz poznaje uroki więzienia Tempie razem z wdową po Kapecie. - Splunęła na podłogę z pogardą.

Ruda? Serce zabiło żywiej w piersi Gabrielle. Zielony apartament. Jej matka mieszkała w zielonym apartamencie!

- Mówię ci, Brielle - ciągnęła Mignon z wyraźnym upodobaniem - już niedługo Austriaczka, no i oczywiście ta ruda szmata, pójdą w ślad za Ludwikiem Kapetem na szafot. „Wnet nadejdzie ten czas!”.

Ciarki przeszły po plecach Gabrielle, gdy patrzyła, jak Mignon lekkim krokiem zmierza do kwater służących, podśpiewując pod nosem pieśń *Ca Ira*. Przez chwilę ta pieśń nienawiści brzmiała bardziej złowrogo niż wrzaski krwiożerczej tłuszczy na Placu Rewolucji.

Cóż takiego *maman* uczyniła, by zasłużyć na taką nienawiść? Louise de Saint-Germain była uosobieniem dobra dla wszystkich, wysoko i nisko urodzonych. Nawet służący w Wersalu, znani z hardości i cynizmu, wyrażali się o hrabinie d'Auxerre z sympatią.

Gabrielle uśmiechnęła się, wspominając, jak niegdyś, w Auxerre, matka zaopiekowała się rodziną chorych wieśniaków. Nikt inny nie chciał się do nich zbliżyć w obawie, że mają ospę.

Owszem, *maman* w dzieciństwie cudem przeżyła atak tej straszliwej choroby. A ponieważ wiadomo było, że ospę przechodzi się tylko raz w życiu, *maman* nie miała się czego obawiać. Inaczej papa nigdy nie zgodziłby się, by podjęła takie ryzyko. Ale czy znalazłaby się inna arystokratka, która spędzałaby dnie i noce przy łożu zwykłych wieśniaków?

Z zamyślenia wyrwało Gabrielle bicie zegara stojącego na półpiętrze. Najwyższa pora iść do łóżka, żeby jutro nie zasnąć.

A jutro mam tak wiele do zrobienia - pomyślała. Muszę ja-koś się dostać do zielonego apartamentu. Tak, „wnet nadejdzie ten czas!”.

## 9

Psst... *Mam'selle!*

Gabrielle odwróciła się i opuściła nieco ręce, w których niosła stos bielizny pościelowej sięgający jej do samego czoła. Gdy zobaczyła, kto ją woła, prychnęła w gniewie.

- Rene, ty nicponiu, o co chodzi? Miałam przynieść to wszystko dziesięć minut temu, a Reynard ciągle jeszcze czeka na... *mon Dieu!* Co robisz w tym stroju?

Stajenny dumnie wypiął pierś i uśmiechnął się szeroko. Gabrielle przez chwilę nie mogła oderwać oczu od jego nowiutkiego ubrania.

- A jak myślisz? - spytał, pokraśniały z zadowolenia.

- Myślę, że tym razem posunąłeś się zbyt daleko, Rene. Nie wiem, jak ci się udało podprowadzić...

- *Mam'selle!* - krzyknął, udając najwyższe oburzenie. - Ten strój dostałem od samego Reynarda! Zostałem awansowany - napuszył się jeszcze bardziej - na lokaja. Ponieważ wszystkie komnaty gościnne są zajęte, zabrakło...

- Tak, tak, wiem. - Trzej lokaje niespodziewanie zaciągnęli się do wojska, przez co brakowało ludzi mogących zająć się obsługą gości przy kolacji. Gabrielle od świtu nieprzerwanie była na nogach. Teraz, późnym wieczorem, czuła się niesamowicie znękana, choć nie tylko z powodu przepracowania. Obiecała sobie, że tego dnia przeszuka zielony apartament. Jednak, jak do tej pory, nie miała po temu najmniejszej okazji.

A teraz ten napuszony kogut zabierał jej cenny czas, bo musiał się pochwalić swoją nową zdobyczą.

- Nie zwracaj głowy, Rene! Myślisz, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko stać tu i podziwiać twój...

- No, no, ranisz mnie, Brielle. - Rene przybrał zasmuconą minę i potrząsnął głową. - Przyszedłem tu, żeby wziąć od ciebie pościel. *Madame* Roland chce, żebyś pomogła obsługiwać gości w niebieskim salonie. Przenoszą się tam, aby napić się brandy i...

- Mój Boże! Czemu nie powiedziałaś od razu? - Grożąc, że któregoś dnia naprawdę pourywa mu uszy, oddała chłopcu stos bielizny pościelowej, odwróciła się na pięcie i skierowała kroki w stronę salonu.

Po drodze ogarnął ją niepokój, że dalsze poszukiwania będą musiały poczekać. Planowała dostać się do komnaty Trace'a w czasie długiej, uroczystej kolacji, z której Amerykanin na pewno nie mógłby się wymknąć. A teraz wyglądało na to, że kolacja dobiegła już końca i...

- Brielle, tu jesteś. - Mignon pomachała do niej z drugiego końca korytarza.

Gabrielle zwolniła kroku. Cóż znowu? Przez cały dzień bez przerwy ktoś jej przeszkadza.

Ciemnowłosa pokojówka uśmiechała się do niej.

- Wyświadczyłam ci przysługę, Brielle. Przekonałam ich, żeby pozwolili mi ciebie zastąpić. Możesz pójść do kuchni i coś przekąsić albo...

- Zastąpić? Ale ja słyszałam, że...

- Cholera! - Mignon uniosła się gniewem.

Wszyscy wiedzieli, że miewa humory, ale Gabrielle po raz pierwszy odczuła to na własnej skórze. Powstrzymała się od zjadliwej riposty. Powodzenie jej misji wymagało, by utrzymywała dobre stosunki ze wszystkimi domownikami.

- Nie bądź głupia, Brielle - ciągnęła Mignon zagniewanym tonem - skoro ci idę na rękę, to z tego skorzystaj.

- Przepraszam, Mignon - mruknęła Gabrielle. - Po prostu zastanawiam się, dlaczego to robisz.

- Nie mam czasu wyjaśniać. Gdyby ktoś pytał, źle się czujesz. - Gniew Mignon zmienił się w poirytowanie. Gabrielle miała wrażenie, że zauważyła dziwny błysk w jej oczach. - No, idź już. Za nic nie przegapię takiej okazji. Wpadnę temu Amerykaninowi w oko, choćbym miała oblać go brandy. A teraz idź stąd i za żadne skarby nie pokazuj się w salonie, dobrze?

Mignon mrugnęła porozumiewawczo okiem, jak na niepoprawną kokietkę przystało, po czym odwróciła się i popędziła w stronę salonu. W tej samej chwili Gabrielle pobiegła w przeciwnym kierunku. W stronę komnat gościnnych. Dzięki Mignon nareszcie otworzyła się przed nią szansa.

Gabrielle odetchnęła z ulgą, gdy stanęła przed drzwiami zielonego apartamentu. Na schodach nie natknęła się na nikogo, a korytarz był zupełnie pusty. Wstrzymując oddech, nacisnęła klamkę. Komnaty gościnne zwykle pozostawały otwarte, by służba mogła je posprzątać, ale pośród gości zawsze trafiał się taki, który miał swój klucz i - ach!

Drzwi otworzyły się. Gabrielle wśliznęła się do środka i ostrożnie zamknęła je za sobą. Następnie się rozejrzała. W świetle płynącym z kinkietów umieszczonych na ścianach widziała wszystkie szczegóły wnętrza. Była w przestronnym, wysokim, pełnym przepychu salonie.

Jednak jej uwagi nie przykuły ani bogato zdobione meble, ani ściany obite ręcznie malowanym zielonym jedwabiem, ani dywan z Aubusson. Oczy Gabrielle od razu spoczęły na małym kominku, na którym stał pozłacany zegar i dwie porcelanowe wazy z Sevres. Wpatrując się w rzeźbiony drewniany fizyz, podeszła bliżej.

Po kilku minutach ogarnęło ją całkowite zniechęcenie. Sprawdziła każdy cal fizyżu, próbując naciskać, ciągnąć i obracać poszczególne elementy. Potem opukiwała drewno w nadziei, że usłyszy charakterystyczny, pusty dźwięk. I nic z tego. Jeśli gdzieś tu znajdowała się skrytka, to Gabrielle za nic nie była w stanie jej odnaleźć.

Jej spojrzenie spoczęło na drzwiach prowadzących w głąb apartamentu. Tam z pewnością była sypialnia i, być może, garderoba. Sypialnia... tak, możliwe, że *maman* wybrała do swoich celów pomieszczenie, w którym nikt nie mógł jej przeszkodzić.

Gabrielle szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi, spoglądając po drodze na zegar. Wpół do pierwszej? Zupełnie nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu. Trzeba się więc spieszyć!

Przechodząc obok szerokiego łóża nakrytego zielonym aksamitem, nie odrywała wzroku od wielkiego pozłacanego kominka. Wszystko wskazywało na to, że pochodził z początków siedemnastego wieku, z obfitujących w intrygi czasów Marii Medycejskiej. Niemożliwe, żeby nie miał żadnych tajnych skrytek.

Gabrielle musnęła palcami obramowanie kominka. Gdy jej spojrzenie padło na łaćciński napis u podstawy, usłyszała za sobą przytłumiony dźwięk.

Odwróciła się gwałtownie. Z jej ust wyrwał się jęk. W drzwiach stał Jason Tracę. Oparty nonszalancko o framugę, mierzył Gabrielle spojrzeniem od stóp do głów. Na jego pięknie wykrojone usta wypłynął uśmiech.

- *Mademoisele* Lafleur, o ile mnie wzrok nie myli. Jakże się cieszę, że pani mnie odwiedziła. Proszę mi tylko powiedzieć, czemu zawdzięczam taki... zaszczyt?

Gabrielle zastygła w bezruchu, nie będąc w stanie wydusić choćby jednego słowa. Jednak jej umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Pretekst... Musiała wymyślić coś, co byłoby przekonujące. Od czasu aresztowania matki wychodziła obronną ręką z wszelkich opresji. Oby i teraz się udało.

- Ależ proszę, śmiało - powiedział Jason podejrzanie spokojnym tonem. - Jestem rozsądnym człowiekiem, który chce cię wysłuchać. Choć muszę przyznać, że nieodparcie nasuwają mi się pewne podejrzenia. Masz dziwną skłonność do pojawiania się w, nazwijmy to, niezwykłych okolicznościach.

Tracę stał w niedbałej pozie z frakiem przewieszonym przez ramię. Miał na sobie rozpiętą kamizelkę. Starannie uczesane włosy tym razem były w nieładzie. Kilka ciemnych kosmyków opadających na czoło przydawało mu iście chłopięcego wyglądu.

Jednak Gabrielle nie miała złudzeń. Jego ciemne oczy patrzyły na nią złowieszczo. Tracę nie był naiwny. Jeśli nie uda jej się wyprowadzić go w pole, powodzenie misji stało pod znakiem zapytania.

Nagle przed jej oczami stanął obraz Mignon, przechwalającej się, że przydzielono ją do tego apartamentu, i zdecydowanej na wszystko, byle dostać się do łóża Amerykanina. Jakże to oczywiste!

Zwilżyła wargi końcem języka, układając w myśli odpowiedź. Zauważyła, że jego spojrzenie prześlizguje się po jej ustach.

- Ciekawe... - mruknął i rzucił frak na oparcie fotela, po czym podszedł do niej. - A już byłem gotów przysiąc, że język ci kołkiem stanął. - Nie spuszczać wzroku z jej ust, delikatnie ujął ją za podbródek, podnosząc jej głowę. - Tymczasem zademonstrowałaś, że jeszcze całkiem sprawnie działa. No i wygląda niezwykle kusząco.

Stali tak blisko siebie, że Gabrielle czuła wydzielaną przez niego męską woń. Składał się na nią zapach koni, tytoniu, skóry, słaby aromat mydła z drzewa sandałowego... i coś jeszcze. Coś, czego nie potrafiła nazwać, ale wiedziała, że jest to coś niezaprzeczalnie... męskiego.

Patrzył na nią zupełnie inaczej. Jego oczy nie były już zimne i przenikliwe, przywodziły raczej na myśl ciemne, rozżarzone węgle. Nawet nie drgnęła, gdy ich spojrzenie prześliznęło się po jej twarzy, by po chwili ponownie zatrzymać się na ustach. Nie pierwszy raz ktoś tak patrzył na Gabrielle. Pamiętała, jak w Wersalu dworzanie wbijali w nią płonące oczy, niezdecydowani, czy się ośmielić, czy warto z takiego powodu ściągać na siebie gniew jej matki.

To była właściwa chwila. Teraz pozostawało tylko liczyć, że się uda.

Spuściwszy wzrok, zmusiła się do zachowania spokoju, po czym sugestywnie przysunęła się do niego.

- Jason - mruknęła głębokim głosem - myślę, że doskonale wiesz, dlaczego tu jestem. - Miała nadzieję, że zachowuje się dokładnie tak jak kokietki, które setki razy widziała na dworze królewskim. Jej serce bilo niczym rozkołysany dzwon.

Zachowanie Brielle nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Gdy Jason poczuł dotyk jej miękkich piersi, przeszło go dobrze mu znane uczucie, ale mimo to się zawahał. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, że to może być podstęp. Już w Burgundii dziewczyna zachowywała się niezwykle podejrzanie, a jakby tego było mało, teraz przyłapał ją na przeszukiwaniu jego sypialni. Ale dla kogo mogła pracować? Czego właściwie szukała? Nie był w stanie znaleźć choćby jednego racjonalnego wytłumaczenia.

A co tam - pomyślał, gdy jego palce bezwiednie wsunęły się w jej włosy. Przynajmniej wiedział, co oferowała mu w tej chwili. A gdy jego zmysłami zawładnęła spowijająca ją delikatna, kwiatowa woń, zdał sobie sprawę, że chce z tej oferty skorzystać.

Powoli, wmawiając sobie, że może przecież uzyskać odpowiedź w czasie zaspokajania swoich żądz, uchwycił jej głowę w obie ręce. Gdy poczuł, że przez ciało dziewczyny przeszło drżenie, ogień w jego łądźwiach przerodził się w pełny wzwód. Brielle zatrzepotała powiekami; zanim wpił się w jej usta, zdążył jeszcze zobaczyć modre oczy.

Nim Gabrielle poczuła na wargach dotyk ciepłych, twardych ust, spodziewała się, że za chwilę powtórzy się to, co przeżyła w Wersalu,

napastowana przez lubieżnego dworzanina. Tymczasem wciągał ją wir wrażeń, które były tak cudowne... i tak wszechogarniające.

Wargi Jasona zaczęły igrać z jej wargami w powolnym tańcu, muskając je i spajając się z nimi, aż Gabrielle wydało się, że ich złączone usta są dwiema częściami jednej całości. Jego palce delikatnie masowały jej skronie, przyprawiając ją o zawroty głowy.

"Wtedy, jak we śnie, uzmysłowiła sobie, że język Jasona ostrożnie zaczyna wnikać w jej usta. Najpierw prześliznął się po jej wargach, tak że Gabrielle niemal mimowolnie rozchyliła je, pragnąc, by nie przestawał. Stopniowo wnikał coraz głębiej... drażniąc... kusząc.

Ogarnęła ją niewypowiedziana słodycz. Koniuszek jego języka musnął jej dolną wargę, po czym powędrował do kącika ust. A gdy Gabrielle nie mogła już złapać oddechu, wsunął się głębiej i ich języki na chwilę spotkały się w dotyku.

Przeszedł ją przyjemny dreszcz, a z jej ust wydarto się mimowolne westchnienie. Czując, jak język Jasona powoli sunie po jej zębach, rozchyliła usta jeszcze szerzej. Nagle, zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, palce Trace'a wniknęły głębiej w gęstwinę jej włosów, a język złączył się z jej językiem w aksamitnym uścisku. Od stóp do głów przebiegła ją fala rozkoszy.

Było to coś zgoła magicznego. Poczwała, jak budzi się w niej pożądanie. Zadrżała, po czym wspięła się na palce i zarzuciła mu ręce na szyję. Z ust Jasona wyrwał się cichy pomruk. Jego dłonie zsunęły się z jej ramion; jedna spoczęła na plecach, a druga - pod pośladkami Brielle. Zaraz potem Jason podniósł dziewczynę z podłogi i mocno przycisnął do siebie.

Mimo że ubrania oddzielały ich od siebie, było to najintymniejsze zbliżenie, jakie Gabrielle mogła sobie wyobrazić. Czwała bijące od Jasona ciepło, a w zwieńczeniu ud uciskało ją zgrubienie jego męskości. Jego język nieprzerwanie odbywał szaleńczą wędrówkę w jej ustach. Gabrielle tuliła się do Trace'a, ogarnięta słabością, której nawet nie potrafiła pojąć.

Jason nie posiadał się ze zdziwienia. Ta dziewczyna tak wspólnie reagowała na jego pieszczoty! Jak to możliwe, żeby ten pojętny kasek tak skutecznie go zwodził udając chłopaka? Przecież wszystko w niej było tak kobiece - nawet pewien opór, który skrywał się pod jej żądzą. Brielle była uosobieniem niewinności



i namiętności zarazem. Chryste! Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek jakaś kobieta tak na niego działała!

- Boże, ależ jesteś cudowna, Brielle! - szepnął, gdy jego usta zawędrowały do jej ucha. - I tak namiętna. Ach, tak gorąca!

Gabrielle chciała zaprotestować, powiedzieć mu, że te słowa nie mogą jej dotyczyć, lecz zapomniała o wszystkim, gdy tylko zaczął ją delikatnie kasać w ucho. Pomiędzy udami, w miejscu, gdzie do jej ciała przylegała jego męskość... - *Mon Dieu!* To miejsce pulsowało!

Jason powoli postawił Brielle na podłodze, ani na chwilę się od niej nie odrywając. Następnie objął ją jedną ręką w talii.

Druga dłoń powędrowała do jej piersi. Gdy ujął sutek między kciuk a palec wskazujący, Gabrielle wydała z siebie okrzyk rozkoszy.

- Dobrze ci, prawda? - szepnął jej na ucho. Głos miał dziwnie chrapliwy, a ciepły podmuch powietrza z jego ust sprawił, że o mało nie zemdląła z rozkoszy. - Tak, jestem pewien. Widzisz, jak sterczy twój słodziutki mały sutek? Ani chybi błaga o jeszcze.

Zanim Gabrielle zorientowała się, o czym Jason mówi, jego dłonie sięgnęły do jej piersi, muskając kciukami ukryte pod suknią sutki. A po chwili zręczne palce przystąpiły do działania, muskając, delikatnie wykręcając...

*Mon Dieu...* ta rozkosz! Tak przejmująca, że niemal bolesna. Z jej ust dobył się jęk, który przerodził się w łkanie; wtedy Jason wpił się w jej usta w odurzającym pocałunku. Gabrielle poczuła, że opuszczają ją wszystkie siły. Pozostało tylko to nie nazwane pożądanie. Wydawało jej się, że wszystko w niej topnieje, a jej członki stają się ciężkie... pozbawione kości. Bezwolnie uwiesiła się na jego ramionach.

Tymczasem Jason oderwał usta od jej ust i śmiejąc się cicho, wziął ją na ręce.

- Twoje ciało domaga się rozkoszy, Brielle - szepnął - a ja ci ją dam.

Jak we śnie, czuła, że kładzie ją na wielkim baldachimowym łożu. Zielony aksamit zdawał się wirować nad jej głową, gdy Jason niewyraźnie mruczał... po francusku... po angielsku... obietnice, które sprawiły, że jej policzki oblały się rumieńcem, a ona sama wiała się bezwstydnie, nie mogąc się doczekać ich spełnienia.

Uzmysłowiła sobie, że Jason zdejmuje z niej ubranie. Chusta na szyję... halka... stanik... opadły na podłogę niczym pajęczne nici niesione wiatrem. Gabrielle, naga, zadrżała pod spojrzeniem Trace'a.

- Jesteś piękna... o wiele piękniejsza, niż sobie wyobrażałem.

Gabrielle miała dziwne wrażenie, że jego słowa, wypowiedziane cichym, chrapliwym głosem, dobiegały z bardzo daleka. Jason nachylał się nad nią, pieszcząc i całując każdą odsłanianą część jej ciała.

Bała się, że umrze od natłoku przesywających ją doznań, które zdawały się wnikać w głąb jej ciała, sięgać wszystkich zakończeń nerwowych. Piersi, brzuch, uda - nic nie umknęło magii jego dłoni, jego ust.

Dobry Boże, czy on naprawdę całuje mnie w to miejsce? - pomyślała, ale już po chwili straciła wszelką zdolność do rozumowania. Pozostały tylko rozpalone zmysły, a świat Gabrielle przeistoczył się w konstelację rozkoszy.

Uzmysłowiła sobie, że on też jest nagi. Doznania przybrały na sile - skóra przylegająca do skóry, jego umięśnione ciało poruszające się nad nią, gdy całował ją do utraty zmysłów. Ciepła dłoń sunęła ku górze między jej drżącymi udami.

Co się z nią dzieło? Kiedy Jason przesunął palcem po jej łonie, poczuła, że jest tam mokra. Dlaczego? Wtedy jego kciuk zaczął powoli, kolistym ruchem wędrować tuż powyżej i...

W tej chwili ogarnęła ją fala niewiarygodnej wręcz słodyczy. Z ust Gabrielle wyrwał się okrzyk. Wciągnął ją wir rozkoszy, tak gwałtowny, że niczym w konwulsjach szarpnęła się na łożu raz, a potem drugi.

- *Mon Dieu!* - krzyknęła. - *Mon Dieu!*

Jason robił, co mógł, by zmusić się do cierpliwości, gdy ona szczytowała dwa razy z rzędu. Choć jego ciało domagało się natychmiastowego spełnienia, chciał ją ponownie rozpalic, nim w nią wejdzie. O Boże, ona była doskonała!

Gdzieś w głębi jego umysłu rozległ się cichy, natarczywy głos. Zignorował go, szepcząc słowa pochwały i zachęty do czarownego dziewczęcia, drżącego w jego ramionach. Mimo to głos nie ustępował. Usiłując jakoś go wyciszyć, Jason wpił się ustami w piersi dziewczyny. Brielle kręciła się we wszystkie strony, przeżywając rozkosz na nowo.

Głos ten jednak wciąż rozbrzmiewa! w jego uszach ostrzegając, że to samo musiał odczuwać Alexander. Teraz i on, Jason, napotkał francuską Kirke. Nic dobrego z tego nie wyjdzie. Pownownie otrząsnął się z tych myśli, rozłożył jej uda.

I wszedł w nią.

Gabrielle krzyknęła przeraźliwie i próbowała się odwrócić na bok, by jakoś uśmierzyć ten przenikliwy ból. Jason zawahał się i zesztyniał.

- Nie ruszaj się! - nakazał, czując, jak dziewczyna wije się pod nim i próbuje go odepchnąć. - Nie ruszaj się, a ból minie, Brielle. Rozumiesz? Straciłaś dziewictwo, to wszystko. Ból zaraz minie.

Przynajmniej taką miał nadzieję. Nigdy jeszcze nie miał dziewczyny; nie dotknąłby tej dziewczyny, gdyby tylko wiedział. Chryste, dziewica! Alexander wychował go w duchu kodeksu dżentelmeńskiego, zakazującego takiego postępowania. Ale bywalcy karczm i piwiarni przerzucali się opowieściami o rozdzwieczaniu niewiast, a Jason, jako dorastający młodzieniec, był niezwykle uważnym słuchaczem.

Jason poczuł, że dziewczyna uspokoiła się trochę, i kamień spadł mu z serca. Jego ciało domagało się spełnienia. Nie zamierzał przerywać w takiej chwili.

Powoli zagłębił się w niej. Jezu, ależ była ciasna! Musiał całkowicie panować nad sobą, by nie wzmagać w niej bólu wywołanego rozerwaniem błony dziewiczej. Sama tego chciała, ale on nie był dzikusiem, na Boga. Sprawি, że dla nich obojga będzie to przyjemne, u licha!

Gabrielle z pewnym zaskoczeniem odczuła zmianę. Jeszcze przed chwilą, gdy odczuwała przenikliwy ból, pragnęła nade wszystko, by Trace zaprzestał tego, co robi; jednak teraz ból już ustał. Co dziwniejsze, znowu zaczęła ogarniać ją przyjemność, która narastała wraz z każdym pchnięciem. Nie, on nie mógł przestać! Wyzionęłaby ducha, gdyby to zrobił! Fala pożądania niosła ją wyżej i wyżej; Gabrielle bała się wręcz, że nie znieśie tak gęłobkiej rozkoszy.

I wtedy - wtedy! Z jej ust dobył się przeciągły okrzyk, gdy rozkosz rozlała się po całym jej ciele. Sekundę później zawtórował jej Jason.

-Na Boga, Brielle, jeśli zaczniesz lać łzy dziewiczego żalu, to, słowo daję, uduszę cię własnymi rękami! - W umyśle Jasona kotłowały się podejrzenia. Ze złością nachylał się nad nią na łóżku. Nim odwróciła wzrok, zauważył smutek czający się w jej oczach.

- Nie mam zamiaru płakać! - odparła gniewnie. Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy, mając nadzieję, że uda jej się dotrzymać słowa.

Bo naprawdę chciało jej się płakać. Ale nie dlatego, że żałowała utraconej niewinności. Kiedy zaczęło do niej docierać, co uczyniła, próbowała przekonać samą siebie, że poświęciła się dla *maman*. Jednakże, jak mogła pogodzić tak szlachetne wytłumaczenie z rozkoszą, którą dane jej było przeżyć? Nie mogła. Gdzieś w głębi jej duszy czaiły się smutek i poczucie winy.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedział beznamiętnym tonem. Gabrielle zeszywniała.

- Nie potrzebuję twojej aprobaty. Jestem dorosłą kobietą, mogę sama dokonywać...

- Ty idiotko! - warknął i złapał ją za ramię, gdy próbowała zsunąć się z łoża. - A może to ty mnie masz za idiotę. Co tak naprawdę tu robiłaś, Brielle, jeśli to w ogóle twoje prawdziwe imię?

Zauważył przerażenie malujące się w jej oczach i ponuro skinął głową.

- Trafłem w dziesiątkę, co? Doskonale. Czynimy postępy.

Puścił jej rękę, ale był przygotowany, by złapać ją ponownie, gdyby próbowała uciekać.

Gabrielle nagle uzmysłowiła sobie, że obydwójce są nadzy, i podciągnęła prześcieradło, by się nim nakryć. Boże jedyny, cóż oni zrobili! Poczowała, że jej policzki spłonęły rumieńcem i zawstydzona spuściła oczy.

Jason zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Trochę spóźniony ten pokaz skromności, *n'est-cepas?* - Mówił po angielsku, a francuskie wyrażenie wyrzucił z siebie z niezrozumiałą złością. - A teraz - ciągnął - proponuję, żebyś zaczęła od początku. Czego tak naprawdę szukałaś w Burgundii i w mojej sypialni? Kto cię na mnie nasłał? Wytłumacz się, *mademoiselle*, i niech to będzie tłumaczenie przekonujące. Nikt nie oddaje za darmo czegoś tak cennego jak to, co właśnie straciłaś!

## 10

Jason niespokojnie krążył po sypialni, mruczając pod nosem jakieś soczyste, angielskie frazy. Wreszcie przystanął, wpijając się płonąącym wzrokiem w drobną dziewczynę na łożu. Przez ostatni kwadrans ta mała francuska wiedźma nie odpowiedziała na żadne z jego pytań. Siedziała tylko w milczeniu, przyciskając do piersi prześcieradło, jakby w ten sposób chciała bronić swojej cnoty.

Cnoty - ha! Raczej tego, co z niej zostało. Chociaż, szczerze mówiąc, ta irytująca dziewczucha nie wydawała się tym zbytnio przejęta!

Zaraz po tym, jak to zrobili, sprawiała wrażenie, jakby przeżyła głęboki wstrząs. Nic dziwnego, zważywszy na to, co się stało. A teraz milczała jak zaklęta.

Jason znów zaczął nerwowo chodzić po sypialni. Był święcie przekonany, że nie mylił się w swoich przeczuciach. Ta dziewczyna prowadziła jakąś wymyślną grę i jako że miało to coś wspólnego z nim, postanowił zmusić ją do mówienia.

- Oczywiście, zdajesz sobie sprawę - rzucił, zwracając się twarzą do Gabrielle - że w każdej chwili mógłbym powiedzieć o tobie Rolandom, donieść, że weszłaś w mojej komnacie? Zaczęli by cię podejrzewać co najmniej o złodziejstwo.

Gabrielle tylko najwyższym wysiłkiem woli zmuszała się do ignorowania go. Przywołując przed oczy obraz matki, samotnej, w celi więziennej, wmówiła sobie, że jeśli nic nie powie, on da jej spokój.

W tej chwili uzmysłowiła sobie, jak złudna była ta nadzieja. Nawet gdyby nic mu nie zdradziła, on mógłby doprowadzić do jej zwolnienia, a wtedy wszystko byłoby bezpowrotnie stracone. Z trudem oparła się pokusie, żeby spojrzeć na kominek za jego plecami. Dobry Boże, była tak blisko!

Jason zauważył niepokój malujący się w jej oczach.

- Widzę, że moje słowa zrobiły wrażenie. No to jak? Mam narobić hałasu, czy zachowasz się rozsądnie? Powiedziałem już, że nie chcę ci wyrządzić krzywdy. Chodzi mi o moje własne bezpieczeństwo.

Gdy spostrzegł, że jej twarz znowu przybiera zacięty wyraz, zacisnął zęby i w gniewie rzucił się na łożo. Następnie uklęknął i wbił zaciśnięte pięści w materac ledwie o parę cali od jej łona.

- Powiedz coś, do ciężkiej cholery!

Gabrielle przełknęła ślinę. Tracę wydawał się niezwykle potężny w swoim gniewie, a fakt, że wciąż był nagi, wzmagał jej skrępowanie. Odpędziła natrętnie powracające wspomnienie ich ciała, połączonych w namiętym uścisku. Siłą woli zmusiła się do tego, żeby skierować spojrzenie nad jego ramiona.

- Jason... - zaczęła ostrożnie, usiłując naprędce wymyślić jakieś wytłumaczenie, które przekonałoby go, żeby ją stąd wypuścił. Jej głos, którego nie wydobyła z siebie od chwili, kiedy, o zgrozo, krzyknęła przy tym ostatnim porywie rozkoszy, był gardłowy, ochrypły.

- No, słucham - ponaglił ją, nieco rozluźniony.

Westchnąwszy ciężko, z nadzieją podniosła na niego wzrok.

- Proszę, uwierz mi, Jason. To, co robiłam i w Auxerre, i tutaj, to sprawa osobista. Nie mogę ci powiedzieć, o co chodzi, ale przysięgam, że nie ma to z tobą nic wspólnego.

- Nie ma ze mną nic... - Zawiesił głos, słysząc łomotanie do drzwi apartamentu.

- Jason! Wpuść mnie. Szybko! - To Conor. Co się, u licha, dzieje?

Tracę gestem nakazał Gabrielle, żeby nie ruszała się z miejsca, i pospiesznie wciągnął bryczesy, po czym krzyknął do Conora, że już idzie. Następnie obejrzał się raz jeszcze na dziewczynę i zamknął za sobą drzwi. Nie zwracając uwagi na nieme pytanie, które pojawiło się w oczach Irlandczyka na widok rozwiązanych bryczesów i zamkniętych drzwi do sypialni, Jason wpuścił go do apartamentu.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem w czymś - Irlandczyk odkaslnął znacząco - ważnym, Jason, ale właśnie doszły mnie wieści, które mogą cię zainteresować.

- Nie możesz z tym poczekać do rana?
- Wybacz, Jason, ale to pilne. Niechący usłyszałem to i owo, a nie mogę nie pomóc dziewczusce w opałach.
- Dziewuszcze w... jakich znowu opałach? O czym ty, u diabła, gadasz, Conor?

Conor uśmiechnął się niepewnie, nieco zakłopotany.

- Przepraszam, coś mi się widzi, zem wypił trochę za dużo brandy. Powiem krótko: w pałacu jest jakobiński szpieg. To jedna z pokojówek, taka kruczowłosa dziewczuska, chyba ma na imię Mignon. No i ona właśnie doniosła na tę drugą małą służącą. Pamiętasz tego cudnego anioła, który powitał nas po przyjeździe?

W czasie wyводу Conora Jason niespiesznie zawiązywał bryczesy. Jednak w tej chwili zeszywniał.

- Mówisz o tej Lafleur?
- Otóż to. Ona jest w niezgorszych tarapatach, Jason. Z tego, co słyszałem, ta Mignon przydybała ją na jakichś potajemnych schadzkiach w ogrodzie i wypaplała to ludziom z Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Pewnie już tu jadą z nakazem aresztowania tego biednego dziewczęcia.

Z sypialni dobiegł jakiś rumor. Jason zaklął siarczyście. Conor zwrócił wzrok w stronę drzwi do sypialni, po czym spojrzął na niego pytająco.

Jason westchnął ciężko.

- Możesz już wyjść, Brielle! - krzyknął. - Conor to człowiek godzien zaufania, a poza tym i tak się zdradziłaś. Robisz tyle hałasu, że pobudziłaś umarłych.

Gabrielle zastygła w bezruchu po drugiej stronie drzwi. Nie zdążyła się ubrać, ponieważ korzystając z tego, że została sama w sypialni, chciała dokładniej obejrzeć kominek. Jednak głos Irlandczyka był głęboki i tak donośny, że słyszała każde słowo. Kiedy dotarło do niej, o czym mówi, zerwała się z przerażeniem na równe nogi, strącając jeden z drogocennych wazonów na podłogę. Dobry, miłościwy Boże... - Komitet!

Drzwi rozwarły się na oścież, niemal przewracając ją na podłogę. Gdy odzyskała równowagę, napotkała gniewne spojrzenie Trace'a.

Jason chciał rzucić jakąś złośliwą uwagę, ale ugryzł się w język. Brielle nie miała na sobie nic poza cienką halką, a jej wzbu-

rzony włosy dawały nieme świadectwo tego, co niedawno wydarzyło się w tej sypialni. Jednakże Jason pohamował się nie dlatego, że Brielle wciąż była w negliżu. Sprawilo to przerażenie malujące się na jej twarzy.

- Ubierz się - powiedział. Mówił spokojnym i nie znoszącym sprzeciwu tonem, jakim zwykł zwracać się do nowo przybyłych rekrutów, których musiał wysłać w bój. - Potem przyjdź do salonu i przy okazji przynieś mi resztę mojego ubrania.

Przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa, po czym skinęła głową. Jason zamknął drzwi i spojrzął na Conora.

- No i?

- Nie bój się, nie będę cię wypytywał, co ona tu robi. Ale to jasne jak słońce, że musimy pomóc tej biednej dziewczuszcze.

Jason uniósł brew.

- Tak? A to dlaczego?

- Matko Boska, on pyta dlaczego! Wiesz przecie, gdzie ją posła! Na ten diabelny szafot! Takie słodkie niewinne dziewczę... to nieludzkie!

Jason za nic nie nazwałby Brielle Lafleur „niewinnym dziewczęciem”. Jeśli znał się na ludziach, siedziała w całej tej sprawie aż po swoją śliczną szyję. Jednak słuchając wywodów Conora, uzmysłowił sobie, że nie chciałby, by tę szyję przecięto ostrze gilotyny. Oczywiście, nadal był cholernie ciekaw, jaką on sam odgrywa rolę w planach Brielle Lafleur. Dopóki miał tę dziewczuchę w swoich rękach, nie mogła mu w żaden sposób zaszkodzić. Nawet jeśli była szpiegiem.

- Niech tam, Conor, w porządku. - Jason uniósł dłoń, chcąc zatrzymać potok gorzkich słów płynących z ust Irlandczyka.

- Co?

- Przekonałeś mnie. Ty i to twoje przekłete gołębie serce! Pomozemy jej, jak się da, ale uprzedzam cię, nie będziemy nadstawiać za nią gardeł. I nie wciągniemy do tego ambasady amerykańskiej. To byłoby zbyt ryzykowne.

Conor wyszczerzył zęby w uśmiechu. Owszem, Jason twierdził, że nie chce ryzykować, ale w jego oczach pojawiły się dobrze znajome błyski, jak zawsze przed rozpoczęciem bitwy. Zwłaszcza kiedy nieprzyjaciel był o wiele silniejszy. Jason Tracę uwielbiał wyzwania. Dziewczę miało szansę wyjść z tego cało.



- No, to już coś - powiedział Conor, drapiąc się po szyi w zamysleniu. - Świetnie, żeś się zgodził, Jason, brachu. - Jego irlandzki akcent stawał się wyraźniejszy zawsze, gdy starał się kogoś o czymś przekonać. Jason oparł się pokusie, żeby mu to wypomnieć. - Tylko tak myślę, że dobrze by było, abyś miał jakiś pomysł, albo i dwa, coż teraz mamy począć. Masz przecie doświadczenie w strategii, bo dowodziłeś armią i...

Drzwi otworzyły się i do salonu weszła Gabrielle, blada i osowiała. Bez słowa podała Jasonowi ubranie.

Podziękował jej skinieniem głowy i nakazał gestem, by usiadła na jednym z foteli. Zauważył, że pobladła jeszcze bardziej, gdy z ulicy dobiegły odgłosy przytłumionych okrzyków i tupotu wielu stóp.

- Conor, stań przy drzwiach i nikogo nie wpuszczaj. - Mówiąc te słowa, Jason pospiesznie wciągał na siebie ubranie. - Zamknąłem je na zasuwę, ale miej baczenie, żeby nikt nie posłużył się wytrychem czy próbował wyważyć. Jeśli będzie trzeba, zasłonimy się immunitetem dyplomatycznym.

Irlandczyk czym prędzej podszedł do drzwi, a Jason narzucił na siebie surdut. Rozgniewane głosy dobiegały już z wnętrza pałacu. Gabrielle nie odezwała się ani słowem, ale Jason widział, jak mocno zacisnęła dłonie na poręczach fotela.

Tracce pospiesznie cisnął na podłogę eleganckie trzewiki, które przyniosła mu Gabrielle, i pobiegł do sypialni po swoje wysokie buty. Wciągając je na nogi, słyszał, że głosy dobiegają już z korytarza. Natychmiast podbiegł więc do Conora i przywołał gestem Gabrielle.

- Słuchajcie uważnie. - Starał się zagłuszyć ciężkie kroki rozbrzmiewające na korytarzu. - Powiem wam, co zrobimy...

Po chwili plan był już gotowy. Amerykanie mieli powiedzieć gospodarzom, że otrzymali polecenie natychmiastowego powrotu do ambasady, ponieważ nadeszła ważna wiadomość z ich statku zacumowanego w Le Havre. W tym zamieszaniu Rolandowie z pewnością nie zwrócą na to większej uwagi. Tymczasem Jason i Conor zabiorą Brielle ze sobą.

Znowu miała się przebrać, tym razem za chłopaka okrętowego z ich statku. Największym problemem było znalezienie jej jakiegoś męskiego przyrodziewku.

Gabrielle napomknęła o Rene i dodała, że z pewnością dałby się przekupić raz jeszcze. Zdecydowali, że Conor najpierw porozmawia z Rolandami, po czym odszuka chłopaka. Jason miał zostać z Gabrielle, żeby nie dopuścić do przeszukania apartamentu.

Gabrielle powiedziała Conorowi, jak Rene wygląda i gdzie należy go szukać. Ostrzegła też, że tylko odpowiednia suma pieniędzy może skłonić tego małego nicponia do współpracy.

Potem pozostało jej tylko czekać w niepewności i strachu. Dwa razy ktoś zapukał do drzwi, najpierw prosząc, a potem wręcz domagając się ich otwarcia. Jason jednak stanowczo odpędził natrętów. Gabrielle, mimo że schowała się w głębi apartamentu, nie uroniła ani jednego słowa. Słyszając silny, donośny głos Trace'a, bez trudu wyobrażała go sobie na czele armii, o której wspomniał Conor.

Po ponad dwóch godzinach Irlandczyk powrócił. Z uśmiechem podał Gabrielle brudny worek.

- Panienska mówiła, że to nicpoń, ale ja bym go raczej nazwał cwaniaczkciem. Wydebił ode mnie wszystkie pieniądze!

Brielle zdobyła się na uśmiech, ale już po chwili przeglądała zawartość worka i w duchu błogosławiła Rene. Włożył do środka nawet buty - i coś jeszcze... *Nom de Dieu*, to peleryna *maman!*

Oczy Gabrielle zasnuły się mgłą. Ta peleryna, z wielką, ciężką zapinką, była jedyną pamiątką po matce. Przypomniała sobie rozmowę z Renę. Ten nicpoń wiedział, jak wielkie przywiązywała do niej znaczenie i...

- Właśnie przez tę pelerynę - powiedział Conor, lekko poirytowany - trwało to tak długo. Chłopak koniecznie chciał, żebym poczekał, aż ją przyniesie. Nie mam pojęcia skąd. To jakaś pamiątka czy jak?

Powstrzymując łzy cisnące się jej do oczu, Gabrielle musnęła palcami zapinkę, którą pobrudziła gliną, by przesłonić wyryty na niej herb rodu Saint-Germain. Och, Rene, obawiam się, że źle cię oceniłam - pomyślała. Nie jesteś nicponiem, tylko aniołem.

- Tak, to ma dla mnie bardzo duże znaczenie - odparła łagodnym tonem. - Dziękuję, że był pan tak cierpliwy. Dziękuję za wszystko, *monsieur!*

- Podziękujesz nam, jak się stąd wymkniemy. - Jason wskazał drzwi sypialni. - Idź tam i się przebierz. Szybko! Zdaje się, że poszukiwania dobiegają końca, a chcę wyjść, póki panuje bałagan. Im mniej ludzi zwróci na nas uwagę, tym lepiej.

Z pałacu wyszli tuż przed świtem. Gdy Jason zęgnął się z Rolandami, Conor wyprowadził Gabrielle na zewnątrz. Na szczęście nikt ich nie zatrzymał. Poszukiwania dobiegły końca, ale kilku innych gości, rozbudzonych i zaniepokojonych hałasem, postanowiło opuścić domostwo. Po podwórzu krążyły grupki służących, przygotowujących powozy do drogi. W tym bałaganie nikt nie zwracał uwagi na to, co dzieje się wokół.

Jason dogonił Gabrielle i Conora na ulicy.

- Powiedziałem Rolandom, że wysłano po nas powóz - oznajmił. - Lepiej się pospieszmy. Niedługo mogą się zorientować, że ich okłamałem.

Ruszyli w stronę ambasady. Conor powiedział, że idąc pieszo powinni być na miejscu za jakąś godzinę. Skręcili w boczną ulicę, ale ledwie uszli kilkanaście metrów, rozległ się znajomy odgłos.

Wozy ze skazańcami, toczące się w bladej poświacie brzasku.

- Szybko, tutaj! - Jason dał znak, by ukryli się w cieniu.

W milczeniu obserwowali przejeżdżające wozy. Jason czuł, że stojąca przy nim Gabrielle dygocze. Spojrzał na nią. Przygryzając dolną wargę, patrzyła posepnym wzrokiem na wozy śmierci. Na jej ustach pojawiło się coś ciemnego i błyszczącego... krew.

Przyciskając do piersi pelerynę matki, Gabrielle zmusiła się, by dokładnie przyjrzeć się skazańcom stłoczonym na wozach. W słabym świetle nie widać było ich twarzy, ale na pewno byli to sami mężczyźni. W pierwszej chwili odczuła pewną ulgę; jednak zaraz potem jej oczy spoczęły na dwóch wtulonych w siebie drobnych postaciach. To byli chłopcy, którzy jeszcze mieli mleko pod nosem - dzieci.

Gdy wozy rozplynęły się w oddali, Jason nakazał iść dalej. Nogi ugiwały się pod Gabrielle; była pewna, że nie wytrzymałaby tempa marszu, gdyby nie Conor, który obejmował ją w talii i przy każdym jej potknięciu ratował przed upadkiem. Co więcej, gdy tylko zwalniali kroku, zagadywał ją, by odpędzić ponure myśli, kłębiące się w jej głowie.

Jednak w pewnej chwili zadał jej pytanie, które bynajmniej nie dodało jej otuchy.

- Powiedz no - szepnął, kiedy przystanęli w cieniu drzew, by przepuścić grupkę sankiulotów- coś poczniesz, jak już cię zdrową i całą doprowadzimy do ambasady?

Gabrielle spojrzała na niego pustym wzrokiem. Do tej chwili nie było czasu, żeby się nad tym zastanowić. Dlatego też nie miała na to pytanie żadnej odpowiedzi.

- Nie wiesz? - spytał Conor, gdy Jason kiwnął ręką na znak, że można iść dalej. - Nie masz jakichś krewnych czy przyjaciół, którzy by ci pomogli?

Gabrielle przez chwilę miała ochotę wybuchnąć histerycznym śmiechem. Jej ostatnia żyjąca krewna była w o wiele cięższej sytuacji niż ona. A jeśli chodzi o przyjaciół, jedyną osobą, do której mogłaby się zwrócić, był d'Albret. Choć za nic nie nazwałaby go „przyjacielem”. W dodatku nie miała pojęcia, jak się z nim skontaktować.

- *Non* - odparła zrezygnowana.

- A co z pieniędzmi? - Conor nie ustępował.

Potrząsnęła głową. Skromne oszczędności Gabrielle pozostały w jej izbie w pałacu, ukryte razem z kartką papieru, na której wypisany był tajemniczy wiersz *maman*. Miała tylko nadzieję, że nikt nie odnajdzie tej skrytki - zwłaszcza wiersz nie mógł się dostać w niepowołane ręce. Jedyne, co jej pozostawało, to skontaktować się z d'Albretem i mieć nadzieję, że on coś wymyśli. Czyż jednak nie byłoby gorzką ironią losu, gdyby ktoś odnalazł wiersz *maman* i... Nie! To niemożliwe.

Kiedy przystanęli po raz kolejny, Conor wciąż jeszcze patrzył na nią, marszcząc czoło. Byli na obrzeżu małego parku. Jason dał znak, by weszli głębiej w cień drzew. Obok przemaszerowała grupka obszarpańców.

- Ależ, dziewczuszko - rzekł Conor śmiertelnie poważnym tonem. - Wiesz, co mówisz?

- Na Boga, przestańcie gadać! - syknął Jason i znacząco kiwnął głową w stronę obszarpańców, którzy zatrzymali się niedaleko ich kryjówki i zaczęli się sprzeczać.

Conor zerknął na nich, po czym przysunął się do przyjaciela.

- Jest pewien szkopuł - powiedział z przejęciem. - Ta biedna dziewczuszka nie ma dokąd pójść. Ani za co przeżyć!

-To już nie nasza sprawa. Mieliśmy ją tylko stamtąd wyciągnąć.  
-Mieliśmy jej pomóc! Może ambasada...  
-Już ci mówiłem, nie zamierzam wciągać w to ambasady! Jak tylko spakujemy rzeczy, ruszamy do Le Havre. Najwyższy czas wrócić do domu.

Conor przyjął te słowa z ulgą. Spojrzał na Gabrielle, która nie odzywała się ani słowem. Wyglądała, jakby była zagubiona w myślach.

- Moglibyśmy ją zabrać ze sobą - zasugerował łagodnie.
- Co ty, oszalałeś? Czego...
- Wysłuchaj mnie, chłopie.

Jason zerknął na obszarpańców, którzy ciągle jeszcze kłócili się ze sobą, po czym zwrócił wzrok na Gabrielle. Wydawała się pogrążona w głębokim zamyśleniu. Owszem, ciągle jeszcze był ciekaw, czemu tak węszyła wokół niego, szpiegowała go, ale teraz, kiedy postanowił wrócić do domu, nie miało to już tak dużego znaczenia. Chryste! Zabrać ją ze sobą? Toż dopiero narobiłaby im kłopotów!

Widząc jego wahanie, Conor błyskawicznie zarzucił go argumentami.

- Jason, ona została sama jak ten palec, a przecie będą jej szukać. Popatrz na nią. Jak długo takie chucherko może uciekać przed tymi bestiami? Przecież widziałeś, co te żabojady wycyzniają! To dzicz!

- A ona to co? Typowa z niej Francuzka...

Conor machnął ręką ze zniecierpliwieniem, przerywając mu w pół słowa. Spodziewał się, że przyjaciel zacznie tę swoją starą śpiewkę o tym, jak zdradliwe są kobiety... Francuzki, i tak dalej.

Conor spojrzał na swojego druha z dezaprobatą.

-Jeśli tego nie zrobimy, sami zachowamy się jak barbarzyńcy. Czy o to walczyliśmy, kiedy kazaliśmy staremu królowi Jerzemu pocałować się w...

- Ciii! - Jason dał Conorowi znak, by schował się głębiej, po czym pociągnął zaskoczoną Gabrielle do ziemi, dając jej do zrozumienia, że ma się nie odzywać. Jakiś chudzielec, odłączywszy się od grupki oberwańców, pędził biegiem w stronę ich kryjówek. Jason zaklął siarczyście pod nosem, gdy umorusany chłopak zwolnił kroku i zaczął się rozglądać na wszystkie strony.

- Brielle? 'Ib ja, Renę. Proszę... możecie mi zaufać

Renę? Co on lu robi? Gabrielle wstrzymała oddech. Tymczasem Jason wyskoczył z ukrycia i złapał chłopca za rękę.

- Coś ty, u licha, za jeden? - warknął szarpnawszy nim porządnie. - Skąd wiesz, kim jesteśmy? Śledziłeś nas od...

- Wszystko w porządku, Jason. - Conor ujął Gabrielle za rękę i razem wyłonili się zza krzaków. - To ten cwaniak, chłopak, od którego wzięłem ciuchy.

Jason spojrzał podejrzliwie na Rene, po czym zerknął ku Gabrielle, która skinęła głową. Rozluźnił chwyt, ale nie zdjął dłoni z ramienia chłopaka. Teraz, kiedy przyjrzał mu się dokładniej, miał wrażenie, że widział go już na podwórzu Rolandów. Czyżby kolejny szpieg Komitetu?

- To nie wyjaśnia, skąd on się tu wzięł - mruknął.

- No to, jak pan pozwoli, wszystko wytłumaczę, *monsieur*. - Renę, bynajmniej nie onieśmielony, zmierzył Amerykanina hardym spojrzeniem.

- Tylko szybko - powiedział Jason.

Renę z dumą wypiął pierś, jakby chciał przydać sobie wzrostu, stojąc przed wysokim Amerykaninem.

- Ja też zostałem „zdrajcą Republiki” - stwierdził mocno akcentowanym angielskim. Uśmiechnął się szeroko, widząc zdumienie malujące się na twarzy Gabrielle; nigdy nie zdradził się, że też zna ten język.

Wytłumaczył, że podobnie jak jego „droga przyjaciółka Brielle”, on też jest w niebezpieczeństwie. „Ta suka Mignon” widziała go, jak „potajemnie namawiał się z Brielle w ogrodzie”. Tylko cud sprawił, że udało mu się uniknąć aresztowania.

Zaciskając pięści ukryte pod peleryną matki, Gabrielle jęknęła cicho. Renę był dla niej tak dobry, a teraz przyszło mu za to zapłacić gorzką cenę.

- To nie twoja wina, *ma belle* - rzekł Rene. Spojrzał na Amerykanów, po czym uśmiechnął się do niej. - Ale jeśli chcesz, powiem ci, jak można mi to wynagrodzić.

- Mów - mruknął Jason, domyślając się, co chłopak ma na myśli.

- Powiedźcie mi, *messieurs*... - Renę zmierzył wzrokiem Jasona i Conora. - Co zamierzacie zrobić z *mademoiselle* Lafleur?

Jason otworzył usta, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, uprzedził go Conor.

- Zabieramy ją tam, gdzie panuje prawdziwa wolność. - Ob-  
rzucił Jasona zimnym spojrzeniem. Nim jego przyjaciel zdążył  
zareagować, z ust Gabrielle wydobyło się ciężkie westchnienie.  
Oczy wszystkich zwróciły się na nią.

- Proszę, wybacz mi, Conor - powiedziała i potrząsnęła głó-  
wą - ale obawiam się, że to niemożliwe. Zostanę tutaj, cokolwiek  
miałoby się stać.

RS

## 11

Wszyscy trzej popatrzyli na nią z niedowierzaniem.

- Żartujesz sobie, sikorko!

- *Mam'selle!*

- Diabła tam!

Ignorując Renę i Jasona, Gabrielle spojrzała Conorowi prosto w oczy.

- Mówię najzupełniej poważnie, *monsieur*. Doceniam pańską wielkoduszną ofertę, ale nie mogę opuścić Paryża. - Pozostawić matkę w łapach tych morderców? Wolałaby umrzeć!

- Ale, sikorko ty moja, grozi ci duże niebezpieczeństwo.

- Już od dawna żyję w zagrożeniu, *monsieur* - powiedziała ponuro Gabrielle - i mam swoje powody, by...

- Diabła tam! - powtórzył Jason. - Niech czort weźmie te twoje powody! - Nie chciał, żeby wróciła z nimi, ale Conor swoją nieugiętą postawą sprawił, że jego opór powoli kruszał. Zwłaszcza, odkąd Irlandczyk przypomniał mu o ideałach, za które walczyli. - Tutaj czeka cię śmierć...

- Brielle! - Rene chwycił ją za rękaw. - Pomyśl, co robisz. Znajdą cię, Brielle. Znajdą nas obydwójce! - Zwrócił się twarzą w stronę Amerykanów. - Ja też zostałem sam, przyjaciele. Mój papa służył w Wersalu jako *valet de chambre*. On też myślał, że nic mu nie grozi. I ścięli go. Widziałem to na własne oczy!

- Matko jedyna - mruknął Conor.

Rene przesunął spojrzenie po ich twarzach.

- Posłali papę na gilotyne razem z innymi służącymi rodziny królewskiej, za to, że ponoć wywyższali się ponad stan. Biedny papa... - Głos Rene załamał się. - Jakby nie dość wycierpiało, kiedy porzuciła nas *maman!*



Jason spojrzął na niego bacznie.

- Porzuciła was? Obydwu? - Francuska suka, pomyślał, pewien, że chłopak mówi prawdę.

Renę zwiesił głowę i przytaknął, po czym nagle wyprostował się i podniósł wzrok na Jasona.

- Ale przetrwaliśmy, *monsieur* - rzekł z dumą w głosie. - Mieliśmy siebie nawzajem, papa i ja... to znaczy, do niedawna.

Jason zmierzył go spojrzeniem. Chłopak był rezolutny i miał głowę na karku. Odnalazł ich, mimo że Jason co chwila upewniał się, czy nikt za nimi nie idzie. Hardy pętał... Jason pamiętał, że był taki sam w jego wieku.

- A czego właściwie od nas chcesz, chłopcze? - spytał.

Renę obdarzył go rozbijającym uśmiechem.

- Chcę się dostać tam, gdzie panuje prawdziwa wolność - odparł, spoglądając znacząco na Conora.

- Rozumiem, że mamy cię zabrać na nasz statek. - Jason z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Co za cwaniak!

Renę wzruszył ramionami.

- Jeśli zostanę we Francji... - powiódł palcem po gardle - ...to koniec ze mną. Zresztą, moja urodziwą przyjaciółkę czeka to samo... - spojrzął na Gabrielle, marszcząc brwi - ...nawet jeśli jest za głupia, żeby to pojąć!

- Nie pozwalaj sobie, ty mały nicponiu! Ja...

Jason przykrył dłonią usta Gabrielle i wciągnął ją głębiej do cienia. W ciszę świtu wdarł się złowieszczy turkot kół toczących się po bruku. W bladym świetle widać było trzy nadjeżdżające wozy ze skazańcami.

W pierwszym z nich byli sami mężczyźni, o zaciętych i przerażonych twarzach. Kobiety wiezione w drugim wozie miały obcięte włosy i skrępowane ręce. Stały z opuszczonymi głowami, wspierając się na sobie nawzajem.

Gabrielle chciała odwrócić wzrok, ale nie była w stanie. Na szczęście żadna z kobiet wiezionych na egzekucję nie miała charakterystycznych, płomiennorudych włosów - dzięki Bogu! Jedna z nich jednak wydawała się dziwnie znajoma. Gabrielle wyciągnęła szyję.

Ta twarz... rozpoznała ją z najwyższym trudem. Ten szlachetny profil, charakterystyczne znamię na policzku... Gabrielle za-

cisnęła pięści. Toż to Marie Duchamps, hrabina de Ricliemont, bliska przyjaciółka jej matki. Dobry Boże, wyglądała jak stara kobieta!

Jason wyczuł, że Gabrielle jest bardzo spięta. Zauważył, że jej spojrzenie prześlizguje się po twarzach skazańców. Czy martwiła się o los tych „zdrajców Republiki” dlatego, że sama zaliczała się do ich grona? Ale jak to możliwe? No i dlaczego nie chciała uciekać? Czyżby strach przed aresztowaniem sprawił, że całkowicie postradała zmysły?

Puścił ją, gdy wozy zniknęły w oddali. Postanowił trzymać ją na oku, na wypadek, gdyby coś głupiego strzeliło jej do głowy.

- Czemu tak bardzo chcesz tu zostać? - spytał. - Na pewno doskonale wiesz, że to nie ma sensu.

Conor i Renę przytaknęli skwapliwie. Oderwawszy wzrok od niknących w oddali wozów, Gabrielle spojrzała na Trace'a.

- Sens? Dla pana może to nie ma sensu. Ale zapewniam, *monsieur*, dla mnie ma.

Jason zaklął pod nosem, widząc upór malujący się na jej twarzy. Tymczasem Conor, mimo wszystko, nadal próbował przemówić jej do rozsądku.

- Ależ, dziewczuszko, może powiesz nam, o co chodzi?

- Przykro mi, *monsieur*, ale to niemożliwe.

Jason zaklął raz jeszcze. Że też musiał trafić na tak upartą i niewdzięczną dziewczuchę! Dał się przekonać Conorowi i chciał jej podać pomocną dłoń. A ona bezczelnie ją odtrącała. Szlag by to, już dość miał Brielle Lafleur i jej głupoty. Niech robi ze sobą, co chce, ale nie na jego oczach!

Skinął głową, jakby coś postanowił, i wyciągnął rękę.

- Rene, daj mi swój szal.

Conor i Gabrielle popatrzyli na niego ze zdumieniem. Chłopic bez słowa spełnił polecenie. Jason, nie zwracając na nich uwagi, podał Conorowi szal, po czym nagle złapał Gabrielle i przytrzymał jej ręce za plecami.

Gabrielle krzyknęła i zaczęła wrywać się z jego ramion.

- *Monsieur*, co to ma znaczyć? Proszę mnie natychmiast...

- Zaknebluj ją, Conor. Zrób to!

Zauważywszy determinację malującą się na twarzy Jasona, Conor skinął głową.

- Przykro mi - mruknął, obwiązując szalem usta Gabrielle. - To dla twojego dobra.

- Świetnie - stwierdził Jason. Trzymał ją mocno, mimo że szarpała się na wszystkie strony. Była za słaba, żeby dać radę tak silnemu mężczyźnie. - A teraz ściągnij jej szal z szyi i zwiąż nim ręce.

Conor spełnił jego polecenie.

- Chyba nie będzie ci za to dziękować, stary - mruknął, gdy Jason przerzucił dziewczynę przez ramię i, by przestała go kopać, przygwoździł jej nogi do swojej piersi.

- Wiesz, mało mnie to obchodzi - warknął Jason, po czym wymierzył Gabrielle solidnego klapsa, ucinając w ten sposób jej stłumione jęki. Spojrzawszy na Conora i chłopca, kiwnięciem głowy dał sygnał do dalszej drogi. Następnie, nie czekając na nich, ruszył w stronę ambasady.

Po drodze napotkali tylko jedną przeszkodę. Piekarz, który wcześniej przybył do swojej *boulangene*, zaczął wypytywać ich, co robią temu biednemu *garcon*. Jason przedstawił się jako kapitan amerykańskiego statku i wytłumaczył, że niesie chłopaka okrętowego, któremu zachciało się spróbować ucieczki.

Gdy wreszcie dotarli do ambasady, Jason nakazał Conorowiabrać Gabrielle do stajni, a sam poszedł pożegnać się z Morrisem.

Ambasador i jego żona nie okazali zdziwienia na wieść o ich rychłym wyjeździe; wręcz dziwili się, że nie nastąpiło to wcześniej. Jason obiecał doręczyć Jeffersonowi list od Morrisa, który, by okazać swoją wdzięczność, zaproponował, że na podróż do Le Havre użyczy im własnego powozu.

Mniej więcej godzinę później Jason, Conor i dwaj „chłopcy okrętowi” przedzierali się już przez labirynt ulic Paryża. Jednak okazało się, że o wiele trudniej jest wydostać się z miasta niż z Hotel Liberte.

Zmierzając w kierunku bramy miejskiej, przez którą wiodła droga do Neuilly-sur-Seine, a stamtąd prosto do Le Havre, kilka razy widzieli w oddali rozjuszony tłumy i, by ich uniknąć, musieli zmienić kierunek jazdy. Skończyło się na tym, że podjechali pod Porte Champerret, choć było im to zupełnie nie po drodze.

W dodatku strażnicy przy bramie okazali się nad wyraz podejrzliwi. Skoro *monsieur le Americain* wybiera się do Le Havre, pytali, dlaczego jechał przez Avenue de Villiers? Przecież Champs-Elysees zawiodłyby go prosto do Porte Maillot.

Udało im się wyjechać z miasta tylko dzięki paszportom dyplomatycznym i chłodnemu spojrzeniu Jasona. Jedynym pasażerem, który nie odetchnął z ulgą, gdy zostawili za sobą Avenue de la Porte, była Gabrielle, wciśnięta między Trace'a a Conora na siedzeniu powozu. Podczas jazdy przez miasto szarpała się nieustannie, usiłując się uwolnić, ale gdy strażnicy miejscy zajrzeli do powozu, zastygła w bezruchu. Doskonale, pomyślał Jason. Nie ma to jak porządna porcja strachu, żeby ujarzmić rozbrykany багаż.

Gniew Gabrielle przerodził się w lęk. Bynajmniej nie bała się o siebie, tylko o matkę. Co mogła zrobić? Jak teraz pomóc *mamon*? Czy ten arogancki Amerykanin nie domyślał się, że skoro chciała pozostać w Paryżu i stawić czoło niebezpieczeństwu, to miała po temu powód?

Miała nadzieję, że Conor albo Rene uzmysłowią sobie, jak bardzo jest zdesperowana. Trace to co innego - w jej oczach był bestią pozbawioną serca. Tymczasem jednak wszyscy trzej wyraźnie ją ignorowali.

Dopóki byli w obrębie Paryża, rozpaczliwie usiłowała wyrwać się z więzów, łudząc się, że jest jeszcze jakaś nadzieja. Przy bramie jednak Gabrielle zamarła, widząc prześlizgujące się po niej oczy strażników, którzy po chwili zażądali wyjaśnienia, dlaczego jest związana i zakneblowana.

Jason opowiedział im tę samą historyjkę o zbiegłym chłopcu okrętowym. Gdy strażnicy uwierzyli mu, Gabrielle nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Owszem, ze strony porywaczy nic jej nie groziło, ale wyjeżdżając poza granice miasta, traciła wszelkie szanse na udzielenie pomocy matce.

Przestała się szarpać. Strach zniknął, wyparty przez rozpacz. Cóż teraz przysłoby jej z wolności? Pętla wokół Paryża zacisnęła się. Za żadne skarby nie udałoby jej się dostać z powrotem do miasta.

W mmiarę jak powóz toczył się ku północnemu zachodowi, Gabrielle coraz bardziej czuła straszliwy gniew na człowieka, który przypieczerował los jej matki. Jason Trace okazał się bezdusznym potworem. Do tej chwili Gabrielle obiecywała sobie, że nie spocznie, dopóki nie uwolni matki. Teraz miała przed sobą inny cel. Nie spocznie, dopóki Amerykanin nie zapłaci za swój haniebnny postępek!

Gdy powóz znalazł się już daleko od miasta, Conor zaproponował, by Jason rozwiązał Gabrielle.

- Póki siedzi między nami, nie będziemy z nią mieli kłopotów - stwierdził. Rene przytaknął mu.

W głębi ducha Jason był przekonany, że sam fakt, iż ta dziewczyna z nim jest, nie zwiastuje nic dobrego. Wszak kobiety - wszystkie kobiety - to nic więcej jak tylko kłopoty.

- Tylko nie próbuj uciekać - ostrzegł ją, odwiązując szal kneblujący jej usta - bo związę cię jak kurę wieszoną na targ. Wyrażam się jasno?

Gabrielle nie odpowiedziała; przeszyła go jadowitym spojrzeniem.

On jednak tylko uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Pytałem, czy wyrażam się jasno? - Przestał rozwiązywać jej ręce i popatrzył na nią wyczekująco. Dopiero gdy zdobyła się na ledwo dostrzegalne skinienie głowy, uwolnił ją z więzów.

Dalsza podróż przebiegła bez większych problemów, choć co pewien czas ich oczom ukazywały się ślady zamieszek i terroru paraliżującego Francję. Mijali grupki uzbrojonych w widły wieśniaków, popatrujących spode łba na przejeżdżający powóz. Bywało, że któryś z nich intonował pieśń i po chwili wtórowały mu głosy jego kompanów. W ślad za powozem niosły się triumfalne tony *Marsylianki*... *Alfons enfants de la patrie*...

Po obu stronach drogi wyrastały z ziemi świeżo wykopane groby, na których wypisane były wiele mówiące hasła: „Taki los czeka wszystkich zdrajców!”... „Oto nagroda dla wrogów wolności!”... „Śmierć wszystkim przeciwnikom rewolucji!”. Najbardziej wstrząsający jednak był widok głów nadzianych na pale u wjazdu do wszystkich miast.

W powozie narastało napięcie. Jason zaczął dochodzić do wniosku, że być może jednak popełnił błąd, zmuszając Brielle, by z nim pojechała. Widząc desperackie, rozgniewane oblicza mijanych chłopów, powątpiewał, czy immunitet dyplomatyczny osłoniłby go przed ich gniewem, gdyby dowiedzieli się, że w powozie przebywa „zdrójca Republiki”.

A kobieta, którą uratował i dla której ryzykował życie, nienawidziła go za to. Niewielkim pocieszeniem była świadomość, że jednak miał rację: kobiety - a szczególnie Francuzki - to tylko kłopoty.

## 12

Conor wyszedł na pokład. Rozejrzawszy się, westchnął ciężko. Wybrzeże Francji rozpływało się już w oddali, a dziewczyna ciągle stała przy relingu. Owinięta w za dużą pelerynę, nieprzerwanie wpatrywała się w ład, od chwili gdy *Fairwinds* wyszedł z portu.

Było jasne jak słońce, o czym myślała. Kiedy Conor zostawił ją tu prawie godzinę temu, na jej twarzy malował się niewypowiedziany ból. Ogarnęło go poczucie winy.

Ona nigdy im tego nie wybaczy. To, co ciągnęło ją do tej nasiąkniętej krwią ziemi, miało dla niej ogromne znaczenie. Tak ogromne, że aż przyćmiło jej troskę o własne bezpieczeństwo. Uratowali ją wbrew jej woli. Conor wręcz wolał nie wiedzieć, co kryło się za dziwnym zachowaniem dziewczyny. Obawiał się, że gdyby poznał prawdę, nie potrafiłby potem spojrzeć sobie w oczy.

Nie to, co mój przyjaciel. Ani trochę nie przejął się tym, co zrobiliśmy - pomyślał.

Przeniósł spojrzenie na pokład rufówki, gdzie Jason czuwał przy sterze. Mimo że kapitanem statku *Fairwinds* był Jonas Hemmings, wszystkie rozkazy wydawał właściciel, Jason Trace.

Szkuner był szybki i piękny jak ptak niesiony przez fale. Jason kochał ten statek prawie tak bardzo jak Fairhills, co było dość niezwykle. Rzadko spotykało się ludzi, którzy nie tylko byli niezwykle mocno przywiązani do swojej ziemi, ale jeszcze ciągnęło ich pod żagle. Jednakże Jason nie był jakimś tam zwykłym człowiekiem.

-*Monsieur* Trace wiele potrafi, prawda?

Conor nie usłyszał kroków Rene.

- Czemu się skradasz, gałganie?

- Służący w Wersalu musieli być dyskretni, *monsieur*. Nie może na się było narzucać.

- Myślałem, że to twój ojciec...

- *Oui*, ale papa przyuczał mnie do zawodu, żebym mógł objąć tam posadę. Kto mógł przewidzieć, że... - Rene zawiesił głos i wzruszył ramionami. - Takie jest życie.

Chłopak miał praktyczne podejście do świata, nie rozwodził się nad stratami i patrzył w przyszłość. Taki wszędzie da sobie radę.

Kiedy Rene poszedł rozejrzeć się po statku, Conor postanowił spróbować porozmawiać z dziewczyną. Może dałoby się choć trochę załagodzić całą sytuację. Owszem, na pewno nie wybaczy mu tego, że przyłożył rękę do jej uprowadzenia, ale cóż szkodzi dać jej znać, że gdyby chciała z kimś porozmawiać, on, Conor O'Shea, jest naprawdę dobrym słuchaczem.

- Zimno tak stać na wietrze, a na dole czeka przytulna kajuta. Jeśli chcesz, zaprowadzę cię do niej.

Gabrielle oderwała spojrzenie od horyzontu; Francja i tak już rozmywała się w oddali. Owinawszy się ciasniej peleryną matki, spjrzała Irlandczykowi w oczy.

- Szkoda, że nie był pan tak skory do pomocy, kiedy potrzebowałam jej naprawdę, *monsieur* - powiedziała gorzko. Czy chciał zdobyć jej przyjaźń? To prawda, miała wobec niego dług wdzięczności za pomoc w ucieczce z *hotel*, ale odkąd przyłożył rękę do jej porwania, nie była mu już nic winna.

Conor westchnął.

- Ach, dziewczę miłe, masz prawo się dąsać. Wiem, że nie możesz nam wybaczyć tego, cośmy zrobili. Ale spróbuj choć zrozumieć, dlaczegośmy... dlaczego ja tak postąpiłem. Bo widzisz, jakoś nie mogłem się pogodzić z tym, że taka młoda dziewczyna, zamiast cieszyć się życiem, idzie na pewną zgubę.

Gabrielle obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Jakim prawem, *monsieur*? Kim pan jest, Bogiem? To moje życie i mogę z nim zrobić to, co mi się żywnie podoba. A panu nic do tego. - Uderzyła się dłonią w pierś. - Pan nic o mnie nie wie.

Conor skinął głową i uśmiechnął się smutno.

- Tak sobie myślę, że mogłaś temu zaradzić. Wystarczyłoby szepnąć nam, o co chodzi. A tak musieliśmy zaryzykować, nie wiedząc nawet, w czym rzecz...

-I nie dowiecie się tego, *monsieur*. Nie możecie zmusić mnie, żebym powiedziała...

Zauważyła, że Conor patrzy na kogoś za jej plecami. Obejrzała się. Jason. Gabrielle nie czekała, aż podejdzie. Po tym, co zrobił, ani myślała się do niego odzywać.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę schodków. Pełnym wdzięku ruchem owinęła się czarną peleryną.

Jednak Jason dużymi krokami przebył dzielącą ich odległość i, by uniknąć zderzenia, Gabrielle musiała przystanąć. On też się zatrzymał. Spojrzeli na siebie. Cisza, która zaległa, była prawie namacalna... a powietrze niemal zaiskrzyło się od pogardy, jaką ci dwoje czuli do siebie nawzajem.

Gabrielle nie miała zamiaru przedłużać tej sceny. Spojrzała na Trace'a z nie skrywanym obrzydzeniem, po czym splunęła mu pod nogi. Następnie uniosła hardo głowę i odwróciwszy wzrok, zeszła pod pokład.

Gabrielle przejrzała się w lustrze. Niedawno zaplotła włosy w długi warkocz. Chciała wyjść na górny pokład, żeby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza, a doskonale pamiętała, jak tam jest wietrznie. Kiedy wchodzili na statek, miała na głowie czapkę René, ale powiedziała sobie, że nigdy już nie włoży tego ohydztwa.

Przez ostatnie parę dni nie wychodziła z kajuty. Wiedziała, że ten mały nicpoń sypia w hamaku w mesie, podobnie jak reszta załogi. Dobrze mu tak. Nie zapomniała, że i on przyłożył rękę do jej porwania.

Wiedziała też, że Jason i kapitan statku mają swoje prywatne kajuty. Powiedział jej to nadzwyczaj miły chłopiec okrętowy imieniem Danny. Na początku zdziwiła się, usłyszawszy, że to Jason jest właścicielem statku, ale po chwili doszła do wniosku, że nie ma w tym nic zaskakującego. Trace zachowywał się z arogancją, jakiej nie powstydziliby się dworzanie z Wersalu.

Oczywiście, nie widziała go już od dwóch dni. No i dobrze. Danny, co prawda, przekazał jej zaproszenie na kolację od samego kapitana, ale poinformowała go, że wszystkie posiłki będzie jadła w swojej kajucie. Siedzieć przy jednym stole z tym człowiekiem? Wołałaby umrzeć z głodu!



To akurat jej nie groziło. Jedzenie było niezwykle smakowite, a jej apetyt wręcz wilczy. Nic dziwnego, morskie powietrze - stwierdził Danny, dodając po chwili, że powinna dziękować losowi za to, że nie dosięgła jej choroba morska.

Jednakże gdy mimochodem wspomniął, że tak doskonałe jedzenie zawdzięczają panu Trace'owi, Gabrielle niemal zaczęła żałować, że nie dopadła jej morska choroba. Ma być wdzięczna Trace'owi za cokolwiek? Jeszcze czego!

Przewiązawszy warkocz skórzanym rzemykiem, wyszła z kajuty. Dwa dni w tej dusznej dziurze to za wiele. Zawsze uwielbiała długie spacerować w słońcu. Razem z *maman* często...

Skarciła się w duchu. Nie myśl o niej, a może jakoś to będzie.

Tylko w ten sposób udało jej się przetrwać dwie ostatnie doby. Najcięższe były noce; by odpędzić ponure myśli, koncentrowała się na błahostkach, choćby odmianie angielskich czasowników czy powtarzaniu sobie układu rymów w sonecie włoskim. I to jej pomagało. Ale nie mogła nic poradzić na koszmarne sny, z których budziła się złana potem, gwałtownie łapiąc oddech. Wciąż słyszała echo turkotu kół na bruku, widziała rozjuszonych ludzi z widłami i...

- Dość już! - mruknęła gniewnie i szybkim krokiem ruszyła ku schodkom prowadzącym na pokład. Nagle wyrósł przed nią wysoki mężczyzna w obcisłych skórzanych bryczesach i wysokich butach.

- Dokąd to, u licha? - Na twarzy Jasona malował się gniew.

Jak zwykle - pomyślała Gabrielle. Jego ciemne oczy błyszczały w świetle sączącym się z lampy. Dziewczyna pospiesznie odwróciła wzrok, ujrawszy wystające spod rozchełstanej koszuli Jasona ciemne włosy porastające jego pierś. Mimo to wciąż wyczuwała bijącą od niego aurę męskości.

- Na pokład - powiedziała - zresztą, nie twoja sprawa. - Próbowała precyzyjnie się obok niego, ale ponownie stanął jej na drodze.

- Właśnie, że moja. Nigdzie nie pójdziesz bez...

- Pójdę!

- Bez czapki nigdzie się stąd nie ruszysz!

- Czapki? Co czapka ma wspólnego z...

W odpowiedzi złapał ją za warkocz i podstawił jej go pod oczy.

- To! - powiedział. - Zakryjesz to czapką. Nie chcę, żeby ktokolwiek z załogi wiedział, że jesteś kobietą.

- Ale... ale to jakiś nonsens.

- Wręcz przeciwnie. Moi marynarze to dobre chłopcy, ale samotna kobieta mogłaby być dla nich zbyt silną pokusą. Nie dopuszczę, żebyś im namotała w głowach!

- Oni nic mnie nie obchodzą! Żaden mężczyzna mnie nie obchodzi!

- Doprawdy? - Uśmiechnął się szyderczo. Wypuściwszy jej warkocz z ręki, Jason cofnął się o krok i omiół ją spojrzeniem.

Była ubrana mniej więcej tak samo jak on. Miała na sobie bryczesy Renę zamiast obszernych spodni noszonych przez sankiulotów. Tylko długa kamizelka skrywała kobiece kształty, które tak doskonale pamiętał... Do pioruna, to było raptem trzy noce temu?

Gabrielle nie podobał się sposób, w jaki na nią patrzył. Przypomniały jej się lubieżne spojrzenia dworzan w Wersalu. I to, o czym usilnie pragnęła zapomnieć - chwila, w której mu się oddała. Tylko wmawiając sobie, że zrobiła to dla matki, mogła znieść myśl, że straciła dziewictwo z tym oto człowiekiem.

Jej zdanie na temat mężczyzn i tego, czego nade wszystko chcą od kobiet, ani trochę nie zmieniło się po tym, jak znalazła się w łóżu Jasona. Nie mogła zapomnieć chwili, kiedy poczuła się, jakby była rozdierana niczym ofiarne zwierzę, by zaraz potem, niby jakaś bezwstydnica, stracić panowanie nad sobą...

Opędziła się od natrętnych myśli.

- Dość się napatrzyłeś. - Spojrzała na niego wzgardliwie.

- Tak. I uznałem, że nawet jeśli włożysz czapkę, nie wyjdiesz sama na pokład.

- A po co mi *un chaperon*? - Przeszła na francuski, jak to jej się często zdarzało, gdy ogarniał ją gniew. - Przed kim niby miałby mnie chronić? Przed tobą? - Na jej twarzy pojawił się drwiący uśmiech.

Jason miał już tego dosyć. Pociągnął ją tak silnie za warkocz, że krzyknęła z bólu i wspięła się na palce.

- A teraz posłuchaj mnie, ty francuska suko. - On też mówił po francusku, wyrzucając słowa przez zaciśnięte zęby. Nachylił się nad nią tak, że ich twarze dzieliło od siebie zaledwie kilka cali. - Nic ci z mojej strony nie grozi! To ty przyszedłaś do mnie tamtej nocy. Inaczej nigdy bym cię nie tknął!

Z nie skrywaną pogardą wypuścił warkocz z ręki. Gabrielle zatoczyła się do tyłu.

- No i - dodał, wpijając w nią płonące oczy - na Boga, żałuję, że to zrobiłem!

Te słowa zaboląły ją do głębi. Jak on śmie udawać niewinnego? Co, niby on tego nie chciał? Przecież zachowywał się jak niedźwiedź w rui.

- Bóg nie ma z tym nic wspólnego! - wyrzuciła z siebie. - Chyba że czcisz ten... ten przyrząd w swoich bryczesach! Zapewniam cię, że ja nie! - Odwróciła się na pięcie i ruszyła do swojej kajuty.

- Drobną sugestią, *mademoiselle* - krzyknął za nią. - Na przyszły raz, widząc takowy „przyrząd”, proszę nie zachowywać się jak napalona suka!

Zastygła w bezruchu, ale nie odwróciła się.

- Nie pozwolę, żebyś omotała moją załogę - dodał po angielsku. - Dlatego nie chcę cię widzieć na pokładzie bez czapki ani eskorty.

Trudno było powiedzieć, co zabrzmiało głośniejsz - trzaśnięcie drzwiami czy przekleństwa Jasona.

I rzez następne dwa dni Gabrielle nie wychodziła z kajuty. Na zmianę lała łzy gniewu i przeklinała Jasona Trace'a na wszelkie możliwe sposoby, po francusku i po angielsku. Ciskała słowa, których znaczenia nie była pewna.

Nawet jakobini, mimo że szczerze ich nienawidziła, nie wywoływali w niej tak gwałtownej reakcji. Ale Jason Trace'ę znieważył ją, a do tego śmiał jej coś wytknąć, co zrobiła wyłącznie ze szlachetnych pobudek, mając na uwadze dobro matki. Nienawidziła go tak mocno, że na samą myśl o nim zaczynała drżeć z gniewu.

Trzeciego dnia po starciu z Trace'em postanowiła nieco życzliwiej potraktować Conora. Nie miała zamiaru mu wybaczyć, ale przynajmniej mogła z nim porozmawiać. Odkąd weszli na pokład statku, bezustannie próbował jakoś podnieść ją na duchu.

Już pierwszego dnia Irlandczyk zapukał do drzwi kajuty i spytał, czy nie zechciałaby pospacerować z nim po pokładzie.

Powiedziała mu, że jeśli przysłał go tu ta *cochon*, to wykluczone.

Conor odparł, że po pierwsze, nie wie, co to jest *cochon*, a po drugie, przyszedł do niej z własnej woli. Nieśmiało wyjaśnił, że połowa załogi słyszała „pewną kłótnię”, choć marynarze rozumieli z niej tylko to, co zostało powiedziane po angielsku.

Gabrielle wyjaśniła tylko, że *cochon* *znaczy* świnia.

On jednak nie ustępował i już następnego dnia ponownie stanął pod jej drzwiami, proponując wspólny spacer. Wystarczy, żeby włożyła na głowę „tę cudną czerwoną czapeczkę” i razem będą mogli nacieszyć się piękną pogodą.

Ona mu na to, że „cudna czerwona czapeczka” koszmarnie śmierdzi i nie życzyłaby najgorszemu wrogowi, by musiał ją włożyć.

Jednak gdy usłyszała o pięknej pogodzie, poczuła nieprzeparłą chęć, by wyjść na słońce i odetchnąć świeżym powietrzem. Zaczęła żałować, że odmówiła Conorowi w tak ostrych słowach. Kiedy pojawił się pod jej drzwiami następnego dnia, służąc jej swoim „słodko pachnącym *tricorne*'em” i ramieniem, zmiękła.

Conor skłonił się przed nią szarmancko i wyciągnął *tricorne* w jej stronę. Jego niebieskie oczy zaiskrzyły się wesoło.

- Panno Lafleur - powiedział niezwykle uroczyście - będę zaszczycony, jeśli zechce pani dotrzymać mi towarzystwa. Rozumie się, w pani nowym nakryciu głowy.

Gabrielle z trudem powstrzymała uśmiech cisnący się na jej usta. Conor wyglądał iście przekomicznie, składając przed nią wytworny, acz dość nieporadny ukłon. Ten potężny mężczyzna o rudych włosach i rudej brodzie wyglądał jak baśniowy olbrzym.

- Oddech dziecięcia nie pachnie cudnie - zapewnił, wręczając jej *tricorne*. - Dwa razy miałem go na głowie, nie więcej. A moja matuś, święta zaiste kobieta, wbiła mi do głowy, że trzeba się często myć, nawet jeśli nie robi tego nikt z sąsiadów.

Wargi Gabrielle zadrżały.

- Rzeczywiście musiała być święta, skoro postępowała wbrew panującym obyczajom, *monsieur*.

Conor uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową.

- Była święta, bo miała na głowie takiego synalka jak ja. O tym, że czystość to mus, przekonała się dzięki sąsiadom, którzy trzymali świnie w swojej sypialni.

Gabrielle nie wytrzymała i zachichotała.

- Naprawdę, *monsieur*? Pan nie zmyśla? - spytała, zwracając wzrok do lustra, by przymierzyć *tricorné*. Wydawał się nieskazitelnie czysty.

Conor z poważną miną położył rękę na sercu.

- Mówię prawdę, jakem Conor O'Shea! Moja matuś była święta, bo ciągle musiała powtarzać swojemu upartemu synowi, żeby nie łąał jak najęty. Książdz machnął już na mnie ręką, ale nie matuś. Ach, ileż to razy musiała złoic mi skórę! Do dziś pamiętam, jakież obolałe miałem siedzenie.

Gabrielle zachichotała.

- Musiał pan wystawiać jej cierpliwość na nielichą próbę! Żeby aż tak rozgniewać świętą osobę... - Rozpuściła warkocz i ułożyła włosy na głowie tak, by zmieściły się pod *tricorné*'em.

Conor parsknął śmiechem, gdy odwróciła się do niego twarzą.

- Oj tak... miała ze mną krzyż pański.

Gabrielle spojrzała mu w oczy.

- A gdzie ona teraz jest... to znaczy pańska *maman*?

Conor spochmurniał.

- Odeszła. Bóg zabrał ją do siebie, kiedy miał jedenaście lat.

Przez chwilę wydawało mu się, że nim spuściła głowę, w jej oczach pojawił się głęboki smutek. Nie, to musiało być złudzenie. Ot, spoważniała, i tyle.

- Przykro mi, *monsieur*, że poniósł pan tak wielką stratę.

- Myślę o niej dzień w dzień - powiedział. - Nikt tyle dla mnie nie zrobił co ona. Matki nigdy się nie zapomina.

- Nie wątpię - stwierdziła, wychodząc za nim z kajuty. A w duszy dodała: ja o swojej też nie zapomnę.

Korzystając z ładnej pogody, Gabrielle i Conor często wychodzili na pokład. Wkrótce załoga przywykła do widoku wysokiego, potężnego mężczyzny przechadzającego się w towarzystwie drobnego, szczupłego chłopaczyny. Czasem podchodził do nich kapitan Hemmings i pokazywał im ławice delfinów albo odpowiadał na pytania o wiatr i wysokość fal.

Często spotykali też Rene. Chłopak był żywo zainteresowany wszystkim, co widział na statku, i dotąd nękał marynarzy pytaniami, aż zgodzili się, by pomógł im w ich obowiązkach. Bosy, opalony na brązowo jak małpka, śmigał po pokładzie

albo wspinał się na lakielunek z taką zręcznością, jakby robił to od urodzenia.

Natomiast rzadko spotykali Jasona. A jeśli nawet, to nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Zresztą Gabrielle w ogóle nie chciała go widzieć. Kiedy jednak mimo woli spoglądała na niego, nie mogła nie dostrzec, jak męsko wygląda, stojąc na pokładzie... z rozstawionymi nogami, w bryczesach ciasno opinających umięśnione uda... w łopoczącej na wietrze białej koszuli, przesłaniającej szeroką pierś. Niemal zauroczona, patrzyła, jak wiatr targa kruczoczarne włosy Jasona. Jego szlachetne rysy twarzy zaś, ogorzałe od słońca, nabrały jeszcze więcej powabu.

Był zdecydowanie zbyt przystojny, żeby mogła, ot tak, zapomnieć tę jedną jedyną godzinę, którą spędziła w jego łóżu. Za to właśnie tak go nienawidziła. Jason Trace był uosobieniem wszystkiego, co czyniło jej życie koszmarem - utraty niewinności, lęku o przyszłość, no i przede wszystkim zawodu, jaki sprawiła matce. Za to, że przez niego nie udało się jej uratować, Gabrielle nienawidziła go najbardziej.

Tymczasem powoli zaczynała się przekonywać do Conora. Irlandczyk miał w sobie coś, co sprawiało, że po prostu nie mogła się na niego boczyć. Jak na człowieka o jego budowie ciała, był nad podziw delikatny i mówił łagodnym tonem, a do tego Gabrielle miała wrażenie, że jest wobec niej szczery. Jego opowieści niezawodnie poprawiały jej humor. No i, co najważniejsze, zawsze był gotów jej wysłuchać.

- A o czym tak myślisz, dziewczę drogie? - spytał któregoś dnia, gdy była bardziej milcząca niż zwykle. Wyszli na pokład po kolacji, żeby obejrzeć zachód słońca.

Jednak, mimo że zachód słońca był niewypowiedzianie piękny, co innego zaprzątnęło myśli Gabrielle. Tego ranka po raz kolejny pokłóciła się z Jasonem.

Właściwie w pewnym sensie była to jej wina. Po prostu wreszcie chciała się dokładnie umyć. Ciągle miała na sobie to samo ubranie, a do mycia musiała służyć jej płytką miednica. Tego dnia dowiedziała się od Danny'ego, że na statku jest miedziana balia. Gabrielle czym prędzej wysłała po nią chłopaka i poprosiła, żeby po drodze zajrzał do kucharza i wyprosił u niego trochę ciepłej wody.

Tyle że po chwili do drzwi jej kajuty załomotał nie Danny, tylko Jason. I był wściekły.

- Co ty sobie myślisz? Jak możesz przeszkadzać w pracy załogi i domagać się specjalnego traktowania? - wyrzucił z siebie.

Gabrielle ze spokojem wytrzymała jego wściekłe spojrzenie i nie odezwała się ani słowem. Uznała, że tak będzie najbezpieczniej, biorąc pod uwagę jego nastrój. Nie miała pojęcia, że swoją prośbą przeszkodzi komukolwiek w pracy, i zrobiło jej się trochę głupio, ale nie zamierzała dać tego po sobie poznać. Nie Trace'owi.

- Nie stój tak, jakbyś zapomniała języka w gębie! Zadałem ci pytanie!

- A ja nie chcę na nie odpowiedzieć. - Odwróciwszy się plecami do drzwi, wzięła balię za uchwyt. - Masz! Weź sobie tę twoją cenną balię, ty gburze!

- Ja gburem?

Balia okazała się dość ciężka. Gabrielle zaczerpnęła powietrza i wyprostowała się, odgarniając z twarzy kosmyk włosów. Następnie spiorunowała Trace'a spojrzeniem.

- Nie, cofam to. Gbur to za mało. Jesteś tyranem!

- Tyranem! - Z groźną miną Jason postąpił krok naprzód, ale ona nie drgnęła.

- A jak inaczej nazwać człowieka, który bez przerwy napatuje słabszych od siebie? Człowieka, który narzuca innym swoją wolę, nie pytając ich o zdanie?

Obydwoje wiedzieli, że nie chodzi już o balię.

- Ja bym go nazwał człowiekiem mądrym - wycodził przez zęby Jason - który nie ustępuje przed głupcami!

- Głupcami?

- Tak, ludźmi, którym Bóg poskąpił rozsądku!

- Rozsądek nie miał z tym nic wspólnego!

Stali twarzą w twarz, patrząc sobie w oczy i dygocząc z gniewu.

Wtedy pojawił się Conor i zaproponował, że naleje wody do balii. W odpowiedzi Jason przeszył go wściekłym spojrzeniem i odwróciwszy się na pięcie, wyszedł z kajuty. Gabrielle uśmiechnęła się do Irlandczyka z wdzięcznością.

A teraz, kiedy Conor zapytał ją, o czym myśli, uśmiechnęła się ponownie.

- Tak tylko myślałam, jak to dobrze, kiedy człowiek dla odmiany jest czysty. Dziękuję ci, Conor. To było miłe z twojej strony.

- Daj spokój. Zrobiłem to samo co ty. Bo wiesz, sam nieźle cuchnąłem.

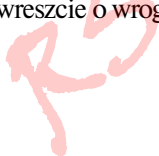
Gabrielle zachichotała, po czym nagle przybrała poważną minę. Postanowiła zapytać go o coś, co nurtowało ją już od pewnego czasu.

- Conor, nie uważasz, że Jason czasami... przesadza w swoim gniewie? Czy tylko ja tak na niego działałam, czy też jest taki w stosunku do wszystkich?

Conor przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, po czym skinął głową.

- Może to dobra chwila, żebym ci to i owo powiedział. Chodź, klapniemy sobie tutaj. - Wskazał dwa zwoje liny leżące pod grodzia.

Kiedy usiedli, opowiedział jej o Juliette Trace, o tym, jak porzuciła męża i syna. I o nieufności Jasona wobec kobiet, a szczególnie Francuzek. No i wreszcie o wrogości, jaką od tamtego czasu nosi w sercu.





## 13

Jason słuchał jednym uchem, jak Jonas Hemmings mówi o drobnej zmianie kursu. Jego uwagę przykuło co innego: patrzył na pokład, gdzie Brielle uśmiechała się właśnie do Conora, który coś jej z zapamiętaniem opowiadał. Niech to diabli! Kiedy tak się uśmiechała, jej twarz stawała się jeszcze piękniejsza... i tak kobieca. Rozejrzał się; gdyby ktoś spojrział na nią w tej chwili, w mig zorientowałby się, że nie jest chłopakiem.

Na szczęście wszyscy marynarze byli zajęci swoimi obowiązkami i nie zwracali większej uwagi na znajomą parę przechadzającą się po pokładzie. Jason odetchnął z ulgą. Już od dawna wiedział, że ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć, a cała załoga była święcie przekonana, że „Bernard”, przyjaciel Conora, to chłopak.

Jaka szkoda, że on nie mógł w to uwierzyć! Ta dziewczucha bardziej zaprzętała jego myśli, niżby sobie tego życzył. Od czasu ich kłótni o tę przeklętą balię. Wcześniej w ogóle nie zwracała na niego uwagi. A od tamtej pory kilka razy przyłapał ją na tym, że bacznie mu się przygląda.

Czyżby znowu coś knuła? W końcu nie dowiedział się, czym spowodowane było jej dziwne zachowanie we Francji. Czy gołębie serce Conora miało ściągnąć na nich kłopoty? Czy wyrwali tę dziewczynę ze szponów Komitetu po to tylko, by mieć pośród siebie jadowitą zmiję?

Jason odpędził natrętne myśli. Przecież to byłby absurd. Ale jedno ciągle nie dawało mu spokoju: czemu broniła się przed wyjazdem z kraju, wiedząc, że pozostanie oznacza dla niej niechybną śmierć? Co mogło być dla niej ważniejsze niż własne życie? Na Boga, była tylko kobietą. A z doświadczenia wiedział, że

kobiety przede wszystkim troszczą się o siebie. Postępowanie Brielle po prostu nie miało najmniejszego sensu.

Wiatr przyniósł perlisty śmiech. Jason spojrział w dół. Conor uśmiechał się do Brielle mówiąc coś, co wzbudzało jej wesołość. Jason uzmysłowił sobie, że do tej pory nie słyszał jeszcze jej śmiechu. W tej chwili wydawała się całkowicie odmieiniona; wyglądała jak każda młoda, pozbawiona trosk dziewczyna. Po raz pierwszy zauważył, że Brielle ma dołki w policzkach i... Cholerny świat! Czemu, u licha, nie mogę po prostu ignorować tej smarkuli?!

Choć bronił się przed tym, czasami wystarczyło, by na nią spojrzeć i ogarniało go jakieś dziwne uczucie. Powracały wspomnienia... jak leżała w jego łóżku... jak jęczała, pragnąc go... jak jej niedoświadczone ciało reagowało na jego dotyk niczym...

Hemmings spytał go o coś. Zwracając się twarzą w jego stronę, Jason dostrzegł kątem oka, że Brielle znowu mu się przygląda. Kiedy odpowiadał na pytanie kapitana, obiecał sobie w duchu, że przestanie się zamartwiać tym, co ona knuje. Po prostu się dowie.

Grabrielle z trudem powstrzymywała się od śmiechu, wysłuchując kolejnej skargi Danny'ego. Kiedy przyszedł po tacę, na której wcześniej przyniósł jej śniadanie, poinformował ją o nowych niecnym postępkach „tej karłowatej żaby”, jak określał Renę. Tym razem ten nicpoń ograł go w szachy.

- No to po co z nim w ogóle grasz? - spytała. - Pamiętasz, mówiłam ci, jaki z niego szubrawiec.

- Ano - mruknął Danny i wzruszył ramionami. - Ale, widzi pani, zaczął mi mówić, że każdy kiedyś musi przegrać, że tym razem ja na pewno będę górą i...

-I mu uwierzyłeś.

- Wie pani, to, co mówił, miało sens, nie? Chyba że... - Danny nagle nachmurzył się. - Myśli pani, że on kantuje?

Wargi Gabrielle zadygotały, ale udało jej się zachować poważną minę.

- Coś ci powiem, Danny. Gdybym to ja miała grać w szachy z tym nic... z Rene, ani na chwilę nie odrywałabym oczu od szachownicy.

Uszy Danny'ego zaczerwieniły się. Chłopak najwyraźniej pojął, o co chodzi.

- Chociaż lepiej byłoby nie grać z nim w ogóle. - Gabrielle uśmiechnęła się ciepło.

Danny skinął posępnie głową i wyszedł z tacą w rękę. Gabrielle otworzyła tomik poezji, który dostała od Conora. Po kilku minutach jednak zorientowała się, że nie myśli o wierszach. Myślała tylko o Jasonie.

Odłożywszy książkę, położyła się na koi i w zamyśleniu zaczęła skubać koniec warkocza. Opowieść Conora o Jasonie wstrząsnęła nią do głębi. Jak matka może porzucić swoje dziecko? Próbowała sobie wyobrazić, jak czuł się sześciolatek, który dowiedział się, że go opuszcza. Bez słowa pożegnania... bez jakiegokolwiek wyjaśnienia. Conor powiedział jej, że tak właśnie opisał to Alexander Trace. Dodał też, że Jason nigdy o tym nie mówił; był wówczas małym dzieckiem, musiał więc zaiste być dezorientowany i przerażony. *Mon Dieu*, wystarczyło, że Gabrielle przypomniała sobie, jaka sama była w tym wieku.

Przeżegnawszy się, wyszeptała dziękczynną modlitwę do Matki Bożej. Jak dobrze, że jej nie spotkała taka tragedia!

Ale los nie oszczędził Jasona. Wbrew sobie współczuła człowiekowi, który zniszczył jej życie i pozbawił nadziei.

Kto wie, co by się stało, gdyby straciła matkę? Przecież to, kim teraz była, zawdzięczała wychowaniu w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa.

A czy Jason stał się takim zgorzkniałym człowiekiem, bo to bezpieczeństwo utracił? Bo zdradziła go właśnie ta osoba, do której winien mieć bezgraniczne zaufanie? Oczywiście, jakże mogło być inaczej? Jego bezdusność, brak współczucia, a nawet nieustający gniew mogły mieć swoją przyczynę w okrutnym czynie jego matki.

Jednak czemu ją miałby obchodzić Jason Trace? Przecież nie czuli do siebie nic poza nienawiścią. Conor opowiedział jej o Jasonie, bo miał nadzieję, że gdy Gabrielle dowie się całej prawdy, łatwiej jej będzie wszystko zrozumieć.

Jedno zrozumiała na pewno: za krzywdę, jaką wyrządziła mu jego *maman*, winił wszystkie kobiety. A szczególnie Francuzki. Czyż nie słyszała, z jaką rozkoszą nazwał ją, Gabrielle, nie dość,

że „suką”, to jeszcze „francuską”? I teraz miała na niego patrzeć przychylniejszym okiem.

Westchnawszy ciężko, sięgnęła po książkę. Straciła już dość energii na te bezproduktywne rozważania. Pora zająć się czymś pożytecznym.

Sztorm nadciągnął niemal bez ostrzeżenia. W jednej chwili radowali się z dobrej pogody, podziwiali, jak szybko *Fairwinds* zbliża się do wybrzeży Ameryki, a już zaraz potem wchłonął ich ryczący wir wiatru i wysokich fal.

Stało się to chwilę po tym, jak Jason przekazał ster Hemming-sowi. Natychmiast poczuli, że wiatr przybiera na sile. Obserwator na bocianim gnieździe krzyknął i wskazał kotłujące się na horyzoncie czarne złowieszcze chmury. Po chwili wszystko spowiła ciemność.

Szkunerem zaczęło rzucać na wszystkie strony. Hemmings wydał jakiś rozkaz, ale załoga już robiła, co do niej należało. Wszyscy zgromadzili się na pokładzie, a część marynarzy zabrała się do ustawiania żagli i uszczelniania luków. Jason dołączył do nich. Teraz nie liczyło się, kto jest kapitanem, a kto majtkiem. Liczyła się każda para silnych rąk.

Wkrótce wszystko skryło się za ścianą deszczu. Jason, bosy, podobnie jak reszta załogi *Fairwinds*, z trudem utrzymywał równowagę, gdy statek niemal pionowo wznosił się na grzbiet fali, by po chwili runąć w dół.

Minęło kilka godzin; ile dokładnie, nie miał pojęcia. Walczył z żywiołem jak wszyscy. Powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z ogarniającego go zmęczenia, z tego, że nadwężone mięśnie wręcz domagają się chwili odpoczynku, ale o żadnym odpoczynku nie mogło być mowy. Skoro *Fairwinds* jakoś się trzymał, on też da sobie radę. Do licha, muszą wyjść z tego cało!

Przez ryk wiatru przebił się jakiś krzyk. Nie wypuszczając z dłoni liny zabezpieczającej, Jason odwrócił się. Jego oczom ukazał się Rene, kurczowo trzymający się wyblinkki. Nagle zniknął, przykryty kolejną falą.

Jason sklął pod nosem idiotę, który pozwolił chłopakowi zostać na pokładzie, po czym rzucił się naprzód. Za późno. Ściana

wody przetoczyła się przez pokład, pozostawiając za sobą wyblinkę, której nikt już się nie trzymał.

- Jason, pomocy!

Odwrocił głowę w kierunku, z którego dobiegł głos Conora, i zauważył, że Irlandczyk szykuje się, by rzucić koniec sznura tam, gdzie nad powierzchnią wody wystawała ledwo widoczna głowa chłopaka. Jednocześnie jednak dzielny Irlandczyk musiał puścić linę zabezpieczającą i przez to teraz zsuwał się ku prawej burcie mocno przechylonego statku. Jeszcze chwila i wchłona go wody oceanu.

Jason odwrócił się na pięcie w stronę barkasa. Po paru sekundach miał już w ręku wiosło i wyciągał je do Conora. Ten wiedział, co ma robić. Chwytał koniec wiosła, a Jason przyciągnął go do siebie.

Gdy Conor odzyskał równowagę i zaczepił się łokciem o linę zabezpieczającą, Jason pochwycił zwój sznura i zawiązał jeden jego koniec wokół talii Irlandczyka.

- Trzymaj mocno i kiedy dam znak, wciągnij mnie na pokład! - krzyknął. - Bo inaczej będę cię straszył zza grobu!

Następnie chwycił drugi koniec liny i wskoczył do wody, tam gdzie jeszcze przed chwilą widać było Renę. Conor wstrzymał oddech, gdy lina rozwinęła się do samego końca. Ale nie poczuł szarpnięcia, które wskazywałoby, że Jason odnalazł chłopaka i był gotów do powrotu.

Klnąc siarczyście, wyteżył wzrok, by zobaczyć, co się dzieje, ale wszystko przesłaniały strugi padającego deszczu. Zamknął więc oczy... i zaczął się modlić.

Wydawało się, że minęła wieczność, nim poczuł szarpnięcie liny.

- Dzięki wam, święci pańscy! - krzyknął wciągając sznur na pokład. Wydawało mu się, że sztorm przechodzi, ale nie mógł być pewien; ciemności zaczynały się przeredzać i... tak, oto i oni! Obydwoj! Jason wyciągnął chłopaka!

Conor zawołał o pomoc i po chwili wyrosło obok niego kilku marynarzy. Wspólnymi siłami wciągnęli Jasona i Rene na statek. Trace, niesamowicie wyczerpany, delikatnie ułożył drobne, bezwładne ciało na pokładzie. Rene nie dawał żadnych oznak życia.

- Matko Boska - mruknął Conor - czy on...?

W tej chwili Rene drgnął i zaniósł się kaszlem. Conor wymamrotał coś pod nosem i przeżegnał się. Podniósłszy wzrok, napotkał spojrzenie Jasona. Uśmiechnęli się szeroko.

Kiedy znieśli chłopca na dół, sztorm już tracił na sile. Conor ustąpił Rene swoją koję.

Jason posłał Danny'ego po coś ciepłego do picia, po czym ruszył do swojej kajuty, by się przebrać. Był przemoknięty od stóp do głów, dygotał z zimna i padał ze zmęczenia. Jednak nie mógł pozwolić sobie na odpoczynek, dopóki niebezpieczeństwo nie zostanie zażegnane.

Zresztą może już było po wszystkim? Fale nadal miały statkiem na wszystkie strony, ale nie tak gwałtownie, jak przedtem. Jason uśmiechnął się i poklepał jedną z grodzi, czując w duchu głęboki podziw dla tego szkunera. To już nie pierwszy sztorm, z którego wyszedł bez szwanku.

Przystanął i spojrzął na drzwi kajuty po lewej. Kajuty Brielle. Nie dobiegali z niej żaden dźwięk. Co ta dziewczyna robiła przez cały ten czas? A może siedzi teraz skulona na koi, dygotając ze strachu? Musiał przyznać, że to całkiem możliwe. Nie spodziewanie nasunęła mu się myśl, że gdyby tak było, to winna za to musiałaby przynajmniej po części spocząć na jego barkach.

Diabła tam! - zaklął w duchu, nie odrywając oczu od zamkniętych drzwi. Uratowałeś jej życie, a ona nie okazała ci cienia wdzięczności. Czemu miałbyś się przejmować tym, czy jest teraz przerażona, czy nie?

Bo czy chcesz tego, czy nie, jesteś za nią odpowiedzialny - powiedział mu jakiś natrętny, wewnętrzny głos.

Jason zaklął raz jeszcze, wyzywając się w duchu od idiotów, ale mimo to po chwili zapukał do drzwi.

- Drzwi są otwarte, Danny. - Jej głos wydawał się zadziwiająco spokojny, jak na kogoś, kto trzęsie się ze strachu. No, ale przecież nie na darmo była doskonałą aktorką.

- To nie Danny - odparł, myśląc o tym, by powiedzieć jej, że tylko osoba niespełna rozumu zostawia drzwi otwarte. - To ja, Jason.

Nastąpiła chwila ciszy.

- *Entrez* - powiedziała wreszcie Brielle.

Wszedłszy do środka, Jason stanął jak wryty. Brielle siedziała w niedbałej pozie na swojej koi, pogrążona w lekturze jakiejś książki, i najspokojniej w świecie raczyła się jabłkiem. Podniosła na niego wzrok.

- Ja tylko... przyszedłem sprawdzić, jak zniostaś sztorm - powiedział.

Gabrielle ogarnęła spojrzeniem jego przemoczone ubranie, włosy pozlepiane na czole, bosa stopy. W jej oczach pojawiło się zdumienie.

- Zdaje się, że lepiej niż ty - stwierdziła. - Wyglądasz jak tonący szczur.

Jednak mimo okazywanej obojętności, w jej duszy toczyła się walka. Gabrielle usiłowała zdusić w sobie dreszczyk podniecenia, które rozbudziło się w chwili, gdy jej oczy spoczęły na mokrym ubraniu Jasona, ciasno opinającym jego wręcz idealne ciało, którego miała okazję dotykać i którego najdrobniejsze szczegóły pamiętała o wiele dokładniej, niż tego sobie życzyła.

- Czy nie... - Musiała przerwać i odkaszlnąć, jako że nagle zaschło jej w gardle. - Czy nie powinienes się przebrać w coś suchego?

Jason patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Mam przez to rozumieć, że w czasie jednego z największych szkwałów, jakie przetrwał ten statek, ty siedziałas sobie tutaj i czytałas?

- No i jadłam te przepyszne jabłka. Danny mi je przyniósł - powiedziała. - Kto by pomyślał? Jabłka w czerwcu!

- Jadła jabłka i czytała - mruknął pod nosem.

Gdy spojrzała na niego ze zdumieniem, gniew Jasona prysnął. Nie mógł się wściekać, patrząc w jej cudne modre oczy, ozdobione długimi rzęsami. Zauważył, że skóra Brielle nabrała w słońcu złotego odcienia, a na jej nosie wykwitły drobne piegi.

- A to zabronione? - spytała Gabrielle. - Nie wolno czytać ani jeść jabłek podczas tego... jak to się nazywa?

- Szkwału... sztormu - odparł rozkojarzony. Chwilę wcześniej, gdy dziewczyna odwracała się na bok, by odłożyć książkę na podłogę, jej koszula rozchyliła się, odsłaniając pierś.

Zaciskając zęby, wbił wzrok w jakiś bliżej nie określony punkt nad jej głową, zmagając się z podnieceniem budzącym

sic w jego łędźwiach. No i co z tego, że jej chcesz - pomyślał. Nie ma w tym nic niezwykłego. Smakowity z niej kasek, a ty nie miałeś kobiety od...

- Coś się stało? - spytała Gabrielle, słysząc, jak Jason klnie pod nosem.

- Nie, nic - mruknął. - Przyszedłem tu po prostu, by zobaczyć, czy nie trzeba dodać ci otuchy po tym, co przeszliśmy, a ty zachowujesz się, jakby nic się nie stało. Ten sztorm był naprawdę potężny! Twój młody przyjaciel z *hotel* mało co nie postradał życia, a...

- Rene? Co się stało? Wszystko z nim w porządku?

Jason pokrótce opowiedział jej, co się wydarzyło. Gdy słuchała go w skupieniu, nie mógł oderwać oczu od jej pięknych, rudozłotych włosów mieniących się w słabym świetle lampy. Uzmysłowił sobie, że nie widział Brielle z rozpuszczonymi włosami od tamtej nocy, o której chciał zapomnieć; gdy skończył mówić, zmarszczył czoło.

- Rene miał szczęście, że ty i Conor byliście w pobliżu - powiedziała Gabrielle, zaintrygowana tym, że Jason nagle tak się nachmurzył. Wtedy jednak przypomniała sobie, jak wiele kłopotów przysparzał mu ten chłopak, i skinęła głową. - Conor dobrze się nim zaopiekuje. Może to, co się stało, będzie dla tego małego nicponia nauką?

Jason skinął głową i w milczeniu patrzył, jak Brielle odkłada odgryzek; gdy ponownie sięgnęła po książkę, szybko odwrócił wzrok. Ruszył w stronę drzwi, ale zatrzymał się w pół kroku i ponownie spojrzął na nią, nie mogąc się powstrzymać przed zadaniem jej jeszcze jednego pytania.

- A jaką naukę ja mam wynieść z tego spotkania, Brielle?

Opuściła książkę i popatrzyła na niego.

-*Pardon?*

- W czasie potężnego sztormu, który porządnie wystraszyłby niejednego wilka morskiego, ty siedzisz sobie spokojnie, czytasz i jesz jabłko. - Potrząsnął głową ze zdumieniem. - Czy nic cię nie przeraża?

Gabrielle przez chwilę milczała, wpatrzona w swoje dłonie. Wreszcie podniosła głowę. Jej modre oczy patrzyły na niego z niebywałym spokojem.



- Przeżyłam w moim kraju coś, co nazywa się rządami terroru, Jason. - Przeszła na język francuski, a w jej oczach pojawiły się stalowe błyski. - Po tym, co widziałam, nic mnie już nie przerazi.

Patrzyła mu hardo w oczy. Jason przypomniał sobie krzyki żądnego krwi paryskiego motłochu i złowieszczy turkot kół wozów ze skazańcami. Nie mógł zapomnieć widoku krążących po wiejskich drogach ludzi z widłami i pikami. Po chwili skinął głową.

Przez kilka długich sekund patrzyli na siebie. Po raz pierwszy rozumieli się bez słów.

Gabrielle zrobiło się lżej na sercu. Wreszcie podzieliła się z kimś tym, co tak długo dusiła w sobie. A Jason, trzeba przyznać, wydawał się rozumieć. Może nie był aż tak złym człowiekiem.

Jason nie spodziewał się, że Brielle Lafleur kiedykolwiek wzbudzi w nim uczucie, które w tej chwili zrodziło się w jego duszy.

Szacunek.

RS

Ostatni toast, sir?

Jason patrzył, jak Jonas Hemmings podnosi butelkę brandy, którą osuszali od pewnego czasu. To, co zostało, mogło wystarczyć akurat na dwa drinki... ledwo, ledwo. Skinął głową.

Była już prawie północ. Zaczęli pić po kolacji, rozprawiając przy butelce o sztormie, który przeszedł ubiegłego dnia.

Jason nie zdawał sobie sprawy, że zmagali się z rozsąlnym żywiołem przez całe dziewięć godzin. Niebo było wtedy zasnu-te ciemnymi chmurami, a on miał tyle roboty, że nie zauważył nadejścia nocy. Później uzmysłowił sobie, że trzymał się na no-gach tylko siłą woli.

Kiedy Hemmings rozlał resztkę brandy do kieliszków, dreszcz przeszedł Jasonowi po plecach. Gdyby wskakując do wody na ra-tunek tonącemu chłopakowi, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony, mogłoby się to naprawdę źle skończyć. A tak nawet o tym nie pomyślał. Po prostu zrobił to i obydwaj wyszli z tego cało.

Hemmings uniósł kieliszek.

- Za *Fairwinds*, sir, najwspanialszą damę siedmiu mórz. Oby żeglowała jak najdłużej!

- Tak, za *Fairwinds*. - Jason wychylił brandy i spojrzał na ze-gar. Cyfry zatańczyły mu przed oczami. Chyba się spiłem - po-myślał z pewnym zdziwieniem. - No, pora spać, kapitanie. - Od-stawił pusty kieliszek na stół i zerwał się na równe nogi.

- Nno... ostrożnie - powiedział Hemmings.

- Tak jest - wymamrotał Jason. - Dzięki za brandy. Ciesz się, póki możesz. Rano będę cię przeklinał.

Obydwaj wybuchnęli śmiechem, a po chwili Hemmings ży-czył mu już dobrej nocy.

Jason powoli ruszył przed siebie po pokładzie. Powietrze było chłodne i orzeźwiające, dzięki czemu trochę przejaśniło mu się w głowie, choć wiedział, że trzeźwy to jeszcze długo nie będzie. Nie chcąc w tym stanie schodzić pod pokład, przystanął i spozjrzał w niebo.

Tu i ówdzie wisały jeszcze chmury, ale pomiędzy nimi migały setki, a może tysiące gwiazd. Uwielbiał patrzeć w niebo po sztormie. Zresztą to samo robił na wojnie po każdej krwawej bitwie. Wtedy, podobnie jak w tej chwili, gwiazdy były tam, gdzie zawsze. Niebo pozostawało niezmiennie i wieczne, bez względu na to, co działo się na Ziemi.

Odetchnął głęboko. Nie ma to jak morskie powietrze po burzy. Człowiek czuje się jak nowo narodzony.

Po chwili westchnął ciężko. Nie, nie wystarczy zapomnieć o sztormie. Ciągłe nie dawało mu spokoju wspomnienie tego, co zobaczył we Francji. Odczuwał potrzebę oczyszczenia po tym, jak wydostał się z piekła, którym stał się ten zroszony krwią kraj. Pragnął uwierzyć, że są ważniejsze rzeczy na tym świecie niż bezsensowne okrucieństwo człowieka wobec człowieka.

Przypomniał sobie, co powiedziała mu Brielle. Nie wątpił, że widziała w tym przeklętym kraju straszliwe rzeczy. Których nie dało się z niczym porównać. Szkopuł w tym, że nie powiedziała mu nic ponadto. Do cholery, miał już dosyć łamania sobie głowy nad tym, coż ona może ukrywać!

Podjąwszy decyzję, Jason skierował się w stronę schodków. Schodzenie po nich sprawiło mu trochę trudności, ale czuł, że w głowie zaczyna mu się rozjaśniać. Niech diabli wezmą tę dziewuchę! W końcu uratował jej życie. Jest mu to i owo winna.

Łomotanie do drzwi wyrwało Gabrielle z niespokojnego snu. W pierwszej chwili myślała, że nadal śni... kroki na bruku przed *hotel*... ludzie, którzy przyszli po nią...

Usiadła na koi. W tym samym momencie drzwi rozwarły się na oścież i jakiś wysoki człowiek wdarł się do kajuty. Światło płynące z lampy na korytarzu wydobyło z mroku szlachetny profil. Jason.

- To ty! - krzyknęła. - Czego chcesz!

- Porozmawiać - powiedział i ruszył w stronę jej koi.
- Porozmawiać! Wiesz, która godzina?

W odpowiedzi niezgrabnie wzruszył ramionami, po czym usiadł ciężko na koi. Ledwie zdążyła usunąć nogi.

- *Mon Dieu*, jesteś pijany!

Jason spojrział na nią. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do półmroku zalegającego wewnątrz kajuty, zauważył długie rudozłote włosy Brielle, opadające w nieładzie na ramiona. Dziewczyna nie miała na sobie nic poza cienką koszulą nocną. Poczul, że jego lędźwie budzą się do życia.

- Pijany. - Zamyślił się nad tym słowem. Bardzo powoli omiótł ją spojrzeniem, po czym skinął głową. - Ano... chyba uderzyłaś mi do głowy, niech mnie diabli!

Gabrielle zaniepokoiła się. Nie zważając na to, że jest w negliżu, odrzuciła koc i zerwała się na równe nogi.

- Zaraz, zaraz, kobieto. - Chwycił ją mocno za nadgarstek. - A dokąd to?

Gabrielle przełknęła ślinę, zdając sobie sprawę, że właśnie popełniła duży błąd. Widząc, jak jego oczy wędrują po jej ciele, czuła się, jakby stała przed nim naga.

Zresztą prawie tak było!

- J... ja tylko... to znaczy, przydałoby się więcej... więcej światła - wyjąkała. - Chciałam zapalić tę lampę.

Jason zawahał się. Brielle była drobna, szczupła i delikatna jak dziecko. Ale jednocześnie była tak kobieca, tak pociągająca... Patrząc na nią teraz, pamiętał wszystko, co wydarzyło się owej nocy, gdy zakosztował jej wdzięków.

- No to jak, dasz mi ją zapalić? - spytała Gabrielle odważnym tonem, mimo ogarniającego ją lęku.

Jason dostrzegł w jej spojrzeniu coś, co sprawiło, że puścił ją bez słowa. Czy to możliwe, że się go bała? Nieustraszona Brielle Lafleur? Nie, natychmiast porzucił tę myśl.

W czasie gdy ona szukała hubki z krzesiwem i zapalała lampę, Jason podniósł się i zamknął drzwi.

- Nie! - krzyknęła i zwróciła się w jego stronę, słysząc trzask zamykanej zasuw.

Jason natychmiast otrzeźwiał. Tym razem nie dało się tego ukryć. Ona się bała. Jego. Cholerny świat!

- To tylko po to, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności - powiedział. - Nie obawiaj się - dodał, wykrzywiając usta w lekkim uśmiechu. - Nawet cię nie dotknę.

Owszem, chciał tego, i to jak. Była najbardziej ponętą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Ale prędzej go piekło pochłonie, niż weźmie ją siłą! A sądząc z tego, jak na niego patrzyła, tylko w ten sposób mogłoby mu się to udać. Cholerny świat!

Jason nakazał jej, by wróciła do koi. Sam oparł się biodrem o mały stolik, przyśrubowany do podłogi, i stanął twarzą do niej. Gabrielle przyjrzała mu się z wahaniem, po czym pospiesznie wskoczyła pod koc, podciągając go pod sam podbródek.

Jeszcze raz uśmiechnął się do niej ironicznie, po czym skrzyżował ręce na piersi i przez chwilę tylko mierzył ją wzrokiem.

- No i? - spytała ostrym tonem. - O czym chcesz rozmawiać?

- O tobie.

- *Moi?*

Skinął głową. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że Brielle zawsze przechodziła na ojczysty język, gdy bała się utracić panowanie nad emocjami.

- Najwyższy czas, żebyśmy ustalili parę rzeczy, Brielle Lafleur. A może wcale tak się nie nazywasz?

Przed jego oczami stało niewyraźne wspomnienie, jak już raz zadał jej to samo pytanie, wzbudzając jej niepokój. I tym razem, ujrawszy strach w tych pięknych oczach, wiedział, że trafił w dziesiątkę.

- No? - ponaglił ją.

Serce łomotało jej w piersi. Nie tylko dlatego, że zadał jej to pytanie. Lęk ogarnął ją w chwili, gdy zobaczyła, że Jason zamknął drzwi. Kajuta była tak mała, a on... tak blisko. I był tak... męski.

To prawda, wyglądało na to, że nagle wytrzeźwiał. Mimo to nadal nie była pewna, czy można zaufać jego słowu, czy naprawdę jej nie dotknie. A gdyby to zrobił, nie wiedziała, czy zdołałaby mu się oprzeć. Wspomnienie jego dotyku wyparło pamięć o tym, co przeżyła w Wersalu. W tej chwili nie wiedziała już, co sądzić o mężczyznach i ich żądzach. Jason sprawił, że nie mogła być pewna swojego zachowania, a doskonale wiedziała, jak bardzo to niebezpieczne.

Oczywiście, mogła nic mu nie powiedzieć. I w ten sposób wzbudzić jego gniew. Czy jednak naprawdę chciała go prowokować... w takiej chwili?

Z drugiej strony, jakie to teraz mogło mieć znaczenie? Przecież byli na środku Atlantyku. Cóż byłby w stanie jej zrobić, gdyby poznał prawdę?

Westchnąwszy ciężko, spojrzała mu w oczy.

- Nazywam się Gabrielle de Saint-Germain - powiedziała - a mój ród od strony matki wywodzi się od Filipa VI. Mój ojciec już nie żyje, a matką jest Louise de Saint-Germain, hrabina d'Auxerre.

Jason gwizdnął przeciągle i skinął głową w zamyśleniu. Teraz wszystko nabierało sensu. Te zadziwiające drobne szczegóły, które zwróciły jego uwagę. Jej maniery, godne arystokratki. Jej kwiecisty sposób wyrażania się... wdzięk i dobre wychowanie ujawniające się w każdym geście.

No i to, jak reagowała na widok tych nieszczęśników wieszonych na szafot, jak wyteżała wzrok, usiłując wypatrzeć pośród nich znajomą twarz.

Wreszcie cała ta maskarada i wyjazd do Burgundii.

- Ten zrujnowany zamek w Auxerre...

- To mój rodzinny dom - powiedziała bezbarwnym tonem.

- Chryste! - Przez chwilę próbował sobie wyobrazić, co czułby, widząc swój majątek w Fairhills obrócony w ruinę. Na samą myśl o tym zimny pot wystąpił mu na czoło.

- Czemu chciałaś tam jechać? - spytał. - Przecież wiedziałaś, że mógł zostać zniszczony.

Gabrielle wzruszyła ramionami.

- Może byłam naiwna, ale to nawet nie przeszło mi przez myśl. Dopóki nie zobaczyłam i... - Smutek zasnuł jej oczy.

- A czy wtedy, jako Bernard, powiedziałaś prawdę? Istotnie chciałaś tam pojechać tylko dlatego, że tęskniłaś się za rodzinnymi stronami?

Słyszając sceptycyzm w jego głosie, Gabrielle zdała sobie sprawę, że Jason nie da jej spokoju, dopóki nie pozna całej prawdy. No cóż, skoro już tyle mu powiedziała...

- Nie. Owszem, tęskniłam za Auxerre. Jakże mogło być inaczej? Byłam sama w Paryżu, od miesiący udając Brielle, zwykłą

posługaczkę. Chciałam wreszcie zobaczyć coś znajomego, coś, co przypomniałoby mi życie, które straciłam. - Z trudem powstrzymała łzy cisnące się jej do oczu. - Ale pojechałam tam przede wszystkim z innego powodu...

Wyczuł, co kryje się za jej wahaniem, i uśmiechnął się do niej zachęcająco.

- Nie bój się - powiedział. - Potrafię zachować tajemnicę. Jeśli nie ma to nic wspólnego ze mną czy z moją misją dyplomatyczną...

- Nie, nie ma! - krzyknęła.

- Tak, już raz mi to powiedziałaś - rzekł z uśmiechem. - Dlatego mogę ci obiecać, że nikomu niczego nie zdradzę, chyba że sama tego sobie zażyczysz, Gabrielle. - Dziwnie się czuł, zwracając się do niej tym imieniem. A jednak to właśnie było jej prawdziwe imię... i zaczynał już inaczej na nią patrzeć.

Spojrzała na niego badawczo. Cóż, twierdził, że można mu zaufać. Z tego, co o nim wiedziała, co powiedział jej Conor, wynikało jedno: owszem, Jason to człowiek porywczy, nieufny, szczególnie w stosunku do kobiet, ale mimo to bezwzględnie honorowy. Przyzwoity, jak powiedział Conor. W końcu uratował życie Renę, chłopaka, którego praktycznie nie znał. Gabrielle postanowiła obdarzyć go zaufaniem.

- To, co ci powiem - zaczęła ponurym tonem - we Francji zostałyby uznane za zdradę stanu.

Jason milczał.

- Chociaż... - uśmiechnęła się smutno - ...podejrzewam, że już się tego domyśliłeś. Komitet...

- Nie jest nieomylny - wtrącił. - Bywa, że aresztuje ludzi bez powodu.

Roześmiała się gorzko.

- W moim wypadku mają powód. Otóż brałam udział w spisku, którego celem było uwolnienie królowej.

Jason spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Królowej?

- Tak, samej Marii Antoniny i jej dzieci. A także... jeszcze jednej osoby. Mieliśmy uwolnić je z Tempie, gdzie gniją od wielu miesięcy.

Jason gwizdnął raz jeszcze.

- A kim jest ta jeszcze jedna osoba? - spytał.  
- Chodzi o moją matkę - szepnęła Gabrielle. - Louise de Saint-Germain, hrabinę d'Auxerre.

Jason nie wiedział, co powiedzieć. Jej matka. Gabrielle tak bardzo pragnęła zostać w Paryżu, bo tam uwięziona była jej matka. Tylko będąc we Francji, mogła uratować jej życie.

A on zmusił ją, by opuściła ten kraj.

Ogarnęły go mdłości, ale nie było to spowodowane wypitym brandy.

- Gabrielle... - Owładnięty poczuciem winy, z trudem wyduślił z siebie jej imię. Po chwili, rozgniewany, stanął na równe nogi i zacisnął pięści. - Chryste! Czemu, u licha, nic nam nie powiedziałaś?

- A co, uwierzyłbyś? - spytała gorzko. - Byłbyś gotów wysłuchać słów Francuzki? Którą podejrzewałeś o Bóg wie co?

Sądząc z tonu, jakim wypowiedziała słowo „Francuzka”, Connor powiedział jej to i owo. Jednak widząc gniew i rozgoryczenie malujące się na twarzy Gabrielle, Jason powstrzymał się od wszelkich uwag. Przed chwilą zaczęli stawiać most nad otchłanią, która ich dzieliła. Z jakiejś bliżej nie określonej przyczyny nie chciał go zburzyć.

- Oczywiście, masz rację - powiedział, siadając na stole. - Czy możesz... czy chcesz opowiedzieć mi coś więcej?

Gabrielle usłyszała nutę żalu w jego głosie i, wbrew sobie, uznała, że nie jest to bez znaczenia. Trace był człowiekiem honoru, jak powiedział Connor. Może to i prawda.

Opowiedziała mu o wszystkim, od samego początku. O dzieciństwie w Auxerre, o latach spędzonych na dworze królewskim, o tym, jak matka stała się powiernicą samej królowej. A wreszcie o tragicznym dniu w Varennes. Kiedy Louise kazała jej uciekać, świadoma, że tym samym skazuje się na pewną śmierć. „Idź, jeśli mnie kochasz”...

Łzy zalały twarz Gabrielle. Jason chciał wziąć ją w ramiona, uśmierzyć jej ból, ale coś mu mówiło, że nie tego jej było trzeba.

Już od dłuższego czasu mogła liczyć tylko na siebie. Musiała być niezależna, mimo że wychowano ją na arystokratkę. Nie przywykła do tego, by pocieszał ją nieznajomy. A pomimo tego, co przeżyli w jego sypialni, on nadal był dla niej tylko obcym człowiekiem.



- Czyli jakoś udało ci się wrócić do Paryża - powiedział, kiedy wyczuł, że jest gotowa, by mówić dalej. - Czy wtedy właśnie stałaś się Brielle Lafleur?

- Tak - odparła - ale nie bez pomocy innych.

Powiedziała mu o wąskiej grupie spiskowców, na której czele stał Antoine d'Albret, ale nie wymieniła nazwiska kochanka matki. Nie dlatego, że chciała być wobec niego lojalna; człowiek pokroju d'Albreta na lojalność nie zasługiwał. Jednak, jakkolwiek wydawało się to niemożliwe - a także dlatego, że nadzieja nigdy nie ginie do końca - uważała, że tylko on może uratować jej matkę. Choć bez Królowej Morza sytuacja była praktycznie beznadziejna. Mimo to, im mniej o nim mowy, tym lepiej.

- Rozumiem, że ci ludzie to rojaliści - rzekł Jason. - Oddani sprawie monarchii nawet po śmierci króla.

Gabrielle pomyślała o Le Feu i jej usta wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

- Tak ich bym raczej nie nazwała. Wiesz, nic tak nie łączy ludzi jak pieniądze.

- Mów dalej. - Skinął głową ze zrozumieniem.

-I właśnie tu zaczyna się moja rola w tym wszystkim.

Opowiedziała mu o wisiorku. O Królowej Morza. O tym, że najprawdopodobniej ukryta jest gdzieś w pałacu Rolandów. I wreszcie o tajemniczych spotkaniach w ogrodzie.

-Musiała mnie tam zobaczyć pokojówka, która wydała mnie Komitetowi - zakończyła swoją opowieść. Na myśl o Mignon jej oczy zapłonęły gniewem. - Biedny René... z nim też się tam spotkałam, ale tylko po to, żeby pożyczyć od niego ubranie. On nic nie wiedział o spisku.

Jason pokiwał głową.

- Mówiłem ci, że Komitet często aresztuje ludzi bez powodu.

Uśmiechnęła się gorzko. Zauważyła, że Jason patrzy na nią inaczej niż do tej pory.

- Domyślam się, że tamtej nocy w mojej sypialni szukałaś tego klejnotu? - W jego oczach nie dało się nic wyczytać, ale bacznie jej się przyglądał, jak gdyby chciał wy badać jej reakcję na te słowa.

Twarz Gabrielle spłonęła rumieńcem.

- *Oui* - odparła szeptem i opuściła oczy.

Jason nie był w stanie nic na to powiedzieć. Oskarżył ją, że bez powodu poświęciła coś tak cennego jak własne dziewictwo. A tu się okazało, że powód miała, niech ją diabli. Czymże jest dziewictwo w porównaniu z życiem kobiety, z życiem kilku kobiet?

Westchnąwszy ciężko, przejechał dłonią po włosach, rozpuszczając kucyk.

- Mów dalej - rzekł obcesowym tonem. - A ta wyprawa do Auxerre? Jaki to miało z czymkolwiek związek?

Gabrielle zmusiła się, by spojrzeć na niego raz jeszcze, i natychmiast tego pożałowała. Widok jego pięknej twarzy okolonej ciemnymi włosami sprawił, że przed jej oczami ponownie przewinęły się te wspomnienia, których za wszelką cenę chciała się wyzbyc... jak leżała w jego łóżu... jak z rozpuszczonymi włosami leżał na niej. Nie mogła o tym myśleć! On był dla niej niczym. Niczym!

Odróciwszy wzrok, wyrecytowała wiersz, który znała już na pamięć:

*Jestem królową, błękitną jak morze,  
Moje piękno na cały świat słynie.  
Ja, dar króla, cud nad cudami,  
Pomogę ci w mrocznej godzinie.  
Spójrz na kominek, a ujrzysz mój znak,  
Pod wieżą i fosą się ukryłam.  
Potem uciekaj! Tyś wolna jak ptak,  
Myśl o tym, co będzie! Zapomnij, co było!*

- To jakaś zagadka? - spytał Jason po chwili milczenia.

- Wiadomość od... mojej *mamon* - odparła, po czym opowiedziała o tym, jak znalazła kartkę przypiętą do swojej halki. Nie omieszkała też przedstawić swojej interpretacji tych słów i wspomnieć o rozczarowaniu, jakie przeżyła w Auxerre.

-A jednak nie zrezygnowałaś i postanowiłaś dalej szukać klejnotu w pałacu Rolandów.

Nie poddała się nawet po nieudanym wyjeździe do Auxerre. Czy on na jej miejscu zdobyłby się na to? Skąd w niej taki upór? Jakobini starali się wmówić całemu światu, że francuscy arystokraci to bez wyjątku chciwi ciemężyciele, żyjący z krwi ludu.

No dobrze, może te słowa celnie opisywały większość z nich, ale nie Gabrielle de Saint-Germain! Miał wrażenie, że w duszy tej dziewczyny kryje się głębia, której nawet jeszcze nie zaczął penetrować. Chryste! Oby tylko w niej nie zatonał!

Gabrielle wiele dałaby za to, żeby wiedzieć, o czym Jason myśli. A może uważał, że głupio postąpiła, prowadząc dalsze poszukiwania w *hotel*? Ale czy wiedział, czym jest desperacja, nadzieja, której człowiek chwyta się w rozpacz, choćby była nikła? Co w ogóle mógł wiedzieć ktoś, kto w odwecie za perfidny czyn matki znenawidził wszystkie kobiety?

- Człowiek, o którym ci mówiłam, ten, który stoi na czele naszego spisku - odezwała się pełnym napięcia tonem - twierdził, że Królowa jest w *hotel*. Widzisz, nie powiedziałam mu o wierszu.

- Dlatego, że nie miałaś do niego zaufania.

Spojrzała na niego bystro.

- *Oui*.

Jason kiwnął głową.

- Czyli dalej robiłaś to, co ci kazał. - Była niczym żołnierz i chłodny, wyrachowany szpieg jednocześnie. W swoim życiu miał do czynienia z wieloma żołnierzami, a także kilkoma szpiegami. I nie wydawało mu się, by którykolwiek z nich był lepszy w swoim fachu od niej... czy choćby jej dorównywał.

Gabrielle spojrzała na niego hardo.

- Nie poddam się bez walki.

- Wiem... - szepnął Jason. - Zauważyłem. - W zamyśleniu odwrócił się, powiedział jej dobranoc i wyszedł z kajuty. Jego umysłem zawładnęła jedna jedyna myśl: w swojej zapalczowości doprowadził do tego, że los Gabrielle de Saint-Germain spoczął w jego rękach. Co, u licha, miał z nią teraz począć?

## 15

I rzez następne parę tygodni utrzymywała się ładna pogoda i *Fairwinds* posuwał się naprzód w dość szybkim tempie. Jednak sztorm nie pozostał bez wpływu na pasażerów statku.

Rene zmienił się, odkąd został cudem wyrwany ze szponów śmierci. Doskonale wiedział, że sam był sobie winien; bosman stanowczo nakazał mu zostać pod pokładem w czasie sztormu. Za namową Conora chłopak najpierw pokornie przeprosił pana Lundy'ego, a następnie wszystkich członków załogi, którzy pomogli wciągnąć go na pokład. No i odbył rozmowę w cztery oczy z Jasonem Trace'em.

Najbardziej widoczna zmiana zaszła właśnie w stosunku Rene do Jasona. Chłopak zaczął odczuwać głęboki podziw dla wysokiego Amerykanina. Bez wątpienia stało się tak dlatego, że Trace uratował mu życie, ale podziw ten ugruntowały jeszcze opowieści Conora o bohaterskich czynach Jasona w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

Chłopak stał się wręcz cieniem Trace'a. Gdy tylko Jason pojawiał się na pokładzie, Rene wyrastał gdzieś w pobliżu. Zarzucał go pytaniami i nieustannie zgłaszał chęć pomocy. Jason dość dobrze znosił uwielbienie Rene. Jednak któregoś dnia, gdy chłopak był wyjątkowo uciążliwy, mruknął pod nosem do Conora, że trzeba było szczeniaka zostawić w wodzie.

Zmieniła się i Gabrielle. Jason zasugerował jej, by opowiedziała swoją historię Conorowi. Wyjaśnił jej, że Irlandczyk to jego sąsiad i dobry przyjaciel. Po przybyciu do Wirginii z pewnością często będzie się z nim widywała. No i lepiej, żeby nie musiała za każdym razem udawać Brielle Lafleur.

W ten oto sposób Gabrielle dowiedziała się, że pojedzie do Wirginii z Jasonem. Nie było to dla niej wielkim pocieszeniem. Jaka przyszłość czekała ją na obcej ziemi, gdzie w dodatku zdana będzie na łaskę i niełaskę człowieka, który nie ufał kobietom i trzymał się od nich z dala? Co się z nią stanie?

Postanowiła na razie o tym nie myśleć. Za wiele zdarzyło się ostatnio w jej życiu. Obiecała sobie, że od tej pory żyć będzie z dnia na dzień. Stawi czoło wszelkim trudnościom, gdy stanie się to absolutnie konieczne. W tej chwili była banitą. Dopóki nie zdecyduje, gdzie jest jej miejsce, nie będzie zawracać sobie głowy takimi pytaniami.

Ale zgodziła się z Jasonem co do Conora. Zaczęła oswajać się z myślą, że Conor O'Shea jest też jej przyjacielem, i nie winała go już za porwanie. A jeśli nawet miała jakieś wątpliwości, to prysnęły w chwili, gdy zobaczyła reakcję tego olbrzyma na jej słowa.

- Matko Boska i wszyscy święci pańscy! - zakrzyknął potężnym głosem. - Czy kiedykolwiek zapomnisz o tym, co zrobiłem? O wybaczenie nie proszę. Nie śmiem. Sam święty Patryk nie potrafiłby mi wybaczyć. Jeee-ezu, twoja matka!

W jego oczach zakręciły się łzy, a Gabrielle zmięknęła i wybaczyła mu wszystko, wbrew swoim wcześniejszym postanowieniom. Wtulając się w jego ogromny brzuch, poczuła, że Irlandczyk ją obejmuje.

- Niech cię Bóg błogosławi. Masz naprawdę złote serce - wyszeptał przez łzy, obficie płynące po jego bujnej brodzie.

W odróżnieniu od Conora, Jason nie poprosił jej o wybaczenie. Zresztą nawet gdyby to zrobił, raczej nie potrafiłaby się na to zdobyć. Mimo ich ostatniej - szczerzej - rozmowy, wiedziała, że wokół niego wznosi się niewidoczny mur. Mur, który postawił wiele lat temu, by trzymać z dala od siebie wszystkich ludzi, a szczególnie kobiety. Pomyślała z goryczą, że Jason chciał, by obdarzyła go zaufaniem, mimo że sam nie potrafił zdobyć się na to w stosunku do niej.

W każdym razie nastąpił między nimi swego rodzaju rozejm. Mimo że Jason bynajmniej nie zabiegał o jej względy, to przynajmniej przestał wyładowywać na niej wściekłość. A gdy w nocy budziła się, nękana dziwnymi snami o nim, przypisywała to życiu w ciągłej niepewności, jakie prowadziła ostatnimi czasy.

Jednakże jeden ze snów uparcie powracał, noc po nocy. Przeżona, uciekała przed jakimś człowiekiem w ciemnej pelerynie. Co chwila oglądała się przez ramię i gdy jej tajemniczy prześladowca zaczynał ją doganiać, rozpoznawała go: był to Antoine d'Albret, przeklinający ją za to, że śmiała opuścić szeregi spiskowców. Ale nim Gabrielle, złana potem, budziła się ze snu, twarz d'Albreta przeobrażała się w twarz Jasona!

Na początku lipca statek dotarł do wybrzeży Wirginii. Następnie wpłynął na wody rzeki Dakoty, która zawiodła podróżnych aż do Columbi. Tam przesiedli się na mniejszy statek, którym mieli popłynąć do Fairhills.

W czasie rejsu po Dakocie padał rzęsy deszcz. Zachmurzone niebo utrudniało obserwację okolicy, dlatego też Gabrielle nie wystawiała nosa ze swojej kajuty. Po pewnym czasie przyszedł do niej Rene i zaczął usilnie ją namawiać, by choć na chwilę wyszła na pokład.

Nie boczyła się już na tego nicponia, choć przebaczenie nie przyszło jej łatwo. Jemu również powiedziała o swoim prawdziwym pochodzeniu.

Rene nawet nie mrugnął okiem. Wzruszył tylko ramionami i stwierdził, że przecież wszyscy są już zwykłymi ludźmi. Jak ten biedak Ludwik Kapet.

A teraz, gdy stali w strugach deszczu, wpatrzeni w głąsę rozciągającą się na brzegu, chłopak był wyraźnie podekscytowany.

- Proszę spojrzeć na ten bór, *milady*! - Teraz, zwracając się do niej, używał tego angielskiego zwrotu, mimo że próbowała wybić mu to z głowy. Tylko w ten sposób dawał do zrozumienia, że pamięta o jej arystokratycznym pochodzeniu. W dodatku przestał mówić po francusku, by w ten oryginalny sposób oddać hołd nowej ojczyźnie. - Pomyśleć, że w każdej chwili możemy zobaczyć dzikich! Indian! - dodał.

Gabrielle skarciła go spojrzeniem.

- Jeśli dalej będziesz próbował mnie straszyć - ostrzegła, grożąc mu palcem - podam cię tym Indianom na kolację! Zmykaj stąd i pomęcz kogo innego, ty bezwstydnny smarkaczu! Indianie, myślałby kto! - mruknęła zagniewana, a Renę parsknął śmiechem i czmychnął.

- No, ale Indianie są tu naprawdę.

Gabrielle aż podskoczyła z przestachu i odwróciła się na pięcie. Podniósłszy wzrok, napotkała rozbawione spojrzenie Jasona. Stał tuż przy niej i uśmiechał się szeroko.

W pierwszej chwili przemknęło jej przez myśl, że stoi za blisko. I jest zbyt przystojny, by istniał naprawdę. A ten uśmiech! Jak pięknie wyglądał na jego ogorzałej od słońca twarzy...

- *Mon Dieu!* - krzyknęła. Cofając się o krok, przybrała zagniewaną minę, by jakoś ukryć rumieńce, które wykwitły na jej policzkach. - Musisz się skradać? Tak mnie wystraszyłeś, że pewnie przez rok nie będę rosła.

Uniósłszy brwi, Jason powiódł po niej spojrzeniem od stóp do głów. Na jego usta wypłynął lekki uśmiech. Gabrielle poczuła, że serce zabiło jej żywiej.

- Ależ, panno Gabrielle, wygląda pani na w pełni wyrośniętą kobietę - wycedził. - Może trochę za chuda, no ale...

- Chuda! Tam, skąd pochodzę, *monsieur*, ceni się drobne kobiety.

- Ach tak. - Twarz Jasona spoważniała, ale w jego oczach nadal malowało się rozbawienie. - Po tyśiąckroć proszę o wybaczenie - dodał wytwornym aż do przesady tonem i skłonił się przed nią szarmancko niczym elegancki dworzanin. - Choć przecież wyrządziłem szanownej pani przysługę, nieprawdaż? - spytał, uśmiechając się do niej ponownie.

Gabrielle z trudem skoncentrowała się na jego słowach.

- Przysługę?

Widząc zdumienie malujące się w jej spojrzeniu, Jason wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Skoro tak cię wystraszyłem, że przez rok przestaniesz rosnać, Gabrielle, to tym samym sprawiłem, że pozostaniesz... drobną kobietą, nieprawdaż?

- Żartujesz sobie ze mnie - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Naprawdę? Och, pozwól więc, że raz jeszcze poproszę cię o wybaczenie...

- Daruj sobie! - powiedziała i podniosła rękę widząc, że Jason po raz kolejny schyla przed nią głowę w szarmanckim ukłonie. - Już mam po dziurki w nosie tych dworskich manier - dodała, odwracając się od niego na pięcie. - Chyba wolałabym się dostać w ręce Indian.

Zacisnęła zęby i skierowała kroki do kajuty, słysząc za plecami ironiczny śmiech Jasona.

W Columbii przesiedli się na pokład małego statku rzeczno-ego, z wymalowanym na burcie imieniem *Bernice*. Conor zdradził Gabrielle, że tenże statek również jest własnością Jasona. Czy raczej częścią Fairhills, plantacji, na której Jason mieszkał wraz z Alexandrem Trace'em, człowiekiem, który zastąpił mu rodzzonego ojca.

W pewnej chwili Gabrielle zaczęła się zastanawiać, komu statek zawdzięcza swą nazwę. Słyszając głos Conora, uzmysłowiła sobie, że wyraziła swoje zaniepokojenie na głos.

- Bernice? - spytał. Jako że przestało już padać, stali obok siebie na pokładzie, podziwiając rozciągającą się z obu stron głąszą leśną. - Ach, ta prawdziwa Bernice to bardzo szczególna dama. Ona, że tak powiem, włada całym Fairhills, a Jason i Alexander ją uwielbiają. Na twoim miejscu starałbym się jej nie podpaść.

Gabrielle spojrzała na niego ze zdumieniem. Po raz pierwszy dowiedziała się, że w Fairhills mieszka jakaś kobieta. Uwielbia ją? Jason? Nie miała pojęcia, co przez to rozumieć. Wiedziała, że Alexander nie ożenił się po raz drugi, no a Jason przecież nie był żonaty. Czy ta kobieta była kochanką Jasona? Nie wiedzieć czemu, ta myśl wzbudziła jej niepokój.

- Bo widzisz, dziewczę drogie - ciągnął Conor - Bernice to złoto kobieta, ale nie bardzo ufa obcym. No i trzęsie całym domem.

- Tak? Czyli jest gosposią?

Conor parsknął śmiechem.

- No, można to tak nazwać. Ale „gosposia” to za mało powiedziane. Zresztą sama zobaczysz.

Jason zawołał Conora z dziobu łodzi. Irlandczyk przeprosił Gabrielle, że musi ją opuścić, i poszedł do przyjaciela. Tymczasem ona zamyśliła się nad tym, co przed chwilą usłyszała.

Kiedy wreszcie zobaczyła Bernice, przeżyła ogromne zaskoczenie. Wygląd tej kobiety przeszedł jej najśmielsze oczekiwania.

- O, tam! - Conor wskazał brzeg Ravenny, gdy statek przybił do przystani w Fairhills. - Bernice we własnej osobie.

Na brzegu stało kilka osób, które Gabrielle uznała za służących ze względu na ich strój. Jednak kobieta, którą wskazał Conor,



odznaczała się tak niezwykłym wyglądem, że nie sposób było jej nie zauważyć. Kobieta o skórze ciemnej jak wypolerowany heban.

Gabrielle od razu wyczuła bijącą od niej dumę. I cień arogancji, widoczny w zaciętej, acz szlachetnie ukształtowanej twarzy. Odziana w długą, prosto skrojoną suknię i wysoki, zawinięty turban, przywodziła na myśl jakąś legendarną afrykańską królową.

- Co...? Na jej ramieniu siedzi jakiś ptak? - spytała Gabrielle Conora.

- Ano. - Irlandczyk zachichotał. - To oswojony kruk. Taki, co to gada. Najbardziej upierd... to znaczy, uciążliwe stworzenie, jakie kiedykolwiek obrosło w pióra. Wabi się Leroy... - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - ...ponoć na cześć starego króla Francji.

Gabrielle skrzywiła usta w słabym uśmiechu. Leroy... albo *le roi*, król. Czy to oznaczało, że ta kobieta mówi po francusku? Bernice zaczynała ją intrygować, nie tylko z powodu koloru skóry oraz egzotycznej urody. Ta Murzynka była najwyższą kobietą, jaką Gabrielle kiedykolwiek widziała; górowała nad wszystkimi ludźmi stojącymi na brzegu. Być może przerastała nawet Jasona i Conora, którzy przecież mieli ponad sześć stóp wzrostu.

Prawdziwa Amazonka - pomyślała Gabrielle, schodząc w ślad za Conórem i Jasonem na brzeg. Stojąc na uboczu, przyglądała się, jak Bernice obejmuje Conora długimi, umięśnionymi rękami, na których nie widać było ani grama tłuszczu. Po chwili wyprostowała się i podeszła do Jasona. Kruk zatrzepotał skrzydłami i wydał z siebie głośny skrzek, po czym wskoczył na czubek jej turbanu w tej samej chwili, kiedy Jason zatonął w jej objęciach. Obydwoje wybuchnęli głośnym śmiechem.

Niewiarygodne! To ten sam Jason, którego znała? Z nie skrywaną radością rzucił się w ramiona kobiety - coś takiego!

Jason wywinął się z uścisku Bernice i rozejrzał się, jakby kogoś wypatrywał, lecz w tej samej chwili podbiegł doń Rene, jak rozbrykane szczenię, i zażądał, by przedstawić go „tej pięknej amerykańskiej Kleopatrze”.

Jason nachmurzył się, ale ciemnoskóra kobieta tylko parsknęła śmiechem.

- Jason, kimże jest ten zuchwały gałgan? - wyrzuciła z siebie po francusku. - To prezent dla mnie? Ostrzegam cię, jeśli nie przypadnie mi do gustu, wrzucę go do garnka!

- Do garrnka! Do garrnka! - powtórzył za nią kruk, również po francusku.

Wzbudziło to wesołość kilku ludzi, którzy najwyraźniej znali ten język.

- Ależ, *ma belle madame*! Mógłbym zepsuć smak! - powiedział Renę, wbrew swojemu postanowieniu, że będzie mówił tylko po angielsku.

Znów rozległ się ogólny śmiech. Po chwili Jason oficjalnie przedstawił ich sobie, ale tak cicho, że Gabrielle nic nie słyszała. Przez cały czas stała na uboczu, niepewnie obserwując pozostałych. Wyglądało na to, że w tej chwili wszyscy o niej zapomnieli; nawet Conor skupił uwagę na grupce, która utworzyła się wokół Jasona i Bernice.

Wtedy jednak od grupy ludzi odłączył szczupły, schludnie ubrany mężczyzna, starszy zarówno od Jasona, jak i Conora, po czym podszedł do Gabrielle. Z uśmiechem na twarzy skłonił się przed nią i wyciągnął dłoń.

- Wygląda na to, że w całym tym rozgardiaszu zapomnieli o tobie, mój drogi chłopcze - powiedział. Gabrielle zwróciła uwagę, że podobnie jak inni mieszkańcy tej części Stanów Zjednoczonych, przeciąga samogłoski. - Nazywam się Alexander Trace.

Powstrzymała się od uśmiechu. Oczywiście, widząc, jak była ubrana, wziął ją za chłopca. Ale miała już dosyć tej maskarady.

- Proszę wybaczyć, że jestem w tym przebraniu, *monsieur* Trace. Wkrótce wszystko wyjaśnię.

Zerwała *tricorné* z głowy. Długie, bujne włosy spłynęły jej na ramiona.

- Jestem Gabrielle de Saint-Germain i bardzo cieszę się z tego spotkania. - Wyciągnęła do mężczyzny rękę.

Alexander uniósł brwi w najwyższym zdumieniu, po czym roześmiał się i szarmancko złożył pocałunek na jej dłoni.

- A właśnie ubolewałem w duchu, że tak urzekającą urodą los obdarował chłopaka. Witaj w Fairhills, moja droga.

Alexander uśmiechnął się i wziął ją pod rękę. Jego piwne oczy patrzyły ciepło, a twarz była twarzą człowieka zanego, o żywej inteligencji i dużym poczuciu humoru. Gabrielle polubiła go od pierwszej chwili.

- Jak Jason mógł cię tak zostawić na uboczu, moja droga? - zdumiał się Alexander i mrugnął. - Może naprawimy to przeoczenie mojego nieokrzesanego syna?

W tej samej chwili i Conor zdał sobie sprawę ze swojego nieaktu. Wydawało się, że jego piegi stały się wyraźniejsze niż zwykle, gdy odetchnął z ulgą, widząc Gabrielle z Alexandrem. Spłonawszy rumieńcem, zwrócił się do nich z prośbą o wybaczenie.

Następnie, chcąc zmasać plamę na swoim honorze, uniżenie poprosił Gabrielle, by dołączyła do pozostałych. Jason spojrział na nią ponuro, po czym przeniósł wzrok na Alexandra. A Bernice ani na chwilę nie oderwała od niej oczu. Jej spojrzenie było harde, nieufne. I wręcz wyczerała z niego wrogość.

Gabrielle próbowała przywołać na usta uśmiech, ale nie była w stanie, mając przed oczami kamienną twarz tej ciemnoskórej kobiety. *Nom de Dieu!* - pomyślała, gdy przebiegł ją dreszcz czegoś, czego nie chciała uznać za strach. Za co ta kobieta jej nienawidzi?

Żeby zrozumieć Bernice, musisz dowiedzieć się co nieco o jej przeszłości - powiedział Alexander następnego dnia w czasie przechadzki po ogrodzie.

Gabrielle skinęła głową bez przekonania. Kiedy zostały sobie przedstawione, Amazonka poprzestała na niemal niedostrzegalnym skinieniu głowy. A później, gdy weszli do Wielkiego Domu, jak wszyscy nazywali tę piękną posiadłość, Bernice zupełnie przestała zwracać na nią uwagę. Do pokoju gościnnego zaprowadziła Gabrielle młoda, może dwunastoletnia piegowata dziewczyna.

- Ale najpierw - powiedział Alexander - musiałybyś poznać historię Fairhills. - Przez chwilę patrzył w skupieniu na Gabrielle. - Jak wiele Jason ci o nas powiedział, moja droga?

Uśmiechnęła się smutno.

- Jason? Jason nic mi nie powiedział.

Alexander skinął głową, jakby się spodziewał takiej odpowiedzi.

- No to Conor.

Gabrielle westchnęła ciężko. Alexander Trace był dla niej tak dobry; w odróżnieniu od Jasona nie nosił w sercu gniewu ani gorczy. Choć wiedziała, że tych dwóch mężczyzn nie łączą więzy

krwi, dziwiło ją to, jak bardzo się od siebie różnią. W końcu, czyż Alexander nie został zdradzony przez żonę, matkę Jasona?

- Słyszałam o matce Jasona... pańskiej żonie - powiedziała - o tym, jak... jak ona... - Słowa nie chciały przejść jej przez gardło.

Alexander uśmiechnął się ze zrozumieniem i dokończył za nią.

- Porzuciła nas? Ależ, moja droga, to nic takiego. Nie przejmuj się aż tak bardzo. Już dawno pogodziłem się z tym, co zrobiła Juliette, wybaczyłem jej w sercu, nawet jeśli Jason nie potrafi się na to zdobyć. Zresztą podobnie jak Bernice.

- Bernice! A co ona ma z tym...

- Bernice była niewolnicą Juliette. Razem z nią przybyła do Fairhills.

- *Mon Dieu!* - Ta dumna kobieta? Własnością, częścią dobytku tej... nie, to było zupełnie nie do pomyślenia.

- Nie dziwię się, że wzywasz Boga - rzekł Alexander. - Ja zareagowałem tak samo, kiedy o tym usłyszałem. Bo skoro po ślubie mąż w świetle prawa staje się współwłaścicielem majątku żony, to oznaczało, że Bernice stała się moją własnością. A na coś takiego nie mogłem przystać. Dlatego też czym prędzej ją wyzwoliłem.

- Wyzwolił pan...?

Alexander uśmiechnął się.

- Uwolniłem, moja droga. A okazało się to nie takie proste... zwłaszcza w takich okolicznościach.

Gabrielle zamyśliła się nad jego słowami.

- Pańska żona miała to panu za złe, tak? Bo dla niej niewolnictwo było czymś normalnym?

- Trafiłaś w dziesiątkę, moja droga. Juliette wściekła się wtedy na mnie - dodał i ze smutkiem potrząsnął głową. - Ale to nie wszystko. W tej okolicy wszyscy żyjemy z ziemi. Jedynym źródłem dochodów jest rolnictwo. A żeby nam się powiodło, potrzeba wielu rąk do pracy. Ludzi, którzy siałiby i zbierali ryż, liście indygowca, tytoń.

- Inaczej mówiąc, niewolników - powiedziała, czując, jak przechodzi ją dreszcz.

Do tej pory nigdy nie myślała o problemie niewolnictwa. Owszem, wiedziała, że coś takiego istnieje, ale nie zetknęła się z tym

osobiście. Słyszała, że niewolnictwo zostało zniesione we Francji przez przywódców rewolucji. Była to jedyna decyzja nowych panów, którą uznała za ze wszech miar słuszną.

- Niewolników - powtórzył za nią Alexander.

- Ale skoro jest pan przeciwny niewolnictwu, *monsieur*...

- Poszedłem na kompromis i zatrudniłem przymusowych najemników.

- Przymusowych? A czy to nie jest po prostu inna forma...

- Niewoli? Nie całkiem. Owszem, ci ludzie w pewnym stopniu poświęcają swoją wolność, najczęściej po to, by opłacić podróż do tego kraju. Jednak od niewolników różni ich to, że sami podejmują tę decyzję. Poza tym ich służba trwa tylko kilka lat. Najczęściej siedem, a po ich upływie są wolni. - Alexander potrząsnął głową. - Długo o tym myślałem, ale w końcu uznałem, że tak jest sprawiedliwiej. Chociaż wolałbym, by istniał jakiś inny sposób.

Gabrielle uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Pan musi być naprawdę dobrym człowiekiem, *monsieur*.

- Miło mi to słyszeć. Ale muszę ci powiedzieć, że przez te moje dziwne poglądy nieco zraziłem do siebie sąsiadów, plantatorów. Zwłaszcza gdy wyzwoliłem Bernice.

- Jak to?

Na ustach Alexandra pojawił się gorzki uśmiech.

- Myśleli, że uwalniając niewolnika rozbudzę jakieś niezdrowe dążenia ich niewolników. Krótko mówiąc, moja droga Gabrielle, bali się, że wywołam powstanie.

Skinęła głową w zamyśleniu. Czyż nie to właśnie stało się we Francji? Lud zachłysnął się ideą wolności dla wszystkich. Na początku nawet ona sama sercem była po stronie tych biedaków walczących o swoje prawa. Przynajmniej dopóki nie nastąpiły te straszne dni terroru, gdy wszystko wymknęło się spod kontroli.

W czym tkwił błąd? Jak tak szlachetną ideę można było obrócić przeciwko tym samym ludziom, których dotyczyła? Jak można było dążeniem do wolności usprawiedliwić zabijanie niewinnych?

- Myślę, że chyba nie wszyscy dorośli do wolności - powiedziała.

Alexander spojrzał na nią bystro.

- Możliwe. Bóg jeden wie, jak wielka jest jej cena. Wolność wymaga odpowiedzialności.

Skinęła głową.

- Idea wolności dla wszystkich jest na pewno piękna, *monsieur*. Cóż lepszego człowiek mógłby wymyślić? Ale widziałam, co się dzieje, kiedy ludzie zapominają, że sama wolność to nie wszystko, że trzeba jeszcze być odpowiedzialnym. I w ten sposób znów popadają w niewolę. - Parsknęła śmiechem. - Co ja mówię? Zupełnie jakbym była jakimś filozofem. Mój Boże, ciekawe, co powiedziałyby na to Rousseau.

Alexander roześmiał się.

- Nie wiem, co powiedziałyby ten wasz Rousseau, ale założę się, że z chęcią wysłuchałyby cię nasz sąsiad, Tom Jefferson.

Gabrielle obdarzyła go uroczym uśmiechem, po czym nagle spoważniała.

- Może teraz opowie mi pan o Bernice - poprosiła. - O Bernice i Jasonie.

- To ona zajęła się wychowaniem go, jak opuściła nas moja żona - odparł Alexander. - Bernice nie zgodziła się wrócić do Francji z Juliette. Choć moja żona groziła, że ją pobije. Inna sprawa - dodał z uśmiechem - że Juliette była tak drobna jak ty, a Bernice... sama widziałas. W każdym razie Bernice wiele ryzykowała. Czarna kobieta sprzeciwiająca się swojej białej pani? Tutaj nie toleruje się takiej bezczelności. Ale Bernice podjęła to ryzyko dla chłopca. Dużo jej zawdzięczam. A Jason, oczywiście, kocha ją całym sercem. W końcu to jedyna matka, jaką tak naprawdę pamięta. No i... - spojrzał znacząco na Gabrielle - ...jest jedyną kobietą, do której ma zaufanie.

- Zaczynam rozumieć, *monsieur*. Bernice nie darzy mnie zaufaniem, bo jestem Francuzką, prawda? Jak *maman* Jasona.

- Nie chodzi tylko o twoją narodowość. Choć Juliette była brunetką, a ty masz jasne włosy, jesteś równie piękna jak ona.

Gabrielle uśmiechnęła się i lekko skinęła głową, by podziękować za komplement.

- *Oui*, zdaje się, że wszystko rozumiem. Nieufność Jasona udzieliła się Bernice, bo ona nade wszystko nie chce, by stałą mu się jakakolwiek krzywda.

Alexander uśmiechnął się smutno.

- Z drugiej strony, *monsieur* - ciągnęła Gabrielle - muszę panu powiedzieć, że ciężko mi zrozumieć postępowanie pańskiego syna. Czy też ciężko zrozumieć i znieść je zarazem.

Alexander spojrział na nią ze współczuciem.

- Trudno ci było z nim wytrzymać, prawda?

- *Oni, monsieur* - mruknęła.

Nie miała pojęcia, czego Alexander dowiedział się o niej od innych. Ona powiedziała mu tylko, że musiała przebrać się za chłopaka, by uciec przed oprawcami Komitetu. Nie zdradziła, kim była jej *maman*, i nie wspomniała ani słowem o porwaniu. O tym, jak wbrew jej woli znalazła się na pokładzie statku Jasona.

- Może teraz ty opowiesz mi coś o sobie, moja droga? - spytał Alexander, jakby czytał w jej myślach. - Muszę przyznać, że nie mam pojęcia, co się stało we Francji. Zapewne wiesz, że Jason, kiedy chce, potrafi być bardzo zamknięty w sobie.

Gabrielle przez chwilę zastanawiała się, jak wiele może wyjawić. Na pewno nie to, że syn Alexandra skorzystał z wdzięków jej dziewiczego ciała... ani co sprawiło, że musiała mu się oddać. Jednak może powinna wytłumaczyć temu dobremu człowiekowi, jak doszło do jej porwania... dlaczego milczała... powiedzieć o nadziei, że uda się uratować... Słodki Boże! *Maman!* Wszystko zrobiła dla *maman!*

Alexander zauważył ból malujący się na jej twarzy.

- Ojej, czy żądam za wiele? Jeśli nie chcesz, nie musisz mi o tym mówić. Chciałem tylko jakoś ci pomóc.

Gabrielle powstrzymała łzy cisnące się jej do oczu i uśmiechnęła się słabo.

- Nie, oczywiście, że nie. Pan jest dla mnie taki dobry. -A potem powiedziała mu o matce i swoim podwójnym życiu. Także o „nieporozumieniu”, które doprowadziło do tego, że jego syn zmusił ją do opuszczenia Francji. Nie wspomniała tylko o tym, co zdarzyło się w sypialni Jasona, a co do tej pory napawało ją głębokim wstydem.

Nie zdawali sobie sprawy, że ktoś ich podsłuchiwał. Bernice stała kilka kroków od nich, ukryta za gęstymi krzakami. Ta dziewczka była odważna... trzeba przyznać. Tym różniła się od innych ludzi z jej sfery. Rozbestwione, żarłoczne robactwo, inaczej nie da się określić tych bezczelnych, nikomu nie potrzebnych ary-

stokratów! Dzień po dniu, rok po roku, wysysali krew ludziom, którzy im służyli. Myśleli tylko o sobie. Jak Juliette, ta suka!

Ta dziewczyna była inna. Przynajmniej miała charakter. Ale to było oczywiste, że Jason za grosz jej nie ufa. Ona, Bernice, też ufać jej nie będzie!

Nie tylko dlatego, że udzieliły jej się uczucia człowieka, który był dla niej jak rodzony syn. Wysłuchawszy uważnie opowieści Francuzki, Bernice co do jednego nie miała najmniejszych wątpliwości: ta mała suka coś ukrywa. Kobiety są w stanie wyczuć takie rzeczy. Ta, jak jej tam, Gabrielle nie powiedziała Alexandrowi wszystkiego.

Ciemnoskóra kobieta bezszelestnie opuściła swoją kryjówkę, myśląc tylko o jednym: już ona się postara poznać całą prawdę o tej Francuzce.

RS



## 16

Auguste Robespierre spojrział niepewnie na brata. Maximilien rzucił okiem na wiadomość, którą przed chwilą mu doręczono, i skrzywił się ze złością.

- Jakieś kłopoty? - spytał Auguste.

Człowiek, którego zwano „Nieprzekupnym”, podniósł głowę i zmroził brata zimnym spojrzeniem niebieskich oczu.

Auguste poczuł się nieswojo, choć wiedział, że gniew Maximiliena nie jest skierowany przeciwko niemu. Maximilien był geniuszem i mózgiem rządów terroru. Mimo to Auguste miał wrażenie, że nikt tak naprawdę nie wie, jak daleko jego brat jest gotów się posunąć, byle rewolucja zakończyła się ostatecznym triumfem. W każdym razie za nic w życiu nie chciał rozgniewać „Nieprzekupnego”. Mimo że był jego rodzonym bratem.

- Co to? - spytał, niepewny, czy właściwie chce wiedzieć.

Maximilien zgniół kartkę w dłoni i zaklął siarczyście.

- Ta suka, Saint-Germain, uciekła.

- Co? Z Tempie? Myślałem, że to niemożliwe...

- Nie stara Saint-Germain! Jej bachor! Ta mała suka uciekła z domu żyrodysty, gdzie przez cały czas mieliśmy ją na oku. Choler! Już ją mieliśmy, a jednak się nam wymknęła.

- Nie rozumiem. Skoro wiedziałeś, gdzie jest, czemu nie każeś jej aresztować? Przecież to arystokratyczna szmata. I na pewno nie tak ważna, jak jej mat...

- Chodziło o szafir, głupcze! Królową Morza!

- Aaa... rozumiem - odparł Augustę, choć wcale nie był tego pewien. Wszyscy wiedzieli o wisiorku. O tym, że tej rudej zdrajczyni jakoś udało się go schować. Ale do tej pory nie wiedział, że

jej córka miała z tym coś wspólnego. Ani że Komitet przez cały czas miał tę małą sukę na oku.

- Auguste, musimy mieć ten szafir! - Maximilien założył ręce na plecy i zaczął krążyć po komnacie. Jego policzki poczerwieniały od gniewu. - Potrzebujemy więcej funduszy.

- *Oui*, wojna...

- Nie tylko na armię. Musimy zapobiec dalszym zamieszkom. Sam widziałeś, co się stało z asygnatami. Cały ich wórn ledwie wystarcza na bochen chleba. Jeśli rewolucja wkrótce nie zdobędzie złota na zabezpieczenie waluty, strach pomyśleć, co się może stać.

Auguste skinął głową. Sankiuloci to bezmyślny motłoch. Do tej pory jego bratu udawało się nimi manipulować, wpływać na nich swoimi płomiennymi mowami. I zaspokajać krwią żądzę zemsty. Ale motłoch może się zwrócić przeciwko każdemu. A zwłaszcza wygłodzony motłoch. Jeśli ci ludzie nabiorą podejrzeń, że zostali zdradzeni przez własnych przywódców... Auguste przełknął ślinę.

- Czyli uważasz, że córka tej suki uciekając zabrała Królową? - spytał.

- Bardzo możliwe. A teraz zniknęła, właśnie kiedy mieliśmy ją zgarnąć i przesłuchać.

- Ale dlaczego nie przesłuchaliście jej wcześniej? Skoro wiedzieliście, gdzie...

- Doszliśmy do wniosku, że łatwiej będzie poczekać, aż sama nas doprowadzi do klejnotu, niż wyduszać z niej zeznania. Sam wiesz, że jej matka nic nam nie powiedziała. Zabierz tę tajemnicę ze sobą do grobu.

Auguste prychnął śmiechem.

-A to stanie się już niedługo, prawda? Zginie razem z wdową po Kapecie!

Robespierre machnął ręką, wyraźnie zirytowany.

- W tej chwili bardziej interesuje mnie ta mała. - Przymrużywszy oczy w zamyśleniu, spojrzał na brata. - Chociaż może jeszcze da się ją tu ściągnąć, Auguste

- Naprawdę?

Robespierre skinął głową. Jego usta wykrzywiły się w lodowatym uśmiechu.

- Chciałbym, żebyś kogoś do mnie wezwał, Auguste.
- Auguste erwał się na równe nogi.
- Oczywiście. Kogo...
- Przyrowadzisz tu naszego szacownego znajomego, obywatela d'Albret. Zdaje się, że nadszedł czas, by Le Chat stawił się przed Komitetem... ot tak, żeby trochę pogawędzić.

Jak zwykle w lipcu, w górach Piedmontu panuje straszliwy upał. Gabrielle, ledwie dysząc, spacerowała po ogrodzie. Od czasu do czasu próbowała się ochłodzić jedwabnym wachlarzem, ale nic to nie dawało. Po prostu nie była przyzwyczajona do takich upałów. Co prawda spędziła tu zaledwie dwa tygodnie; Alexander zapewniał ją, że niedługo przywyknie do takiej pogody.

Ha! Łatwo mu powiedzieć! On nie ma na sobie ciasnego gorsetu. Nie sływa potem, owinięty w spódnice.

Dopiero teraz zaczęła doceniać męskie ubranie: luźne, wygodne i przewiewne. Żałowała, że musiała oddać Renejego brudne szmaty.

Skrzywiła się ze złością. To wina Jasona! Nie pytając jej o nic, powiedział Bernice, by poleciła starej Murzynce, szwaczce, uszyć „gościowi” nowe ubrania.

W swojej naiwności Gabrielle początkowo była zachwycona. Ciotka Dulcey, niewolnica wyzwolona przez Alexandra, okazała się prawdziwym geniuszem igły. Ze szwalni na piętrze Wielkiego Domu wyfruwała suknia po sukni. Każda z nich była piękna, godna prawdziwej damy. Gabrielle nie mogła się doczekać, kiedy przymierzy je wszystkie.

Z markotną miną spojrzała na długą niebieską spódnice, będącą częścią jej popołudniowej kreacji. Owszem była przepiękna, podobnie jak obszyta falbanką biała halka, wystająca spod dekolту.

Ale Gabrielle wcale nie czuła się w niej dobrze. Chodzenie w niej było niczym najgorsza tortura! Materiał nasiąkł wilgocią w miejscu, gdzie gorset zaciśnięty był wokół talii; Gabrielle czuła, jak pot sływa jej po szyi za dekolт. Co gorsza, nieznośnym swędzeniem dawały o sobie znać potówki, które zaczęły się tworzyć w zagięciach ramion. *Mon Dieu!* Gabrielle obiecała sobie, że zabije Jasona, gdy tylko go zobaczy.

Szkopuł w tym, że widywała go nader rzadko. Co dzień wczesnym rankiem udawał się na objazd plantacji. Wiedziała o tym, bo kilka razy wyrwał ją ze snu upał, który nawet o tej porze był nie do zniesienia. Z okien jej sypialni rozciągał się widok na stajnie; widziała, jak Jason odjeżdża na pięknym siwym koniu. A wracał dopiero po zmroku, gdy ona już kładła się spać.

Najwyraźniej trzymał się od niej z dala. Była pewna, że robi to celowo. Jak inaczej wytłumaczyć uwagę Alexandra, że, jak dotąd, Jason zawsze jadał kolację razem z wszystkimi?

Jednakże od tamtego pierwszego wieczora w Fairhills, kiedy towarzyszył im Conor, wielki mahoniowy stół w sali jadalnej zastawiany był tylko na dwie osoby: dla Alexandra i Gabrielle. Starszy Trace zaproponował Rene by przyłączył się do nich, ale ten nicpoń wołał jadać w kuchni, z Bernice.

Gabrielle westchnęła i usiadła na ławeczce nad stawem z karpami. Jej panier zakołysał się dostojnie. Umiejętność siadania z gracją, jak na damę przystało, była prawdziwą sztuką, ale Gabrielle zrobiła to niemal instynktownie. Nauczyła się tego już wiele lat temu. A właściwie nauczyła ją *maman*...

Przygryzając wargę, zmusiła się, by pomyśleć o czym innym. Codziennie dziesiątki razy musiała się oganiać od natrętnie powracających wspomnień. Najgorsze, że miała tak dużo wolnego czasu. Zaczęła się obawiać, że postrada zmysły, jeśli nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia.

A tę beczynność zawdzięczała Bernice. Gabrielle była pewna, że ta ciemnoskóra kobieta celowo uniemożliwia jej zajęcie się czymkolwiek. Kilka razy zauważyła, jak Bernice na nią patrzy; takim samym spojrzeniem obrzucali ją francuscy chłopcy w pierwszych dniach rewolucji.

Zupełnie, jakby chcieli powiedzieć - jakby Bernice chciała powiedzieć: tu nie twoje miejsce. Dzień po dniu nic nie robisz i nie ma z ciebie żadnego pożytku. Jesteś jeszcze jedną arystokratką, żyjącą z potu innych ludzi.

A poza tym amazonka trzymała się od niej na dystans. Gabrielle próbowała wkraść się w jej łaski, ale, jak dotąd, bezskutecznie. Bernice pozostawała niewzruszona, zimna jak głąz.

Dlatego też teraz Gabrielle siedziała beczynnie i chciało jej się wyć z nudów. Jedyłą jej rozrywką w czasie pobytu w Fairhills

było pisanie listów. Uśmiechnęła się złośliwie. Gdyby Jason się dowiedział, udusiłby ją własnymi rękami. Ale skąd niby miał...

- O, tu jest panienka! A ja chodzę i szukam.

Odwróciwszy się, Gabrielle ujrzała wybiegającą z domu wysoką, chudą dziewczynę. Właśnie Betty była tą dwunastolatką, która, z polecenia Bernice, została jej osobistą służącą. Rodzice dziewczyny byli przymusowymi najemnikami, którzy wyemigrowali z londyńskich slumsów. Gabrielle westchnęła ciężko. Betty nie miała pojęcia, że cierpliwość jest cnotą, no, ale przynajmniej miała dobre chęci.

Gabrielle złościła się na myśl, że Bernice na pewno odczuła głęboką satysfakcję, przydzielając niepożądanemu gościowi nieuczoną dziewczynę. Ale Betty była nad wyraz bystra i wszystko pojmowała w lot, a Gabrielle sprawiało przyjemność to, że mogła ją uczyć. Co ważniejsze, miała dzięki temu zajęcie. Czyli nieświadomie Bernice wyświadczyła jej przysługę.

- Prawdziwa służąca nie wrzeszczy jak handlarz rybami, Betty. Jest tak dyskretna, jak to możliwe... to znaczy, stara się nie rzucać w oczy, a mimo to spełniać wszystkie życzenia swojej pani. - Gabrielle uśmiechnęła się, by ta nagana nie zabrzmiała zbyt ostro. - A teraz dygnij, jak cię nauczyłam, i powiedz, cóż takiego się stało?

- Dobrze, panienko - mruknęła pokornie Betty i dygnęła, może niezbyt wdzięcznie, ale, jak na początek, całkiem, całkiem.

Gabrielle mogła się obejść bez tego ceremoniału; upłynęło wiele czasu, odkąd traktowano ją w ten sposób, i zdążyła już przywyknąć. Ale służący sami tego chcieli. Choć w tym kraju nie było szlachty, istniała swego rodzaju arystokracja. Przynajmniej tu, na Południu.

Przed dwoma dniami Conor przyjechał z wizytą do Fairhills. Przywiózł ze sobą dwie córki Jeffersona, dziewczynki o manierach godnych księżniczek. Jednak najbardziej szokujące było to, że opiekunka dzieci, która przyjechała z nimi, piękna młoda kobieta o jasnej skórze, imieniem Sally, była niewolnicą! Później Gabrielle dowiedziała się, że Thomas Jefferson odziedziczył po swoim teściu Monticello wraz z okazałą liczbą niewolników, których ojcem był ich pan.

A oni tak szczycą się swoją „krajną wolnością” - pomyślała Gabrielle z pogardą. Powiedziano jej, że *monsieur* Jefferson ca-

łym sercem popiera rewolucjonistów we Francji. A niech najpierw zaprowadzi porządek w swoim domostwie!

Betty powiadomiła ją, że służący z Wielkiego Domu gromadnie zapadają na febrę. Na szczęście nie tak groźną jak ta, która dziesiątkowała wioski we Francji przed kilkunastoma laty, gdy Gabrielle była jeszcze dzieckiem. *Maman* też wtedy zachorowała - ale nie pora, by o tym myśleć.

Z drugiej strony, febra bywa zdradliwa; nawet przy najłagodniejszym przebiegu może się okazać śmiertelna, zwłaszcza gdy atakuje słabszych, starszych ludzi albo dzieci. Kiedy Betty zapadła na nią przed pięcioma dniami, Gabrielle natychmiast ugotowała jej herbatę z kory wierzbowej, lekarstwo, o którym dowiedziała się w dzieciństwie w czasie epidemii nękających Francję. Wywar sprawił, że gorączka spadła i dziewczyna wkrótce wróciła do zdrowia.

- Parobki padają jak muchy. Nawet mojego tatkę zmoгло. Leży i jęczy z bólu! Czy mogłaby panienka przyjść do nas i mu pomóc? Tak jak mnie... to znaczy, mi?

- Ależ oczywiście. - Gabrielle skierowała kroki do kuchni, na tyłach Wielkiego Domu, a Betty podreptała w ślad za nią. Kuchnia była najbardziej narażona na wybuch pożaru. Z tego powodu, jak też po to, by w domostwie utrzymać chłód, mieściła się w oddzielnym budynku.

Obchodząc dom, Gabrielle dostrzegła grupkę dzieci bawiących się przed kuchnią. Dym unosił się z komina, a z wnętrza dochodziły jakieś odgłosy.

Gabrielle zwolniła kroku. Wywar dla Betty ugotowała późnym wieczorem, gdy nikogo nie było w pobliżu kuchni. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył, mógłby pomyśleć, że panoszy się tam, gdzie nie powinna. Dokładnie mówiąc, w królestwie tej hardej amazonki.

- Powiedz mi, Betty - zaczęła nieśmiało - kto zwykle zajmuje się chorymi parobkami?

- Ciotka Ruth, tyle że pojechała do Monticello, pomóc przy porodzie.

- Nie ma nikogo innego? Kogoś, kto...

- Kiedyś była jeszcze ciotka Justine, ale umarła jesienią. Och, panienko, panienka pomoże mojemu tatce, prawda?

Gabrielle wahała się przez chwilę. Najwyraźniej ciotkami nazywano starsze kolorowe kobiety, które cieszyły się szacunkiem na plantacji. Każdy, nawet tak drobny, szczegół mógł się okazać ważny. Papa powiedział kiedyś, że wiedza oznacza władzę, ale należy ją wykorzystywać do czynienia dobra. Może nadszedł czas, by ona, Gabrielle, zaczęła umacniać swoją pozycję.

- *Oui* - powiedziała, kierując się ku drzwiom kuchni.

W tym samym momencie z domu wyłoniła się Bernice.

- Czegoś potrzeba, *mademoiselle*? - spytała amazonka, tonem nie pozostawiającym wątpliwości co do tego, że nie ma najmniejszego zamiaru wpuścić intruza do kuchni.

- *Mademoiselle! Mademoiselle!* - zakrakał czarny ptak siedzący na ramieniu Bernice.

- Zamknij dziób, Leroy! - warknęła Murzynka, nie odrywając wzroku od dziewczyny. W jej oczach, ciemnych niczym oczy kruka, czała się nieufność.

Gabrielle z trudem zdusiła w sobie lęk. Jeśli teraz ustąpi tej kobiecie, zawsze będzie zdana na jej łaskę i niełaskę. Już dosyć tego! Nie pozwoli innym decydować o swoim losie!

Podniosła hardo głowę.

- Chciałabym zaparzyć wywar, *madame*. Dla jednego z parobków. - Starła się mówić jak najspokojniej. - Słyszałam, że w kuchni jest kora wierzbowy...

- Kuchnia to nie pokój gościnny, *mademoiselle* - przerwała jej Bernice. - Mogą w niej przebywać tylko ci... którzy tu mają swoje miejsce. - Spojrzenie jej ciemnych oczu mówiło wszystko. Gabrielle była intruzem.

- Swoje miejsce! Swoje miejsce! - zakrakał ptak, a Bernice znowu kazała zamknąć dziób.

Kątem oka Gabrielle dostrzegła, że w drzwiach kuchni stoi kucharz w towarzystwie kilku służących. Nie, nie mogła dopuścić do tego, by ta amazonka upokorzyła ją na ich oczach. Służba straciłaby do niej cały szacunek.

- Swoje miejsce! Swoje miejsce! - powtórzył Leroy, ignorując jadowite spojrzenie Bernice. Gabrielle dostrzegła w tym swoją szansę. Nie ma to jak szybka zmiana tematu, by wyprowadzić przeciwnika z równowagi.

- Proszę mi powiedzieć, *madame* - zwróciła się do Bernice -

dłaczego nadała pani swojemu krukowi imię Leroy? - Wypowiedziała je z francuska: *Le roi*.

Na nieszczęście amazonka nie dała się zaskoczyć.

- Pomyślałam, że zabawnie będzie mieć króla, który jest czarny - mruknęła. - Francuskiego króla - dodała znacząco, po czym wyszczerzyła białe zęby w pewnym sobie, szyderczym uśmiechu.

-Naprawdę? - spytała Gabrielle aż nazbyt słodkim głosem. - Na pewno najwięcej radości sprawia pani to, że może mu pani kazać, by się zamknął.

Amazonka uniosła nieco brew, tylko w ten sposób dając po sobie poznać, że ta riposta ją zaskoczyła.

- *Non, mademoiselle* - odparowała, mrużąc oczy. - Największą radość daje mi to, że jest on moją własnością. Tak jak ja, za rządów króla Francji, byłam własnością innego człowieka.

Krew napłynęła do twarzy Gabrielle. Amazonka widziała w niej uosobienie systemu, który ją zniewolił. Była więc równie niesprawiedliwa jak Jason. Przecież ona, Gabrielle, nie miała nic wspólnego z jej niedolą! Gdy otworzyła usta, by powiedzieć Bernice wprost, co o tym myśli, poczuła, że ktoś delikatnie ciągnie ją za rąbek sukni.

- A co z moim tatką? - Doszedł ją szept Betty. Boże! Ona tu traciła czas, a tam przecież cierpiał człowiek.

- Ale Fairhills nie jest pani własnością, prawda, *madame*? - wycedziła Gabrielle przez zaciśnięte zęby. - Ani kuchnia, nieważne kto, pani zdaniem, ma w niej... swoje miejsce.

Gniew wyrwał się na twarzy ciemnoskórej kobiety. Gabrielle z trudem zniosła jej gorejące złością spojrzenie. Po co było ją drażnić? Wszak ta amazonka mogła bez najmniejszego trudu złamać ją wpół.

- Panno Saint-Germain, czy mógłbym zamienić z panią słowo na osobności?

Gabrielle odwróciła się w stronę, z której dobiegły te słowa. W drzwiach Wielkiego Domu stał lokaj, wysoki, pełen godności kolorowy mężczyzna. Przypomniała sobie, że nazywa się Prentiss. Wokół niego skupiła się grupka służących.

Spojrawszy przez ramię na Bernice, Gabrielle się zawahała. Czemuż teraz czarnoskóra kobieta krzywo patrzyła na służącego?



- Panno Saint-Germain... proszę? - Prentiss również spoglądał groźnie na Bernice. Niepewna, co przez to rozumieć, Gabrielle uznała, że lepiej będzie się dowiedzieć, czego służący od niej chce.

- Zaczekaj na mnie w ogrodzie - mruknęła do Betty i nie patrząc na amazonkę, podeszła do lokaja.

Prentiss rozpedził ciekawskich służących. Był wyższy od Bernice. Miał dość przyjemną, szczupłą twarz, na której jednak w tej chwili malował się niepokój.

- Najmocniej przepraszam, że tak się narzucam panience - powiedział - ale pomyślałem, że może trzeba by panience pomóc.

- Pomóc?

Uśmiechnął się szeroko i wskazał kciukiem kuchnię.

- Z wojowniczką.

Przez krótką chwilę Gabrielle nie wiedziała, o co mu chodzi, po czym jej wargi zadrżały i nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

- Ja nazywam ją amazonką.

- Jeden diabeł. - Zachichotał wesoło. - Jak ją zwał, tak ją zwał, ale Bernice lepiej nie wchodzić w drogę, panno Saint-Ger...

- Proszę... mów mi Gabrielle - powiedziała z uśmiechem. Od razu polubiła tego dumnego człowieka, o mądrym, ale i wesołym spojrzeniu. Wyglądało na to, że jest do niej przyjaźnie nastawiony, a w tej chwili zdecydowanie potrzeba jej było prawdziwego przyjaciela.

Prentiss odkaszlnął znacząco.

- Panna Gabrielle, jak rozumiem.

Skinęła głową, zdając sobie sprawę, że nie może liczyć na większą poufałość ze strony czarnego służącego, bez względu na to, czy jest wolnym człowiekiem, czy nie. Ten ich system klasowy! Jakżeby chciała stanąć oko w oko z Thomasem Jeffersonem i wygarnąć mu, co myśli o tej jego prorewolucyjnej filozofii. Ach, ta amerykańska dwulicowość!

- A jeśli chodzi o wojowniczkę - ciągnął Prentiss - proszę mnie źle nie zrozumieć, panno Gabrielle. Bernice to dobra kobieta. Dla przyjaciół zrobiłaby wszystko.

Gabrielle prychnęła ze złością.

- *Oui*, dla przyjaciół. Niestety, ja się do nich nie zaliczam, *monsieur*.

- Wiem - rzekł ze smutkiem w głosie. - Ale wiem też, że nie ma co z nią zadzierać. - Zachichotał, jakby coś zabawnego przyszło mu do głowy. - Przynajmniej nie w tej sytuacji. To uparta kobieta.

Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

- Ale ja próbowałam ją ułagodzić, *monsieur*, i nic. A nie mogę pozwolić, żeby mną pomiatała.

- Ano, nie - zgodził się. - Wojowniczką szanuje ludzi silnych, a jeśli okaże panią słabość... - potrząsnął głową - ...to ona panią żywcem pożre.

Gabrielle westchnęła ciężko.

- To co mam począć, *monsieur*? Unikać jej? Nie sądzę, żeby to...

Powietrze rozdarł przeraźliwy krzyk. Gabrielle i Prentiss zastygli w bezruchu i spojrzeli po sobie. Po chwili rozległy się kolejne okrzyki. Przerazone głosy dobiegały zza domu, od strony kuchni.

Zerwali się do biegu. Gdy byli już przy drzwiach, doszedł ich krzyk dziecka. I inne głosy. Mój Boże, pomyślała Gabrielle, co się...

- Panno Gabrielle! - krzyknęła Betty, która biegła w ich stronę. - Panie Prentiss! Szybko! W kuchni się pali i...

Gabrielle nie dała jej dokończyć. Odepchnęła ją na bok i wypadła na tyły domu.

Kłęby dymu wznosiły się nad małym budyneczkiem z cegły, w którym mieściła się kuchnia. Pomarańczowe płomienie trawiły drzwi. Wokół krążyli zdezorientowani służący. Niektórzy z nich bezzwłocznie pobiegli z wiadrami do studni, pozostali natomiast wpatrywali się w ogień, załamując ręce. Bernice klęczała nad kucharzem, leżącym bezwładnie na ziemi, i wykrzykiwała coś do ludzi, którzy nadbiegli od strony stajni.

Prentiss zaczął wydawać polecenia, usiłując opanować sytuację. Gabrielle stała jak wryta, zastanawiając się, jak mogłaby pomóc. Wtedy coś rzuciło jej się w oczy - mała brązowa twarz w oknie płonącego budynku, twarz, na której malowało się bezgraniczne przerażenie.

Bez zastanowienia rzuciła się naprzód, mając nadzieję, że zdąży. Płomienie strzelały już w górę przez dach. W każdej chwili kuchnia mogła się zmienić w istne piekło.

Nawet nie bardzo zdawała sobie sprawę, co robi. Dopiero później, po wszystkim, była w stanie odtworzyć to, co się stało. W owej chwili jednak kierowała się wyłącznie instynktem. W myślach widziała tylko jedno: małą brązową twarz w oknie - nic poza tym.

Nie zwalniając kroku, pochyliła się i podniosła z ziemi wałek do ciasta. Nawet nie myślała o tym, do czego jej się może przydać. A już po chwili wybiła nim szybę w oknie, które - taką miała nadzieję - było wystarczająco szerokie, by się przez nie przecisnąć. Mała brązowa twarz zniknęła. Gabrielle słyszała jakieś odgłosy... krzyki... trzask płomieni. I czuła otaczające ją zewsząd gorąco.

Tłukąc szybę, słyszała czyjeś łkanie. Później uzmysłowiła sobie, że to ona sama zaczęła szlochać, gdy odłamki szkła porozcinały jej suknię i poraniły ręce.

I ten dym! Gęsty, kłębiący się dym, który gryzł ją w oczy i uniemożliwiał oddychanie. Upadła na podłogę. Nic nie widać... łzy płynące po twarzy... dym... niemożliwe.

Boże, jak gorąco! Ktoś zaniósł się kaszlem. Nieważne. Muszę odnaleźć twarz. Małą brązową twarz. Gdzie? Gdzie jest...? Tak! Drobną ciałko, skulone pod oknem. Muszę je podnieść! Muszę... wyciągnąć... na zewnątrz...

I wtedy nagle dostrzegła ręce... wyciągające się do niej... odbierające od niej dziecko. Powietrze. Ach, zbawcze powietrze! Wreszcie mogła oddychać!

Później opowiedzieli jej o wszystkim. Jak odnalazła Bena, pięcioletniego wnuka ciotki Dulcey, leżącego na podłodze pod oknem... jak wzięła chłopca na ręce i jakimś cudem uratowała i jego, i siebie.

Wtedy jednak czuła tylko ulgę, że nie wdycha już dławiącego dymu, że może wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem. I słyszała głośne, chrapliwe krakanie kruką, który trzepotał skrzydłami nad jej głową.

Dziwne - pomyślała, gdy świat zaczął tańczyć jej przed oczami. Czemu kruk miałby obejmować ją skrzydłami? Albo płakać? A dlaczego właściwie tenże kruk tulił ją do siebie i nazywał świętą?

Gbrielle siedziała na łóżku, patrząc z niedowierzaniem, jak Bernice ostrożnie opatruje jej poranione ręce. Kto by pomyślał! Jeszcze godzinę temu ta dumna kobieta odnosiła się do niej z nieskrywaną wrogością, a teraz? Zupełnie jakby ich waśń nigdy nie miała miejsca.

- Wiesz, przez chwilę wydawało mi się, że jesteś Leroyem - powiedziała.

Bernice spojrzała na nią, udając najwyższe przerażenie.

- To dopiero musiał być widok!

Gabrielle parsknęła śmiechem.

- *A propos*, gdzie Leroy?

- Pewnie siedzi gdzieś na drzewie i się daśa, bo nie wpuściłam go do domu.

- Leroy... daśa się?

Bernice wzruszyła ramionami.

- Jak każdy chłop, wścieka się, kiedy coś idzie nie po jego myśli.

Gabrielle pomyślała o Jasonie, który unikał jej towarzystwa, odkąd znalazła się pod jego opieką. Mimo że to on ją uprowadził.

- Musimy kiedyś porozmawiać od serca - zwróciła się do Bernice. - Coś czuję, że mogę się od ciebie sporo dowiedzieć o... - chciała powiedzieć „mężczyznach”, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język - ...ludzkiej naturze.

Ciemnoskóra kobieta mruknęła coś pod nosem, po czym bandażowała nadgarstek Gabrielle.

- No, to powinno wystarczyć. - Spojrzała na dziewczynę. - Jak się czujesz, małeńka? Nie kręci ci się w głowie? Nie masz mdłości? Albo... przywidzeń?

- Czuję się już dobrze, Bernice. I słowo daję, nie widzę cię już w piórach.

- Chwała Bogu! - Murzynka rozsiadła się wygodnie na krześle stojącym obok łóżka. Jej twarz nagle się zasepiła. - Mało się nie udusiłaś tym dymem. Aż mnie ciarki przechodzą, kiedy o tym pomyślę! Jeszcze kilka sekund, a przygniótłby was dach.

Gabrielle nie miała pojęcia, że dach się zawalił. Kiedy zemdlała, służący zanieśli ją do sypialni. Dopiero odzyskawszy przytomność dowiedziała się od Bernice co nieco o tym, co się stało.

- A mały Ben... nic mu nie będzie?

Bernice parsknęła śmiechem.

- Ciotka Dulcey mówi, że ten uprzykrzony dzieciak lata po całym domu i rozgadał się gorzej niż Leroy. A wierz mi, Leroyowi dziób się nie zamyka. Mały Ben opowiada każdemu, kogo spotka, jaką to wspaniałą przeżył przygodę. - Poważniejąc, spojrzała Gabrielle w oczy. - Postąpiłaś naprawdę odważnie. Nie widziałam jeszcze, żeby ktokolwiek zdobył się na tak szlachetny czyn.

Gabrielle zarumieniła się i wzruszyła ramionami, by ukryć zawstydzenie.

- Po prostu pierwsza zobaczyłam to dziecko. - Wciąż miała przed oczami obraz owej malej brązowej twarzy. - Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

Bernice znów mruknęła coś pod nosem i obejrzała bandażę. Następnie spojrzała dziewczynie w oczy.

- Wątpię. To, co zrobiłaś, maleńka, wymagało odwagi i dobrego serca. A te cechy rzadko spotyka się u ludzi. Nie są dane "każdemu".

Gabrielle zarumieniła się jeszcze bardziej i spuściła głowę. Jednak czując na ramieniu delikatny dotyk dłoni, podniosła wzrok na Bernice.

- Podziwiam twoją odwagę, Gabrielle de Saint-Germain. I twoje dobre serce.

- Nie jestem święta, Bernice - wymamrotała zawstydzona dziewczyna.

Bernice prychnęła.

- Chyba lepiej dla ciebie, żebyś była!

-*Pardon?*

- Lepiej dla ciebie, żebyś była święta, jeśli masz sobie radzić z ludźmi takimi jak Jason Trace. I ja.

- Z... takimi jak ty? Nie rozu...

Bernice westchnęła ciężko, nie spuszczać z niej oczu.

- Mam nadzieję, że... wybaczysz mi moje zaślepienie. To było niesprawiedliwe z mojej strony, że tak źle cię oceniłam. I to bez powodu. Ja... naprawdę bardzo mi przykro i... i chciałabym... żebyś uznała mnie za swoją przyjaciółkę.

Gabrielle zdawała sobie sprawę, jak ciężko było tej dumnej kobiecie wydusić z siebie te słowa. Z pewnością bardzo rzadko zdarzało jej się prosić kogokolwiek o wybaczenie, a cóż dopiero przyznać się do błędu.

Ale Gabrielle widziała szczerłość w tych głębokich, ciemnych oczach. Bernice nie rzucała słów na wiatr. Zdobywając jej przyjaźń, zdobywało się przyjaciółkę na dobre i złe.

- Tak, moja droga - powiedziała do Bernice, patrząc jej głęboko w oczy. - Byłoby dla mnie zaszczytem mieć w tobie przyjaciółkę.

Od pożaru upłynął tydzień. Gabrielle i Bernice siedziały w saloniku, zajęte cerowaniem ubrań. Od czasu do czasu zamieniały ze sobą parę słów, właściwie o niczym; przede wszystkim cieszyły się swoim towarzystwem.

Nagle z dołu dobiegło trzaśnięcie drzwi - tak głośne, że aż zatrzęsły się klepki, którymi wyłożona była podłoga.

- No dobra! Gdzie ona jest?

Bernice i Gabrielle równocześnie podniosły głowy. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Pytałem, gdzie ona jest, u diabła? - krzyknął Jason po raz drugi.

- Poczekaj tu - powiedziała Bernice do Gabrielle. Odłożyła swoje przybory i wstała. - Zobaczę, czego on chce.

W jej spojrzeniu dało się wyczytać, że obie doskonale wiedzą, o co chodzi Jasonowi. Czy też o kogo. Gabrielle domyśliła się, że Bernice chce po prostu trochę go udobruchać, zanim ona będzie musiała stanąć z nim twarzą w twarz.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, a jej nowa przyjaciółka, odwzajemniwszy uśmiech, pospieszyła na dół. Biorąc się z powrotem do szycia, Gabrielle miała ochotę się uszczypnąć, by udo-

wodnic sobie, że to nie sen: Bernice... uśmiechająca się do niej. Nadal trudno było w to uwierzyć.

Ale to prawda: Gabrielle zaprzyjaźniła się z tą kobietą. Po uratowaniu życia małemu Benowi wszelkie dzielące je bariery, istniejące naprawdę czy tylko wymaginowane, rozplynęły się jak mgła w słońcu.

Od tamtego czasu odkryły, że mają ze sobą wiele wspólnego. Wręcz dziwne było, że wcześniej nie rozpoznały w sobie pokrewnych dusz. Gabrielle dowiedziała się, że Bernice, podobnie jak ona, była bardzo blisko związana ze swoją matką. Co więcej, jej matka, podobnie jak matka Gabrielle, została uwięziona.

Handlarze niewolników uprowadzili Bernice i jej matkę z wioski na Wybrzeżu Kości Słoniowej; Bernice próbowała zabić jednego z nich, by umożliwić ucieczkę swojemu dziecku. Niestety, jej poświęcenie nic nie dało. Zakuto ją w kajdany i przeniesiono do innej części statku z niewolnikami. Od tamtego czasu Bernice nigdy już nie widziała matki.

- Może dlatego zawsze tak bardzo starałam się chronić dzieci - powiedziała. - Po tym, jak dała mi tak chlubny przykład, jakże miałam postępować inaczej? A teraz widzę, że i ty taka jesteś. Nosisz w sercu uczucia macierzyńskie, choć nie masz własnych dzieci.

Gabrielle nie myślała o tym wcześniej, ale uświadomiła sobie, że Bernice ma rację. Nawet w Wersalu najbardziej jej odpowiadało towarzystwo dzieci. Były takie niewinne, mimo że ich rodzice, uwięzieni w szponach dekadencji, zachowywali się tak sztucznie.

No i, przede wszystkim, dzieci były szczerze. Traktowały innych tak, jak na to zasługiwali. W Wersalu były niczym oddech świeżego powietrza w dusznym pokoju.

Ale Gabrielle była przekonana, że tak samo zachowałaby się, gdyby w tej płonącej kuchni znalazł się ktoś inny. Zrobiła to bez zastanowienia i...

Z zamyślenia wyrwało ją głośne pukanie do drzwi. Pewnie Bernice udało się go trochę uspokoić, pomyślała. Przynajmniej nie dobija się do nich, jak tamtej nocy po pożarze.

Wtedy Jason niemal wyważył drzwi do jej sypialni. Potem wpadł do środka i zaczął się domagać, by mu powiedziała, co, u licha, zrobiła ze swoimi rękami. Dowiedział się o pożarze - no

i, oczywiście, o Benie - gdy wrócił wieczorem do domu. Najwyraźniej ktoś wspominał też o jej ranach.

Wciąż nie wiedziała, czemu to na nie przede wszystkim zwrócił uwagę... ani dlaczego był tak wściekły. No, ale zdążyła już przywyknąć do jego nieustannego gniewu.

Z drugiej strony, gdy tak się denerwował z powodu jej ran, zrobiło jej się jakoś lekko na sercu. Już od dawna nikt aż tak się o nią nie troszczył. A teraz najpierw Bernice, potem Jason... kto by pomyślał?

Pukanie rozległo się ponownie; tym razem było głośniejsze. Gabrielle odłożyła przybory do szycia i westchnęła ciężko. Może Jason nie był wściekły do tego stopnia, żeby wyważyć drzwi, ale tak czy inaczej znowu o coś miał do niej pretensje. Co za diabeł!

- *Entrez!* - krzyknęła.

Drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich Jason. Marszcząc czoło, wymachiwał jakimiś papierzyškami.

- Wiesz, co to jest? - wyrzucił z siebie.

- Dzień dobry, Jason - powiedziała tak słodkim tonem, na jaki była się w stanie zdobyć. Dzięki Bernice wiedziała, że właśnie w ten sposób najłatwiej zbić Jasona z tropu, gdy się wścieka.

- Ten dzień wcale nie jest dobry! - wycedził Tracę przez zaciśnięte zęby i znowu zaczął wymachiwać kartkami. - A oto dlaczego!

- Dlaczego? - spytała najspokojniej w świecie, wiedząc, że dopóki będzie mówić łagodnym, lekkim tonem, Jason nie znajdzie na nią sposobu. Była wdzięczna Bernice za tę jakże skuteczną radę. Z trudem powstrzymała cisnący się na usta uśmiech zadowolenia.

Jason wpił się w nią wzrokiem.

- Tak, do cholery, to prawda! - zgromił ją. - Kto, u diabła, poddał ci myśl, żebyś zaczęła korespondować z sekretarzem stanu, Thomasem Jeffersonem? Na Boga! Jak mogłaś nic mi o tym nie powiedzieć?

- Słucham? - spytała niewinnie. - Miałam uzyskać twoje zezwolenie, by napisać...

- W ogóle nie powinnaś była do niego pisać! A zwłaszcza nie o takich rzeczach! - Rzucił kartki na jej kolana. - Chryste, kobieto, czyś ty oszalała? A może po prostu jesteś beznadziejnie głupia? Strona po stronie o jego stanowisku wobec rewolu-



cji francuskiej. Napisałaś mu, że uporczywie trwa w błędzie! Thomas Jefferson! Do reszty zgłupiałaś?

Gdy dotarło do niej znaczenie tych słów, Gabrielle zavrzała gniewem.

- On... on ci to pokazał? I oddał?

- A żebyś wiedziała!

-Jakim prawem? To prywatna korespondencja! Jefferson nie miał prawa pokazać jej nikomu bez...

- Miał słuszne prawo!

- Jak to?

-Jesteś kobietą przebywającą pod moim dachem, tak to! Dla Toma, ba! Dla każdego mężczyzny o zdrowych zmysłach, będącego głową domu...

- Dość tego! Nie będę wysłuchiwać tych... tych bzdur! - krzyknęła, po czym zerwała się z fotela, rozrzucając kartki po podłodze. Jason i ten jego, pożał się Boże, sekretarz stanu naprawdę działali jej na nerwy! - Niech was diabli, jestem kobietą! - wyduсила z siebie. - *Oui*, i do tego Francuzka! Nie jakaś tam idiotka, którą można wodzić za nos.

Przez długą chwilę dawała upust złości. Jason tylko na nią patrzył. Jak mogła się tak wyrażać o Jeffersonie, człowieku, którego nawet nie znała? Gadała niczym jakaś cholerna sawantka. Chryste, co za kobieta!

Ale gdy tak jej się przyglądał, coś zaczęło się w nim zmieniać. Jak z bardzo daleka, doszły go jej słowa o „zaślepieniu tego człowieka” oraz „wolności i sprawiedliwości dla krwiopicjów”. Słyszał też wyrażenia „autor tej waszej wspaniałej deklaracji niepodległości”... „nie wie, o czym mówi”, a nawet prychnięcie, mające podkreślić pogardę, jaką Gabrielle żywiła do Jeffersona.

Jednak nie obchodziły go już jej słowa. Zamiast wsłuchiwać się w tyradę Gabrielle, podziwiał jej twarz, rozpłomienioną gniewem, i gorejące oczy. Wydawało się, że powietrze wokół niej zaczęło się iskrzyć. Wokół ich obojga. Gabrielle całym swoim ciałem dawała do zrozumienia, że nie żartowała, mówiąc! „Jestem kobietą”...

Oj tak, kobietą - pomyślał, czując, że krew zaczyna szybciej krążyć mu w żyłach. Chryste! Nie dość, że śni mi się po nocach, to jeszcze musi mnie kusić za dnia?

Gabrielle zawiesiła głos, chcąc zaczerpnąć powietrza. Dopiero teraz spojrzała na Jasona. Zauważyła, że mierzy ją wzrokiem od stóp do głów. Gdy ich spojrzenia się spotkały, dostrzegła w jego oczach iście diabelski błysk.

- *Non...* - wyszeptała i postąpiła krok do tyłu.

Ale Jason w mgnieniu oka znalazł się przy niej i przygarnął ją do siebie.

*Mon Dieu*, jaki on jest silny! - pomyślała, czując, że przechodzi ją drzenie, nie mające nic wspólnego ze strachem. Wciągnęła w nozdrza jego zapach, na który składała się woń wyprawionej skóry, koni i tytoniu... a także innych, nie znanych jej rzeczy, które jednakże przywodziły na myśl jedno-mężczyznę. Spojrzała w jego czarne gorejące oczy. I wtedy poczuła zwątpienie... a może jednak się go bała?

- Jason... - wydusiła z siebie chrapliwym szeptem. W odpowiedzi mruknął cicho, po czym łapczywie wpił się w jej usta, niczym drapieżny ptak chwytający ofiarę lub wygłodniały człowiek rzucający się na jedzenie. Jego wargi były twarde i nieustępliwe. Spragnione.

Serce Gabrielle przeniknął strach. Zaczęła wrywać się z ramion Jasona.

On jednak nie ustępował. Mrucząc coś do siebie, wniknął dłonią w jej włosy. Druga dłoń zsunęła się po jej plecach, zatrzymując się dopiero pod pośladkiem. Czując, że Jason podnosi ją z podłogi, Gabrielle przyłgnęła doń całym ciałem.

(Od razu uzmysłowiła sobie, czym jest twardość, która wpijała się w jej podbrzusze. Nabrzmiała męskość... dowód jego podniecenia). Strach znowu ścisnął jej serce i zaczęła ze zdwojoną siłą wrywać się z ramion Jasona. Jednak w tej samej chwili jego pocałunek stał się zupełnie inny... taki delikatny...

Jego usta zaczęły igrać z wargami Gabrielle w powolnym tańcu. Delikatne wargi, muskające lekko... smakujące... aksamitny język sunący po jej ustach...

Opuściwszy ją ostrożnie na podłogę, Jason ujął jej głowę w dłonie, nieprzerwanie drażniąc i muskając usta dziewczyny językiem.

I wtedy nagle wszelki strach prysnął. Gabrielle miała wrażenie, że jej ciało jest jednocześnie rozpalone i bezwolne... jej usta rozchyliły się niemal instynktownie. Powoli traciła pa-

nowanie nad sobą. Nie czuła już nic poza dotykiem jego języka, niespiesznie wnikającego jej do ust. Delikatnie sięgał nim coraz głębiej, przesuwając go po jej zębach, po czym wsunął się dalej.

Gdy ich języki zetknęły się koniuszkami, Gabrielle poczuła, jak po jej ciele rozlewa się znajoma przyjemność. Bez zastanowienia, zarzuciła Jasonowi rękę na szyję.

- Znowu - mruknął chrapliwym głosem w jej otwarte usta. Przez jego muskularne ciało przeszło drżenie. - O Boże, Gabrielle... raz jeszcze!

Dźwięk jego chrapliwego głosu był niczym kolejna pieszczota. On jej pożądał! Na myśl o tym poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie, jakby wypiła za dużo wina. Świat zawirował jej przed oczami, a gdzieś głęboko w niej coś się rozbudziło. Z jękiem wtuliła się w niego, a ich języki tańczyły... łączyły się w jedno.

Jason zaczął ją pieścić zręcznymi, powolnymi ruchami dłoni. Czuła ich dotyk na plecach, ramionach, w talii, na biodrach i pośladkach. A każde miejsce, które muskały, płonęło żywym ogniem. Gdy jego dłoń spoczęła na jej piersi, z ust Gabrielle wyrwał się cichy jęk.

- Lubisz to, prawda? - spytał szeptem, po czym odchylił głowę i spojrzał jej w oczy. - A to...? - Musnąwszy kciukiem jej sutek, poczuł, jak przebiega ją drżenie. Uśmiechnął się z zadowoleniem i zaczął ją delikatnie szczypać w piersi.

Z ust Gabrielle wydarł się cichy okrzyk. Przeszyła ją wręcz niewypowiedziana rozkosz, nie mogła oderwać wzroku od oczu Jasona. Widząc jego pewny siebie uśmiech, chciała stawić mu opór, ale... Ta rozkosz!

Jason zauważył, że źrenice Gabrielle się rozszerzyły; jej sutek stał się twardy i sztywny niczym pąk kwiatu. Tak wrażliwa! Chryste! Nic dziwnego, że nie mogłem wybić jej sobie z głowy - pomyślał.

- Gabrielle... - mruknął. - Widzisz, że jesteś do tego stworzona? Ach, kobieto, chcę cię! Chcę czuć pod sobą twoje ciało, chcę...

- Gabrielle! Jesteś tam jeszcze, maleńka? Powiedz Jasonowi, że muszę z nim zamienić słowo na osobności.

Z ust Jasona wyrwało się soczyste przekleństwo. Głos Bernice podziałał na nich jak kubeł zimnej wody. Błyskawicznie

się od siebie oderwali. Gabrielle cofnęła się o parę kroków i nie mogąc dojsć do siebie, odwróciła wzrok. Jason zaczesał dłonią włosy i zaklął raz jeszcze.

- Zejdź na dół i zatrzymaj ją przez chwilę - powiedział chrapliwym głosem, oddychając ciężko. - Obawiam się, że jeszcze... nie mogę jej się pokazać.

Gabrielle odważyła się na niego spojrzeć. Ujrzawszy wyrzuczenie w obcisłych bryczesach, spłonęła rumieńcem.

Po chwili pędziła już w stronę schodów, a w ślad za nią niósł się śmiech Jasona.

Tej nocy Gabrielle długo nie mogła zasnąć. Nie dlatego, że było, jak zwykle, niesamowicie gorąco. Nie dawało jej spokoju wspomnienie tych kilku chwil w ramionach Jasona.

Co się z nią stało? Zachowała się jak ulicznica. Przypomniało jej się to, co zaszło między nimi w Paryżu. Pogodziła się już z tym; to był błąd, który nigdy już się nie powtórzy... a przynajmniej tak sądziła do tej pory. Wmówiła sobie, że oddała się Trace'owi, bo nie miała innego wyjścia, a nawet, że postąpiłaby tak raz jeszcze, gdyby tego wymagało dobro *maman*. Ale tylko pod tym warunkiem.

Tego dnia jednak, gdy znalazła się w ramionach Trace'a, nie myślała o matce. Nie liczył się nikt poza nią i Jasonem. Jak mogła zapomnieć wszystko, czego nauczyła się w Wersalu? Czy choćby nauczkę, jaką było dla niej to, co zdarzyło się w Paryżu?

Boże, jak teraz będzie mogła spojrzeć Jasonowi w oczy?

Tak jak zawsze - odpowiedział jej wewnętrzny głos rozsądku. Teraz nawet będzie ci łatwiej. W końcu tym razem wszystko skończyło się, zanim...

Zanim co? Zanim straciłaś dziewictwo? - spytał gorzko jakiś inny głos. Zanim oddałaś mu coś, co można oddać tylko raz? Co powinnaś pozostawić dla przyszłego męża?

Dość tego! Ciesz się, że nie nosisz w sobie jego dziecięcia.

- Och tak, cieszyć się... - mruknęła do siebie Gabrielle. To ją uspokoiło. Powtarzała w myśli te słowa, raz po raz, niczym jakąś litanie. Wreszcie zmorzył ją sen. A kiedy rankiem przypomniła sobie swoje sny, w których nieustannie pojawiał się Jason, stwierdziła, że to tylko... wytwory jej umysłu. Całkowicie niegroźne.

Kilka dni później okazało się, że los potrafi zmienić sny w koszmary.

Nie, to niemożliwe - powiedziała w duchu, widząc w lustrze nad umywalką swoje podkrążone oczy i pobladłą twarz. Żołądek po raz kolejny podszedł jej do gardła.

- Boże... - W ostatniej chwili zdążyła schylić się nad miską. Zwróciwszy resztki śniadania, opłukała usta, po czym wróciła do łóżka. Westchnąwszy ciężko, osunęła się na poduszkę.

Wiedziała, że niedługo poczuje się lepiej. Już trzeci poranek z rzędu wyglądał tak samo: najpierw, zaraz po śniadaniu, ogarniały ją silne mdłości, a potem, po powrocie do sypialni, natychmiast zwracała wszystko, co zjadła. Przez resztę dnia powoli dochodziła do siebie.

Na początku myślała, że coś jej zaszkodziło, ale wszyscy domownicy jedli to samo co ona, i nikt nie uskarżał się na jakiegokolwiek dolegliwości. Potem uznała, że na pewno zapadła na tę samą chorobę, która nękała służących. Jednak, w odróżnieniu od nich, Gabrielle nie miała gorączki, a poza tym jak wytłumaczyć to, że w ciągu dnia powracała do zdrowia?

A teraz rozdygotana, leżąc na łożu, zmusiła się, by zrobić to, przed czym uparcie wzbraniała się przez ostatnie trzy dni: przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni miała okres.

Jęknęła.

Od wyjazdu z Paryża nie miała miesiączki. W tym czasie tak wiele wydarzyło się w jej życiu, że nawet nie zwróciła na to uwagi. Ale teraz już wiedziała. Nosiła w sobie dziecko. I było to dziecko Jasona. Niech Bóg ma ją w swojej opiece!

Święci Pańscy, cóż miała począć? Była tu obcym człowiekiem. Bez rodziny... bez domu... bez środków do życia.

Nie pierwszy raz ogarnął ją niepokój na myśl o przyszłości. Już na pokładzie *Fairwinds* czuła lęk przed tym, co ją czeka. Jednak z upływem czasu jej troski powoli zniknęły. Długie, wolno płynące letnie dni w Wirginii, błogi spokój panujący w Fairhills - wszystko to sprawiło, że zapomniała, w jak ciężkim jest położeniu.

A teraz sytuacja stała się jeszcze trudniejsza. Nie mogła się troszczyć już tylko o siebie. Musiała myśleć o tej malej, bezradnej istotce, którą nosiła w sobie. Gabrielle czuła, że już kocha swoje dziecko nad życie.

Ale jak miała się nim zajmować? Co miała zrobić? Zostać tutaj? Być ciężarem dla Alexandra i...

- Nie! - krzyknęła. Jason był ostatnim człowiekiem na świecie, dla którego chciałyby być ciężarem albo którego miałyby prosić o pomoc.

Ale to on jest ojcem dziecka - przypomniał jakże znajomy głos w jej duszy.

Nie - odparł głos jej rozsądku. On nie zasłużył na to miano. Jason Tracę, człowiek tak zgorzkniały i pełen nienawiści, nie może być ojcem twojego dziecka. Nie... nigdy!

Musiało być jakieś wyjście - pomyślała, czując, że przechodzą jej mdości. Musiała coś wymyślić. Samotność nie była dla niej niczym nowym... W pojedynkę stawiała twarzą w twarz z takimi ludźmi jak Le Feu. Jakoś uda jej się unieść ten ciężar - i poradzi sobie sama!

Dwa dni później okazało się, że nic z tego. Gabrielle siedziała w cieniu drzewa brzoskwini, pomagając kucharce Matyldzie obierać owoce. Było wczesne popołudnie i panował błogi spokój, choć ciszę co pewien czas zakłócały rozmaite odgłosy: przytłumiony stukot dochodzący zza domu, gdzie trwały prace nad nową kuchnią, trajkotanie nad wyraz towarzyskiej Matyldy oraz dobiegające z oddali śmiechy i piski bawiących się dzieci.

Nagle Gabrielle poczuła, że ktoś delikatnie trąca ją w ramię.

- Obudź się, maleńka. - Dotarł do niej wesoły głos Bernice.

- To już trzeci raz w tym tygodniu - powiedziała Matylda z niepokojem w głosie.

- Hmm... - mruknęła Bernice.

Gabrielle otworzyła oczy i napotkała jej baczne spojrzenie.

- Ja... chyba przysnęłam - mruknęła rozespianym głosem.

- Owszem - przytaknęła Bernice. - Ciekawe dlaczego, moja droga?

Gabrielle przetarła zaspiane oczy, usiłując jakoś zebrać myśli. Dlaczego Bernice tak dziwnie na nią patrzy? Jakby podejrzewała, że ona coś ukrywa i... zaraz, zaraz, przecież tak było!

Czując się nieswojo, Gabrielle próbowała jakoś ją zbyć.

- Dlaczego pytasz? - Wzruszyła ramionami. - Ostatnio nie za dobrze spiam. Wiesz, jak było gorąco.

- Ależ, panienko - włączyła się do rozmowy Matylda - odkąd panienka tu jest, nigdy panienka nie miała takich problemów.

- Prrproblemów! Prrproblemów! - zawtórował jej Leroy, usadowiony na jednej z niższych gałęzi.

Bernice zmroziła go spojrzeniem.

- Matyldo, zostaw nas same - zwróciła się do kucharki. - I weź ze sobą to upierzone straszzydło.

Matylda, podniósłszy brzoskwinie, zaczęła wymachiwać fartuszkami, usiłując przegonić kruka, który tylko przekrzywił łepki i ani myślał ruszyć się z miejsca.

- Leroy! - krzyknęła Bernice groźnym tonem. - Słowo daję, zacznę mieć ochotę na kruczą zupę!

Kruk zamrugał, po czym zerwał się z gałęzi, kracząc donośnie. Gabrielle i Bernice wreszcie zostały same.

- Czemu... czemu tak na mnie patrzysz? - wyjąkała Gabrielle. - Po prostu przysnęłam sobie raz czy dwa, to wszystko.

Bernice przeszła ją przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu, jednocześnie uśmiechając się ciepło.

- *Oui* - powiedziała łagodnym tonem - ale coś mi się zdaje, że nie dlatego, że źle ci się spało w nocy.

- O cz-czym ty mówisz?

- Ach, *cherie*, czy nie sądzisz, że czas, abyś wreszcie była ze mną szczerą? Jesteśmy przecież przyjaciółkami.

- *Oui*, ale...

- Dlaczego jesteś taka zmęczona? - ciągnęła Bernice, nie dając jej zebrać myśli. - Czy to aby nie ma związku z tym, że ostatnio jakoś nie wchodzi ci śniadania?

Przez długą chwilę Gabrielle tylko patrzyła na przyjaciółkę, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Wreszcie westchnęła ciężko, a do jej oczu napłynęły łzy.

- Ja... ja... jestem w ciąży! - Z jej piersi wyrwał się szloch. Bernice wzięła ją w ramiona. - Och, Bernice, tak mi wstyd. Co... co ja teraz pocnę?

- No już, już, nie płacz, dziecko - uspokajała ją jej przyjaciółka. - Jesteśmy przecież silnymi kobietami. Niepospolitymi kobietami. Zobaczysz, już my coś wymyślimy!

Gabrielle siedziała w milczeniu naprzeciwko Alexandra, unikając jego wzroku. Nie zamierzała powiedzieć mu nic ponad to, co usłyszał do tej pory. I tak wiedział już zbyt wiele. Niech diabli wezmą Bernice!

Na początku Gabrielle opierała się jej namowom; za nic nie chciała dać się skłonić do rozmowy z Alexandrem. A teraz żałowała, że w końcu ustąpiła. Ale Bernice tak przekonująco doprowadziła, że tylko Alexander i Jason mogą jakoś pomóc...

Wystarczyło, że napomknęła o Jasonie. Nie chcąc, by Bernice mu cokolwiek powiedziała, Gabrielle wybrała mniejsze zło.

No a teraz, tak jak się obawiała, Alexander zapytał ją, kto jest ojcem dziecka. No cóż, miał prawo. A ona miała prawo mu nie odpowiedzieć.

Alexander westchnął, patrząc na delikatne rysy twarzy Gabrielle. Wiadomość, że ta piękna młoda kobieta nosi w sobie dziecko, była dla niego dużym wstrząsem. Jednak nie dlatego, że ubolewał nad jej upadkiem moralnym; choć pewnie sądziła, że właśnie tak myśli. Przede wszystkim głęboko jej współczuł. Boże jedyny, musiała się czuć tak bardzo samotna. Wbrew jej woli zabrano ją do dalekiego kraju, gdzie dowiedziała się, że jest w ciąży. W dodatku ojciec dziecka został tyśiące mil stąd!

A może...?

Do duszy Alexandra wkradło się niepokojące podejrzenie. Wierzył, że Gabrielle jest niewinna. Jej smutne oczy wiele wiodziały w czasie rewolucji, ale, poza bólem, nie dało się w nich wyczytać niczego, co wskazywałoby, że dziewczyna posiadała tę inną wiedzę - wiedzę o zmysłowości. Nie było w nich tego cze-



goś, co każdy w miarę doświadczony mężczyzna widzi w oczach kobiety, która już posmakowała zakazanego owocu.

Powstrzymując westchnienie, opędził się od dawno pogrzebanych wspomnień o Juliette. Co innego w tej chwili nie dawało mu spokoju. Gdy tego popołudnia zasugerował Bernice, by porozmawiać z Jasonem o sytuacji Gabrielle, Murzynka stwierdziła kategorycznie, że Jason nie może się o niczym dowiedzieć. Kiedy ją przycisnęła, przyznała, że tego właśnie chciała Gabrielle.

- Sam ją o to spytaj - powiedziała. - Może tobie coś powie. Bóg mi świadkiem, ja nic nie mogłam z niej wyciągnąć!

Gdy mówiła te słowa, jej oczy rozbłyły na chwilę; ani chybi coś jednak podejrzewała. Najwyraźniej chciała, by Alexander sam do tego doszedł. I właśnie to robił, mimo że z każdą chwilą ogarniały go coraz większe wątpliwości, czy rzeczywiście chce poznać całą prawdę.

- Moja droga - zaczął łagodnym tonem - nie mówmy o ojcu dziecka, jeśli to sprawia ci aż taki ból.

Obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem i po raz pierwszy spojrzała mu w oczy.

- *Merci, monsieur.*

Starszy pan odwzajemnił uśmiech.

- Alexander, moja droga... proszę, mów mi Alexander. Przecież stałem się twoim powiernikiem, prawda? Mam nadzieję, że i ja kiedyś będę mógł ci się z tego i owego zwierzyć - dodał grożąc jej palcem. - W razie czego nie mów, że cię nie ostrzegałem!

- Byłoby to dla mnie zaszczytem... Alexandrze.

- To, że postanowiłaś wyjawić mi swoją tajemnicę, jest już dla mnie zaszczytem. Ale powiedz mi, Gabrielle, czemu nie chcesz obdarzyć zaufaniem mojego syna?

Dziewczyna znowu się zasepiła. Nie odezwała się ani słowem, ale nie mógł nie zauważyć, jak zeszywniała; gdyby ktoś jej dotknął, mogłaby się złamać w pół.

Miał szczerą nadzieję, że jego przypuszczenia okażą się całkowicie chybione, że nie usłyszy tego, czego obawiał się najbardziej. A jednak wszystko na to wskazywało.

O, dobry Boże, czy to możliwe? Przecież Jason zawsze jak ognia unikał wszelkich poważniejszych związków z kobietami. No, a to w dodatku była Francuzka...

Mimo to Alexander doskonale zdawał sobie sprawę, że syn nie jest świętoszkiem. Ale Jason zwykł kierować się dyskrecją i spotykał się tylko z doświadczonymi kobietami, które wiedziały, czego chcą. Gabrielle de Saint-Germain w porównaniu z nimi to jeszcze dziecko, u licha! Poza tym wprowadził ją przecież do swego domu.

Alexander westchnął ciężko. Musiał być w błędzie. Oby.

- Czemu nie chcesz, żebym porozmawiał z Jasonem, moja droga? Dwie głowy to nie jedna, na pewno temu nie zaprzeczysz i... Gabrielle? Och, proszę, nie idź jeszcze, dziecko. Jeśli powiedziałem coś niewłaściwego, przepraszam, nie chciałem. Gabrielle!

Z trudem wstrzymując łzy cisnące się do oczu, Gabrielle gestem ręki dała mu do zrozumienia, że nic złego się nie stało, po czym podeszła do drzwi. Alexander był dla niej tak dobry, prawie jak ojciec. Ale nie był jej ojcem. Był ojcem Jasona. Nie mogła powiedzieć mu, że dziecko w jej łonie jest dzieckiem jego syna! Co więcej, za nic nie mogła dopuścić do tego, żeby zmusił Jasona do udzielenia pomocy znieawidzonej przezeń kobiecie.

- Proszę - wydusiła z siebie, gdy znalazła się przy drzwiach - nie przejmuj się. Ja... chodzi tylko o to, że... że znowu zrobiło mi się niedobrze. Przepraszam cię, ale chciałabym... wrócić do mojego pokoju.

- Ależ oczywiście, moja... - Alexander patrzył za nią, gdy niknęła w głębi korytarza. No cóż - pomyślał - powiem Bernice, żeby do niej zajrzała. Ani przez chwilę jednak nie wierzył, że Gabrielle naprawdę źle się poczuła. Nie miał wątpliwości: w jej oczach malował się paniczny strach. Lękała się, że dalej będzie się upierał, by powiedzieć o wszystkim Jasonowi.

Na razie nie miał zamiaru mówić mu o czymkolwiek. Jeszcze nie. Najlepiej, żeby w ogóle nie miał mu na ten temat nic do powiedzenia. Obawiał się jednak, że to tylko pobożne życzenie. Ale z kimś jeszcze mógł porozmawiać. Z kimś, kto był o wiele bardziej rozmowny od syna.

Posiadłość Shamrock Farm nie była tak rozległa jak Fairhills. Z drugiej strony - rozmyślał Alexander, jadąc jej główną aleją - na co Conorowi wielkie pola i parobkowie, skoro zajmuje się głównie hodowlą koni?

I dobrze mu to idzie - powiedział sobie w duchu, obserwując klacze hasające ze źrebkami. Conor, podobnie jak on, nie chciał mieć niewolników. Między innymi z tego powodu zostali dobrymi przyjaciółmi.

Alexander uśmiechnął się pod nosem, gdy Bottoms, sztywny angielski lokaj, wziął od niego kartę wizytową. Irlandia, ojczysty kraj Conora, rządzona była twardą ręką przez angielskie władze; dlatego też, jak sam Conor przyznał, niezwykłą satysfakcją sprawiało mu zatrudnianie w charakterze służących tylko i wyłącznie Anglików.

- Alex! Jakaż miła niespodzianka! - wykrzyknął Conor, zbiegając po schodach na jego powitanie. - Widzę, żeś polubił tego mojego, pożałuj Boże, lokaja. Ciągłe wsuwasz mu swoją kartę, a przecie jesteśmy jak jedna rodzina!

Alexander roześmiał się i uściśnął dłoń druha.

- Skoro ten biedaczysko chce, żeby wszystko było w porządku...

- Znaczący się, żeby wszystko było jak w Anglii! - sprostował Conor i parsknął śmiechem.

Skierowali kroki do gabinetu Irlandczyka.

- Ciepło dzisiaj, Alex. Może lepiej przejdźmy się do ogrodu?

- Dzięki, ale nie - powiedział Alexander. - Przychodzę do ciebie w bardzo dyskretnej sprawie, a w twoim gabinecie nikt nam nie przeszkodzi.

Conor uniósł brew i bez słowa wszedł do gabinetu.

- No dobra, stary, wal prosto z mostu - powiedział, gdy drzwi się za nimi zamknęły. - Cóż to za dyskretna sprawa? Nie muszę chyba mówić, że nic z tego, co mi powiesz, nie wydobędzie się poza te ściany.

- Jak powiedziałaś, nie musisz mówić. - Alexander mrugnął do niego i obydwaj wybuchnęli śmiechem. Po chwili jednak Trace spowaźniał. - Chciałbym zadać ci parę pytań. I proszę cię, nie pytaj mnie o nic, nawet gdybyś się domyślał, o co w tym wszystkim chodzi.

- Jak chcesz - rzekł Conor, drapiąc się po głowie. - Między Bogiem a prawdą, trochę to dziwne, ale...

- Szkopuł w tym, że nie mogę zawieść zaufania pewnej osoby, a muszę co nieco dowiedzieć się na własną rękę, żeby tejże osobie jakoś pomóc.

No więc słucham.

- Zapewne wiesz, że słyszałem, jak ty i Jason uratowaliście Gabrielle de Saint-Germain. Ale nie znam szczegółów. Chciałbym, żebyś o wszystkim mi dokładnie opowiedział.

Conor zaczął od tego, jak po raz pierwszy na schodach *hotel* ujrzeni dziewczynę, która później przedstawiła im się jako Brielle Lafleur. Następnie wspomniał o podróży Jasona do Burgundii, ale zastrzegł, że jego przy tym nie było i wszystko, co wie, słyszał z drugiej ręki. Gdy relacjonował wydarzenia owej nocy, kiedy u Rolandów odbyło się przyjęcie, Alexander przerwał mu nagle.

- Zaraz, zaraz, Conor. Powiedziałeś, że poszedłeś do apartamentu Jasona, by uprzedzić ich o niebezpieczeństwie? Dobrze usłyszałem? Powiedziałeś „ich”?

Conor zarumienił się po uszy i skinał głową, odwracając wzrok. W gabinecie zapadła cisza.

- Conor - nie ustępował Alexander - to naprawdę ważne. W komnacie Jasona zastałeś ich oboje?

Conor westchnął ciężko.

- Ano widzisz, Alex, to nie mój interes, a nie chcę, żeby Jason pomyślał sobie...

- Nie przejmuj się tym, co Jason sobie pomyśli. Mam rozumieć, że tamtej nocy, w posiadłości Rolandów, Gabrielle była w jego komnacie?

Smutek malujący się na twarzy nieszczęsnego Conora mówił sam za siebie. Tak piękna młoda kobieta jak Gabrielle, wychowana na prawdziwą damę, nie powinna była się znaleźć w komnacie obcego mężczyzny. Owszem, udawała pokojówkę, ale...

Co prawda, to jeszcze o niczym nie przesądzało. Alexander miał szczerą nadzieję, że jednak jest w błędzie.

- Czy była tam, bo wymagały tego jej obowiązki? Może musiała posprzątać?

Conor, zafrasowany, potrząsnął głową.

- Obawiam się, Alex, że oni... u licha, że oni byli tam razem. Proszę, nie każ mi wyłożyć tego kawa na ławę. Ale... mógłbym powiedzieć jeszcze stówko?

- Oczywiście - odparł Alexander marszcząc czoło. Już zaczynał żałować tego, co zrobił. Postawił Conora w dość nie-

zręcznej sytuacji. Ale musiał jakoś pomóc tej biednej dziewczynie, do licha! A żeby podjąć jakieś działania, najpierw musiał poznać całą prawdę.

-Wiesz, że nikomu innemu nie wypaplałbym tego. A ja wiem, że ty byś mnie o to nie pytał, gdyby to nie było ważne. Ty i Jason jesteście moimi najbliższymi przyjaciółmi, brachu.

Alexander poważnie skinął głową.

- Ale - ciągnął Conor - to dziewczę też się ze mną zaprzyjaźniło. A ona to prawdziwa dama, Alex. To nie jakaś tam podfruwajka, co przy każdej okazji... no wiesz, robi to, o czym mówimy. Cokolwiek się stało, daję głowę, że przedtem była zupełnie niewinna. Miała to wypisane na licu.

W oczach Alexandra pojawił się strach.

- Conor... Boże jedyny, czyżbyś chciał przez to powiedzieć, że on wziął ją siłą?

Irlandczyk uśmiechnął się smutno.

- Alex, zastanów się, co ty gadasz. Wyobrażasz sobie, że Jason mógłby zrobić coś takiego? Baby same do niego lgną. Większość chłopów w życiu nie poznała tylu kobit, ile on musiał od siebie odpędzić. Poza tym... nie, Jason po prostu nie jest taki.

Widząc, że Alexander nieco się uspokoił, Conor mówił dalej.

- Ale coś dziwnego kryje się za tym, co stało się tamtej nocy. Słowo daję. Tyle że nie mam pojęcia co. Wiem tylko, że od tamtej pory ci dwoje skaczą sobie do oczu jak dwa koty wrzucone do jednego worka.

Alexander skinął głową. Nie sposób było nie zauważyć, jak wrogo Gabrielle i Jason się do siebie odnoszą.

Tracę westchnął ciężko.

- Nie wątpię, że Jason utrudniał jej życie. Dręczą go ciągle duchy dzieciństwa. W jego oczach wszystkie kobiety są perfidne, a każda Francuzka to Juliette. Ale właśnie dlatego tak trudno mi uwierzyć, że ta młoda dziewczyna właśnie z nim zaszła w...

Alexander za późno uzmysłowił sobie, że powiedział za dużo. Spojrzał na Conora oczami, w których malowało się poczucie winy.

Irlandczyk gwizdnał przeciągle i potrząsnął głową.

- A więc w tym rzecz - powiedział łagodnym tonem. - Ach, stary, nie patrz tak na mnie! Przecie wiesz, że słowa nikomu nie pisnę. Ale co teraz począć?

- Niech diabli porwą mój długi jęzor! -wymamrotał Alexander. -Tylko Bernice i ja wiemy, w jakiej sytuacji jest ta nieszczęsna dziewczyna. Teraz wiesz już i ty. Gabrielle upiera się, żeby nic nie mówić Jasonowi.

Conor westchnął.

- Niedługo nie będzie już można tego przed nikim ukryć.

Tracę skinał głową ze smutkiem i podniósł się z krzesła.

- Nie, nie będziemy zwlekać. Chciałem się tylko upewnić, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję. Muszę rozmówić się z Jasonem.

Tego wieczoru Jason wszedł ciężkim krokiem do biura zarządcy plantacji. Prentiss powiedział mu, że czeka tam na niego ojciec; Jason miał nadzieję, że rozmowa nie potrwa długo - marzył tylko o tym, żeby coś przegryźć i jak najprędzej wskoczyć do łóżka. Miał za sobą długi, nadzwyczaj męczący dzień. Wraz z ekonomem objechali całą plantację, by sprawdzić, jak przyjęły się wiosenne zasiewy.

A także, by nie musiał myśleć o Gabrielle.

Ciągle nie dawało mu spokoju wspomnienie tego, co stało się w saloniku. Cóż z tego, że to Francuzka, skoro tak ponętna z niej sztuka? Czy chciał tego, czy nie, jego myślami zawładnęło wspomnienie jej kształtnego ciała.

Chryste, musiał całkowicie postradać zmysły, żeby przywieźć ją tutaj. Nie mógł wybić sobie z głowy tej małej francuskiej wiedźmy, do diabła! A to było naprawdę niepokojące.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - spytał, gdy Alexander uniósł wzrok znad jakiejś księgi.

- Tak. Usiądź, synu.

Jason westchnął. Zapowiadało się na dłuższą rozmowę. Diabła tam! Czemu on, do pioruna, tak na mnie patrzy? - pomyślał.

- Czego się napijesz? - spytał starszy Tracę, sięgając do kredensu, w którym stały karafki i szklanki.

- Brandy. - Jason patrzył w milczeniu, jak ojciec wlewa złoty płyn na dno kieliszka. Od czasu do czasu wychylali po jednym drinku na zakończenie dnia.

- Wiem, że nie jadłeś jeszcze kolacji - powiedział Alexander. - Dlatego od razu przejdę do rzeczy.

- Doskonale. Ciekaw jestem, dlaczego tak się nachmurzyłeś. Alexander zmarszczył czoło.

- Dobrze, powiem ci, chociaż nie sądzę, żeby miało cię to uspokoić. Od jak dawna ty i Gabrielle jesteście kochankami?

Jason zasepił się, opuścił rękę, w której trzymał szklanke, po czym zmienił zdanie i wypił brandy jednym haustem.

- Zdarzyło się to tylko raz, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego miałoby cię to obchodzić - powiedział chłodnym tonem.

- Czy była wtedy dziewicą?

Oczy Jasona rozbłysły gniewem.

- O co ci, do licha, chodzi? Nigdy dotąd nie mieszałeś się do moich spraw osobistych.

- Odpowiedz mi! Czy ta dziewczyna była dziewicą?

- A niech to diabli, tak! Co się dzieje, do cholery? Zaraz, zaraz... chyba już wiem. Ta smarkula postanowiła spróbować szantażu, co? Nie wystarczyło, że udzieliliśmy jej gościny. O nie! Umyśliła sobie, jak nas wykorzystać. Wypałała ci, co się wtedy stało!

- Jason... - mruknął Alexander w nie skrywanym gniewie.

Nie zważając na niego, Jason dalej wyrzucał z siebie jadowite słowa:

- Chciwa suka! Zobaczyła, że biedni nie jesteśmy, i poleciała do ciebie z jęczorem. Myślałby kto! Biedactwo uwiedzione przez...

- Jason, dość tego!

- Gdzie tam! Nie widzisz, co ta kokota próbuje...

- Ta dziewczyna nic nie próbuje! Ona jest w ciąży.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Krew odpłynęła Jasonowi z twarzy. Przez chwilę wpatrywał się tępo w Alexandra, mając nadzieję, że się przesłyszał.

-I nie poleciała do nikogo z jęczorem. Tak naprawdę nie chciała nikomu o tym powiedzieć. Bernice, jak to kobieta, wyczuła, o co chodzi, ale długo musiała namawiać Gabrielle, żeby poszła z tym do mnie. Sam musiałem się domyślić, kto jest ojcem dziecka, bo ona nie chciała tego wyjawiać! Ty miałeś o niczym nie wiedzieć.

- Chryste! - Jason przejechał dłonią po włosach. - Skoro chciała, żebym o niczym nie wiedział, może...

- Nawet o tym nie myśl! - warknął jego ojciec. - Przed chwilą przyznałeś, że kiedy ją wziąłeś, była dziewicą. Nie trzeba być geniuszem, aby wywnioskować, że od tamtej pory nie miała ani czasu, ani okazji, by oddać się innemu mężczyźnie. Spójrzmy prawdzie w oczy, Jason. To twoje dziecko.

## 19

Poślubić ją! - Jason spojrział na Alexandra jak rażony gromem. - Nie przesłyszałem się? Chcesz, żebym poślubił Gabrielle de Saint-Germain?

- Zgadza się - odparł ojciec. - Kiedy tylko sprowadzimy tu księdza... Gabrielle jest katoliczką.

- Chyba żartujesz!

Alexander wstał zza dzielącego ich biurka.

- Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej.

Spojrzenia tych dwóch głęboko kochających się ludzi skrzyżowały się. Nigdy jeszcze ich miłość nie została wystawiona na tak ciężką próbę. Owszem, bywało, że nie zgadzali się w jakiejś sprawie, ale zawsze, kierując się rozwagą, bez trudu dochodzili do porozumienia. Tym razem jednak obydwaj zdawali sobie sprawę, że nie będzie to łatwe i sporo ich będzie kosztować.

- Wkrótce na świat przyjdzie dziecko - ciągnął Alexander. - Będzie to dziecko twoje i tej przyzwoitej, dobrze wychowanej...

Jason prychnął, przerywając mu.

- Przyzwoitej! - wyrzucił z siebie. - Udaje przed tobą niewiniątko, a ty dajesz się na to nabrać!

- Udaje? Chyba nie słuchałeś dokładnie, co mówiłem? - Alexander oparł się na biurku i pochylił, nie spuszczać oczu z Jasona. - Gabrielle nie powiedziała ani słowa na swoją obronę. Tak naprawdę robiła, co mogła, byśmy się niczego nie domyślili. Tak, uważam, że jest „przyzwoita”, a zresztą sam przyznałeś, że byłeś jej pierwszym mężczyzną.

- A tam, pierwszym - rzucił Jason przez zaciśnięte zęby. - To jeszcze o niczym nie świadczy. Przecież to podstępna Francuzka, na Boga!



Tracę senior zachnął się.

- Powinienem był przewidzieć, że wszystko do tego sprowadzisz! - Wyciągnął rękę do syna. - Jason, proszę cię, choć raz nie pozwól, by zaślepiły cię twoje uprzedzenia...

- Zaślepiły mnie? Co do czego? Prawdy? - Jason, rozjuszony, zerwał się na równe nogi. - Prawda nie ma nic wspólnego z tą małą wiedźmą. Znam Gabrielle de Saint-Germain lepiej niż ty i... - Zawiesiwszy głos, uśmiechnął się ironicznie. - A może powinienem nazywać ją Brielle Lafleur? W końcu to jako Brielle Lafleur wkradła się do mojego łóża i...

- Przestań! To dobra, przyzwoita dziewczyna, mówię ci!

Stali po przeciwnych stronach biurka, mierząc się wzrokiem.

- Przyzwoita - przedrzeźniał go Jason. - Przyzwoita, powiadasz? A ja powiadam, że to nieprawda. Czy przyzwoita kobieta zakradłaby się do komnaty mężczyzny?

- Jason! Na Boga, nigdy nie myślałem, że powiem coś takiego, ale wstyd mi za ciebie!

- Do diabła! Spytaj ją, jak doszło do tego jednego jedyne go zbliżenia! Tak, jedyne go. Nie miałem pojęcia, że jest nie tknięta, i od tamtej pory ani razu z nią nie spałem, przysięgam.

- Ten jeden jedyne raz wystarczy. Ona będzie miała z tobą dziecko, a przecież właśnie tylko o nie chodzi. O to biedne dzieciątko! Chciałbyś, żeby nie miało ojca? Przecież w jego żyłach płynie twoja krew! Czyżbyś chciał je porzucić?

Nie musiał dopowiadać słów: tak jak ciebie porzucono. Jason poczuł, że opuszczają go wszelkie siły. Alexander, widząc ból w oczach syna, odwrócił na chwilę wzrok.

Jason opadł bezwładnie na krzesło.

- Wytrawny z ciebie gracz. - Podniósłszy wzrok, napotkał spojrzenie człowieka, który nigdy go nie opuścił. W oczach Jasona malował się podziw, ale i żal. - Postawiłeś wszystko na tę jedną, właściwą kartę. Nie mógłbym porzucić swojego dziecka. - Przygarbił ramiona. - Ożenię się z nią.

Był to najdziwniejszy ślub, w jakim Thomas Jefferson miał okazję uczestniczyć. Nie dlatego, że był tak kameralny; jedynymi gośćmi był on i jego córki. I nie dlatego, że odbył się w trzech językach: ksiądz mówił po łacinie, a młodzi małżonkowie skia-

dali przysięgę zarówno po francusku, jak i po angielsku. Jefferson nie zdziwił się nawet na widok weselników, choć zaiste dziwaczna była z nich gromadka. Irlandczyk w roli świadka, francuska Murzynka jako drużna, pierścionki wręczył małżonkom rezolutny chłopak, też Francuz, a pannę młodą w ręce pana młodego oddał plantator z Wirginii, który nie chciał mieć na własność ani jednego niewolnika. Jakby tego wszystkiego było mało, w czasie ceremonii ciemnoskóry lokaj grał na organkach Bacha.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że ślub odbywał się w tak ponurej atmosferze. Goście weselni nerwowo patrzyli na młodą parę, a nowożeńcy mieli iście pogrzebowe miny, jakby przed ślubem skosztowali dziegciu. Dziwne... co najmniej.

Gabrielle wydawało się, że słowa księdza dochodzą z bardzo daleka. Była nieobecna duchem, zupełnie jakby to nie ona stała tu, w pięknej kremowo-niebieskiej sukni uszytej przez ciotkę Dulcey specjalnie na tę okazję. Miała dziwne wrażenie, że patrzy z boku na dwoje obcych ludzi powtarzających za księdzem słowa przysięgi małżeńskiej. Kim oni są? - chciała spytać - ten ciemnowłosa, posępny mężczyzna o zimnym spojrzeniu, ta blada, szczupła dziewczyna u jego boku.

Pragnąc odzyskać poczucie rzeczywistości, usiłowała przypomnieć sobie ten poranek, kiedy to po raz pierwszy od wielu dni po przebudzeniu się nie czuła mdłości. Tak, już pamiętała. Była wtedy przyjemnie zaskoczona, ba, wręcz radosna. Zadzwo niła po Betty, zamierzając ją poprosić, by przyniosła jej coś do jedzenia. Byle nie słabą herbatę i grzankę, które od dłuższego czasu musiały starczać jej za całe śniadanie. Miała ochotę na rogaliki, cały talerz rogalików!

Ale to nie Betty weszła do jej sypialni. W drzwiach stanęła Bernice. Murzynka z szerokim uśmiechem na twarzy podała jej talerz ciepłych rogalików. Nalewając Gabrielle kubek gorącej czekolady, roześmiała się, po czym oznajmiła radosnym tonem, że dziecko nareszcie zgłodniało.

Gabrielle jednak nie dała się zwieść. Zbyt dobrze zdążyła poznać Bernice, by nie zauważyć, że coś leży jej na sercu. Wyczytała to w jej ciemnych, smutnych oczach.

- Co się stało? - spytała Gabrielle, odkładając napoczęty rogalik na talerz.

Bernice westchnęła wtedy ciężko i usiadła przy niej.

- Za dobrze mnie znasz, *cherie*. Nie mam już przed tobą tajemnic.

-Tajemnic?

- Tak, maleńka, ale pamiętaj: mam na uwadze tylko twoje dobro i dobro dziecka. Nie zapomnij o tym, kiedy będziesz słuchała, co mam ci do powiedzenia.

- Spróbuję - wyjąkała Gabrielle, zaniepokojona słowami Bernice.

- Doskonale - odparła jej przyjaciółka, uśmiechając się lekko. - Ale najpierw zjedz coś, dobrze? Dziecko nie może być głodne.

Gabrielle posłusznie napiła się czekolady i odgryzła kęs rogalika, ale jakoś przeszedł jej apetyt. Bernice mówiła tym samym tonem, co *maman*, gdy oznajmiała, co też zrobiła „tylko i wyłącznie dla twojego dobra, Gabrielle”. Z reguły nigdy nie wiązało się to z niczym przyjemnym.

- Idzie o twoją... dyskusję z Alexandrem sprzed dwóch dni - zaczęła niepewnie Bernice.

- Dyskusję, która w ogóle nie powinna była mieć miejsca.

- Nie mów tak, maleńka - upomniała ją Bernice. - Musiałaś z nim porozmawiać. Jesteś na obcej ziemi, bez środków do życia i...

- Dzięki jego synowi z nieprawego łoża.

- Gabrielle, nie spodziewałam się tego po tobie. Jak można obarczać dzieci grzechami ojców? Nieprawego? W porządku, a teraz tenże „syn z nieprawego łoża” jest ojcem twojego nieślubnego dziecka.

Gabrielle czuła się, jakby w ustach, miast rogalika, miała trociny. Krew odpłynęła jej z twarzy. Wbiła wzrok w Bernice.

- Skąd... skąd wiesz? - wydusiła z siebie szeptem.

Twarz ciemnoskórej kobiety złagodniała.

- Ach, biedactwo - szepnęła. - Wybacz mi. Nie chciałam powiedzieć tego tak od razu.

Wzięła Gabrielle w swoje silne ramiona, a ona się nie opierała, tylko zaczęła łać gorzkie łzy, wsłuchując się w łagodny głos przyjaciółki. Kiedy najgorsze minęło, Bernice odpowiedziała na jej pytanie.

- Skąd wiem? Alexander się domyślił, widząc, jak bardzo chcesz, żeby Jason o niczym się nie dowiedział. A ja? Ach, Gabrielle, myślisz, że nie zauważyłam, jak na siebie patrzycie?

Gabrielle udała, że nie wie, o co chodzi, ale Murzynka tylko potrząsnęła głową.

- Spojrzenia... słowa - ciągnęła - są gniewne. Ale bije z nich prawdziwy żar zmysłów. Kiedy ty i Jason jesteście w tym samym pokoju, powietrze wokół was się iskrzy.

Gabrielle westchnęła, usiłując powstrzymać łzy. Wiedziała dokładnie, o czym Bernice mówi, nie miała pojęcia, że jest to tak widoczne dla innych. No tak, ale niewiele ludzi było równie spostrzegawczych jak Bernice.

- Nic na to nie poradzę - mruknęła Gabrielle. - Przy... przy nim jestem tak nerwowa... roztrzęsiona!

Jej przyjaciółka zachichotała.

- Zupełnie jak klacz, do której zbliża się ogier.

Gabrielle jęknęła.

- Ale ogier nie nienawidzi klaczy - wyjąkała splotnawszy rumieńcem. - A Jason... Jason mnie nie znosi!

Bernice zaśmiała się jak kobieta obeznana w tajnikach natury ludzkiej.

- Może gdzieś, w jakimś zakamarku umysłu.. Ale w innych? Co, może uważa, że jesteś odpychająca? Nie, moja śliczna, on nienawidzi cię tak, jak ogier nienawidzi klaczy. Czyli wcale. Jego oczy wpijają się w ciebie, gdy tylko stajesz w drzwiach.

- To czysta чуć - odparła Gabrielle ponuro.

- Mmm... ale z mężczyzną zawsze tak jest na początku. Głębsze uczucia, te, które kobieta chce w nim wzbudzić, rodzą się później.

- Przecież nie powiedziałam, że chcę w Jasonie wzbudzić jakiegokolwiek uczucia - zaprotestowała.

-Nie?

- Oczywiście, że nie! Jak mogłabym, kiedy on nienawidzi mnie wszystkiego, poza moim ciałem.

- Nie słuchałaś mnie uważnie - skarciła ją Bernice. - No to posłuchaj teraz: dla każdego mężczyzny najważniejsze są żądze cielesne. A gdy przez dłuższy czas nie dają mu spokoju, wtedy, bywa, rodzi się w nim trwalsze uczucie. Coś, co opano-

wuje jego serce i myśli. A jeśli wszystko dobrze pójdzie, ma-  
leńka, to i duszę!

Gabrielle pamiętała, że te słowa dziwnie ją poruszyły. Nigdy  
nie myślała o czymś takim... o pełnym, wszechogarniającym  
związku między kobietą a mężczyzną. Ciało, serce, myśli - i du-  
sza! Mój Boże, co za pomysł! Nie dawało jej to spokoju.

Podejrzewała, że Bernice specjalnie tak namieszała jej w głó-  
wie. Bo gdy ta ciemnoskóra kobieta wreszcie wyjawiała swoją „ta-  
jemnicę” - że Alexander postanowił, iż Gabrielle weźmie ślub  
z Jasonem, a Jason, o dziwo, się na to zgodził - dziewczyna przy-  
jęła to z dziwnym spokojem.

Teraz pamiętała już wszystko. Bernice powiedziała też, że  
dziecko jest najważniejsze. A Gabrielle skinęła głową; nad życie  
kochała tę małą istotkę, którą nosiła w sobie. Jednak te słowa  
wciąż plątały się jej po głowie: ciało... serce... myśli i przede  
wszystkim dusza.

Czy to możliwe? Z Jasonem? Nie, nie ma mowy! Z drugiej  
strony już łączyły ich żądze cielesne. A cała reszta... no cóż, skąd  
miała wiedzieć? Trzeba było spróbować.

Dlatego wyraziła zgodę na ślub.

A teraz, stojąc przed księdzem, Gabrielle próbowała jakoś  
dopasować słowa Bernice do rzeczywistości. Do odległej przy-  
szłości, która wydawała się długą, krętą drogą w nieznaną. Przy-  
szłości u boku człowieka o zimnym spojrzeniu.

Jesteś głupia, Gabrielle! - skarcił ją wewnętrzny głos. Te sło-  
wa zaślepiły cię. Więż dusz? Z Jasonem Trace'em? Przecież on  
nie ma duszy!

Siłą woli powstrzymała łzy cisnące się jej do oczu. Pomyśl  
o dziecku - powiedział jakiś inny, cichutki głos w jej duszy. Mo-  
żesz zrobić to dla dziecka.

Nie tylko Gabrielle była nieobecna duchem podczas całej  
ceremonii. Nie zwracając uwagi na nudny monolog księdza, któ-  
rego Alexander sprowadził aż z Charleston, Jason również po-  
grażył się w zamyśleniu.

Myślał o tamtym wieczorze, kiedy wszystko zostało ustalone,  
a między nim i Alexandrem otworzyła się bezdenna czeluść. Czy  
kiedykolwiek uda się ją zasypać? Zawsze byli sobie bliscy, mimo

dzielących ich różnic - Alexander był łagodnym idealistą, a Jason nieufnym cynikiem. Ale to im bynajmniej nie przeszkadzało. Łącząca ich miłość była niewzruszonym fundamentem.

A teraz ten fundament zaczął pękać. Owszem, nadal się miłowali - kobieta nie mogła tego zniszczyć! Ale od tamtego wieczoru wydawało się, że chodzą koło siebie na palcach, niczym nadmiernie ostrożni nieznajomi. Zupełnie jakby to przeklęte małżeństwo sprawiło, że dzielące ich różnice wymieszały się w jakimś tyglu. I co z tego wyszło? Ta otchłań, której nie dało się zignorować!

Alexander, jako nieprzejednany idealista, widział w Gabrielle jakąś świętą, niewinną istotę, którą należało chronić przed zgubnymi następstwami jednego jedyne go błędu. Ale Jason dobrze wiedział, jaka ona jest naprawdę. Przebiegła, wyrachowana kobieta jak wszystkie. A teraz w dodatku stanie między nimi, między ojcem a synem, przypominając im, jak inaczej postrzegają świat. I tak już będzie do końca ich dni.

Spojrzenie Jasona spoczęło na drobnej dziewczynie stojącej u jego boku. Uosobienie ideału kobiecości w kremowo-niebieskiej sukni. Nigdy dotąd nie wydawała mu się tak piękna. Słyszał, że cięża niektórym kobietom naprawdę dobrze robi. W jej wypadku to się potwierdzało. Z drugiej strony Gabrielle zawsze nie zwykle go pociągała.

Wrócił myślami do tego, jak w saloniku po raz kolejny zakosztował jej wdzięków. Do krośset, ależ był wtedy podniecony! Ale co w tym dziwnego? Już od tylu tygodni nie mógł przestać o niej myśleć, niech ją diabli!

No dobrze. Musiał przyznać, że jej pożąda. Powiedziałyby nawet, że do bólu. Zwłaszcza teraz, gdy musiał doglądać upraw i nie miał czasu, by pojechać do miasta i tam znaleźć sobie chętną dziewczkę.

Chłopie, bądź ze sobą szczerzy! - powiedział jakiś głos w jego duszy. Nie wystarczy ci szybki numer z jakąś lafiryndą z Richmond. Popatrz, zdążyłeś już zapomnieć o tej wesołej wdówce z Fredericksburga. Nawet ta aktorka z Charleston przestała się dla ciebie liczyć. Nie, żadna z nich nie dorównuje Gabrielle.

Jason uśmiechnął się lekko. Może patrzył na to wszystko od niewłaściwej strony. Pożądał Gabrielle de Saint-Germain, a od

tej pory będzie ją miał na zawołanie. Bo przecież od dzisiaj będzie już panią Tracę.

Ceremonia wreszcie dobiegła końca i wszyscy przenieśli się do ogrodu. Burza, która przeszła nad Fairhills w nocy, przyniosła lekkie ochłodzenie. Od północy nadciągnęły chłodniejsze wiatry, ale dzień był słoneczny, a powietrze nareszcie trochę mniej wilgotne.

- Idealny dzień na ślub - powiedziała jedna z córek Jeffersona i westchnęła.

Gabrielle miała ochotę się roześmiać. Idealny dzień na niedany ślub. Burza byłaby tu bardziej na miejscu. Gromy i szalejące wiatry zwiastowałyby nadejście czarnych chmur gromadzących się nad jej przyszłością.

- Piękna z ciebie panna młoda, ale byłabyś jeszcze piękniejsza, gdybyś tak się nie dąsała.

- Conor... - Gabrielle zdobyła się na uśmiech.

- Już lepiej - powiedział szczerząc radośnie zęby. - Masz taki śliczny uśmiech, sikorko miła.

- Co u ciebie słychać, Conor? Tak rzadko nas ostatnio odwiedzasz.

- A, bo teraz to prawdziwe urwanie głowy. Przyszedł czas, żeby zacząć odstawiać źrebki od matek, a z tym to dopiero kłopot! No i tyle tych wszystkich papierzysków... Też żałuję, żeśmy się tak dawno nie widzieli, bo brakowało mi twojego towarzystwa.

Uśmiechnęła się ironicznie.

- Nic nie straciłeś. Ostatnio ciężko było ze mną wytrzymać.

Irlandczyk westchnął i mruknął coś pod nosem po celtycku. Następnie delikatnie ujął dłonie Gabrielle i spojrzał jej w oczy.

- Wszystko przez to małżeństwo?

Chciał powiedzieć „małżeństwo z musu”, ale nie mógł zdradzić Gabrielle, że wie, jak do tego doszło. Ustalili z Alexandrem, że gdyby ktokolwiek pytał, powiedzą, że Jason żeni się z Gabrielle po to, by zapewnić jej dom w miejsce tego, który straciła za jego sprawą.

Widząc zatroskanie malujące się w oczach olbrzyma, coś ścisnęło ją za gardło. Wstrzymując łzy, z trudem przywołała na usta słaby uśmiech.

To nic takie straszne, przyjacielu. We Francji małżeństwa były aranżowane przez rodzinę panny młodej. Moja matka poznała mojego ojca na dzień przed ślubem. - Wzruszyła ramionami. - Jason i ja przynajmniej się znamy.

I to aż za dobrze - chciała dodać. Znali się głównie jako wrogowie, no i, oczywiście, obcowali ze sobą w sensie biblijnym. Ale o tym też nie wspomniała.

- Ano - powiedział Conor - ale jeśli mnie pamięć nie myli, twoi rodzice w końcu się pokochali, prawda?

- Głęboko - wydusiła łamiącym się głosem. Czy tych dwoje łączyło uczucie, które owładnęło ich duszami? Czy kochali się taką pełną, prawdziwą miłością? Ach, *maman!* Jakże chciałabym, żebyś tu była! - pomyślała. Wtedy mogłabym cię spytać... porozmawiać z tobą o tych rzeczach!

Conor uśmiechnął się i poufale pogładził ją po twarzy.

- To samo może i wam się przytrafić. Nie zapominaj o tym, dziewczę drogie!

- O czym? - spytał ktoś ponurym głosem. To był Jason.

- Och, o niczym takim, chłopie. - Conor zastanawiał się, dlaczego przyjaciel jest taki nachmurzony. Po chwili przypomniał sobie. Przy Gabrielle zawsze miał marsową minę. - Tak sobie rozmawialiśmy o... eee... rodzinie twojej małżonki - dodał niewinnym tonem.

- Rozumiem - mruknął Jason ponuro. Jego spojrzenie prześliznęło się po Gabrielle.

Właśnie zamienił parę słów z Renę, po czym zaczął wypatrywać Conora. Wtedy zobaczył, że przyjaciel stoi przy Gabrielle i... Jason próbował wmówić sobie, że widział tylko niewinny uśmiech, przyjazny gest, za którym nic się nie kryło, ale ciągle czuł dziwny gniew na myśl, że Irlandczyk jej dotknął. Co się ze mną dzieje, u licha? - pomyślał.

Gabrielle zastygła w bezruchu, gdy spojrzenie Jasona przesunęło się po niej powoli. Nie przypominała sobie, żeby wcześniej tak na nią patrzył. Jego oczy błyszczały tak, jak oczy pewnego dworzanina z Wersalu, który w jej obecności przechwalał się przed wszystkimi nową kochanką. Dreszcz przeszedł Gabrielle po plecach. Czy Jason w ten sposób dawał do zrozumienia, że stała się jego własnością?



- Książd Galliard już zbiera się do wyjazdu, a ja jeszcze nie podziękowałam mu za... za to, że dał nam ślub - wymyśliła na poczekaniu. Nie chciała w tej chwili być w pobliżu Jasona. - Przepraszam was, panowie.

Popatrzyli za nią. Jason nie mógł wyjść z podziwu, jak pięknie żona prezentuje się w wytwornym panierze. Poruszała się z gracją. Zupełnie jakby unosiła się nad ziemią - pomyślał nie wiedzieć czemu.

- Wygląda jeszcze cudniej niż zwykle - rzekł Conor w zadumie. - W życiu nie widziałem piękniejszej kobiety.

- Nie wątpię.

Conor, nie przygotowany na tak jadowitą reakcję, spojrzął zimno na przyjaciela.

- A co to, u licha, miało znaczyć?

- Nieważne! - warknął Jason. - Powiedz lepiej, czy nadal chcesz sprzedać tę kasztanekę. Moglibyśmy raz-dwa skoczyć do gabinetu i to załatwić.

W oczach Conora pojawiło się najpierw zdumienie, a następnie irytacja.

- Teraz? Na Boga, chłopie, to dzień twojego ślubu!

Jason prychnął.

- Ja tego nie chciałem!

- Tak, słyszałem coś o tym.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Wreszcie twarz Conora złagodniała.

- Ach, Jason, o czym my gadamy? Przecież od tak dawna jesteśmy druhami. Nie skaczymy sobie do oczu!

Jason powściągnął gniew.

- Oczywiście masz rację. - Westchnął ciężko. - Ale to naprawdę dla mnie bolesne, Conor. Czuję się, jakby zakuli mnie w kajdany, a przywykłem do życia na wolności!

Irlandczyk przeniósł wzrok na szczupłą dziewczynę rozmawiającą z księdzem.

- Wiem, jak to jest - rzekł. - Może na twoim miejscu tak samo bym myślał. Ale wielu jest takich, którzy chcieliby się z tobą zamienić, Jason. Mogłeś trafić o wiele gorzej.

Oczy Jasona również spoczęły na Gabrielle.

- Dlatego, że jest piękna? No dobrze, to jej przyznam. Ale cóż

z tego? Zawsze można sobie znaleźć jakąś chętną dziewczkę, która zagrzeje łoże. Do tego nie trzeba jej ciągnąć przed ołtarz.

Conor spojrział na niego ze smutkiem.

- W małżeństwie łoże to nie wszystko. Najważniejsze, żeby dzielić się wszystkim, tym, co złe i co dobre. Moi rodzice byli biedni jak myszy kościelne, ale czuli się jak bogacze. Łączyła ich prawdziwa przyjaźń. I miłość.

- Miłość! - prychnął Jason. - Alexander kochał moją matkę i na co mu przyszło? On jest marzycielem, którego należałoby chronić przed nim samym. Ale wiele mnie nauczył. Dzięki niemu wiem, że miłość jest dla marzycieli i głupców!

Conor potrząsnął głową.

- Chłopie, chłopie... przez to, co się wtedy stało, nie widzisz na oczy. Gabrielle nie jest taka jak twoja matka. To szczerza, odważna i naprawdę wyjątkowa dziewczyna. Zasługuje na to, by ktoś ją pokochał.

Jason obrzucił go zimnym spojrzeniem.

- Już ci mówiłem, co myślę o tym tak zwanym głębokim uczuciu - powiedział beznamiętnym tonem. - Uważasz mnie za marzyciela? Albo głupca? - Machnął ręką. - Możesz być pewien, stary, ja taki nie jestem!

Gabrielle siedziała w milczeniu przed toaletką w swojej nowej sypialni. Sypialni, która była częścią głównego apartamentu. Sypialni żon właścicieli Fairhills.

Patrzyła mętным wzrokiem w lustro, podczas gdy Betty ostrożnie rozczesywała jej długie włosy, połyskujące w słabym blasku świec.

Wpiła spojrzenie w swoje odbicie, chcąc opędzić się od myśli. Wszelkich myśli. Szczególnie nie chciała myśleć o tym, co stanie się już wkrótce. A jednak nie mogła się skupić na niczym innym.

Niedługo jej wieczorna toaleta dobiegnie końca, a wtedy nadejdzie ta chwila. Betty otworzy drzwi do sąsiedniego pokoju - na znak, że panna młoda jest już gotowa - po czym wyjdzie. A zaraz potem do sypialni wejdzie Jason.

Gabrielle nieustannie widziała w lustrze jego twarz, zamiast swojej. To, jak patrzył na nią tego popołudnia... malującą się w jego spojrzeniu arogancję... i władczość. Nie chciała tego! Nie chciała stać się własnością człowieka, który jej nienawidził.

Ale musisz przyznać, że odczuwasz pewną ciekawość - szedł jakiś głos w jej duszy. Pamiętasz, jak to było, kiedy cię dotykał... kiedy w jego obecności kręciło ci się w głowie... kiedy jego usta wpijały się w twoje usta. Pamiętasz to dokładnie i chcesz się przekonać, czy tak będzie i tym razem, czy płomień namiętności jeszcze nie zgasł.

Krew napłynęła jej do twarzy. Jak mogła myśleć o tak nieobyčajnych rzeczach?

- To... to wystarczy, Betty - powiedziała, zrywając się na równe nogi.

Podnosząc się, zerknęła na swoje odbicie. Miała na sobie tylko koszulę nocną, którą uszyła ciotka Dulcey. Koszulę nocną dla świeżo upieczonej małżonki... koszulę nocną, która nic nie skrywała przed okiem dumnego męża.

Jej piersi, podwiązane cienką niebieską wstążką przewleczoną przez batyst, były doskonale widoczne. Podobnie jak kępka rudozłotych włosów w zwieńczeniu jej ud. Pod białą przezroczystą tkaniną Gabrielle była naga, jak ją Bóg stworzył. Zupełnie naga... w tej chwili każdy mógł ją zobaczyć. Ale zobaczy ją tylko on - pomyślała i przeszedł ją dreszcz.

- Zimno pani? - spytała pokojówka. - Noc, chwała Bogu, zapowiada się ciepła, ale mogę zamknąć okno.

- Nie... nie, wszystko w porządku, Betty. Dziękuję. Możesz już iść. - Gabrielle spojrzała z niepokojem na drzwi do sąsiedniego pokoju, po czym spróbowała przywołać uśmiech na usta.

Pokojówka dygnęła.

- Chciałam tylko powiedzieć - wydusiła z siebie niepewnie - że wszyscy, ja i reszta służących, bardzo się cieszymy z pani szczęścia i życzymy pani wszystkiego dobrego.

- Dziękuję, Betty. Powiedz wszystkim, że... doceniam ich życzliwość.

Z trudem powstrzymując wesołość, pokojówka uchyliła drzwi do sąsiedniego pokoju. Następnie przemknęła przez sypialnię na palcach i otworzyła drzwi na korytarz. Nim wyszła, dygnęła grzecznie, a z jej piersi wyrwał się radosny chichot.

Jason podziękował Prentissowi za gratulacje, które ten złożył mu w imieniu całej służby, i wbił ponury wzrok w zamykające się za lokajem drzwi. Następnie rozejrzał się po głównej sypialni. Światło płynące z kandelabrow spowijało pokój ciepłym, złotawym blaskiem. Gdy spojrzenie Jasona padło na szerokie mahoniowe łóże, jego usta wykrzywiły się w cynicznym uśmiechu. Pościel była zapraszająco odsłonięta na powitanie młodej pary.

Łóże małżeńskie, w którym nigdy nie spała kobieta - pomyślał gorzko.

Bernice powiedziała mu, że Alexander chciał, by wprowadziła się tu Juliette. Jednak nigdy do tego nie doszło. W chwili przyjazdu matka Jasona była już w zaawansowanej ciąży; zarówno

to, jak i nachodzące ją ataki mdłości sprawiały, że bez przerwy źle się czuła - a przynajmniej tak twierdziła.

Poprosiła więc o własny pokój. A jego ojciec spełnił tę zachciankę, choć wiedział już, że go zdradziła. Juliette zamieszkała w oddzielnym pokoju, połączonym z mniejszą izbą, do której wprowadziła się Bernice.

I tam już została, aż do dnia, kiedy na dobre opuściła Fairhills.

Alexander, jak powiedziała Jasonowi Bernice, przez pewien czas mieszkał sam w głównym apartamencie. Potem jednak przeniósł się do pokoju po drugiej stronie domu, który służył mu za sypialnię, odkąd Jason sięgał pamięcią.

Alexander upierał się jednak, by Gabrielle i jego syn po ślubie wprowadzili się do głównej sypialni. Jason próbował oponować, ale bezskutecznie.

- Przecież w Fairhills jest sypialnia z prawdziwego zdarzenia! - krzyknął Tracę senior, unosząc się gniewem, co rzadko mu się zdarzało. - Najwyższy czas, żeby ją wykorzystać!

Z zamyślenia wyrwał Jasona odgłos otwieranych drzwi. Spojrzawszy na nie, uśmiechnął się ironicznie. Znak, że jego nowo poślubiona żona jest gotowa, by spocząć w małżeńskim łożu. No i bardzo dobrze. Wkrótce tam się znajdzie. Ale co z tego? W łożu małżeńskim, zgodnie z tradycją, należało począć potomka. Tymczasem po raz drugi łożo owo oczekiwało na małżonkę, która nosi już w sobie dziecko.

Kierując się ku drzwiom, Jason myślał o tym, że historia lubi się powtarzać. Ciekawe, do jakiego stopnia?

Gabrielle patrzyła bez słowa na Jasona, który wszedłszy do sypialni, przystanął przy drzwiach. Podobnie jak ona, miał już na sobie nocny strój. Wilgotne kosmyki opadały mu na czoło i zawijały się na szyi. Jego smukłe, acz muskularne ciało spowijał jedwabny szlafrok w kolorze wina, uwypuklający szeroką pierś i ramiona.

Na ustach Jasona wykwitł dziwny uśmiech. Gabrielle bardzo chciała wiedzieć, co ma przez to rozumieć, ale w słabym świetle płomyków świec nie mogła z jego oczu nic wyczytać.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Dobry wieczór, Jason. - Żałosna próba przerwania nieznośnej ciszy. - Mam nadzieję, że... nie kazałam ci długo na siebie czekać?

Chciał odpowiedzieć: cóż tam, jakieś trzy miesiące, ale ugryzł się w język. Jego spojrzenie przesunęło się po drobnej figurze żony. Była tak delikatnie, a zarazem tak idealnie zbudowana! Nic nie wskazywało na to, że nosi w sobie dziecko. Wciąż była szczupła jak sylfida.

Panowała zupełna cisza. Światło świec tańczyło na bujnych, rudozłoty włosach Gabrielle, spływających na jej kształtne ramiona, i wydobywało z mroku jej zgrabną sylwetkę, rysującą się pod przezroczystą koszulą nocną. Oj tak, jej ciało było idealne.

Oczy Jasona spoczęły na różowych sutkach, widocznych przez cienki materiał. Widząc, jak sztywnieją pod jego spojrzeniem, poczuł, że jego lędźwie zaczynają budzić się do życia, i uśmiechnął się. Nie była odporna na pożądanie. Przynajmniej tyle mieli ze sobą wspólnego.

Serce Gabrielle zabiło żywiej, gdy Jason podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Czuła mrowienie w sutkach, a całe jej ciało wręcz płonęło. W duszy obudziło się jakieś uczucie; nie była pewna, czy to strach, czy też coś innego. Czemu on milczał, czemu nic nie mówił?

I wtedy przerwał milczenie.

-Wyglądasz, jakbyś czegoś się bała... moja żono. Czyżbym to ja cię tak przerażał? - spytał głębokim, gardłowym głosem, uśmiechając się ironicznie.

Gabrielle nie poczuła się ani trochę pewniej. Oblizła spierzchnięte wargi. Jego oczy, ciemne i przepaściste niczym dwa czarne jeziora, wpijały się w nią.

- Ja... nie, oczywiście, że nie! - wyrzuciła z siebie jednym tchem. Nawet gdyby ze strachu odchodziła od zmysłów, za nic nie przyznałaby się do tego. Nie przed nim! - Tak tylko myślałam, co... co teraz chcesz zrobić.

Ty idiotko! - skarciła się w duchu. Mogłaś chociaż wymyślić coś rozsądniejszego, ale nie, ty musiałaś powiedzieć coś tak...

Z zamyślenia wyrwał ją cichy śmiech. Jason oderwał się od futryny i z gracją tygrysa podszedł do Gabrielle.

-Wygląda na to, że moja żona ma poczucie humoru. - Uśmiechnął się szeroko. Białe zęby błysnęły w świetle świec.

Nagle spowaźniał. Przez kilka długich, pełnych napięcia sekund wpatrywał się w jej twarz. Powoli uniośł dłoń i musnął palcem policzek Gabrielle.

- Jesteś piękna... - mruknął. - Niezwykłe... niewiarygodnie... piękna.

Przez jej ciało przebiegł dreszcz. Opuściła głowę, nie mogąc znieść spojrzenia Jasona. Jej oczy spoczęły na szlafroku, pozostawionym przez Betty na krześle. Pomyślała, że powinna chyba coś na siebie narzucić.

Jason jednak do tego nie dopuścił. Zdziwiająco delikatnie złapał Gabrielle za rękę, po czym ujął ją dłonią za podbródek, tak by musiała spojrzeć mu w oczy.

- Czemuż to się nie uśmiechasz? - spytał. - Czyżbyś jednak nie miała poczucia humoru? - dodał, gdy nie odpowiedziała, po czym uniósł brew. - Ale to znaczyłoby, że moja żonka musi być bardzo naiwna, skoro pyta, coż mąż i żona robią w noc poślubną. A przecież obydwoje wiemy, że naiwna to ona nie jest. Prawda?

Drażnił się z nią. Choć tego właśnie się spodziewała, ogarnął ją gniew. Obrzuciwszy Jasona hardym spojrzeniem, przykryła się szlafrokiem.

- Trochę za późno na taką nieśmiałość, nie sądzisz? - spytał, uśmiechając się drwiąco. - A może zapomniałaś, *madame*, że widziałem już każdy cal twojego...

- Jason, na Boga, przestań! - wykrzyknęła. - Już nie mogę tego znieść. Dlaczego tak okrutnie sztychasz ze mnie, skoro wiesz, że nie chciałam tego, co się stało? Tak jak ty, nie miałam na to wpływu. Po prostu los z nas zakpił.

- Doprawdy? - spytał nieprzyjemnym tonem. - To może mi powiesz, dlaczego w takim razie Alexander jest przekonany, że to z mojej winy doszło do tego... przez co nosisz w sobie dziecko. Obydwoje dobrze wiemy, że winna byłaś ty!

Te słowa były dla Gabrielle niczym bolesny policzek. Jej twarz powlekła się bladeścią.

- Ty... - Z trudem powstrzymała łzy napływające jej do oczu. Zaskoczenie przerodziło się w gniew. - Bardzo chętnie przyjąłeś to, co ci oferowano.

- Tak, bo myślałem, że nie jestem pierwszy! - odparł gniewnym tonem. - Nie miałem pojęcia, że jesteś dziewicą.

- A ja nigdy nie udawałam, że nią nie jestem. Nic, zupełnie nic nie wiedziałam o tych rzeczach. Wiedziałam tylko, że muszę... ale już ci mówiłam o mojej matce... dlaczego weszłam do... och...

Długo wstrzymywane łzy trysnęły z oczu Gabrielle, a z jej gardła wyrwał się szloch. Ukryła twarz w dłoniach, zawstydzona, że Jason widzi ją w chwili słabości.

Natychmiast pożałował, że uniósł się gniewem. Co on, u licha, zrobił najlepszego? Wchodząc tu, nie zamierzał jej o nic oskarżać, ale, niech to diabli, ona naprawdę potrafiła go wyprowadzić z równowagi. Nękania poczuciem winy, wziął Gabrielle w ramiona i przyciągnął do siebie.

Opierała mu się tylko przez chwilę, wreszcie uległa i wtuliła twarz w jego pierś. Jason skłął się w duchu, gdy poczuł, jak ta nieszczęsna dziewczyna drży, i usłyszał jej łkanie.

- Gabrielle... - szepnął niepewnie, z twarzą wtuloną w jej włosy. - Maleńka... ja...

Przytulił ją mocniej, usiłując dobrać odpowiednie słowa, by wyrazić to, co chciał jej powiedzieć.

- Nie przejmuj się moim zachowaniem. Jestem jak niedźwiedź z cierniem w łapie. Przez ten ciągły ból zapominam, że inni też coś czują. Nie płacz, maleńka, proszę, nie płacz, a obiecuję, że przestanę cię ranić.

Gabrielle, wsłuchana w kojące słowa Jasona, powoli zaczęła się uspokajać. Szloch zmienił się w ciche łkanie, aż wreszcie ucichł.

Jason delikatnie chwycił ją za podbródek i podniósł jej głowę. Chryste, ależ ona była piękna! Cudowne niebieskie oczy, błyszczące od łez, wilgotne powieki... była piękniejsza niż w snach. I jest moja - pomyślał.

- Już lepiej? - spytał ciepłym tonem.

- *Ou-oui* - wyszeptała. Rzeczywiście, czuła się już lepiej... spokojna i podniesiona na duchu. I nie wiedziała, jak to rozumieć. Wszak zaznała ukojenia w ramionach tego samego człowieka, przez którego zalała się łzami! - *Merci...* Jason - dodała niepewnie, uświadamiając sobie po raz kolejny, jak wielką jest dla niej niewiadomą. Jak słabo tak naprawdę się znają. Prócz niepewności, w jej głosie dało się też wyczuć zdumienie.

- Nie, nie musisz mi dziękować - mruknął. - Teraz jesteś moją żoną, Gabrielle. Raptem parę godzin temu przysięgałem w obliczu Boga, że będę cię chronił i szanował, a zamiast tego, doprowadziłem cię do płaczu i... i przepraszam cię za to. - MÓ-



więc te słowa, nachmurzył się, jakby było to dla niego całkowicie nowe doświadczenie.

Gabrielle nie odezwała się w obawie, że jedno nieodpowiednie słowo zmieni go w człowieka, którego znała tak dobrze. W zranioną istotę, pełną goryczy i pogardy dla innych.

Jego ciemne oczy wpijały się w nią nieprzerwanie.

- Gdybym ci powiedział - zaczął, powoli cedząc słowa - że naprawdę nigdy nie chciałem cię skrzywdzić, że w przyszłości zrobię wszystko, by... - Zawiesiwszy głos, przeczesał dłonią włosy. - Diabła tam, Gabrielle! Już cię przeprosiłem i może nie mam prawa nawet pytać cię o to, ale... czy nie moglibyśmy jakoś o tym wszystkim zapomnieć? Zacząć od nowa?

Gabrielle ze zdziwieniem spojrzała mu w oczy. Tak, to prawda! Przeprosił ją, wbrew jej najśmielszym oczekiwaniom. Jason... powiedział jej „przepraszam”! Opierając się pokusie, by potrząsnąć z niedowierzaniem głową, przytaknęła.

Nie odezwał się, ale Gabrielle, wtulona w niego, czuła, jak opuszcza go napięcie. Przez chwilę usiłowała zebrać chaotyczne myśli i, co ważniejsze, zapanować nad uczuciami szalejącymi w jej duszy. Musiała odkaszlnąć, żeby dobrać z siebie słowa.

- Muszę jedno wiedzieć, Jason. Czego ty ode mnie oczekujesz? Nie tu i teraz, ale w tym małżeństwie, którego obydwójce nie chcieliśmy. Proszę, powiedz mi, czego ty chcesz?

Przez kilka długich sekund Jason patrzył na nią. Wydawało się, że minęła cała wieczność. Gabrielle poczuła, że coś ściska ją za gardło. Uświadomiła sobie, jak on na nią patrzy... dostrzegła ogniste pożądanie, które rozbłysło w jego zmysłowo przymrużonych oczach.

Na ustach Jasona wykwitł wiele mówiący, niedbały uśmiech, a jego dłoń powoli przesunęła się po plecach Gabrielle ku górze i wniknęła w jej jedwabiste włosy.

- Nie wiesz, maleńka? - spytał chrapliwym szeptem, patrząc jej w oczy. W jego głosie nie było już wahania, a w spojrzeniu malowała się pewność siebie. - Naprawdę nie wiesz? Czy to możliwe?

Jego dotyk przyprawiał ją o te szalone, niezwykle doznania, które jakże doskonale pamiętała.

- No to zdaje się - ciągnął tym samym chrapliwym głosem, błędząc palcami w jej włosach - że po prostu będę zmuszony... - nachylił się nad nią, kładąc drugą dłoń na jej policzku - ...ci pokazać.

Delikatnie musnął ustami jej wargi, raz i drugi, budząc w niej dzikie pragnienie, by nie przestawał, by robił to dalej. Jakby czytając w jej myślach, powoli, stopniowo, coraz mocniej wpijał się w jej usta. Gabrielle obawiała się, że jeszcze trochę, a te pocałunki przyprawią ją o utratę zmysłów.

Rozpalona, zarzuciła mu ręce na ramiona. Jej wargi rozchyliły się pod subtelnym, acz nieustępliwym naporem Jasona. Wydała z siebie cichy, przytłumiony jęk. O Boże, ten jego aksamitny żar!

Jason mruknął z zadowoleniem, objął Gabrielle w talii i mocno przycisnął do siebie, po czym ostrożnie wsunął język do jej ust. Ich języki się połączyły, najpierw nieśmiało, a potem bardziej odważnie. Gdy podniósł ją, przez jej ciało przeszedł kolejny dreszcz pożądania.

Po chwili zadrżała. Pożądanie, tak! O Boże, on jej pragnął! Przez chwilę kręciło jej się w głowie. Oto poznawała odwieczną tajemnicę rozkoszy łączącej kobietę z mężczyzną. Jason pożądał jej, a ona jego. Prędzej umarłaby, niż miałaby temu zaprzeczyć.

Jego wargi z każdą chwilą stawały się bardziej nieustępliwie, a język wnikał coraz głębiej. Świat wirował przed oczami Gabrielle. Gdy jęknęła cicho, Jason uśmiechnął się, po czym ugryzł ją lekko w dolną wargę; następnie przyssał się do niej, jakby była zaiste smakowitym kąskiem.

Z jej gardła raz jeszcze wyrwał się jęk. W głowie Jasona rozległ się huk gromu. Pożądanie krążyło w jego żyłach niczym żywy ogień. Świat tańczył mu przed oczami. Gdy poczuł, jak bardzo Gabrielle jest podniecona, porwał go wir upajającego triumfu. Tak gotowa... tak wrażliwa! Była do tego stworzona... do słodkiego, beztróskiego skoku w szczęście, w czysto zmysłową rozkosz dwóch splecionych ze sobą ciał. Chryste! Jeszcze nikogo tak bardzo nie pragnął jak jej!

Od miesięcy nie dawało mu spokoju wspomnienie tego, co wydarzyło się w Paryżu. Było jednak niewyraźne niczym sen. Zapomniał już tak wiele szczegółów... jakże ona była cudowna... jak smakowały jej usta... Chryste, czuł się, jakby był pijany! Szczę-

ściem napawała go świadomość, że to cudowne ciało w jego ramionach jest jego, tylko jego własnością i tylko jemu dawać będzie rozkosz.

- Gabrielle... - szepnął - pragnę cię, Gabrielle. - Raz jeszcze wpił się mocno w jej usta, po czym postawił ją na podłodze. Jego gorejące pożądaniem oczy przesunęły się po niej. - Jesteś moja, Gabrielle - mruknął chrapliwym głosem, kładąc dłoń na jej brzuchu. - W twoim łonie jest moje dziecko. - Jego palce mocniej wpiły się w jej skórę. - To nas łączy, Gabrielle, i przyrzekam, nigdy nie dopuszczę, żeby ta więź została zerwana. Nigdy!

Wziął ją na ręce, patrząc głęboko w jej oczy, zasnute mgłą podniecenia.

- A teraz, matko mojego dziecka, pójdz ze mną... i bądź moją żoną. - Zaniósł ją do sypialni, w której czekało na nich małżeńskie łóżko.

Gabrielle, jak we śnie, czuła, że Jason stawia ją na podłodze obok łóżka. Podniósłszy wzrok, napotkała jego spojrzenie. W jego oczach było coś, co - tak jej się wydawało - powinna rozpoznać, coś znajomego. Błysnęła jej jakaś myśl. Gdzieś w głębi umysłu przemknęło słowo „własność”. A może nie? Teraz, gdy ciepłe dłonie Jasona zaczęły pieścić jej dygoczące ciało, nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

- Piękna... - mruknął, dotykając jej piersi. Następnie szarpnął wstążkę przewiazującą jej koszulę nocną; w ciszy zalegającej sypialnię rozległ się szelest materiału opadającego na podłogę.

Wciągnął powietrze do ust.

- O Boże! Gabrielle, czekałem tak cholernie długo... - Urwał w pół zdania, pochylił się i wpił się ustami w jej pulsujący sutek, delikatnie drażniąc zębami wrażliwą skórę piersi.

Z jej gardła wyrwał się krzyk. Fala przyjemności rozlała się po jej ciele, od pieszczonej piersi aż po czułe miejsce w zwieńczeniu ud.

- Jason... - jęknęła, po czym wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, czując między nogami jego dłoń. Gdy zręczne palce Jasona odnalazły jej wilgotny żar, z ust Gabrielle wyrwał się okrzyk rozkoszy.

- Jesteś mokra dla mnie, moja słodka - mruknął, po czym podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy - tak mokra. - Kciukiem

odnalazł małą fałdkę ukrytą pośród rudozłotych włosów łonowych, po czym musnął ją raz... drugi...

I Gabrielle krzyknęła w ekstazie.

- Tak, moja miła- wychrypiał, zanurzając twarz w jej gęstych, wonnych włosach - a dopiero zaczynamy.

Gdy jego kciuk powrócił do przerwanej na chwilę pieczyoty, przez całe ciało Gabrielle przeszło drżenie.

- Jason... - jęknęła. Czując, że uginają się pod nią kolana, uwiesiła się na jego ramionach.

- Spokojnie, dziewczyno - mruknął i podniósł ją, jakby nic nie ważyła, po czym położył ją na łożu.

Rozległ się szelest jedwabiu i nagle Jason znalazł się u jej boku. Poczwała przy sobie jego nagie, umięśnione ciało. Pieścił ją ustami. A potem dłońmi. Ach, słodki Boże - jego dłonie! Były wszędzie! I tam, gdzie jej dotykały, skóra wręcz zaczynała płonąć!

Gabrielle zaczęła się wić, nie mogąc znieść natłoku rozkosznych doznań atakujących jej zmysły. To, co z nią robił, doprowadzało ją do szaleństwa.

- Jason! - krzyknęła. - Jason, na Boga, proszę!

- Cierpliwości, maleńka - szepnął jej na ucho. - Wiem, że jesteś gotowa, ale to nie wystarczy. Chcę, byś wrzała żądzą, dziką żądzą i... o Boże! Powiedz, czego chcesz, a ja to zrobię.

- Ja... - Nie była w stanie. Chciała, by wszedł w nią, chciała tego niemal do bólu. Ale prosić o to? Powiedzieć wprost? To zbyt intymna sprawa, żeby ó niej mówić! Przez chwilę bezskutecznie próbowała mu się wyrwać. Jason tylko się roześmiał.

- Nie, moja piękna - powiedział, radośnie szczerząc zęby. Gabrielle zeszywniała. W oczach Jasona błysnęły iskrę diabelskie ogniki. - Taka uparta... - mruknął.

Wtedy Gabrielle poczuła, że członek Jasona dotyka owej wrażliwej fałdki.

- No i...? - spytał Jason gardłowym głosem. Z trudem udawało mu się ukryć zniecierpliwienie. Ta gra była dla niego niezwykle ciężka, ale, co ważniejsze, Gabrielle była już u kresu wytrzymałości. Choć tylko z najwyższym wysiłkiem panował nad sobą, postanowił opierać się požądaniu dotąd, aż ona się podda. Ach, jaką satysfakcję sprawi mu jej kapitulacja, kapitulacja, która przetrzeźwi się w coś wspaniałego... dla nich obojga.

A jednak wciąż mu opierała. Co za uparta mała wiedźma! Z uśmiechem na twarzy poruszył biodrami, przesuwając je nie więcej niż pół cala. Starał się nie zwracać uwagi na to, że po czole spływa mu pot, a jego ramiona drżą z wysiłku. Po chwili poruszył biodrami raz jeszcze.

Gabrielle otworzyła szerzej oczy, a z jej gardła wyrwał się głośny jęk.

- Ty diable! - krzyknęła. - Tak, pragnę cię. Chcę cię czuć w sobie. Chcę, żebyś wszedł... wszedł we mnie. Teraz, niech cię diabli. O Boże, Jason, teraz!

Z okrzykiem radości zanurzył się w niej, napawając się widokiem przesywającego ją dreszczu ekstazy. Potem powoli się wycofał, nie spuszczać czarnych płonących oczu z jej twarzy.

- Jason! - krzyknęła i zaczęła przeklinać go po francusku.

Zaśmiał się i poczuł, że Gabrielle wbija mu paznokcie w plecy. Gdy wszedł w nią po raz drugi, jego wybuch śmiechu przerodził się w pełen rozkoszy okrzyk.

- *Oui!* - jęknęła. - *Oui!* Ach, Jason, nie przestawaj! Nigdy nie przestawaj!

Jakby chciał przestać! Jakby mógł! Porwał ją ze sobą, w rytmie starym jak czas. Opuścili swoje ciała i wzniesli się w górę. Kołysząc się, wirując, razem pięli się ku słońcu. Do gwiazd. Ku bezbrzeżnej przestrzeni wszechświata.

Wreszcie ich okrzyki przerodziły się w echo. Wspomnienie pośród ciemności nocy. Powoli wrócili na ziemię, tonąc w swoich ramionach.

## 21

Płomyki świec zadygotały i zgasły. Lekki podmuch wiatru poruszył zasłonami. Wysoko na niebie księżyc wędrował ku zachodowi. Ciszę letniej nocy zakłócało tylko cykanie świerszczy.

W dużym łożu z baldachimem leżeli wtuleni w siebie małżonkowie. Gabrielle, z głową na piersi męża, wsłuchiwała się w bicie jego stopniowo uspokajającego się serca. Nasyчени, powoli dochodzili do siebie po spazmach namiętności.

Namiętność. Boże, czy inne kobiety, które dzielą łożę z mężczyznami, czują to samo? Jakby ziemia zatrzęsała się i nic nie miało być już takie jak wcześniej? A potem, czy ogarnia je takie uczucie, jak ją w tej chwili? Jak gdyby unosiła się w ciepłym morzu, odcięta od wszelkich trosk tego świata?

Z tego, co pamiętała, owa noc w Paryżu nie przyniosła jej aż takiej rozkoszy. Wtedy myślała przede wszystkim o swojej misji, a zaraz potem tak wiele się wydarzyło...

Ale teraz miała wrażenie, że jest lżejsza od powietrza. Czy to właśnie Bernice miała na myśli, mówiąc o namiętności? Że człowiek ma wręcz ochotę zacząć mruzczeć i przeciągać się, niby dobrze wykarmiony kot? Że jest w stanie dokonać cudów, wyszeptując imię ukochanej osoby?

- Czy wypowiedziałaś moje imię, maleńka? - mruknął Jason, z twarzą wtuloną w jej włosy. - Czy tylko westchnęłaś?

Gabrielle była zaskoczona. Myślała, że mąż już śpi.

- Tylko sobie westchnęłam, *mon mari*. - *Mon mari*... mój mężu. Jak to dziwnie brzmiało.

Jason roześmiał się i uniósł na łokciu, by spojrzeć na żonę.

- To z zadowolenia, *ma femme*? - spytał, uśmiechając się lekko.

Rumieniec wypłynął na jej twarz. Pochyliła głowę, wtulając się w jego pierś.

- Przecież... przecież wiesz - odparła przytłumionym głosem.

- Tak, tak, nie ukryjesz tego przede mną. - Jason delikatnie uniół jej głowę. - Prawdę mówiąc, lubię patrzeć, jak się czerwienisz. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a w jego oczach pojawiły się wesołe ogniki. - Bo to oznacza - szepnął - że wspominasz to, co zrobiliśmy.

Gabrielle jęknęła i zaczerwieniła się jeszcze mocniej, wzbudzając wesołość Jasona.

- Ach, ale naprawdę podoba mi się to, jak te wspomnienia rozpalają twoją krew - powiedział i pocałował ją w czubek nosa.

Czuł się doskonale; jego żądza została całkowicie zaspokojona. Z tą drobną, tajemniczą kobietą przeżył noc namiętności, jakiej nigdy jeszcze nie zaznał. Może to małżeństwo jakoś da się znieść - pomyślał.

- Może - szepnął - przypominasz sobie, jak pieściłem cię ustami, maleńka, albo jak twoje uda drżały, kiedy...

- Jason! Proszę cię, miej litość! - Gabrielle próbowała odwrócić rozpłomienioną twarz.

Jason parsknął śmiechem, po czym ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją raz jeszcze, delikatnie. Zaraz potem spoważniał i spojrzał na nią tak, jak nigdy dotąd. Jego oczy spoczęły na jej ustach. I wtedy, powoli, pocałował ją znowu.

Jakże inny był ten pocałunek! Jason jeszcze ani razu nie zrobił tego tak czule. W dzieciństwie Gabrielle wyobrażała sobie, że właśnie tak mąż powinien całować nowo poślubioną żonę... z taką miłością. Ale cóż jej przychodzi do głowy? Wszak to Jason. Człowiek niezdolny do miłości.

Gdy ich usta się rozłączyły, Gabrielle spojrzała na męża, usiłując zgłębić jego myśli. W najwyższym zdumieniu dotknęła palcami swoich warg. Ach, Jason! Czy nie wiesz, że czułość może zranić, kiedy nie wywodzi się z...

Nagle coś ścisnęło ją za gardło; nawet nie bardzo wiedziała, czemu to przypisać. Zaskoczona, próbowała wyrwać się z jego objęć.

- Co ja widzę? - Jason chwycił ją za podbródek i spojrzał na jej twarz. - Łzy? - W jego oczach pojawił się niepokój. - Gabrielle, co u licha...? Zraniłem cię czy...

- Nie. Oczywiście, że nie! Ja... po prostu tak jakoś. - Zamrugała łykając łzy i zmusiła się do uśmiechu. - Podobno tak to czasami jest... - wymyśliła na poczekaniu - ...z kobietami, które są w ciąży.

Jason skinął głową. Jego oczy spoczęły na jej brzuchu. Delikatnie położył dłoń tuż nad trój kącikiem rudozłotych włosów.

- Czy to dziecko... - powiedział patrząc na nią z troską - czy ono... jest dla ciebie ciężarem, Gabrielle?

- Dla mnie? - Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. - Żartujesz? Przyznaję, te poranne mdłości były męczące, ale to już dawno mi przeszło. Czuję się zdrowa jak koń.

Położyła rękę na jego dłoni.

- Jason, ja już kocham to dziecko. Nad życie.

Przez długą chwilę patrzył jej w oczy. W sypialni nastała niczym nie zmacona cisza. Gabrielle pragnęła w tej chwili poznać myśli Jasona, ale jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Jason...? - wreszcie przerwała milczenie.

-Tak?

- Czy mógłbyś... pocałować mnie jeszcze raz... tak, jak pocałowałeś mnie przed chwilą?

Jego usta skrzywiły się w lekkim uśmiechu. Gabrielle odczuła głęboką ulgę, gdy ta niezręczna chwila już minęła.

Spojrzała w jego gorejące pożądaniem oczy. Jason ujął jej twarz w dłonie i nachylił się nad nią. Nim ich usta się połączyły, z jej piersi wyrwało się ciche westchnienie, które zabrzmiało jak jego imię.

Bernice z trudem udało się powstrzymać uśmiech cisnący się na usta, gdy zobaczyła, jak Jason fantazyjnie wciska tricornie na głowę i prężnym krokiem rusza w stronę stajni. Tego ranka wstał późno; Gabrielle została w sypialni.

- Moja żona musi wypocząć. Dopóki się nie obudzi, niech nikt jej nie przeszkadza - polecił, gdy zszedł na dół. Następnie wkroczył do sali jadalnej i zażądał góry jedzenia na śniadanie.

- Czyli nasz ponurak odkrył, że małżeństwo nie jest takie straszne, co, Leroy?

Ptak, usadowiony na oparciu krzesła po przeciwnej stronie stołu, przekrzywił łeppek, jakby zamyślił się nad jej słowami.



- Świetnie. - Parsknęła rubasznym śmiechem. - Wszystko idzie lepiej, niż się spodziewałam. No, ale przecież jego żona to nie jakiś tam półgłówek, Leroy.

- Półgłówek Leroy! - powtórzył za nią kruk.

Roześmiała się i rzuciła mu skórkę od chleba. Kiedy łapczywie pożerał ten przysmak, Bernice mówiła do niego, taki już miała nawyk - a poza tym kruk zazwyczaj był dobrym słuchaczem.

- Powinam się była domyślić, że Gabrielle wykorzysta łożo małżeńskie do swoich celów. Ta dziewczyna szybko się uczy, Leroy. Szybko pojęła, jak to jest z namiętnością.

- Namiętnością - powtórzył Leroy, wzbudzając wesołość Bernice.

- Tak, z namiętnością, przyjacielu. Gabrielle już wie, że to klucz do obłąskawienia mężczyzny.

Ciągnąc swój wywód, Bernice nie wiedziała, że kruk nie jest jej jedynym słuchaczem. Za drzwiami sali jadalnej stał Jason. Po drodze do stajni zorientował się, że zapomniał rękawic do jazdy konnej, i właśnie po nie wracał, gdy słysząc słowa gospodyni, stanął jak wryty. „Powinam była się domyślić, że Gabrielle wykorzysta łożo małżeńskie do swoich celów”.

Krew napłynęła Jasonowi do twarzy. Namiętność... „to klucz do obłąskawienia mężczyzny”. Chryste! Jak on mógł tak się dać wodzić za nos? Obłąskawienie! Zupełnie jakby mężczyzna był jakimś zwierzęciem domowym, które należy prowadzić na smyczy.

Odwrociwszy się na pięcie, ruszył wielkimi krokami z powrotem do stajni. Narastała w nim nieprzytomna wściekłość. Ta suka o wszystkim pomyślała. Już była pewna siebie, sądziła, że ma go w garści i pozostaje go tylko oskubać jak kurczaka na rosół.

Chryste, ależ zrobiła z niego głupca! Ta jej udawana niewinność! Te rumieńce na jej policzkach! Słodka jak cukierek, myślałyby kto! Szlag by to, nawet Bernice dała jej się omotać!

Nie wiedział, co Gabrielle chciała przez to osiągnąć, ale nie było to ważne; w każdym razie doprowadziła do tego małżeństwa, bo miała w tym swój cel. A to nie wróżyło nic dobrego.

- No dobrze, zaczęłaś tę swoją piekielną gierkę, ty francuska suko! - wycodził przez zaciśnięte zęby. - A teraz zagramy w nią według moich zasad!

O czym tak trajkoczesz, kobieto?

Bernice, zaskoczona, odwróciła się i napotkała rozbawione spojrzenie Prentissa.

Uniósłszy hardo podbródek, zmroziła go spojrzeniem.

- O niczym, co dotyczyłoby ciebie, więc nie podsłuchuj!

Prentiss przywykł już do jej obcesowych odpowiedzi, ale nie oznaczało to, że przestały go one irytować. Chciał jej powiedzieć, że nie on jeden podsłuchuje, że panicz Jason przed chwilą robił to samo i chyba na dodatek usłyszał coś, czego nie powinien, bo wychodząc z domu, był wyraźnie zagniewany.

Postanowił jednak nic o tym nie mówić. Najwyższy czas, żeby wojownicza dostała za swoje. Skoro jej długi język wpędził ją w tarapaty, to niech teraz sama sobie radzi.

- Ponoć jak człowiek rozmawia ze sobą, to znaczy, że zaczyna bzikować - rzekł.

- Bzikować! Bzikować! - Leroy zerwał się z krzesła i z donośnym krakaniem zaczął krążyć pod sufitem.

- No, ale ty oczywiście nie rozmawiasz ze sobą, zgadza się? - ciągnął Prentiss, patrząc, jak czarne ptaszysko siada Bernice na ramieniu. - Skoro gawędzisz sobie z tym workiem piór, pewnie nie masz się czym martwić.

- Jezu Chryste - rzuciła, podnosząc się od stołu. - Przynajmniej ten worek nie chlasta jęzorem jak handlarz ryb.

Prentiss obdarzył ją szerokim, beczelnym uśmiechem.

- Ano nie. Ty gadasz za dwoje.

Bernice zacisnęła zęby. Niech go diabli porwał Joshua Prentiss bezustannie działał jej na nerwy.

- Po coś tu przyszedł? - spytała. - Chyba nie tylko po to, żeby wprowadzić mnie z równowagi.

- Po co? - spytał niewinnie. - Kobieto, toż ja tylko szedłem sobie korytarzem, kiedy usłyszałem twoją gadaninę... - zawiesił głos, jakby się nad czymś zastanawiał. - ...I, o ile pamiętam, zająłem tu i zobaczyłem, że śmiejesz się do siebie.

- Wcale się nie śmiałam. A gdyby nawet, to nie twój interes.

- Ha! Jak mogę nie zwracać uwagi na kobietę, która szczerzy zęby tak radośnie jak ty? Nie wiem, o co chodzi, ty francuska Kirke, ale czuję w tym wszystkim jakiś podstęp, z którego nic dobrego nie wyniknie.

Bernice zmierzyła go zimnym spojrzeniem, ale Prentiss ani myślał odwrócić wzrok. Zwykle właśnie tak, z zadziwiającym spokojem, reagował na jej groźby, a ona z trudem opierała się pokusie, żeby wygarnąć mu to i owo. Prentiss nie był jedynym człowiekiem, który ciągle działał jej na nerwy, ale tylko on potrafił wytrzymać jej chmurne spojrzenie.

No i było jeszcze coś. Coś, co najbardziej ją w nim irytowało: był zaiste przystojnym czortem. Z trudem ukrywała wrażenie, jakie na niej robiła jego męska uroda. Ale prędzej umrze, niż miałyby z tym się zdradzić.

- Chciałeś zanieść śniadanie *madame*? - spytała. - Jeśli tak, to możesz wracać do kuchni. Pani ma mieć spokój...

- Posłuchaj mnie, kobieto. Pani już nie śpi. Gdybyś przestała się objąć, gaworzyć i szczerzyć zębiska, wiedziałabyś o tym. Już pięć minut temu zadzwoniła po Betty.

- Hm! Zabierasz mi czas, zamiast od razu powiedzieć! - Bernice podeszła do niego i wyrwała mu tacę z rąk, zanim zdążył się odezwać. - Ja zaniósę *madame* śniadanie!

Nie patrząc na niego, skierowała kroki ku schodom.

- I powiedz tej chudej pokojówce, żeby wreszcie wypolerowała srebra!

Prentiss zacisnął zęby. Ta megiera jednak trafiła go w czułe miejsce. Doskonale wiedziała, że to do lokaja należało zajmowanie się srebrami.

Ale gniew opuścił go już po chwili, gdy jego spojrzenie spoczęło na rozkołysanych biodrach Bernice. Prentiss uśmiechnął się lekko. Wojownicza, jak zawsze, powiedział w duchu. Co za kobieta!

- *Entrez!* - W odpowiedzi na pukanie Bernice, z głównej sypialni dobiegł radosny głos Gabrielle.

Usiłując nie okazywać nadmiernej wesołości, ciemnoskóra kobieta oparła tacę na biodrze i otworzyła drzwi.

- Jezu Chryste! - Wszedłszy do sypialni, ujrzała, że na łożu, naprzeciwko Gabrielle, siedzi dobrze jej znajomy chłopaczyna. - Co tu robisz, ty ladaco?!

Rene zwrócił się do niej twarzą i wzruszył ramionami.

- Ja tylko gratulowałem świeżo upieczonej małżonce udanej nocy poślubnej. - Uśmiechnął się szeroko.

- Coo? - wykrzyknęły obydwie kobiety.

Bernice uniosła brwi, a Gabrielle zaczerwieniła się po same uszy. Owszem, miała wybitnie udaną noc poślubną, ale w życiu nie rozmawiałaby o takich rzeczach z tym nicponiem.

- Wyłumacz się - powiedziała do niego Bernice. - Ty bezczelny diabluku!

Chłopak nawet nie mrugnął okiem.

- To bardzo proste, *mesdames*. Kiedy wszedłem do sypialni, ta oto świeżo upieczona małżonka nuciła jakąś radosną melodyjkę.

Wniosek: ma za sobą udaną noc poślubną.

Bernice mruknęła coś pod nosem w dziwnym, niezrozumiałym języku, po czym wskazała ręką drzwi.

- Masz dziesięć sekund, żeby wywnioskować, co przez to rozumie - warknęła, przesywając go zimnym spojrzeniem.

Chłopak nie opierał się. Wiedział już, na jak wiele może sobie pozwolić z Bernice; instynkt podpowiedział mu, że w tej chwili najbezpieczniej jest po prostu wziąć nogi za pas. Czym prędzej zsunął się z łoża i szybkim krokiem wyszedł z sypialni.

- Bezczelny obdartus - mruknęła Bernice, stawiając tacę przy łożu.

Rumieniec powoli zniknął z twarzy Gabrielle, ale nadal nie mogła spojrzeć przyjaciółce w oczy. Spuściwszy wzrok, zaczęła się bawić paskiem szlafroka.

- Naprawdę tak to po mnie widać? - spytała cicho.

Bernice na chwilę przestała nalewać czekoladę do filiżanki.

- Czy nieszczęśliwa osoba może nucić „radosną melodyjkę”?

Gabrielle spuściła oczy i zaprzeczyła szybkim, ledwo dostrzegalnym ruchem głowy.

Bernice westchnęła ciężko.

- Dziecko, spójrz na mnie.

Gabrielle zawahała się przez chwilę, po czym podniosła głowę. Widząc uśmiech na twarzy przyjaciółki, poczuła niewymowną ulgę.

- Jesteś szczęśliwa, co w tym złego? Nie ma się czego wstydzić, *cherie*. Przecież tak właśnie powinna się czuć każda małżonka.

- Bernice, przecież obydwie wiemy, że to nie jest zwykłe małżeństwo. Nawet nie było mowy o... o podróży poślubnej! Spójrzmy prawdzie w oczy, trudno byłoby mnie winić, gdybym czuła

się nieszczęśliwa! - Popatrzyła ponuro na Bernice, która podała jej filiżankę czekolady.

Murzynka zakłęta cicho i wsparła dłonie na biodrach.

- No i? Noc poślubna była udana, choć być może tego się nie spodziewałaś. I to dla ciebie problem? Czasem naprawdę mnie zadziwiasz!

Gabrielle wlepiła wzrok w filiżankę.

- Bywa, że sama siebie zadziwiam. Ale po prostu teraz nie wiem, co sądzić o tym wszystkim, co sądzić o nim. Gdybym potrafiła czytać w jego myślach...

Bernice wzięła do ręki talerz z grzankami i usiadła przy Gabrielle.

- Jedz - odezwała się głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Małżeństwo musi nabierać sił.

Gabrielle zrobiła zbolałą minę.

- A teraz - powiedziała Bernice - słuchaj mnie uważnie. Dawanie mężowi przyjemności w łóżu to prosta sprawa albo i nie... - obrzuciła Gabrielle spojrzeniem - ...choć wydaje mi się, że tobie przyszło to łatwiej niż większości kobiet. Ale zrozumienie go to co innego. Cóż cię tak niepokoi? Powiedz mi, *cherie*.

Między kolejnymi łykami czekolady i kęsami grzanek Gabrielle pokrótce opowiedziała o nocy poślubnej. Przywoławszy gorzkie słowa, które padły między nią a Jasonem na początku, zrobiła, co mogła, by nie rumieniąc się, dać Bernice do zrozumienia, jak wielką rozkosz przeżyła później.

- Zupełnie jakby stał się innym człowiekiem - zakończyła swoją opowieść, zaglądając ze smutkiem do filiżanki. - Kiedy wchodził do sypialni, wydawał się taki wściekły, a potem...

- Namiętność wyczynia dziwne rzeczy z ludźmi. - Bernice spojrzała na nią wesoło. - I z mężczyznami, i z kobietami.

Gabrielle skinęła głową i zerknęła na przyjaciółkę.

- Ale jak to rozróżnić? To, co dzieje się pod wpływem namiętności, i... całą resztę. Skąd mam wiedzieć, co jest prawdziwe?

- Ach. - Bernice podała jej miseczkę z pokrojonymi brzoskwiniami, nakazując, by wzięła się do jedzenia.

- Ach? Co to znaczy „ach”?

- To znaczy, że wiem, o co ci chodzi, ale nie potrafię powiedzieć ci nic więcej. Pytanie, które mi zadałaś, od zawsze spędza kobietom sen z powiek.

Gabrielle prychnęła.

- A kiedyż, jeśli w ogóle, można zdobyć odpowiedź na to pytanie?

- W odpowiednim czasie, oczywiście. Czas jest najważniejszy, dziecko. Tylko z biegiem czasu można zgłębić tajniki umysłu mężczyzny. A takiego jak Jason? - Wzruszyła ramionami. - Nawet ja nie mam pojęcia, kiedy to mogłoby nastąpić.

Gabrielle przypomniała sobie tę niezręczną chwilę, kiedy spytał ją o dziecko.

- On... on mi nie ufa, Bernice. Nie wierzy, że mogę być dobrą matką jego dziecka. Ani dobrą żoną. Ja... nie jestem pewna, czy on w ogóle czuje do mnie choć trochę szacunku.

Jej przyjaciółka skinęła głową ze zrozumieniem i rozchmurzyła się.

- Nie martw się tak, *ma chere*. Wiesz jedno: na pewno ceni cię jako kobietę. A pamiętaj, że żądze cielesne mogą obudzić uśpio-  
ne serce i myśli.

A duszę? - spytała Gabrielle w duchu. I nagle stało się dla niej oczywiste, że nie spocznie, dopóki do tego właśnie nie doprowadzi.

U słyszawszy trzask zamykanych drzwi do pokoju Jasona, Gabrielle odłożyła książkę. Nareszcie. Spojrzała na zegar stojący na kominku. Było już dobrze po dziesiątej. Dwie godziny temu zakończyła wieczorną toaletę. Dwie długie godziny, które spędziła czytając - czy też próbując czytać - podczas gdy jej myśli skupiały się na jednym: co też zabiera mężowi tyle czasu?

Nie było go przez cały dzień. Jakieś ważne sprawy w związku z plantacją. Przynajmniej tak Alexander tłumaczył nieobecność Jasona na kolacji. On przez cały dzień załatwiał jakieś sprawy, a ona czekała, czekała niecierpliwie, aż ujrzy go znowu. Aż skóra jej cierpła! Wciąż nie dawało jej spokoju wspomnienie tego, co stało się ostatniej nocy.

Czy ślub naprawdę odbył się dopiero wczoraj? Miała wrażenie, że minęło o wiele więcej czasu. Bez Jasona godziny wydawały się ciągnąć w nieskończoność.

Marszcząc lekko czoło, spojrzała na drzwi do sąsiedniego pokoju. Dlaczego nie wdzierał się przez nie do jej sypialni? Uśmiechnęła się smutno. „Wdzierał”? Jason wciąż pozostawał dla niej tym samym gwałtownym, nieufnym człowiekiem.

Ale jeśli nawet się nie wdzierał, to czemu przynajmniej nie zapukał, żeby sprawdzić, czy żona nie śpi? Nie zgasiła lamp, by zasygnalizować mu, że na niego czeka. Nie mógł nie dostrzec światła płynącego z jej okien.

Nachmurzyła się, słysząc przytłumione odgłosy dobiegające zza drzwi. A może chciał się umyć, zanim przyjdzie?

Przygryzła wargę, wpatrując się w smugę światła pod drzwiami. To już przesada! W jej umyśle kotłowały się rozmaite wytłumaczenia, ale... dlaczego nie chciał tego tak mocno jak ona?

Wtedy nagle coś stanęło jej przed oczami. To, jak Jason doprowadził ją niemal do szaleństwa, odwołując tę upragnioną chwilę. Jak igrał z nią do utraty zmysłów.

Czy teraz robił to samo? To byłoby w jego stylu. Ale miała już dość czekania. Wszak czekała już cały dzień.

Zdecydowanie kiwnęła głową, wstała i ruszyła w stronę drzwi. Jednak gdy chwyciła za klamkę, ogarnęła ją niepewność. Czy nie popełnia błędu? Czy Jason nie pomyśli, że jest zbyt zuchwała? Zbyt wyuzdana?

Znowu przygryzła wargę, zastanawiając się, co robić. Dlaczego akurat ich związek musiał być tak dziwny? Jak miała się obchodzić z Jasonem? Przecież była jego żoną!

Zebrawszy odwagę, uniosła rękę i zapukała do drzwi.

Cisza.

Czy zapukała za delikatnie? Przytłumione odgłosy dobiegające z pokoju Jasona ucichły, ale światło płynące spod drzwi nie zgasło. Gabrielle wciągnęła powietrze i zapukała po raz drugi, mocniej niż poprzednio.

I nic.

Zaczęło w niej narastać podejrzenie, że coś jest nie w porządku. W jej duszy zwątpienie stało się z gniewem. Jeśli coś się stało, to powinien jej powiedzieć, u licha! Nie była przecież dzieckiem. Była kobietą - i jego żoną. Matką jego nie narodzonego dziecka.

Odetchnąwszy głęboko, zawołała Jasona. Drzwi nagle rozwarły się na oścież i stanął w nich jej mąż. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

Jason przygotował się w duchu na widok Gabrielle, ale i tak z najwyższym trudem udało mu się zachować obojętność. Miała na sobie przezroczystą koszulę nocną, która, miast skrywać jej kształty, wręcz je podkreślała. Długie do bioder włosy okalały jej ciało, tworząc nęcącą, jedwabną zasłonę. A co najgorsze, wyglądała tak bezbronne, wpatrując się w niego pięknymi, modrymi oczami, które wydawały się niemal za duże w porównaniu z jej delikatnymi rysami twarzy.

Był pewien, że swoim wyglądem chce tylko rozbudzić jego pożądanie. W duchu przypomniał sobie, co postanowił. Nie będzie jej obłaskawionym zwierzątkiem! Najgorsze, że przysiągł pozostać przy niej, dopóki śmierć ich nie rozłączy.



- Czego chcesz? - spytał ponurym tonem.

Na twarzy Gabrielle odmalowało się najwyższe zdumienie. Co się stało? Przecież tego ranka wesoło się przekomarzali. I kochali się raz jeszcze, po czym on wymknął się na palcach z sypialni, nakazując jej ciepłym głosem, by sobie odpoczęła. Cóż takiego mogło się wydarzyć od tamtej pory, że zmienił się w... w ten twardy głaz? A już się wydawało, że tamten zimny, ponury Jason, którego tak dobrze zdołała poznać, zniknął bezpowrotnie.

Przełknęła ślinę i machnęła ręką w niedbałym geście. Przy najmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało.

-Ja... to chyba oczywiste.

- Oczywiście jest tylko to, *madame*, że jesteś w błędzie - odparł. Jego słowa były dla Gabrielle jak uderzenie bicia. - A teraz, jeśli nie masz mi nic ważnego do powiedzenia... - ciągnął - ...to dobranoc. Muszę się wyspać.

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Gabrielle zastygła w bezruchu. Była jak odrętwiała. Mijały sekundy, które wydawały jej się godzinami... dniami. Utraciła poczucie czasu, nawet nie wiedziała, gdzie jest. To nie mogło się zdarzyć. To jakiś koszmar.

Jednak ból, który ogarnął ją po chwili, był jak najbardziej prawdziwy. Przygnieciona ciężarem cierpienia, z trudem dowlokła się do łóża. Z cichym jękiem padła na nie i skuliła się, przyciągając kolana do piersi.

Nie wiedziała, jak długo trwała w całkowitym bezruchu, nim rzeczywistość przypomniała jej o sobie. Nieważne. Ona, Gabrielle, była za silna, żeby poddawać się bez walki. Choć to, że została odrzucona, zabolowało ją do głębi, nie uroniła ani jednej łzy.

On nie był tego wart.

Nikt nie potrafił tego pojąć, a zwłaszcza Rene. W Fairhills panował ίσcie pogrzebowy nastrój. Aż trudno uwierzyć, że raptem parę dni temu odbył się tu ślub! Owszem, doszło do niego dość nagle i niespodziewanie, ale wiele wskazywało, że po nocy poślubnej zarówno *monsieur*, jak i *madame*, są zadowoleni. A nawet szczęśliwi. Czyż nie widział tego na własne oczy?

Tyle że - pomyślał chłopiec, wspinając się na gruszę w ogrodzie - teraz to małżeństwo stało się koszmarem. I to w ciągu jed-

nej nocy! *Monsieur* Jason warczał na wszystkich bez powodu. Nawet na niego. A on, René, przecież darzył *monsieur* Trace'a takim szacunkiem!

*A madame?* Biedna Gabrielle. Bez przerwy siedziała w swoim pokoju. Było mu jej żal i parę razy próbował, z potrzeby serca, podnieść ją na duchu. W końcu byli rodakami.

Ale ona go nie słuchała. Jej odpowiedź na prośby René, by wyszła z nim na spacer czy choćby rozegrała partyjkę kart, zawsze była taka sama: „Idź stąd, Rene”. Nawet jej głos brzmiał jakoś inaczej niż zwykle. Bardziej pasowałoby do tego diabelnego Leroya niż do pani na Fairhills!

Leroy... René przypomniał sobie, dlaczego właściwie wspina się na to drzewo. Przerzucił nogę przez gałąź wyrastającą z pnia tuż nad tą, której się trzymał, i spojrzał w górę. To, czego wypatrywał, znajdowało się kilka stóp nad jego głową. Na pierwszy rzut oka wyglądało na opuszczone wiewiórcze gniazdo. Jednak to właśnie tu częstym gościem bywał ten diabelski kruk.

Rene wiele razy widział, jak Leroy siada na tym drzewie, trzymając w dziobie rozmaite błyszczące drobiazgi, ukradzione mieszkańcom Fairhills. Obrączkę, którą Matylda zostawiła na parapecie podczas wałkowania ciasta, łańcuszek od zegarka *monsieur* Alexandra, a nawet kolczyk samej *madame* Bernice!

Ale najgorsze, że to bezczelne ptaszysko dosłownie sprzed nosa zdmuchnęło Rene złoty medalion od Gabrielle. Czegoś takiego nie wolno było tolerować. To jawne wypowiedzenie wojny!

Rene zaplanował swoją akcję tak skrupulatnie, jak prawdziwy generał. Najpierw zostawił na widoku parę bezwartościowych błyskotek, następnie bacznie obserwował, dokąd kruk je zabierze. No i jego podejrzenia się potwierdziły: Leroy zaniósł je wszystkie tu, na to drzewo.

Zmieniając pozycję, Rene przygotował się do ostatecznego szturmu.

- Leroy, ty złodzieju... - zarechotał złowrogo - ...nareszcie masz godnego siebie przeciwnika.

Usłyszawszy w górze donośne krakanie, Rene natychmiast spoważniał.

- Cholera! - zaklął. - Precz, ty nędzny padlinożerco! Przejrzałem cię!

Wtedy kruk sfrunął niżej i zaatakował; Renę w ostatniej chwili uchylił się i piął się dalej. Jeszcze tylko kilka cali i...

- Przejrzałem cię! Przejrzałem cię! - powtórzył Leroy i ponownie runął na niego.

-Jezu! - Chłopak uchylił się i osłonił głowę. Ratując się przed upadkiem, kurczowo przywarł do gałęzi. Nad jego głową ponownie rozległ się trzepot skrzydeł; ptak najwyraźniej nie miał zamiaru się poddać. Rene spojrzął na niego z nienawiścią i zaczął krzyczeć, wymachując wolną ręką; - Złodziej! Diabelski pomiot!

O dziwo, to poskutkowało. Leroy zakrakał raz jeszcze, ale przełósł się na jedną z wyżej położonych gałęzi.

- Aha! Czyli jesteś i złodziejem, i tchórzem, co? - Z tymi słowami wyciągnął rękę i zaprezentował krukowi wulgarny gest. - Myślisz, że się ciebie boję, Leroy? Ty jesteś niczym! Opierzonym, podsztytym tchórzem bandytą!

Uznawszy, że już wystarczająco upokorzył kruka, Renę podciągnął się na gałęzi i zajął do gniazda.

- Co to jest? - krzyknął w najwyższym zdumieniu. Jego oczom ukazało się mnóstwo, całe mnóstwo różnych błyskotek. A niektóre z nich były naprawdę sporo warte. Złota moneta dziesięciodolarowa! Srebrna klamra od buta! A także pierścień z rubinem, który wyglądał jak prawdziwy. W czasie wypadów na ulice Paryża Renę nauczył się odróżniać prawdziwe kamienie szlachetne od imitacji. Toż to prawdziwy skarb!

Wtedy tknęło go sumienie. Próbował jakoś je zignorować. Bezskutecznie. Westchnął ciężko. Sumienie zwykle bywa uciążliwe. Jednak odkąd cudem uniknął śmierci w falach oceanu i musiał przez to wysłuchać mnóstwa napomnień, uparczywie dawało mu znać o sobie. Westchnął znowu.

Żadna z tych rzeczy nie należała ani do niego, ani do Leroya. No, poza medalionem, a co do niego miał specjalne plany. Wszystkie te błyskotki należało zwrócić prawowitym właścicielom, zwłaszcza że niektórych znał osobiście.

Ale to był prawdziwy skarb! Przeklęte ptaszysko musiało gromadzić to wszystko całymi latami.

Zaświtała mu pewna myśl. Skoro gromadzenie tego wszystkiego rzeczywiście trwało tak długo, to może co poniektórych właścicieli nie da się już odnaleźć? Renę rozchmurzył się. Czy

wtedy te rzeczy stałyby się jego własnością? Na to wychodziło. Cóż, trzeba będzie się jeszcze zastanowić.

Jednak teraz musiał coś załatwić, a do tego niezbędny mu był ten jeden jedyny przedmiot, który naprawdę należał do niego.

Zaczął grzebać w stosie błyskotek. Po chwili mruknął z zadowoleniem, gdy w oczy rzucił mu się medalion Gabrielle. Błyskawicznie wrzucił go do kieszeni, po czym wyjął z gniazda parę innych rzeczy.

Tymczasem Leroy zaczął chodzić po gałęzi tam i z powrotem, gniewnie kiwając łebkiem. Rene zaśmiał się. Dobrze mu tak! Niech wie, jak to jest!

Po kilku minutach kieszenie chłopca były już wypełnione po brzegi. Postanowił, że resztę rzeczy zabierze później. Jeszcze raz rzucił okiem na niespokojnego ptaka. Sprawiedliwości stało się zadość!

Zagrawszy Leroyowi na nosie, Rene szybko zszedł z drzewa. Miało się ku wieczorowi, więc zostało mu niewiele czasu. Musiał porozmawiać z Gabrielle, zanim ona położy się spać. Ach, to jego przekłete sumienie! Robiło mu się ciężko na sercu, gdy widział kobietę, i do tego Francuzkę, tak smutną. Nie, nie pozwoli na to, żeby się zamartwiała!

Idź stąd, Rene.

Gabrielle usłyszała dobiegające zza drzwi dramatyczne westchnienie chłopaka, ale zignorowała je. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać, a zwłaszcza z tym nicponiem. I tak było jej ciężko. Cztery dni! Upłynęły cztery dni, odkąd Jason ją tak brutalnie odtrącił, a ona nadal nie miała pojęcia, jak wcielić w czyn swoje zamiary.

Musiała jakoś stąd uciec. Zanim Jason Trace odbierze jej resztki niezależności i godności. Nie zostanie tutaj, by doznawać cierpień ze strony męża, którego nigdy nie chciała poślubić. Przez niego straciła szansę uwolnienia *maman*. Ale miała jeszcze szansę uwolnić siebie!

Jednak żeby uciec, potrzebowała pieniędzy. Niedużo, ale z pewnością więcej, niż mogłaby dostać za swoją obrączkę. Zdecydowała już, że ją sprzeda, ale obawiała się, że przyniesie jej to niewiele gotówki. Potrzebowała dość pieniędzy, żeby dostać się do najbliższego miasta czy choćby wsi położonej za Charlottes-

ville. Jason być może nawet nie przejąłby się jej odejściem, ale Alexander czy Bernice na pewno zaczęliby jej szukać. A poszukiwania rozpoczęłyby w Charlottesville.

Ale gdyby udało jej się uciec wystarczająco daleko, miała już gotowy plan, który mógł się powieść. Plan, który zapewni jako taką przyszłość i jej, i dziecku. Przyszło jej to do głowy przed dwoma dniami, gdy wspominała rozmowę z Alexandrem. Odda się do służby kontraktowej. Czym było siedem lat w porównaniu z...

- ...słuchasz mnie w ogóle, Gabrielle? - Z zamyślenia wyrwał ją głos Rene. Najwyraźniej ten nicpoń nie zamierzał ustąpić. Ciagle coś tam gadał do niej zza drzwi.

- Idź stąd, Rene.

- Nie, *madame*, nigdzie nie pójdę! - odparł dość gniewnym tonem. - Wcale mnie nie słuchasz! Proszę, chcę ci sprezentować twój medalion, a ty, *madame*, traktujesz mnie jak... cholera!

Gabrielle otworzyła drzwi i nicpoń, zaskoczony, o mało na nią nie wpadł.

- Powtórz, co powiedziałaś, Rene. - Medalion! Gdyby go sprzedała, miałaby aż nadto pieniędzy. Oczywiście, mógł to być jakiś podstęp tego łapserdaka. - Mówiłeś coś o moim medalionie?

Chłopak zrobił obrażoną minę.

- Mogła pani mnie ostrzec, że otwiera drzwi, *madame*! Nikt nie lubi, kiedy...

- Dziesięć sekund! - powiedziała tonem godnym samej Bernice. - Masz dziesięć sekund, żeby wyciągnąć medalion i powiedzieć, o co ci chodzi, albo przyrzekam, że...

- Ranisz mnie, *madame*! - wykrzyknął Rene, zanurzając dłoń w wypchanej kieszeni. - Chcę tylko ulżyć twojej rozpacy, a ty... o! - Wyjął kilka błyszczących przedmiotów, pośród których był też medalion. Unosząc go za delikatny łańcuszek, skłonił się szarmancko. - To dla ciebie, *madame*.

Gabrielle wręcz wyrwała mu go z ręki.

- Mówiłeś prawdę! Och, Rene, to... - Zawiesiła głowę i spojrzała na niego podejrzliwie. - Czego chcesz w zamian?

- *Madame*! - Chłopak wydawał się głęboko urażony tym pytaniem. - Znów mnie ranisz! - Położył rękę na sercu. - I to tak głęboko. Przecież mówiłem już, że medalion to prezent. Czy za prezent trzeba płacić?

Gabrielle nadal mu nie dowierzała. To było zupełnie do niego niepodobne. Ale do tej pory, gdy czegoś od niej chciał, zawsze mówił o tym bez ogródek.

- Dlaczego? - spytała. - Dlaczego to robisz, Rene?

- Boże! - krzyknął i klepnął się w czoło. - Co za podejrzliwa kobieta!

Wypiął pierś, dumnie prezentując swoje pięć stóp wzrostu. Na jego twarzy odmalowała się śmiertelna powaga.

- Jestem dżentelmenem, *madame*. Dżentelmen robi, co może, by wybawić damę od smutku. A ty ostatnio ciągle jesteś smutna, no nie? Poza tym - ciągnął - jestem twoim przyjacielem! Myślałem tylko, że... - Gabrielle miała wrażenie, że po raz pierwszy widzi wstyd na jego twarzy - ...może ten medalion przyniesie ci trochę radości.

Tym razem to jej zrobiło się wstyd. Wyglądało na to, że ten nicpoń jednak nie kłamał. Świat chyba naprawdę stanął na głowie.

Oddechnęła głęboko i uśmiechnęła się do niego.

- W takim razie wybacz mi, Rene. - Przez chwilę trzymała medalion w zaciśniętej dłoni, po czym wrzuciła go za dekollet. - Dziękuję ci... za ten wielkoduszny dar. To... nawet nie wiesz, jak wiele to dla mnie znaczy.

Bezwiednie zwróciła spojrzenie na małe zawiniątko na krześle: była to chusta, w którą zapakowała kilka najpotrzebniejszych rzeczy. Nie zamierzała pozostać u boku męża, który jej nie chciał. Na oparciu spoczywała jedyna rzecz, którą jeszcze chciała zabrać: czarna peleryna matki.

Rene spozjrzał tam, gdzie ona. Był naprawdę bystry, wiele nauczyło go życie na ulicach Paryża.

- Wybierasz się gdzieś, *madame*?

Błyskawicznie zwróciła na niego spojrzenie.

- Nie! Nie, ja...

- Oj, Gabrielle, Gabrielle - powiedział z wyrzutem w głosie. - To ja, Rene! Wiesz, nie jestem taki głupi.

Zakłęta w duchu. Jeśli ucieczka miała się powieść, wszystko powinno być pozostawione w tajemnicy. A teraz, proszę. Zdradziła się, i to przed kim? Przed tym nicponiem. Niech diabli wezmą jego bystre oczy! Trudno, w tej sytuacji nic już nie można było zrobić.

- Ile będzie mnie kosztować twoje milczenie? - spytała, świadoma, że tym samym rozwiewa jego ostatnie wątpliwości. Już nic pierwszy raz była zmuszona zyskać jego przychylność. Ale żeby znowu go przekupić, musiałaby mu oddać jeden jedyny przedmiot, bez którego ucieczka nie miałaby sensu! Gdyby nie to, że ogarniała ją czarna rozpacz, cała ta sytuacja wydałaby się jej dość zabawna. - Domyślam się, że medalion wystarczy - dodała ponuro.

Rene prychnął z niesmakiem. Nagle, gdy dotarło do niego pełne znaczenie jej słów, wybałuszył oczy ze zdumienia.

-Ty chcesz uciec! Ale... dlaczego?

Potrząsnęła głową.

- To moja sprawa, Rene.

Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. To chyba też zdarzyło mu się po raz pierwszy, odkąd Gabrielle go znała. Wlepił w nią zdumione spojrzenie.

- Ale jeśli naprawdę jesteś moim przyjacielem - ciągnęła - nie zdradzisz mnie. - Spojrzała mu w oczy. - A jesteś?

Niestety, mam złe wieści.

- Niech to diabli, Joshua, mów! - Bernice wbiła gorejący wzrok w lokaja, maskując gniewnym tonem strach.

Tak naprawdę niemal odchodziła od zmysłów. Podobnie jak wszyscy poza Jasonem, który bladym świtem bez słowa wsiadł na konia i gdzieś pojechał. Nad Fairhills zawisły czarne chmury.

Gabrielle zniknęła. Tej nocy nie spała w swoim łóżu. Z szafy w jej pokoju zniknęło kilka ubrań, włącznie z czarną peleryną. Było już południe, a nikt nie wiedział, gdzie jest *madame*.

Prentiss nigdy jeszcze nie widział, żeby Bernice była czymś aż tak przejęta. Ale wszyscy bardzo przywiązali się do młodej pani, a wojowniczką szczególnie. Wyglądało na to, że pani po prostu uciekła. Dobry Boże, tylko nie to! Niech tamto się nie powtórzy!

- Jedna klacz zniknęła ze stajni - powiedział ponuro.

- Boże! Czy Alexander wie?

Prentiss skinął głową.

- Był ze mną. Wziął ze sobą kilku ludzi i pojechali rozejrzeć się za nią w Charlottesville.

- A Jason? - Bernice wiedziała, że to wszystko ma z nim jakiś związek. Młodzi małżonkowie musieli się pokłócić, i to w pierwszy dzień po ślubie.

Od tamtej pory Gabrielle nie wychodziła ze swojego pokoju i nie chciała z nikim rozmawiać. Nawet z Bernice, która zaczęła podejrzewać, że Jason znowu zachował się jak gbur. A Gabrielle po prostu wolała nie mówić jej o nim nic złego. Wszak wiedziała, że Jason zawsze był dla niej, Bernice, oczkiem w głowie!

A z Jasonem nie dawało się wytrzymać. Ten głupiec zachowywał się jak rozwścieczony lew. Kłótnia małżonków musiała być naprawdę ostra!

- Panicz Jason? - Prentiss potrząsnął głową. - Pewnie jest gdzieś na polach. Pan Alexander wysłał po niego paru ludzi, ale pewnie nieprędko go znajdą.

Z ust Bernice wyrwał się strumień soczystych francuskich przekleństw. Aż strach było pomyśleć, jak zareaguje Jason, gdy się dowie, że żona odeszła. Tak jak jego matka. A Bernice wiedziała - wiedziała! - że Gabrielle nie była taka jak Juliette. Jeśli uciekła, to zawinił tu ten młody czart.

- Gdybym tylko miała pojęcie, o co tak się pokłócili - mruknęła - to może... - Podniósłszy wzrok, zauważyła, że Joshua patrzy na nią niepewnie. - Co? Czyżbyś coś wiedział?

Prentiss się nie odezwał. Nie zamierzał przyznać się do podsłuchiwania, ale...

- Ty coś wiesz! - krzyknęła Bernice.

- Diabła tam, kobieto, gdybym nawet coś wiedział, nic by to nie dało.

- Mów! I to już!

Wojownicza, jak zawsze, pomyślał Prentiss i westchnął ciężko.

- Nno bo... panicz Jason wpadł w ten swój nastrój... no wiesz, jak niedźwiedz z łapą w sidłach...

- Tak, tak! Do rzeczy!

- Do licha, kobieto, próbuj! To zaczęło się dzień po ślubie, rano. Widziałem, jak to było. On... eee... on chyba niechcący usłyszał coś, czego, może, nie powinien.

- Co takiego, na Boga?

- Pamiętasz, jak siedziałś przy stole i gadałś do tego swoje-  
go ptaszyska? Panicz Jason coś z tego usłyszał.



Bernice wbiła w niego wzrok. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Mówiłem ci, żebyś nie gadała do siebie, Bernice - ciągnął Joshua, nie mogąc się oprzeć pokusie. - A ten opierzony...

- Dosyć! - krzyknęła i uniosła dłoń. Co takiego Jason mógł usłyszeć? Miała doskonałą pamięć do szczegółów. Powinna sobie...

- Jezu - wyszeptła. Już sobie przypominała. Mówiła Leroyowi, jaka zmyślna z Gabrielle dziewczyna. Opowiadała mu o tym, jak pojętną okazała się uczennicą, skoro tak dobrze skorzystała z porady Bernice i wykorzystała łożę małżeńskie do... Cholera! Czy właśnie to usłyszał Jason? Jeśli tak, to...

Bernice zamknęła oczy i jęknęła. To wszystko jej wina! Gdyby tak dumny człowiek jak Jason pomyślał, że żona uknuła jakiś podstęp... Nie trzeba było gdybać. Jason, mimo wszystko, w głębi duszy nadal nie ufał żonie. Uważał, że Gabrielle jest taka sama jak inne kobiety. Jak jego matka. A ona, Bernice, doprowadziła do tego, że...

- Joshua - rzuciła, przesywając go spojrzeniem - musisz znaleźć Jasona i natychmiast go do mnie przyprowadzić! Nic nie mów! Muszę z nim porozmawiać, zanim się dowie od innych, co się stało, rozumiesz?

## 23

Zbliżając się do punktu, w którym ścieżka się poszerzała, Gabrielle osadziła kobyłę.

- Możesz już zsiąść, Rene.

- Dzięki Bogu - jęknął chłopak, po czym przełożył nogę nad zadem klaczy i zsunął się na ziemię. - Wspaniale - krzyknął, gdy poczuł, że nogi się pod nim uginają. - Zostałem kaleką!

Gabrielle wzniosła oczy ku niebu i zsiadła z kobyły.

- Za parę minut wszystko będzie w porządku, Rene. Oprzyj się tylko o konia, a zaraz staniesz pewnie na nogach.

Chłopak podejrzliwie lypnął okiem na kobyłę, ale zrobił, co powiedziała Gabrielle. Przymknął sobie w duchu, że do końca życia będzie trzymał się z dala od koni.

Czego się nie robi dla przyjaciół! Najpierw użyczył Gabrielle swojego ubrania. Potem pomógł jej ukraść klacz ze stajni. Choć trzeba uczciwie przyznać, Gabrielle twierdziła, że chce ją tylko pożyczyć do czasu, gdy dotrze tam, gdzie zamierza - nie powiedziała mu nic ponadto. No i jakby tego wszystkiego było mało, jeszcze się uparł, by towarzyszyć jej, aż znajdą się w bezpiecznej odległości od Fairhills. Jechali już od wielu godzin. Po niebie rozlewał się świt.

- I co teraz, *madame*? - spytał, ogarniając spojrzeniem rzekę. Przez całą noc jechali wzdłuż koryta Ravenny, po ścieżce skapanej w bladym świetle półksiężyca. A w tej chwili nad lustrem wody unosiła się mgła, przesłaniająca drugi brzeg.

- Tutaj się rozstajemy, przyjacielu - powiedziała, uśmiechając się smutno. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli dalej pojedzie sama. - Gdy ujrzała ulgę malującą się w jego spojrzeniu, jej uśmiech stał się cieplejszy. - Jesteś pewien, że trafisz z powrotem?

- A cóż to! Wystarczy, żebym poszedł po naszych śladach. Każdy to potrafi. Dla kogoś takiego jak ja - strzelił palcami - to błąhostka!

Gabrielle zachichotała. Uzmysłowała sobie z pewnym smutkiem, że będzie jej brakować tego nicponia. Podobnie jak wielu innych ludzi... Bernice... Alexandra... Conora.

Gdy musnęła palcami medalion wiszący na jej szyi, coś ścisnęło ją za gardło. Położywszy ręce na szczupłych ramionach Rene, pocałowała go w policzek.

- Dziękuję ci za wszystko, Rene. Byłeś dla mnie prawdziwym przyjacielem i nigdy cię nie zapomnę.

Chłopak spojrzał na nią pośpynym wzrokiem.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, Gabrielle? Jeszcze nie jest za późno, żeby...

- Właśnie, że jest, Rene... jest już za późno. - Za późno, by załatwić tak wiele spraw. By móc żyć przeszłością. Za późno dla niej i dla tego nieudanego małżeństwa. Dobry Boże, może nawet za późno, by uratować *maman!*

Za późno też na żale.

Z ciężkim westchnieniem podała Rene mniejszy z dwóch worków z prowiantem, które wcześniej udało mu się zwędzić.

- Rene, bierz to, nie gadaj - powiedziała, gdy zrobił minę, jakby nie chciał tego przyjąć. - Dla mnie jeszcze dużo zostało, a przed tobą długi marsz.

Westchnąwszy ciężko, chłopak wziął worek z jedzeniem.

- Nie powiem: żegnaj, *madame* - rzekł śmiertelnie poważnym tonem, po czym uniósł jej dłoń do ust. - Tylko *au revoir*, dobrze?

- *Oui* - odparła cicho, zdając sobie sprawę, że być może widzą się po raz ostatni. - *Au revoir*, Rene.

Chłopak wyprężył pierś, rozejrzał się, po czym pochylił głowę w szarmanckim ukłonie. Następnie odwrócił się i dziarskim krokiem ruszył przed siebie.

Gabrielle patrzyła za nim, aż zniknął pośród mgły, po czym ze ściśniętym sercem podeszła do kobyły. Za późno na żale - powiedziała sobie, wsiadając na jej grzbiet. Za późno.

Jason wszedł do domu przez tylne drzwi. Był zmęczony i wściekły. Przez to, że koń zgubił podkowę, musiał wracać z pól na piechotę. Marzył tylko o tym, żeby się wykąpać i wyciągnąć na wygodnym łożu.

Nagle jednak pędem podjechał do niego ten cholerny Prentiss i kazał mu natychmiast pójść do Bernice. Dał Jasonowi nawet swojego konia, byle było szybciej. Żeby ten sukinkot choć powiedział, o co chodzi!

- Co się, u diabła, dzieje, Bernice?

Murzynka siedziała przy biurku w małym pokoiku, który służył jej jako osobisty gabinet. Wskazała ręką krzesło.

- Usiądź, Jason.

Przez chwilę przyglądał jej się bacznie, usiłując odgadnąć, w jakim jest nastroju. Ale Bernice doskonale potrafiła maskować swoje prawdziwe uczucia. Jason odwrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem. Zmarszczył czoło.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego, Bernice.

Murzynka od razu przeszła do rzeczy.

- O co pokłóciliście się z Gabrielle cztery dni temu?

Jason, zaskoczony, zamrugał. Po chwili na jego twarzy wyrył się gniew.

- Niech to diabli, Bernice! Co, przyszła ci się wyzalić? Ta podstępna mała suka...

Bernice uniosła dłoń.

- Nikt mi się nie „żalił”, Jasonie Trace. Po prostu odpowiedz mi na pytanie. Co zaszło między wami?

Spojrzał na nią ze złością.

- Od dzieciństwa nie musiałem się przed tobą z niczego tłumaczyć, *madame*. Nie widzę powodu, dlaczego miałbym to zrobić teraz.

Bernice zacisnęła usta. Wiedziała, że nie będzie z nim łatwo, ale nie mogła dopuścić do tego, by wziął nad nią górę.

-I tak mi powiesz. To naprawdę ważne!

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Jednak widząc żelazną determinację wycierającą z oczu Bernice, Jason westchnął i wzruszył ramionami.

-My... tak właściwie nie pokłóciliśmy się -wydusił z siebie. - Po prostu postanowiłem...

Co właściwie postanowił?

Wypędzić żonę ze swojego łóża - szydził z niego jakiś cichy wewnętrzny głos. Odmówić sobie przyjemności, jaką dawało ci jej ciało i tym samym doprowadzić się do szaleństwa. A przecież ona była twoja. Chciałeś ją ukarać, a ukarałeś samego siebie.

Potrząsnął głową, usiłując opędzić się od tych myśli.

- Ustaliłem pewne zasady - powiedział. - Krótko mówiąc, dałem jej do zrozumienia, że nie jestem zaślepionym głupcem, którego można wodzić za nos!

- Boże, coś ty jej powiedział?

Nie chodzi o to, co powiedziałeś, tylko co zrobiłeś. Zatrzasnąłeś jej drzwi przed nosem - nie ustępował cichy głos. Jason milczał.

Bernice westchnęła ciężko. Tego właśnie się obawiała: usłyszał, jak dzieliła się z krukiem swoimi przemyśleniami. Co dokładnie powiedziała Leroyowi? Ach, już sobie przypomniała. Cholera, czy naprawdę mówiła o „obłaskawianiu” mężczyzny?

No cóż, nawarzyła niezłego bigosu, musiała teraz coś z tym zrobić. Jeśli to w ogóle możliwe. Jeśli nie jest za późno. Oby tylko Gabrielle nie spotkało nic złego!

- Usłyszałeś, jak gadałam z krukiem, zgadza się? - spytała. - Jak naopowiadałam mu jakichś głupot.

Jason uniósł brwi.

- Skąd...

- To nieważne. Ważne jest tylko to, że słyszałeś, jak powiedziałam słowa, które ty bez wahania przypisałeś swojej Bogu ducha winnej żonie.

- Bogu ducha winnej? Ha! Jeśli ona jest niewinna, to...

- Zamknij się wreszcie i wysłuchaj mnie, chłopcze! Mamy mało czasu.

W oczach Jasona pojawiło się zdumienie.

- Czasu? Na co?

- Najpierw mnie wysłuchasz. I dopóki nie skończę, masz siedzieć cicho.

Zacisnął zęby, ale się nie odezwał..

- Gabrielle nic przeciwko tobie nie knuje, Jason. Jest raczej ofiarą podstępny. Mojego podstępny. Nie! Powiedziałam ci, że masz mnie wysłuchać, i, na Boga, wysłuchasz mnie!

Jason, który wyglądał, jakby miał stracić panowanie nad sobą, w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nieczęsto widział Bernice w takim nastroju. Nie mówiła do niego w ten sposób, odkąd był dzieckiem. Co tu, u licha, się działo?

- Tak naprawdę - powiedziała - to ja zasugerowałam jej, że mądra kobieta potrafi wykorzystać... namiętność, która rodzi się w łóżu małżeńskim. Nie patrz tak na mnie! To prawda, Jason. My, kobiety, jesteśmy na tym świecie bezsilne. Najczęściej jedyne, co możemy zrobić, to wpłynąć na bliskich nam mężczyzn w taki czy inny sposób. Tak, jeśli trzeba, wykorzystujemy do tego nasze ciała. I co z tego? Cóż złego jest w naszych knowaniach, skoro w ich wyniku i mężczyzna, i kobieta przeżywają chwile szczęścia, a potem łączą się w udanym małżeństwie? Jason, przestań się dąsać. Przecież nie mówię o zdradzie stanu. Nikt nie chce wodzić cię za nos. Zwłaszcza twoja żona. Pragnęła tylko szczęśliwego małżeństwa!

Jason przez chwilę siedział w milczeniu, nie odrywając od niej wzroku.

- Czemu mi to mówisz?

- Bo chcę, żebyś wreszcie przestał obwiniać Gabrielle. Musisz ją znaleźć, zanim stanie się jej coś złego!

-Co?!

- Twoja żona uciekła, mój drogi. I nie mam najmniejszych wątpliwości, że stało się to z naszej winy.

Gabrielle uparcie sunęła naprzód po ścieżce wijącej się pośród lasu. Z drzew dobiegały nerwowe trele ptaków; jeden z nich wydał jej się podobny do Leroya, ale to nie mógł być on. Leroy nigdy nie odlatywał daleko od wielkiego domu; po co, skoro tam zawsze mógł liczyć na jakieś ochłapy? Skarciła się w duchu. Nie pora, żeby wspominać przeszłość. Za późno na żale.

Ścieżka była wąska, ale dobrze utrzymana. Ciekawe, kto z niej korzysta - pomyślała Gabrielle. Nagle coś użądliło ją w szyję. Zakłęła cicho i machnęła ręką, próbując zabić natrętnego owada.

Teraz, gdy słońce wisiało wysoko na niebie, jej wędrówka stała się o wiele trudniejsza. Koszula Gabrielle przesiąknęła potem, podobnie jak czapka, pod którą upchnęła włosy. Wo-

kół krążyły roje much i komarów; im było cieplej, tym więcej ich się zlatywało. Boże, kiedy wreszcie dotrze do jakiegoś miasta lub osady?

Rene pokazał jej, gdzie leży Charlottesville, ale ona postanowiła udać się w przeciwnym kierunku. Ani Gabrielle, ani chłopak nie mieli pojęcia, dokąd wiedzie ta ścieżka. Z lekcji historii wiedziała, że miasta i wioski najczęściej powstawały w pobliżu rzek. Idąc wzdłuż rzeki, nie sposób więc nie natknąć się na jakieś ślady cywilizacji. Gabrielle uznała, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie dalej brzegiem Ravenny i...

Kątem oka dostrzegła, że coś poruszyło się na rzece. Ściągnawszy kobyłę, osłoniła oczy przed blaskiem słońca i...

Indianie! Nie miała wątpliwości, że byli to właśnie oni, choć nigdy wcześniej nie widziała ich na oczy. Było ich dwóch, płynęli małą łódką, o której słyszała... canoe. Gdy uzmysłowiła sobie, że najprawdopodobniej właśnie tym dzikusom zawdzięcza ową ścieżkę wiodącą przez las, nie wiedzieć czemu poczuła ochotę, by parsknąć śmiechem.

Z bijącym sercem rozejrzała się w poszukiwaniu kryjówki. Indianie byli dość daleko, więc mogli jej jeszcze nie zauważyć. Po obu stronach ścieżki ciągnęły się gęste zarośla; drzewa i rozmaite krzewy sięgały aż do samego brzegu rzeki. Wyglądało na to, że nie da się przez nie przedrzeć.

Z wysokiej gałęzi dobiegło donośnie krakanie kruka, który, przynajmniej z wyglądu, przypominał Leroya. Gabrielle popędziła kobyłę, która jednak ani myślała ruszyć z miejsca. Dziewczyna zaklęła pod nosem. Zerknawszy przez ramię, zobaczyła, że canoe zbliża się z dużą szybkością.

Zmagając się z lękiem, zsiadła z konia, życząc w duchu temu natrętnemu krukowi, by padł trupem, zanim zdradzi całemu światu jej kryjówkę. Bez zastanowienia przedarła się w głąb zarośli, nie zważając na gałęzie smagające ją po twarzy. Dobrze, że chociaż klacz posłusznie stąpała w ślad za nią.

Po chwili przystanąła pod wielkim dębem. W cieniu rozłożystej korony nie mogły rosnąć żadne rośliny, dlatego było tu sporo miejsca. A co najważniejsze, była to niezła kryjówka. Pod warunkiem, że Indianie jeszcze mnie nie zauważyli - pomyślała Gabrielle.

Indianie... Samo to słowo sprawiało, że zimny pot spływał jej po czole. Przypomniały jej się rozmaite opowieści o tych stworzeniach... o dzikusach, którzy dla przyjemności torturowali i zabijali ludzi. I do tego ich skalpowali. Z głów jeńców, czasem jeszcze za ich życia, odcinali kawałek skóry z włosami! Gabrielę uniosła drżąca dłoń do włosów ukrytych pod czapką, widząc oczyma duszy rudozłote loki zdobiące pas dzikusa. Nogi ugięły się pod nią, a z gardła, zaschniętego od strachu, wyrwał się cichy jęk.

Przeżegnawszy się, ścisnęła w dłoni medalion matki, niczym talizman, po czym upadła na kolana i zaczęła się modlić.

Rene nie modlił się już od dawna i miał nadzieję, że Bóg mu to wybaczy. Zwłaszcza że nie modlił się teraz za siebie, tylko za Gabrielle. Przed chwilą zauważył płynącą po rzece małą łódkę, w której siedzieli dwaj dzicy. Na szczęście, udało mu się na czas schować w zaroślach. Ale ci dwaj zmierzali w stronę Gabrielę! A ona nie dość, że sama musiała się schować, to jeszcze musiała myśleć o tej przeklętej kobyle!

W pierwszej chwili chciał pobiec i ją ostrzec, ale zda! sobie sprawę, że Indianie zauważą go, nawet gdyby udało mu się ich wyprzedzić. Ta mała łódka przecinała wodę jak rozgrzany nóż przecina masło!

- Święty Ojciec - modlił się, stojąc z pochyloną głową na środku ścieżki - proszę, strzeż mojej przyjaciółki Gabrielę. Wiem, że ona jest tylko kobietą, ale właśnie dlatego potrzebna jej twoja pomoc. A poza tym jest odważną kobietą, Panie, nawet jeśli czasami głupio postępuje. Proszę, nie dopuść, by te czerwone dzikusy...

- Na Boga, Rene, co ty tu, u licha, robisz?

Chłopiec błyskawicznie podniósł głowę.

- *Monsieur* Jason!

- Zgadza się! - warknął Jason, zsiadając z konia. - Właściwie nie musisz mi odpowiadać. Wszedłeś w korszachty z moją żoną, co? Ślady podków wydawały mi się głębsze niż zwykle, no i się nie myliłem! Klacz rzeczywiście wiozła na grzbiecie dwie osoby!

Jason stanął nad chłopcem, który jeszcze nie otrząsnął się z zaskoczenia.

- Gdzie ona?



- T-tam - wydusił z siebie Renę, wskazując kciukiem za plecy. - Dzięki Bogu, że pan tu jest, *monsieur*! W tamtą stronę płyną dwaj dzicy! W Łódce! Widziałem ich kilka minut temu!

Jason zaklął siarczyście pod nosem. Indianie, którzy zostali w tych okolicach, z reguły żyli w przyjaźni z białymi sąsiadami, ale zawsze trafiały się jakieś czarne owce.

- Słuchaj uważnie, Ren. Masz się stąd nie ruszać. Schowaj się i zaczekaj, aż wrócimy, rozumiesz?

Chłopiec energicznie pokiwał głową.

- A gdybym nie wrócił - ciągnął Jason - zaczekaj, aż się ściemni i leć do Fairhills po pomoc.

Chociaż jeśli ci Indianie okażą się nieprzyjaznymi odszczepieńcami, będzie za późno na jakąkolwiek pomoc - pomyślał.

Odpędzając natrętne myśli, Jason szybko pomógł Renę schować się w gąszczu drzew, po czym popędził konia.

Z ponurą miną wyruszył na dalsze poszukiwanie niepokornej żony. Bernice wreszcie przemówiła mu do rozsądku. Wiedział już, że niesłusznie oskarżył Gabrielle, i zaczęło go nękać poczucie winy. No, ale nadal miał jej sporo do zarzucenia. Przecież uciekła od niego. I to wtedy, gdy nosiła w sobie jego dziecko! A teraz oboje byli w niebezpieczeństwie.

Pochylając się nad kłębami konia, Jason zaklął ostro. Z jednej strony, niesamowicie bał się o żonę, a z drugiej - miał ochotę skrócić jej kark.

Nie zauważyli jej. Gabrielle odczuła taką ulgę, że nogi niemal się pod nią ugięły. Jeszcze przed chwilą słyszała, jak Indianie, zbliżając się do jej kryjówki, rozmawiają w swoim gardłowym języku. Była święcie przekonana, że mówią właśnie o niej. I wtedy, chwala Bogu, ich głosy zaczęły się oddalać! Odczekała, aż ucichną całkowicie, po czym ostrożnie wróciła na ścieżkę. Z radości ledwie trzymała się na nogach.

Łódka zniknęła. Do oczu Gabrielle napłynęły łzy, ale powstrzymała się od płaczu. Nie mogła dopuścić, by zawładnęły nią emocje.

Spojrawszy w dół, uświadomiła sobie, że nadal trzyma w ręku medalion *maman*. Ścisnęła go tak mocno, że paznokcie wbiły jej się w dłoń. Potrząsnęła głową, rozwarła pięść i spojrzała na tę jakże cenną pamiątkę.

No, ale przecież to nie jedyna pamiątka po matce - powiedziała sobie w duchu. Przeniosła spojrzenie na czarne zawiniątko leżące na siodle - była to peleryna *maman*. Następnie jej oczy znowu spoczęły na medalionie. Zdjęła go z szyi. To była tylko błyskotka umożliwiająca wyjście z beznadziejnej sytuacji. Nic więcej!

Nagle, nie wiadomo skąd, wyłonił się jakiś czarny cień i krząc donośnie rzucił się prosto na nią. Gabrielle wydała z siebie okrzyk przerażenia, po czym niezdarnie ruszyła w stronę klaczy, która, zaniepokojona, zarżała głośno.

- Nie! - krzyknęła, czując, że coś wrywa jej medalion z dłoni. Za późno. Teraz zauważyła, że to ten sam kruk, który przypominał jej Leroya. A właściwie... to był Leroy! - Nie, proszę! Leroy! Oddaj to!

Ptak zakrakał głośno i wzniósł się wyżej, po czym sfrunął, jakby chciał się z nią podrażnić. Kobyła, i tak już niespokojna, przerażona jeszcze bardziej i z głośnym rzeniem popędziła ścieżką w stronę, z której przybyli. Leroy zakrakał raz jeszcze, po czym odfrunął nad rzekę. W jego dziobie dumnie błyszczał medalion.

- Leroy! - krzyknęła Gabrielle. - Och, Leroy, wracaj! - Ale kruk już zniknął. Podobnie jak kobyła. A wraz z nimi prysnęła wszelka nadzieja. Pozbawiona szansy na zapewnienie sobie i dziecku nowego życia, Gabrielle poczuła, że opuszczają ją resztki odwagi. Rzuciła się na ziemię, a z jej piersi wyrwał się pełen rozpaczny szloch.

W takim stanie znalazł ją Jason, kilka minut po tym, jak, ku swojemu przerażeniu, zobaczył spłoszoną klacz pędzącą po ścieżce. Co oni zrobili mojej Gabrielle? - pomyślał, odchodząc wręcz od zmysłów. Z bijącym sercem podjechał bliżej, patrząc, czy nie jest ranna.

Ściągnął konia, po czym zeskoczył na ziemię.

- Gabrielle, słyszysz mnie? Chryste, Gabrielle! Co oni ci zrobili?

Pochylił się i delikatnie odwrócił ją ku sobie. Poplątane włosy opadały jej na ramiona, czapka Renę zsunęła jej się z głowy. Chwała Bogu, nigdzie nie widać było ani śladu krwi.

Gabrielle, pogrążona w głębokiej rozpacz, nawet nie usłyszała, kiedy do niej podjechał. Zaczepnęła powietrza i spojrzała na niego przez łzy.

- Jason?

- Tak, to ja, skarbie, nie, nie ruszaj się! Powiedz tylko, gdzie cię boli.

- B...boli? - Owszem, zabolalo ją serce, gdy usłyszała, że nazywa ją „skarbem”, a ona nie pojmowała, dlaczego. Gdy zobaczyła go, choć myślała, że już nigdy nie zobaczy. Gdy przypomniała sobie, dlaczego musiała odejść.

- Indianie - powiedzial, delikatnie obmacujac jej ciało w poszukiwaniu złamanych kości. - Gdzie cię... co się stało?

Nareszcie zrozumiała, o co mu chodzi, i poczuła ochotę, by wybuchnąć szaleńczym śmiechem. Powstrzymała ją tylko obawa, że gdy to zrobi, nie będzie mogła przestać. Jason myślał, że Indianie wyrządzili jej krzywdę. A przecież nic nie mogło sprawić jej większego bólu niż jego nienawiść. Za późno...

- Nic mi nie jest - powiedziała, otarła policzki z łez i usiadła.

Jason popatrzył na nią z powątpiewaniem, zastanawiając się, dlaczego ma tak zaciętą minę.

-A twoja klacz? - spytał, wskazując ręką kierunek, z którego przybył. - Widziałem, jak biegnie w stronę...

- Indianie nie mieli z tym nic wspólnego - wtrąciła, po czym opowiedziała mu, co się stało.

Kiedy skończyła mówić, przez długą chwilę Jason patrzył na nią ponuro. Z oddali dobiegał szczebiot ptaków. Gdzieś w pobliżu rozległ się cichy szelest - to jakieś małe niewidoczne zwierzę przemykało pośród krzewów. A Jason ciągle milczał; cisza stawiała się nie do zniesienia.

Gdy Gabrielle pomyślała, że nie wytrzyma ani chwili dłużej, Jason wreszcie przerwał milczenie.

- Czyli - powiedzial zwodniczo łagodnym tonem - to głupie patzysko udaremniło twoją zdradę. - Patrzył na nią zimnym wzrokiem.

- Zdradę?!

- Zgadza się - warknął, po czym złapał ją za włosy i przyciągnął jej twarz do swojej. - Jak inaczej nazwiesz postępek kobiety, która opuszcza męża? Która ucieka, mimo że nosi w sobie jego dziecko!

Ich twarze były tak blisko siebie, że Gabrielle wyraźnie widziała białe linie przecinające skórę wokół oczu Jasona, tam gdzie

nie docierało słońce, gdy rażony jego blaskiem mrużył powieki. Widziała też odbicie swojej twarzy w jego ciemnych źrenicach.

- Owszem, opuściłam męża - powiedziała szeptem - ale dopiero wtedy, gdy on mnie odtrącił.

W jego oczach pojawił się jakiś błysk, ale zniknął, nim zdołała się zorientować, cóż może oznaczać. Jason zaklął pod nosem i puścił ją tak nagle, że o mało nie przewróciła się na plecy.

- Miałaś szczęście, Gabrielle - wyrzucił z siebie. - Wiesz, jak wiele niebezpieczeństw czyha na samotnie podróżujące kobiety? Co gorsza, nie ryzykowałam tylko swojego życia, ale też życie mojego dziecka!

Spuściła wzrok, ale nic nie powiedziała. Jason jeszcze raz zaklął siarczyście.

- A dokąd to się wybierałaś, jeśli wolno wiedzieć? - spytał przez zaciśnięte zęby.

Z trudem dobierając słowa, opowiedziała mu o swoich planach, o tym, że zamierzała oddać się do służby kontraktowej. Teraz wydało jej się to co najmniej głupim i nieodpowiedzialnym pomysłem.

Gdy skończyła, Jason znów zaczął kląć.

- Sprzedałabyś się? - spytał z niedowierzaniem. - I dziecko? Moje dziecko! Chryste! Co z ciebie za kobieta?

Znów nie pokusiła się o odpowiedź. Nie było sensu nic mówić; żadne słowa nie oddałyby bezmiaru desperacji, jaka ją ogarniała w chwili, gdy uknuła ten plan.

- Podnieś czapkę - warknął Jason, po czym, nie patrząc na nią, wstał i podszedł do konia. - Mąż, który cię odtrącił, zabiera cię do domu, czy tego chcesz, czy nie.

Nagle zwrócił się twarzą do niej i tym razem nie mogła nie zauważyć bólu malującego się w jego oczach.

- Czy aż tak mnie nienawidzisz, Gabrielle, żeby ranić mnie w ten sposób? Żeby ukarać mnie, postępując jak moja matka?

- Nie! - krzyknęła. - Ja nigdy...

Ale tak właśnie postąpiła. Opuściła go, jak jego matka. Planując ucieczkę, Gabrielle nie zapatrywała się na to w ten sposób. W rozpaczy zupełnie nie przyszło jej do głowy, jak mogą zostać zrozumiane jej zamiary. A teraz on zwrócił na to uwagę. Za późno - szydził z niej jakiś cichy wewnętrzny głos.

- Ja... myślałam, że ucieszysz się, kiedy odejdę - powiedziała cicho, z wzrokiem wbitym w ziemię.

Wtedy Jason przypadł do niej i zmusił ją, by spojrzała w jego surową, zaciętą twarz.

- Powiedziałem ci w noc poślubną, Gabrielle, że jesteś moja. Że dziecko w twoim łonie łączy nas i ta więź nigdy nie zostanie zerwana. Czyżbym mówił nie dość jasno?

Kiedy nie odpowiedziała, zaklął cicho i puścił ją.

- Wsiadaj na konia. Wracasz ze mną. I wiedz jedno: nasze dziecko urodzi się w moim łóżu.

RS

Wszyscy odczuli niebywałą ulgę, gdy Gabrielle cała i zdrowa wróciła do Fairhills. Obawiała się, że będzie musiała wysłuchać długich kazań Alexandra i Bernice. Okazało się, że niepotrzebnie. Teść po prostu wziął ją w ramiona, mówiąc, jak bardzo się cieszy, że nie spotkało jej nic złego. Bernice zachowała się tak samo i wyjaśniła swój udział w „nieporozumieniu” z Jasonem. Nawet poprosiła Gabrielle o wybaczenie, po czym ze śmiechem dodała, że coś za często musi ją przepraszać; jeszcze trochę, a straci swoją reputację!

Jednak Gabrielle nie chciała przeprosin Bernice. Nade wszystko pragnęła, by przeprosił ją Jason. Na podstawie paru niewinnych słów Bernice wysnuł najgorszy z możliwych wniosków i zachował się jak ostatni gbur. Co więcej, teraz znał już prawdę, a czy zdobył się na przeprosiny? Czy choćby powiedział, że żałuje swego postępowania?

Takie właśnie myśli kłębiły się w jej głowie, gdy tego wieczoru wchodziła do wanny. Po tym, jak w pełnej napięcia atmosferze wrócili do Fairhills, Jason odstawił ją do Wielkiego Domu, a sam bez słowa gdzieś zniknął. Nie miała pojęcia, dokąd się wybierał. Czyżby znowu chciał ją ukarać? Czy była skazana na życie u boku męża, który unikał jej jak ognia?

- Zabiorę tacę, proszę pani. - Głos Betty oderwał ją od tych gorzkich rozmyślań. - Potem przyjdę i pomogę pani...

- Nie, Betty, to nie będzie konieczne - powiedziała Gabrielle, widząc, jak pokojówka z trudem powstrzymuje się od ziewania. Biedna Betty przez cały dzień zamartwiała się o swoją panią i teraz ledwo stała na nogach. W duszy Gabrielle odezwało się poczucie winy. - Sama przygotowuję się do snu. A ty idź, wyśpij się.

Dziewczyna podziękowała jej i dygnęła, po czym wyszła, zabierając tacę z naczyniami. Bernice nalegała, by Gabrielle zjadła kolację w swoim pokoju i jak najwcześniej położyła się spać.

- Musisz odpocząć po tym, co przeżyłaś - powiedziała. - Małeństwo też.

Wspomniawszy słowa Bernice, Gabrielle potrząsnęła głową. Żeby jeszcze Jason był taki troskliwy...

Z westchnieniem sięgnęła po ręcznik, pozostawiony przez Betty przy mosiężnej wannie, po czym się podniosła; w tej samej chwili otworzyły się drzwi. Stał w nich Jason.

Był ubrany tak jak wtedy, gdy widziała go ostatnio - w rozchełstaną koszulę i obcisłe bryczesy wciśnięte w wysokie buty. Wiatr potargał mu włosy, mimo że były związane w kucyk. Na czoło opadały ciemne loki, podkreślające mrok czający się w jego oczach. Boże! Był... piękny. I taki... męski.

Nie mogła oderwać od niego oczu. Nawet nie zdała sobie sprawy, że jej sutki zaczęły twardnieć od narastającego w niej pragnienia.

Ale Jason to zauważył. Jego usta skrzywiły się w lekkim uśmiechu.

- Masz na mnie ochotę? - spytał. - Czy też ci zimno?

Zaczerpnawszy powietrza, podniosła ręcznik, chcąc osłonić nim piersi.

- Jeśli zakryjesz tym choć jeden cal swojego ciała - rzekł, podchodząc do niej - to wyjdę.

Gabrielle zamarła. Jason parsknął śmiechem i powoli zbliżył się do wanny. Jego palce powędrowały do guzików koszuli. Patrząc, jak je rozpina, Gabrielle bezwiednie oblizała wargi. Jason roześmiał się znowu. Jego śmiech sprawił, że serce zabiło jej żywiej.

Wiedziała, że oczom męża nie umknął żaden szczegół jej nagiego ciała. Chciała się ruszyć, ale nie mogła. Czarne oczy Jasona na wpiły się w jej twarz. Koszula zsunęła mu się z ramion.

- No, maleńka? - spytał, sięgając do bryczesów. - Może odpowiesz na moje pytanie?

Nie mogąc oprzeć się pokusie, spojrzała na sterczący organ, który wyrwał się z jego bryczesów.

- To z zimna? - ciągnął, gdy jego dłoń powędrowała do jej twardego sutka i wykręciła go z ręcznika, przyprowadzając ją o drżenie. -

A może nie, hmmm? - jego druga dłoń wśliznęła się między jej uda. Wyczuwając rozpalone miejsce, uśmiechnął się.

Wtedy, gdy już myślała, że nogi za chwilę się pod nią ugną, podniósł ją. Z głośnym jękiem objęła go za szyję, a on chwycił ją za mokre, śliskie pośladki i przycisnął do siebie.

Ogień namiętności strawił ich splecione ciała. Gabrielle przywarła do Jasona, oplatając go nogami. Po kilku minutach było po wszystkim. Krzycząc w uniesieniu, zatopiła usta w jego ustach, czując w sobie jego gorące nasienie.

Jason zamknął oczy. Gabrielle zwiśla bezwładnie w jego objęciach. Sam ledwo trzymał się na nogach. Nigdy jeszcze tak nie pragnął żadnej kobiety ani nie czuł tak ognistego pożądania. A ich zbliżenie... cóż za rozkosz!

Po powrocie celowo pozostawił ją samą. A niech się trochę pomęczy - pomyślał. Poza tym nie chciał brać udziału w całym tym zamieszaniu, wywołanym jej powrotem. Nie mógł patrzeć, jak wszyscy ją obskiskują ze łzami w oczach. Przecież uciekła, do diabła! Ta historyjka o synu marnotrawnym nigdy do niego nie przemówiła. Jego zdaniem wszyscy grzesznicy winni ponieść karę.

W końcu jednak uświadomił sobie, że karze sam siebie. W czasie jazdy konno po plantacji myślał tylko o Gabrielle. Nie mógł zapomnieć, jak czuł ją przy sobie, jak się do niego tuliła, gdy wzdłuż rzeki wracali do Fairhills. Te wspomnienia uparczywie nie dawały mu spokoju, postanowił więc wrócić do domu. Ta kobieta należała do niego, a przecież nie był mnichem!

Teraz, gdy trzymał ją w ramionach, obiecał sobie, że nigdy już nie będzie udawał mnicha. Gabrielle zaspokajała jego żądze jak żadna inna kobieta. Jeśli nawet miała jakieś wady, to trudno. Wystarczy, że on będzie ostrożny. A na razie wpuści ją do swego łóża. Przecież dla mężczyzny to właśnie jest największa korzyść z małżeństwa.

Na myśl o łóżu Jason się uśmiechnął. Ze zdziwieniem poczuł, że członek, nadal spowity w jej ciepłe, znowu zaczyna twardnieć. Bez słowa ruszył w stronę swojej sypialni, z Gabrielle na rękach.

- Dokąd... dokąd idziemy? - mruknęła, jak przez sen.

- Tam, gdzie twoje miejsce, maleńka - powiedział. W jego ciemnych oczach pojawił się błysk pożądania. - I gdzie już zostaniesz.



Mijały ciepłe, spokojne letnie dni. Rozpoczęły się przygotowania do zbiorów. W Wielkim Domu, gdzie bez względu na porę roku zawsze coś się działo, do tysiąca zajęć pochłaniających służbę od świtu do zmierzchu doszło jeszcze przyrządzenie przetworów. Nawet dzieci pomagały, tępiąc muchy, przynosząc jaja z kurnika i zabijając szkodniki buszujące po przykuchennym ogrodzie.

Alexander i Jason spędzali długie godziny na polach, po czym do późnej nocy siedzieli w gabinecie; tam rozprawiali o metodach upraw oraz sumowali i porządkowali rozmaite dane, które następnie wprowadzali do ksiąg plantacji.

Gabrielle rzadko widywała męża za dnia i to ją niepokoiło. Zaczęła się obawiać, że nigdy już tak naprawdę go nie pozna. Nie mówiła nic na ten temat, nie chcąc naruszać rozejmu, jaki osiągnęli w tym niełatwym związku.

Z drugiej strony, mimo że za dnia praktycznie byli dla siebie jak obcy, noce wyglądały zupełnie inaczej. Bez względu na to, jak długo Jason pracował, jak bardzo wydawał się zmęczony, każdej nocy zabierał Gabrielle do swego łóża i przyprawiał ją pieścotami o utratę zmysłów. No i jego małżonka, pijana z namiętności i nasycona rozkoszą, nic mu nie mówiła. Tak mijał tydzień za tygodniem.

Gabrielle pragnęła jednak uczestniczyć w tym wszystkim, co dzieje się wokół. Alexander z Jasonem na polach, Bernice zapracowana po uszy... praktycznie nie było nikogo, z kim mogłaby posiedzieć, porozmawiać. Czując się znudzona i nikomu niepotrzebna, zaczęła nagabywać Bernice o jakieś zajęcie, coś, co pomogłoby jej zabić czas. I nic. Poza jakimiś drobnymi robótkami ręcznymi, które szybko się Gabrielle znudziły. Kobieta w ciąży nie może się przemęczać - tłumaczyła cierpliwie Bernice, nie zważając na jej prośby i groźby.

Jedyną rozrywką pozostawała jazda konna. W pierwszych dniach jej pobytu Alexander oddał do dyspozycji Gabrielle piękne konie ze stajni Fairhills. Jednak odkąd Jason się dowiedział, że dziewczyna jest przy nadziei, pozwalał jej jeździć tylko na potulnej drobnej klaczkę imieniem Angel. No i co dzień spędzała godzinę lub dwie na grzbiecie Angel i powracała z tych sennych przejażdżek jeszcze bardziej znudzona.

Pod koniec sierpnia jej znudzenie sięgnęło zenitu. Jason pojechał do Richmond, by się spotkać z pośrednikiem, który pomagał Trace'om w sprzedaży plonów. Nie było go już od dziesięciu dni... i nocy, co było o wiele trudniej znieść.

Do tego czasu nawet nie zdawała sobie sprawy, jak mocno pragnęła kochać się z Jasonem. Próbowała się z tego przed sobą wytłumaczyć, wmawiała sobie, że to jedyne, co ich łączy, że poza tym nie mają ze sobą kontaktu. Przecież za progiem sypialni praktycznie w ogóle nie rozmawiali.

Może to i prawda - powiedziała sobie którejś bezsennej nocy po tym, jak upłynął tydzień jego nieobecności, ale musiała wreszcie przyznać coś zupełnie innego: po prostu pragnęła mieć go u swojego boku w ich małżeńskim łóżu.

Niemal wybuchnęła śmiechem, gdy to wreszcie do niej dotarło. To, co przeżywała w ramionach Jasona, różniło się od jej gorzkich doświadczeń z Wersalu jak jedwab od juty. Jakże mogła przykładać do wszystkich mężczyzn tę samą miarę?

Nagle zaświtała jej pewna myśl. Czy matka czuła to samo do Antoine'a d'Albreta? To by dużo wyjaśniało, a jednak...

Przestała o tym myśleć. Wszelkie obawy o los matki ukryła głęboko w sercu. Gdyby dzień w dzień stawiała im czoło, z pewnością postradałaby zmysły, a przecież musiała mieć na uwadze dobro dziecka. Poza tym na samą myśl o d'Albrecie czuła się nieswojo.

Ciągle nic nie mogło rozproszyć nudy długich letnich dni. Pewnego popołudnia, po powrocie z przejażdżki na Angel, Gabrielle zauważyła, że stajnia jest pusta. Konie zostały wypuszczone, a wszyscy stajenni zagonieni do sianokosów w obawie przed nadchodzącymi deszczami.

Gabrielle pochłapała Angel zimną wodą, rozsiadła ją, po czym zaprowadziła do boksu. Następnie rozejrzała się i odetchnęła głęboko. Delektowała się zapachem unoszącym się w stajni... słodka, ostrą wonią siana, natłuszczonej skóry siodeł i uprzęży, czystych, zdrowych koni. W dzieciństwie uwielbiała odwiedzać stajnię. Wciąż jeszcze wspominała z łezką w oku, jak stajenni, folgując małej córce hrabiego w zachciankach, pozwalali, by pomagała im przy koniach.

Jej oczy spoczęły na opartych o ścianę widłach. Uśmiechając się szeroko, wzięła je do ręki.

Po chwili Gabrielle nie czuła już nudy.

Minęła godzina, a ona nadal z zacięciem robiła swoje. Nucąc pod nosem wesołą melodyjkę, nie dosłyszała kroków.

- Co, u diabła...? Kobieto, czyś ty zwariowała?

Gabrielle zastygła w bezruchu, po czym powoli odłożyła widły i odwróciła się.

- Jason! - Zdobyła się na słaby uśmiech, mimo że mąż patrzył na nią spode łba. Wyglądał tak wspaniale w rozpiętej koszuli, z płaszczem przewieszonym przez ramię. Kolana się pod nią ugięły. Słońce pomalowało jego skórę na złotobrazowo, a opadający na czoło czarny kosmyk przydawał mu iście zbójckiego wyglądu. Z trudem się powstrzymała, by nie paść w jego ramiona.

- Co ty właściwie robisz? - rzucił.

A ty liczyłeś na szalone, gorące powitanie - pomyślała. Wzruszyła ramionami.

- Czyszcze stajnię z gnoju. Chyba tak się na to mówi...

- Wiem, do cholery, jak się na to mówi! - Jason spojrział na słomę w jej włosach, na umorusany nos. Fioletowy strój do jazdy konnej, ciągnący się za nią po brudnej podłodze, był w opłakanym stanie.

Gabrielle niemal skuliła się pod miazdzącym spojrzeniem męża. Tymczasem oczy Jasona spoczęły na jej lekko już odznaczającym się brzuchu.

- Czy w ten sposób dbasz o nasze dziecko? Dziecko, które ponoć tak głęboko kochasz? - spytał, przesywając ją gorącym spojrzeniem.

Gabrielle, zmieszana, przygryzła wargę. Widząc to, niemal zmiękł. Brakowało mu jej. Samotne noce w oberży wydawały się dłuższe i bardziej niespokojne, niż był to gotów przed sobą przyznać. W Richmond popędzał pośrednika, by jak najszybciej załatwić całą sprawę, a w drodze powrotnej do Fairhills nie dał chwili wytchnienia ani koniowi, ani sobie. Kiedy wszedł do spowitej w półmroku stajni i usłyszał głos Gabrielle, nucącej wesołą melodyjkę, ogarnęła go dziwna radość.

Ale wtedy zobaczył, że żona stoi po kostki w gnoju i wymachuje widłami, na Boga! Czy myśli, że nosi w sobie jego dziecko, była dla niej tak odrażająca, że postanowiła się pozbyć tego dziecka? Inaczej nie dało się wytłumaczyć jej postępowania.

- Popatrz na siebie! - powiedział, z trudem powstrzymując się od wyrażenia swoich podejrzeń. - Widziałem już parobków, którzy lepiej wyglądali po całym dniu pracy! Czy twoja arystokratyczna matka tak nauczyła cię...

- Nie mieszaj do tego mojej matki!

-A ty, szanowna pani, w tej chwili odłożysz to... - spojrzał z obrzydzeniem na widły - ...to narzędzie! A potem pójdziesz do swojego pokoju, weźmiesz kąpiel i odpoczniesz trochę. Zrozumiano?

Gabrielle miała na końcu języka złośliwą ripostę, ale nie odezwała się. Nie było sensu się z nim kłócić, gdy był w takim nastroju. Poza tym rzeczywiście czuła się dość zmęczona. Z cichym westchnieniem skierowała się ku wrotom stajni.

Jego dłoń nagle spoczęła na jej ramieniu. Gabrielle aż podskoczyła, tak była napięta.

- Nie bój się, nie jestem jednym z tych, co tłuką żony- mruknął, odwracając ją ku sobie.

Papa kiedyś dał jej do czytania książkę o angielskim prawie. Pamiętała z niej, że mężczyzna może bić żonę pod warunkiem, że kij, który służy mu do tego celu, jest nie grubszy od jego kciuka. A prawo Stanów Zjednoczonych opierało się na angielskim systemie sprawiedliwości. Sprawiedliwości - ha! Mimo słów wypowiedzianych przed chwilą przez Jasona, ogarnęła ją wściekłość. A niechby tylko spróbował ją tknąć!

- Jakiś ty szlachetny! - odparowała z aż za słodkim uśmiechem na ustach.

Nie zwracając uwagi na tę sarkastyczną uwagę, przyjrzał jej się dokładnie. Zauważył, że pod jego spojrzeniem wyprostowała się, ale nie potrafiła ukryć swojego wyczerpania. A niech ją diabli - pomyślał.

- Zostaw mnie! - krzyknęła, gdy wziął ją na ręce.

- Cicho bądź! - Jason, z zaciętą twarzą, skierował się ku wrotom stajni.

- Zostaw mnie, mówię! Jason, na Boga, przestań! Co ludzie pomyślą? Służący...

- Powinnaś była się nad tym zastanowić, kiedy postanowiłaś udawać posługaczkę!

Wyrzuciła z siebie francuskie przekleństwo, które poznała, będąc taką właśnie posługaczką, i zaczęła wrywać mu się z rąk.

Nie tylko dlatego, że było to dla niej upokarzające. Chodziło głównie o to, że Jason potraktował ją jak dziecko. Nie mogła na to pozwolić! Gdyby teraz ustąpiła, musiałaby znosić to samo dzień w dzień. Zaczęła się wyrwać ze zdwojoną siłą.

Jason zaklął przez zaciśnięte zęby i przerzucił ją przez ramię. Cholera! Była jak wór ziemniaków.

Ruszył długimi susami w stronę domu. Przy studni stała Betty, otoczona gromadką dzieci. Wszyscy wpatrywali się z szeroko otwartymi ustami w to, co rozgrywa się na ich oczach. Gabrielle jęknęła i wcisnęła twarz w koszulę Jasona.

Milczał, więc zawrzało w niej od gniewu. Obiecała sobie, że znajdzie na niego jakiś sposób. Kiedy byli już na schodach przed wejściem, drzwi otworzyły się. Na progu stali Bernice i Prentiss, patrząc z niedowierzaniem na to, co się dzieje.

Bernice pierwsza odzyskała mowę.

- Jasonie Trace, co u licha ma znaczyć to... Chryste! Gabrielle, twoje włosy! Twoje ubranie! Co ci się stało?

- Natychmiast przygotuj jej kąpiel! - warknął Jason, po czym ruszył ku schodom prowadzącym na piętro. - A potem, Bernice, może znajdziesz chwilę czasu, żeby wyjaśnić mi, dlaczego nie udało ci się dopilnować, by moja żona odpoczywała, jak kazałem!

- Ty? - Gabrielle podniosła głowę. - To przez ciebie wariowałam z nudów?

Pozostawiając jej słowa bez odpowiedzi, zaniósł ją na górę. Patrząc za nimi, Bernice mruknęła coś pod nosem. Tymczasem na twarz Prentissa wypłynął szeroki uśmiech.

- Cóż cię tak rozbawiło? - rzuciła. - Nie widziałeś, jak obzedł się z tym biednym dzieckiem?

- Ależ widziałem, widziałem - rzekł lokaj. - I tak sobie właśnie myślę, że panicz Jason to dopiero potrafi ujarzmić kobiety!

Bernice przeszła go jadowym wzrokiem, ale Prentiss, jak zwykle, pozostał niewzruszony.

- Przekłety głupiec - mruknęła, po czym poszła przygotować kąpiel Gabrielle.

Niech cię diabli, Jason, jak mogłeś? - Gabrielle patrzyła na męża stojącego po drugiej stronie pokoju. Starała się nie mówić za głośno. Obok, w garderobie, służący opróżniali wannę z wody.

Nie chciała, by byli świadkami jeszcze jednej kłótni między nią a Jasonem. - Nie miałeś prawa kazać Bernice, by pozbawiła mnie wszelkich zajęć!

- Wygląda na to, że nie bardzo się postarała! - warknął Jason. - Gdybym przypadkiem nie zjawił się w stajni, jak długo jeszcze ryzykowałabyś życie nie narodzonego dziecka? Naszego nie narodzonego dziecka, szanowna pani! Chciałaś, żeby skończyło na sianie?

Gabrielle pobladała. W jej oczach odmalował się szok, który po chwili przeobraził się we wściekłość.

- Jak śmiesz? - rzuciła. Trzęsąc się z gniewu, zacisnęła pięści i podeszła do niego. - Jak śmiesz mnie tak kłamliwie oskarżać?

- Kłamliwie, powiadasz? Spójrz na siebie! Zmyłaś już z siebie brud, ale po twoich podkrążonych oczach widać, jak jesteś zmęczona. Ryzykowałaś...

- Niczego nie ryzykowałam! - To bezsenne noce spędzone bez niego sprawiły, że miała podkrążone oczy. Ale pierwszej dałaby się zabić, niż powiedziała mu o tym. - Jestem tylko w ciąży, Jason, nie jestem inwalidką. I nie pozwolę, żebyś traktował mnie jak dziecko!

- No to przestań zachowywać się, jakbyś nim była. Ta wyprawa do stajni...

- Była dla mnie jak zbawienie! - przerwała mu. - Od nudy, która mnie dusiła.

Jason ogarnął spojrzeniem jej drobną sylwetkę, od wspaniałych, mokrych włosów, po rąbek niebieskiego jedwabnego szlafroka. Chryste, nawet w gniewie wyglądała cudownie. Uosobienie kobiecej doskonałości płonące wewnętrznym ogniem. Ból w lędźwiach przypomniawszy mu, od jak dawna nie miał okazji ogrzać się przy tym ogniu.

Opędził się od tych myśli. Nawet nie drgnął, gdy Gabrielle zbliżyła się do niego na wyciągnięcie ręki. Stali oko w oko tuż przy drzwiach łączących ich pokoje.

- Jeśli macierzyństwo jest dla ciebie tak nudne, Gabrielle, to dziwię się, że nie pomyślałaś o tym, zanim w Paryżu postanowiłaś udawać dziwkę.

- *Batard!* - Uderzyła go otwartą dłońią w policzek. Rozległ się głuchy odgłos. Od strony garderoby dobiegło trzaśnięcie drzwi

i kroki oddalające się w głąb korytarza. Małżonkowie przez chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu.

Jason przerwał tę złowrogą ciszę.

- Owszem, szanowna pani - powiedział cicho. Jego oczy nie zdradzały żadnych uczuć. - Pochodzę z... nieślubnego łoża. Mój rodzony ojciec nie ożenił się z moją matką. Oczywiście, dzięki Alexandrowi nie dane mi było zaznać ludzkiej pogardy...

- Jason, przestań! - Gabrielle czując, jak opuszcza ją gniew, popatrzyła na niego ze smutkiem. Dlaczego zawsze tak to się musiało kończyć? Skąd brała się ta zapiekła wrogość między nimi? Czy do końca życia mieli skakać sobie do gardeł niczym dwa wściekłe kundły? Nie sądziła, by udało jej się to długo wytrzymać. Jeszcze tego ranka, po przebudzeniu, tak bardzo pragnęła mieć go przy sobie.

Jason zacisnął wargi, widząc zmęczenie malujące się na jej twarzy. Wiedział, że to on był temu winien. Gdyby nawet cały dzień sprzątała stajnie, nie byłaby tak znużona jak teraz, kiedy musiała słuchać jego słów rzucanych w gniewie. Do diabła, co go znowu napadło?

Westchnął ciężko i skinął głową.

- Chyba jednak nie to miałaś na myśli.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, ale odczuła ulgę, widząc, że na jego twarzy nie maluje się gniew.

Uśmiechnął się ironicznie.

- Obydwoje wiemy, że nie chodziło ci o okoliczności moich narodzin, kiedy nazwałam mnie „*bdtard*”.

Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, Jason położył kciuk na jej ustach i uśmiechnął się znowu. Następnie odgarnął kosmyk opadający jej na policzek i z poważną miną powiódł spojrzeniem po jej twarzy.

- Czasem aż nie mogę uwierzyć, jaka jesteś piękna - powiedział półgłosem. - Nawet teraz, kiedy jesteś tak zmęczona, przyćmiewasz urodą wszystkie inne kobiety. - Jego wzrok na chwilę przeniósł się z twarzy Gabrielle na jej przygarbione ramiona. - Ale naprawdę musisz odpocząć.

Nie pojmując nagłej zmiany w jego nastroju, Gabrielle zdołała tylko skinąć głową i ziewnąć.

Jason uśmiechnął się szeroko.

- Jak powiedziałem... odpocząć. - Spojrzał na nią z rozbawieniem. - Czy bardzo będziesz krzyczeć, jeśli zaniosę cię do łóża?

Bez słowa potrząsnęła głową. Boże, kiedy tak się do niej uśmiechał, mógł zanieść ją choćby do piekła!

- Grzeczna dziewczynka - szepnął Jason i wziął ją na ręce, a jego uśmiech stał się nad podziw ciepły. Ruszył w stronę łóża stojącego po przeciwnej stronie pokoju, ale zatrzymał się w pół kroku i zwrócił się ku drzwiom.

- Jason? - spytała Gabrielle widząc, dokąd mąż zmierza.

- Nie obawiaj się, maleńka - powiedział, gdy znaleźli się przy jego łóżu. Przystanął i spojrzał jej w oczy. - Mam szczerzy zamiar pozwolić ci się wyspać.

-Tak, ale...

- Ale dlaczego tutaj? Bo tu jest twoje miejsce, pamiętasz? No i dlatego, że przez ostatnie dziesięć dni marzyłem o chwili, kiedy znajdziesz się w moim łóżu. Co prawda, nie myślałem, że będziesz w nim spała - dodał z zapierającym dech w piersiach uśmiechem na twarzy, po czym delikatnie ułożył ją na pościeli. - Ale na razie to mi wystarczy.

Jego spojrzenie podziało na nią niczym pieszczota dłoni sunących po jej ciele. Coś się w niej rozbudziło i w tej chwili nie sen był jej w głowie.

-Jason...

- Nie ma mowy. - Potrząsnął głową, po czym dokładnie przykrył Gabrielle kocem. - Najpierw odpocznij. Oczywiście, kiedy już się obudzisz... - Uniósł znacząco brew.

-Bdtard - szepnęła, uśmiechając się słabo.

- A nie mówiłem? - odparł i wyszczerzył zęby w iście szatańskim uśmiechu. Następnie ucałował ją w czoło i wyszedł z sypialni.

*Wiedziała, że śni, i próbowała się obudzić, ale te obrazy nie zniknęły. Wozy toczące się po bruku... dziesiątki wozów... coraz głośniejszy, złowrogi turkot. A ona chowała się za żywopłotem w małym parku, gdzie przystanęli tej nocy, kiedy uciekła z hotel. Tym razem jechała sama.*

*Tak jak wtedy, było ciemno. Wyteżała wzrok, żeby w słabym świetle księżycy dojrzeć twarze skazańców wiezionych na wozach, ale nie w stanie ich rozróżnić. Wokół kłębiła się nieprzenikniona mgła.*



*Wtedy nagle mgła się rozproszyła. Jeden z wozów przejechał tu blisko jej kryjówki, że niemal mogła sięgnąć go ręką. Stały w nim kobiety, wychudzone, zaniedbane kobiety w poszarpanych łachmanach. Wszystkie były odwrócone do niej plecami i nie widziała ich twarzy. Mgła znowu zaczęła gęstnieć. Z jej ust wyrwał się jęk. Musiała zobaczyć ich twarze!*

*Zanim wszystko zatoneło we mgle, kobiety równocześnie się odwróciły - i okazało się, że wszystkie mają te same twarze. Każda z nich była tą twarzą, która wryła się głęboko w jej serce.*

*Twarzą jej matki.*

Gabrielle, nie! - Usłyszawszy przeraźliwy krzyk, Jason wziął ją w ramiona. - Na Boga, Gabrielle, obudź się! To tylko zły sen, skarbie, koszmar. Proszę, obudź się.

Jego słowa nareszcie do niej dotarły. Napięte mięśnie rozluźniły się i bezwładnie osunęła się na męża. Krzyk zamarł na jej ustach.

- Jason? - Trzymała się z całej siły jego koszuli.

- Tak, skarbie, jestem przy tobie. - Czując, jak Gabrielle drży, mocniej przygarnął ją do siebie i wtulił twarz w jej włosy. - Miałaś zły sen, ale już po wszystkim.

- O Boże, Jason! To było... to... - Szloch wyrwał się z piersi Gabrielle. Po chwili jej twarz spłynęła łzami.

Mijały minuty, a Jason bez słowa trzymał ją w ramionach, podczas gdy ona dawała upust cierpieniu. Wreszcie szlochanie ucichło. Gabrielle jeszcze parę razy pociągnęła nosem i uspokoiła się.

- Chcesz, żebyśmy o tym porozmawiali? - spytał Jason.

Dygocząc, zaczerpnęła powietrza, ale się nie odezwała. Nie była pewna, czy chce przywołać na pamięć te potworne obrazy. Może jeśli opowie o nich mężowi, staną się mniej straszne? Odchyliła się, by spojrzeć mu w oczy, po czym niepewnie skinęła głową.

W pokoju panował półmrok, rozpraszany tylko słabym światłem świec. Kiedy Jason spojrzął na twarz Gabrielle, skapaną w ich blasku, coś ścisnęło go za gardło. Nawet teraz, gdy na jej policzkach widać było ślady łez, była piękna. Jej modre oczy błyszczały, a zdobiące je długie, gęste rzęsy były mokre od łez. Mógłby zatonać w tych oczach.

Jednak wyraźnie widział malujące się w nich cierpienie. Ogarnęło go jakieś dziwne, niepojęte uczucie. Nie był pewien, co to może oznaczać, ale to wystarczyło, by wzbudzić w nim niepokój. Do tej pory potrafił rozpoznać swoje uczucia. Ale na razie wołał się nad tym nie zastanawiać.

- Opowiedz mi, co ci się przyśniło - powiedział szorstko. W obawie, że jego słowa zabrzmiały zbyt ostro, delikatnie odgarnął kosmyki włosów, które przykleiły się do jej policzków.

Powoli, słowo po słowie, niemal beznamytnie, Gabrielle opowiedziała swój sen. Jej głos nie załamał się ani razu, ale kiedy skończyła mówić, Jason poczuł, że dosłownie wszystkie jej mięśnie są napięte.

Znowu poczuł ukłucie w sercu. Przed oczami mignęło mu wspomnienie tego, jak będąc małym chłopcem, usiłował pogodzić się z utratą matki, którą kochał. Matki, która go nie kochała. Gabrielle też cierpiała z powodu utraty matki.

Ale był to inny rodzaj cierpienia. Matka Gabrielle nie była winna łez swojej córki; ich rozłąka nastąpiła wbrew jej woli. Louise de Saint-Germain, uwięziona i oczekująca na śmierć, musiała kochać swoje dziecko nad życie, sądząc z tego, co czuł w głosie jej córki. Tak... inny rodzaj cierpienia.

- Nie widziałeś tego naprawdę. - Jego własne słowa dochodziły do niego jakby z bardzo daleka. Patrzył w twarz żony. - To był tylko zły sen, a sny nie mogą wyrządzić nikomu krzywdy. Kto wie, może twoim paryskim przyjaciołom udało się już uwolnić twoją matkę?

Przyjaciołom? Czy naprawdę mogła uważać to zwierzę, Le Feu, za przyjaciela? A Antoine'a?

Gabrielle potrząsnęła głową.

- Dowiedziałabym się...

- Niekoniecznie. Wieści zza oceanu nie docierają tu szybko. To może potrwać ładnych parę miesięcy.

-Ale...

- Ciii. - Jason położył kciuk na jej ustach. - Jeśli chcesz, porozmawiam jutro z Jeffersonem. Spytam, czy nie mógłby swoimi dyplomatycznymi kanałami wywiedzieć się, co i jak. W ten sposób, gdyby coś się stało, dowiedzielibyśmy się o tym szybciej niż...

- Och, Jason, czy mógłbyś? - Promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Poczuł się, jakby ktoś rąbnął go obuchem w brzuch. Ten uśmiech! Chryste - pomyślał, czy ona zdaje sobie sprawę, jak wygląda, kiedy tak się uśmiecha? Jak to na mnie działa?

Uznawszy, że być może lepiej będzie, żeby tego nie wiedziała, pogroził jej palcem.

- Dobrze, ale żadnych więcej listów. I musisz mi obiecać, że postarasz się myśleć bardziej optymistycznie. Nie chcę, żebyś była markotna, Gabrielle. To na pewno nie służy dziecku.

Skinęła głową i zdobyła się na uśmiech, choć już nie tak radosny jak przed chwilą. Czy tylko dziecko się liczyło dla niego? W końcu gdyby nie ono, nie ożeniłby się z nią.

- A skoro mówimy już o moim synu - zaczął Jason, po czym delikatnie pchnął ją na materac i położył dłoń na jej brzuchu - co u niego słychać?

Uniosła brew.

- Czyli to syn, tak? Taki jesteś pewny?

- Oczywiście - odparł z uśmiechem, przesuwając dłoń po napiętej skórze jej lekko wystającego brzucha. - Każdy mężczyzna chce mieć synów, by nie wygasł jego ród, a ja zwykle dostawać to, czego chcę.

- Tak? - spytała z przesadzoną beztróską. - A co jeśli Bóg postanowi inaczej?

- Nie odważyłby się! - rzekł ze śmiechem Jason.

- Ty bluźnierco! - ofuknęła go, ale też nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Nagle zabrał dłoń z jej brzucha, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. - Jason, co się stało?

- Ja... coś tak jakby się poruszyło... - Spojrzał na miejsce, które przed chwilą gładził. - To dziwne. Gabrielle, może masz niestrawność albo...

Urwał w pół zdania, słysząc jej śmiech.

- To nie miało nic wspólnego z tym, co jadłam, ty nieszczęsny ignorancie! To było maleństwo. Twój syn, jak twierdzisz. - Położywszy dłoń na brzuchu, skinęła głową. Następnie przyciągnęła dłoń Jasona w to samo miejsce. - Czujesz?

Przez chwilę z zachwytem patrzył na jej brzuch, wyczuwając pod dłonią słaby ruch. Następnie skinął głową. Podniósł-

s/y wzrok, napotkał spojrzenie jej modrych oczu, migoczących wesołością.

- To takie cudowne - powiedział półgłosem.

- Naprawdę? - Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło, gdy tak na nią patrzył. Jakby chciał pożreć ją oczami.

- A jakże... - Pogładził kciukiem jej palce, ciągle jeszcze spoczywające na brzuchu, wpijając się wzrokiem w jej twarz. Mówił niskim głosem. - Popatrz, jak to na nas podziałało. Miło było wreszcie usłyszeć, jak się śmiejesz, Gabrielle.

Nie odrywając od niej oczu, nieprzerwanie muskał kciukiem wrażliwą skórę między jej palcami.

-I nie masz już cieni pod oczami.

- Jason - wyszeptła, a on powoli skinał głową.

Jego spojrzenie spoczęło na jej ustach.

- Pragnę cię, maleńka - powiedział głosem, który stał się niski i chrapliwy, po czym uniósł jej dłoń do ust i ogrzał ją oddechem. Następnie zamknął oczy i przycisnął wargi do uwrażliwionej skóry. Gdy jego język musnął całowane miejsce, Gabrielle poczuła, że serce jej kobiecości zaczęło płonać.

Jason uśmiechnął się, słysząc jęk dobywający się z jej ust.

- Spokojnie, moja słodka, dopiero zaczynamy. Przez dziesięć dni czekałem na tę chwilę; niech potrwa jak najdłużej. - Jego usta delikatnie prześliznęły się po wewnętrznej stronie jej ramienia, zatrzymując się przy wrażliwym zgięciu łokcia. Gdy tam również poczuła dotyk wilgotnego języka, ciało Gabrielle zapłonęło żywym ogniem i zakwiliła niczym kocię.

Jason zaśmiał się cicho, po czym przyciągnął ją do siebie. Zwróciła się twarzą do niego i wyciągnęła ręce.

- Ach, moja słodka - szepnął pochylając się nad nią - jakże uwielbiam słyszeć twoje jęki, kiedy daję ci rozkosz. - Pocałował ją, długo i namiętnie, przyprowadzając ją niemal o zawrót głowy. - A teraz chciałbym je słyszeć znowu - mruknął i wsunął rękę pod jej szlafrok, między uda, w gorące, wilgotne miejsce.

Jej ciało, przesyte rozkoszą, wygięło się w łuk; w tej samej chwili Jason pochylił się nad nią i wpił ust# w sutek odznaczający się na niebieskim jedwabiu. Gdy powietrze przeszył jej krzyk rozkoszy, uśmiechnął się z zadowoleniem, a krew zaczęła żywiej krażyć mu w żyłach.

-Tak, skarbie - szepnął, odsuwając nosem jedwab zasłaniający jej piersi - powiedz mi... - Nieprzerwanie drażnił sterczący sutek, najpierw wargami, potem zębami, czując, że Gabrielle zaczyna ocierać się o jego dłoń, która obejmowała jej wzgórek. - Powiedz mi, tak jak mówi mi to twoje ciało...

I zrobiła to, jęcząc i wykrzykując swoją rozkosz, a potem gwałtownie narastającą żądzą, gdy Jason pieścił i drażnił jej ciało. Każde dotknięcie doprowadzało ją na krawędź ekstazy, ale ani o krok dalej. Jason zachowywał się jak wytrawny mistrz, mimo że w jego żyłach również szalało pragnienie. Ale tak długo marzył o tej chwili, widział ją oczyma duszy przez dziesięć długich nocy spędzonych w samotności. Nie mógł stracić panowania nad sobą; pragnął, by ta noc znalazła swoje apogeum w upajającej rozkoszy ich obojga.

- Powoli, moja słodka - wyszeptał, kiedy Gabrielle, wije się pod nim, zaczęła drapać go niczym dzikie zwierzę.

- Co chcesz mi zrobić? - spytała. - Zabić mnie?

Jason zaśmiał się i ogarnął spojrzeniem zarumienioną twarz Gabrielle, jedwabiste, wzburzone włosy opadające jej na ramiona i piersi. Niebieski materiał koszuli nocnej podkreślał kremową skórę i nie skrywał ani kawałka ciała, które on rozpalil do czerwoności. Piersi... uda... błyszczący trójkąt między nimi... Jason upajał się jej widokiem.

-Tak, maleńka - powiedział chrapliwym głosem. Z przyjemnością. A wkrótce ta przyjemność doprowadzi nas obydwoje do *lapetite mort*.

*Lapetite mort*... „mała śmierć”, jak określali to jej rodacy, jako że chwila ta trochę przypominała śmierć i ponoć miała skracać życie człowieka.

- Zrób to! Proszę! - krzyknęła. - Boże, Jason, przysięgam, nie mogę... nie mogę...

Przerwał jej w pół zdania pocałunkiem. Ich języki splotły się w szaleńczym tańcu; Gabrielle szarpnęła biodrami, napotykając jego twardą męskość. Jason poczuł, że zaczyna tracić panowanie nad sobą.

-Wiedźma! - szepnął jej na ucho, po czym, najpierw delikatnie, a potem mocniej, zatopił w nim zęby.

Gabrielle, czując drzenie przechodzące przez całe jej ciało, zaczęła się pod nim wic.

Nie mógł już dłużej się wstrzymywać. Zadygotał, gdy jej twarde, sterczące sutki przesunęły się po jego piersi, a, niżej, kręcone włosy jej łona musnęły jego męskość.

- Wygrałaś, maleńka - mruknął, uwalniając nadgarstki Gabrielle, po czym wziął jej twarz w dłonie. - Tak, moja słodka, tak! - wyrzucił z siebie i wszedł w nią, w jej drżące, ciasno obejmujące go ciało. Kiedy szczytowała po raz drugi, jego uszy wypełnił szum krwi szalejącej mu w żyłach; po czym pchnął znowu, i znowu, aż wszystko wokół zawirowało i zniknęło. Łoże rozpląnęło się gdzieś. Nie docierało do niego nic poza jękiem kobiety powtarzającej jego imię; po chwili przeszedł go pierwszy silny spazm.

- Gabrielle! - krzyknął i z rozkoszą krążącą w żyłach wypuścił z siebie nasienie i połączył się z nią w „małej śmierci”.

W ciągu tej długiej nocy kochali się jeszcze wiele razy. Po każdym spełnieniu, pamiętając, jak bardzo Gabrielle jest zmęczona, Jason nakłaniał ją, by zasnęła. Jemu czasem to się udawało, czasem nie. Tak czy inaczej, ledwie mijała godzina, a już pragnął jej w sposób, którego nie potrafił zrozumieć. Zupełnie jakby nigdy miał nie nasycić się nią do końca; aż się zaczął zastanawiać, czy mężczyzna może uzależnić się od kobiety jak od narkotyku. Niegdyś znalazł pewnego rannego żołnierza, któremu podawano laudanum. Później, nawet kiedy ból już minał, nieszczęśnik długo jeszcze nie mógł żyć bez codziennej dawki tego specyfiku.

Inna sprawa, że Gabrielle najwyraźniej równie mocno go pożądała. Parę razy czuł, jak obudzona z drzemki, przytula się do niego, owładnięta dobrze znajomym pragnieniem. Przewrócił się na bok, zabierając nogę z uda Gabrielle. Spojrzawszy na jej lekko wystający brzuch, delikatnie przejechał po nim dłonią.

Zmarszczył czoło, przypominając sobie gorzkie słowa, jakie padły w czasie jego rozmowy z Alexandrem przed ślubem. Przypomniawszy sobie też, jak wielkie zdziwienie ogarnęło go ostatniej nocy, kiedy uświadomił sobie, że radości, jaką odczuwa na widok brzemienną żony, nie da się wytłumaczyć tylko żądzą cielesną. Kiedy to się zmieniło? I, co ważniejsze, dlaczego?

- Co się dzieje, Jason, skąd ta sroga mina? - usłyszał rozesppany głos Gabrielle. - Czyżbyś był ze mnie niezadowolony?

- Niezadowolony? Chryste, kobieto, tyś chyba oszalała! - odparł i położył się na niej. Następnie, patrząc jej w oczy, uśmiechnął się. - Mam ci to udowodnić?

Serce Gabrielle zaczęło łomotać. Niemal zapomniała oddychać, gdy napawała się jego widokiem... gdy patrzyła na idealnie ukształtowane rysy twarzy... na mahoniowe włosy opadające mu na czoło... na cień zarostu na brodzie. No i przede wszystkim, gdy na jego usta wypływał uśmiech sprawiający, że wszystko w niej zaczynało topnieć.

Spojrząwszy na Jasona przymrużonymi oczami, obdarzyła go lekkim, uwodzicielskim uśmiechem.

- Owszem - mruknęła gardłowym głosem. - Tak, wręcz się domagam, żebyś mi to udowodnił, ale pod warunkiem, że obiecasz nie pominąć... najdrobniejszych szczegółów.

- Oj, chciwa z siebie dziewczka - ofuknął ją, kiedy jego kciuk spoczął na jej stwardniałym sutku. Następnie ich usta połączyły się w pocałunku, a magia znów zaczęła działać.

RS

## 25

Tak sobie myślę, że twój mąż będzie dobrym ojcem. - Bernice wachlowała się leniwie. Mimo że nastała już jesień, powietrze było parne, nawet na ocienionej werandzie.

- Hmm - mruknęła Gabrielle.

Siedziały na wygodnych, miękkich krzesłach, sącząc lemoniadę. Było wczesne popołudnie i Bernice mogła sobie pozwolić na chwilę odpoczynku.

Na trawniku przed domem Jason pokazywał Renę, jak ściągać konia, którego Conor i Alexander podarowali chłopcu na urodziny. Renę, wbrew swoim wcześniejszym zapewnieniom, nie mógł nacieszyć się tym prezentem. Zwłaszcza kiedy doszedł do tego podarunek od Jasona: nowiutka uprząż i lekcje jazdy konnej.

- Patrz - powiedziała Bernice, wskazując ręką to, co działo się na trawniku. - To więcej niż pewne. Popatrz, jak radzi sobie z naszym małym potworem! Jason naprawdę umie się obchodzić z dziećmi.

- Tak? - odparła Gabrielle, nieobecna myślami.

Bernice spojrzała na nią bystro.

- Taki jest cierpliwy. Musiał się tego nauczyć, kiedy był cesarzem księżycy - dodała, zachowując śmiertelnie poważną minę.

- Mmmm - przytaknęła Gabrielle.

Bernice mruknęła coś pod nosem.

- No nie, Gabrielle, ty mnie wcale nie słuchasz! Dobrze się czujesz? Jesteś dziś jakaś dziwna.

Gabrielle, wyrwana z zadumy, uniosła głowę. Spojrzała na Bernice ze zdumieniem, po czym poczuła, że na jej twarz wpływa rumieniec.



- Wybacz mi, proszę.. Chyba trochę bujam w obłokach.

Bernice spojrzała na nią podejrzliwie.

Udając całkowitą bez troskę, Gabrielle pociągnęła mały łyk lemoniady. To, co się z nią działo, trudno było nazwać bujaniem w obłokach. Tak naprawdę bowiem jej myśli skupiały się na jednym. Na Jasonie. A nie miała zamiaru wyjawić Bernice, do czego owe myśli zmierzały. Nie była pewna, czy sama przed sobą potrafiłaby się do tego przyznać.

Gabrielle bezwiednie przeniosła spojrzenie na męża. Ubrany w buty do jazdy konnej, ciasne nankinowe bryczesy i rozpiętą koszulę, roztaczał wokół siebie aurę dzikiej męskości. Jego widok przyprawiał ją o utratę tchu. Nawet teraz, gdy patrzyła, jak Jason pochyla się cierpliwie nad strzemieniem Rene i kiwa głową, wysłuchując pytania, które zadawał ten nicpoń, jak zawsze miała wrażenie, że widzi go po raz pierwszy.

Ale w ostatnich tygodniach Jason rzeczywiście zaczął pokazywać się od innej, dotąd skrzętnie ukrywanej strony. I właśnie to sprawiło, że nie była gotowa, by z kimkolwiek rozmawiać o swoich myślach. Bo wszystkie one wiązały się z Jasonem jako człowiekiem. Kimś więcej niż tylko mężczyzną, który co noc brał ją w ramiona i upajał namiętnością.

Po pierwsze, obiecał, że postara się uzyskać pomoc Jeffersona w sprawie *maman*, i obietnicę tę spełnił już następnego dnia. Pojechał osobiście do Monticello, skąd przywiózł adresowany do niej list od sekretarza stanu; Jefferson obiecał w nim solennie, że osobiście zajmie się tą sprawą.

Poza tym, Jason poprosił ją o jakieś „rozsądne sugestie” dotyczące zajęć, które pomogłyby jej zabić nudę. Zastrzegł tylko, że nie mogą one „zagrozić życiu dziecka”. Teraz Gabrielle zajmowała się księgami plantacji, a ponadto poświęcała parę godzin dziennie na nauczanie dzieci - jak również trzech dorosłych, którzy nieśmiało ją o to poprosili - czytania i rachunków.

A to nie wszystko. Wyglądało na to, że Jason usilnie próbuje w niczym jej się nie sprzeciwiać, mimo że czasami rzeczywiście wystawiała jego cierpliwość na ciężką próbę. Choć nadszedł już październik, ciągle było parno. Przez to często bywała rozdrażniona i nerwowa; a ciąża bynajmniej nie poprawiała

Na przykład wczoraj zaczęła narzekać, że zajmowanie się księgowością i nauczaniem to za mało, potrzebowała jeszcze trochę ruchu. Zażądała wręcz, by coś z tym zrobił. Ale czy Jason poprzeczwał się z nią, jak bez wątpienia postąpiłby jeszcze nie tak dawno temu?

Nie. Po chwili namysłu spytał ją, czy umie pływać. Nadal nie w humorze, przekonana, że Jason się z nią drażni, stwierdziła z oburzeniem, że w wodzie czuje się jak ryba. A on powiedział jej o zacisznym strumyku, w którym pływał będąc dzieckiem, i obiecał, że ją tam zaprowadzi. Mieli wyruszyć, kiedy tylko lekcja Rene dobiegnie końca. Już nie mogła się doczekać!

W tej chwili Jason podniósł głowę i skierował spojrzenie ku Gabrielle. Pomachał jej, a na jego opaloną twarz wypłynął szeroki uśmiech, na widok którego, jak zawsze, krew zaczęła jej szybciej krążyć. Następnie, unosząc brew, kilka razy wyrzucił ramiona przed siebie, jakby płynął. Uśmiechnęła się lekko, czując w sercu jakąś dziwną błogość. Jason zawsze dotrzymywał słowa. Czyżby w to wątpiała? Parę miesięcy temu tak, ale nie teraz.

Podobnie jak nie wątpiała już, że potrafi być dobry, cierpliwy i ciepły. Zaczynała widzieć w mężu naprawdę szlachetnego człowieka. I mężczyznę - w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Boże, stało się! Za każdym razem, kiedy Jason swoim postępowaniem dowodził, że nie jest potworem, za którego niegdyś go uważała, była o tym coraz bardziej przekonana.

Zaczynała go kochać.

- Dobrze się czujesz? - spytała Bernice z troską w głosie. - Jakoś zbladłaś.

Nic dziwnego - pomyślała Gabrielle i wytłumaczyła przyjaciółce, że to nic takiego, po prostu oznaka, że przydałoby się jej trochę ruchu. Nie masz się co zakochiwać w mężczyźnie, który nie odwzajemni twojej miłości - powiedziała sobie.

Mimo zmiany w jego postępowaniu, Jason ani razu nie napomknął o jakichkolwiek głębszych uczuciach. To, co spotkało go w dzieciństwie, było dla niego zbyt bolesne, żeby teraz mógł pokochać jakąkolwiek kobietę.

Gabrielle przypomniała sobie, jak powiedziała Bernice o tym, że Jason nie ma do niej zaufania. Do tej pory pamiętała słowa przyjaciółki o murach, które wznosił wokół siebie. Wszystko przez

to, że zdradziła go matka. Czy cokolwiek wskazywało na to, że te mury runęły? Czy Jason się zmienił? A może był taki dobry i wyrozumiały tylko dlatego, że chciał uporać się z humorami niesfornej żony? W końcu był inteligentnym człowiekiem, a lata spędzone w wojsku, w charakterze dowódcy, z pewnością nauczyły go, jak postępować z ludźmi.

Ale czy jej ufał? Nie miała powodu, by tak myśleć.- A tam, gdzie nie było zaufania, nie mogło być mowy o miłości. Nastąpiła jednak zmiana w jej stosunku - ona zaczęła mu ufać.

Och, oczywiście, przeżywała wspaniałe, upajające chwile w jego ramionach, ale nawet trawiona ogniem namiętności zdawała sobie sprawę, że serce męża pozostawało zimne. Mogła najwyżej liczyć z jego strony na czułość. A nawet to, jak podejrzewała z bólem w sercu, zapewne dlatego, że nosiła w sobie jego potomka. Ileż razy przypominał jej, żeby nie robiła nic, co mogłoby być zagrożeniem dla dziecka?

Dziecko... Z łagodnym uśmiechem na ustach Gabrielle dotknęła swojego zaokrąglonego brzucha. To dobrze, że Jason troszczył się o maleństwo. Może kochał je już tak mocno jak ona. Nawet gdyby miało okazać się dziewczynką, wiedziała, że tylko się z nią przekomarzał, zapewniając, że spodziewa się syna. Ostatniej nocy powiedział, że lepiej, by był to chłopak, bo obawiał się, że córkę rozpuściłby jak dziadowski bicz.

Zrobiło jej się trochę smutno. Jason być może kochał dziecko, ale jej nigdy nie pokocha. Musiała się z tym pogodzić. Cóż jej pozostało? Obdarzy miłością dziecko Jasona, a ono odwzajemni to uczucie. To musiało wystarczyć.

Och , Jason, jak tu pięknie! - Gabrielle rozejrzała się po zacienionej, ustronnej polanie. Z dużej, płaskiej skały spływał strumień, tworząc u podnóża mały staw z kryształowo czystą wodą. Promienie słońca przedzierały się przez sklepienie z liści i odbijały od powierzchni wody, a gęste zarośla chroniły polanę przed upałem. Jak w raj.

- Cieszę się, że ci się podoba - powiedział Jason z uśmiechem. Jednak kiedy Gabrielle pochyliła się, by dokładnie obejrzeć jakieś dzikie kwiaty rosnące pod drzewem, nachmurzył się. Nigdy jeszcze nie pokazał nikomu tego miejsca. Nawet Alexandrowi.

W dzieciństwie to właśnie była jego kryjówka. Zasywał się tu w chwilach, kiedy tylko samotność mogła złagodzić ból po zdradzie matki. Tutaj Jason mógł lizać rany, zapomnieć na chwilę o cierpieniu.

Nawet kiedy dorósł, czasami świat stawał się dla niego zbyt brutalny, zbyt odrażający. W czasie wojny, gdy tylko dostawał parę dni urlopu, tu właśnie przybywał najpierw. Tak... tylko tutaj znajdował wytchnienie.

A teraz do swojej kryjówki przyprowadził Gabrielle. Gdyby przed rokiem ktoś mu powiedział, że on, Jason, przyprowadzi tu jakąkolwiek kobietę, uznałby go za szaleńca. Owszem, Gabrielle była jego żoną, nie jakąś tam zwykłą kobietą. Ale gdyby przed rokiem pomyślał, że wkrótce się ożeni, uznałby siebie za szaleńca. Na miejsce ponurej miny pojawił się ironiczny uśmiech. Może rzeczywiście był szaleńcem.

Gabrielle delikatnie trąciła go w ramię. Położyła palec na ustach i z uśmiechem wskazała drugi koniec polany. W zaroślach stała łania. Unosząc łeb, strzygła uszami, czujnie nasłuchując. Tuż za nią stał jelonek, ledwo widoczny na tle drzew.

Jason uśmiechnął się i spojrzał na żonę. Zastygła w bezruchu, jak urzeczona, wpatrując się w parę zwierząt. Jeszcze nigdy nie widział tak niewiarygodnie pięknej kobiety. Z jego dzieckiem w lekko zaokrąglonym brzuchu, uśmiechnięta, wyglądała po prostu cudownie; patrząc na nią, Jason czuł, że serce rozpląwa mu się w piersi. Podobnie jak para jeleni, Gabrielle została pochwycona w ulotnej chwili. Chwili tym cenniejszej, że wkrótce miała minąć i już się nie powtórzyć.

Słaby podmuch wiatru poruszył liśćmi. Jelenie, wyczuwając zapach ludzi, zerwały się do biegu i zniknęły w głębi lasu.

Gabrielle westchnęła i odwróciła się w stronę stawu. Jason zauważył, że w jej oczach błysnęły łzy.

- Gabrielle...? - Złapała ją delikatnie za ramiona. Podnosząc jej głowę, dostrzegł łzy w oczach żony, ale poza tym coś jeszcze... głęboko ukryty smutek.

Zawstydzona, zaśmiała się cicho i pochyliła głowę, ocierając łzy pięścią. Zupełnie jak dziecko - pomyślał.

- Pewnie myślisz, że jestem głupia - powiedziała Gabrielle, maskując śmiechem zmieszanie. - Ale widzisz, to tak jakoś... - Spój-

rzaia w zarośla, po czym zwróciła wzrok na męża. - Och, Jason, nie potrafię tego wyjaśnić! To było takie wzruszające, takie...

- Piękne? - spytał łagodnym tonem. - I, rzeczywiście, wzruszające... przez to, że nie mogło trwać.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i powoli skinęła głową.

Jason przez chwilę wpatrywał się w jej twarz, po czym wziął ją za rękę.

- Ale to nie wszystko, prawda?

Z wahaniem skinęła głową, nie odrywając wzroku od ich połączonych dłoni. Jego kciuk delikatnie, kojąco muskał jej kostki.

- Przypomniało mi to... ta łania i jelonek, Jason, one...

- Przypomniały ci siebie... i twoją matkę - dokończył za nią. Przytaknęła z głębokim westchnieniem.

- Wiem, obiecałam, że będę myśleć optymistycznie - mruknęła, podnosząc wzrok na niego - ale...

- Cicho. - Uśmiechnął się i położył kciuk na jej ustach. - Przecież nie kazałem ci, Gabrielle, żebyś zmieniła się w kamień. A poza tym ostrzegłaś mnie, że kobiety przy nadziei czasem nagle, nieoczekiwanie zaczynają wylewać łzy.

Jego dłonie spoczęły na jej zaokrąglonym brzuchu, schowanym pod długą, luźną suknią z cienkiej bawełny. Chciał, by choć na chwilę zapomniała o uczuciu, którego cię dostrzegł w jej oczach. Ogarnął go pewien niepokój. To, co Gabrielle czuła do matki, było dla niego czymś całkowicie obcym. Nie wiedział, jak ma jej pomóc.

- Tak - przytaknęła, rozchmurzając się nagle. Przecież przyszła tu, żeby popływać. - Cięża sprawia, że kobiety mają... ehm... dziwne humory. Ale jesteśmy tutaj po to, żeby im zaradzić?

Uśmiechając się, Jason pocałował ją figlarnie w nos. Następnie odsunął się na bok i wskazał staw szerokim, dostojnym gestem.

- Proszę, *madame*. Woda czeka.

- Sama kąpać się nie będę. Tobie też trzeba relaksu - powiedziała ze śmiechem.

- Ha! - krzyknął i szczerząc radośnie zęby, zaczął zrzucać z siebie ubranie. - Czyli sama przyznajesz, że być ojcem to nie taka prosta sprawa.

- Może tak, może nie. - Chichot Gabrielle był ledwie słyszalny spod sukni, którą zdejmowała przez głowę.

- Może? Kobieto, jeśli ten eksperyment się powiedzie, zapewniam, że będę cię moczył regularnie.

- Eksperyment! To dobrze znany fakt. Nawet klacze, które się źrebia, irydują się, kiedy... Jasonie Tracę, ani mi się waz!

Ale gdy wziął ją na ręce i unióśł nad wodą, Gabrielle wybuchnęła radosnym śmiechem. W oczach Jasona migotały łobuzerskie ogniki.

- Tak? - spytał, wybałuszając żartobliwie oczy. - A jeśli tego nie zrobię, cóż dostanę od ciebie w zamian?

Moją miłość, ale obawiam się, że i tak już ją zdobyłeś - pomyślała.

- Czy pocałunek wystarczy, *monsieur*? Z godnych zaufania źródeł wiem, że moje pocałunki nie są zupełnie... - Gabrielle kokieteryjnie opuściła powieki - ...bezwartościowe.

- Hmm - mruknął Jason, wpijając się wzrokiem w jej usta. - Czy pani mąż wie o tym, *madame*?

- Mój mąż - szepnęła - jako jedyny... - pogładziła go paznokciem po brodzie - ...wie o tym.

Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, wiedziała, że obydwójce myślał o tym samym: od czasu, kiedy straciła z nim dziewictwo, nikt inny nie miał do niej dostępu.

- A uważasz, że on się na tym zna? - spytał Jason głosem, który nagle stał się chrapliwy.

- Jeszcze jak - szepnęła uwodzicielsko, czując ogarniające ją podniecenie. Jej spojrzenie spoczęło na idealnie wykrojonych ustach Jasona. Powoli, oczarowana ich pięknem, powiodła palcem po jego dolnej wardze.

- Chryste! - mruknął. Błyskawicznie postawił ją na ziemi i wziął w ramiona, po czym wpił się w jej usta.

Gabrielle jęknęła, kiedy jego wargi powędrowały niżej. Przez te frywolne igraszki ogarnęło ją silne podniecenie. Rozpalona, przywarła do niego - czy też próbowała to zrobić. Jej zaokrąglony brzuch sprawiał, że nie mogła się znaleźć tak blisko, jak chciała. Z cichym, drapieźnym pomrukiem odbiła się od ziemi, objęła go za szyję...

I obydwójce wylądowali w wodzie. Głośny plusk zagłuszył pisk Gabrielle i kłątwy Jasona. Woda rozbryznięta się na wszystkie strony. Obejmując żonę, Jason odbił się od piaszczystego dna i wypłynął na powierzchnię.

- Nic ci się nie stało? - Gabrielle przywarta do piersi Jasona, który z niepokojem patrzył jej w twarz.

Gabrielle zrobiła zbolaną minę.

- Ależ zimno! - Kąciki jej ust zadrżały, a oczy rozbłysły wesołością. - Teraz wiem, dlaczego chutliwe psy polewa się wodą.

Jason wybuchnął śmiechem, który odbił się echem po całej polanie. Nagle spoważniał.

- Wszystko dobrze, Gabrielle? Dziecko...?

Westchnęła ciężko.

- Czy ryba może źle się czuć w wodzie? Dalej, kto pierwszy do tamtej skały! - Ze śmiechem odbiła się od jego piersi i popłynęła w stronę drugiego brzegu stawu.

Jason zaklął łagodnie i szybko ruszył za nią. Pływali i igrali ze sobą, pluskając się w wodzie niczym dwoje dzieci. A potem powoli, cudownie kochali się na omszałym brzegu, możliwie najdalej od wody.

Dla Gabrielle były to najpiękniejsze chwile w ciągu tych kilku burzliwych miesięcy, które spędzili razem. Jest idealnie - pomyślała, leżąc w ramionach Jasona. Chociaż...

Idealnie? Owszem, ich namiętność można było nazwać czymś idealnym, ale jej życie? Kochała człowieka, który nie potrafił jej pokochać, i właśnie zaczynała zdawać sobie sprawę, jak wiele może to ją kosztować. Teraz, kiedy się z nim kochała, w pełni świadoma swoich uczuć, z najwyższym trudem powstrzymała się przed wypowiedzeniem ich na głos. Dzięki Bogu, jakoś się udało. Prędzej umrze, niż powie Jasonowi, co do niego czuje. Miała swoją godność. Poza tym, gdyby wiedział, że go kocha, zdobyłby nad nią władzę. A i tak czuła się nad wyraz bezbronna.

W Paryżu dowiedziała się, czym jest bezbronność. Jakim wstrętem napełniało ją to, że musiała zjednywać sobie takich ludzi jak Le Feu! Błagać d'Albreta o pomoc! Ukrywać się przed krwiożerczym motłochem!

Dziecko poruszyło się. Gabrielle położyła dłoń na brzuchu, by je uspokoić. Przed jej oczami stanął obraz łani z młodym jeleniem. Dzielna łania bezustannie stawiała czoło niebezpieczeństwu, gotowa poświęcić życie w obronie potomstwa. Z tym że teraz Gabrielle widziała w jelonku nie siebie, lecz jeszcze swoje nie narodzone dziecko. To ona była troskliwą matką.

Złowieszcze przecucie ścisnęło jej serce. Nie! *Maman* jeszcze żyje! Bez trwogi znosi los, który wybrała, żeby ocalić swoje dziecko. Żyje! Na pewno!

Gabrielle długo powtarzała w duchu te słowa. Zmagająca się z ogarniającym ją strachem. Po raz pierwszy od wielu tygodni dopuściła do siebie te myśli. Ale złe przecucia nękały ją nadal.

Pod koniec listopada Conor przybył do Jasona z ważną wieścią. Królowa Maria Antonina nie żyła. Według słów kuriera, który przybył do Monticello, w połowie października została stracona na oczach rozradowanego tłumu.

- Co jeszcze? - spytał ponuro Jason, nalewając dwa kieliszki brandy.

- Potem odbył się proces żyrondistów i spadło wiele głów. - Conor pociągnął spory łyk palącego gardło płynu. Jason nawet nie tknął swojego drinka. - Aresztowali żonę Rolanda. Ani chybi też już nie żyje.

- Mów dalej - ponagli! go Jason.

- W zeszłym miesiącu stracili tysiące ludzi, wielu z nich tego samego dnia co królową, szesnastego. Między innymi kilku arystokratów. - Conor spojrział na niego ze smutkiem. - Jason... pośród nich była też hrabina d'Auxerre.

Jason zacisnął usta i wciągnął powietrze przez nos. Skinął głową na znak, że ta wiadomość nie była dla niego zaskoczeniem, po czym wychylił brandy jednym haustem.

Conor zaoferował przyjacielowi pomoc w przekazaniu Gabrielle tej złej wieści.

- A może lepiej z tym poczekać? - dodał szybko. - To znaczy, skoro jest w takim stanie?

Jason przez chwilę się nie odzywał. Przypomniało mu się, jak przed kilkoma tygodniami po raz pierwszy poszedł z nią popływać. Jak z błęgiego letargu wyrwało go drżenie Gabrielle, która z oporami opowiedziała mu o swoich złych przecuciach.

- Dzięki, Conor - powiedział - ale powiem jej, co się stało. Ma prawo wiedzieć, a poza tym... chyba się tego spodziewała.

Kiedy Conor ruszył do wyjścia, Jason jeszcze raz wspomniął tamto popołudnie nad stawem i poczuł, że przeszywa go dreszcz. Było to szesnastego października.



## 26

Jason odnalazł ją na piętrze, w izbie, która spełniała funkcję klasy. Gabrielle siedziała między bliźniaczkami, córkami ekonoma, z tabliczką na kolanach. Tłumacząc im coś z przejęciem, pisała po niej kredą.

Mimo że czekało go niezwykle poważne zadanie, na usta Jasona cisnął się uśmiech. Twarz Gabrielle lśniła jak twarze uczennic. Jej włosy związane były niebieską wstążką w koński ogon, żeby nie pobrudziły się pyłem z kredy. Zarówno nauczycielka, jak i dziewczynki miały na sobie białe fartuszki. Gabrielle wyglądała przez to niemal jak dziecko, mimo że była już w siódmym miesiącu ciąży.

Po drugiej stronie izby pięciu chłopców pracowicie zajmowało się rachunkami. Jeden z nich, syn kowala, podniósł wzrok.

- Dzień dobry panu!

- Jason! - Gabrielle obdarzyła go takim uśmiechem, że w innej sytuacji natychmiast zaniósłby ją do łóża. - Co cię tu sprowadza?

Przywitał dzieci skinieniem głowy.

- Muszę porozmawiać z tobą na osobności, Gabrielle - powiedział łagodnym, poważnym tonem. - Myślę, że możesz już zakończyć lekcję.

- Tak... o-czywiście. - Gabrielle natychmiast podniosła się, zaniepokojona. Nie mogła nie zauważyć smutku malującego się w jego oczach. Czym prędzej powiedziała uczniom, że mogą już iść, po czym, kiedy ostatnie z dzieci zniknęło za drzwiami, podeszła do męża. - Jason, o co chodzi? Co się stało?

- Gabrielle... - Wiele razy powtarzał sobie w duchu te słowa, ale teraz, kiedy nadeszła pora, by wypowiedzieć je na głos, nie chciały mu przejść przez gardło. Swego czasu, jako oficer, często musiał

przekazywać podobne wieści rodzinom poległych żołnierzy. Ale teraz było inaczej. Chodziło o śmierć matki jego żony. Musiał jej to powiedzieć, nagle jednak okazało się, że przyjdzie mu to o wiele trudniej, niż się spodziewał. - Gabrielle - zaczął znowu, uświadamiając sobie, jak niedoskonałe są słowa - mam pewne wieści. - Spuściwszy wzrok, wziął ją za rękę. Dłoń Gabrielle była zimna jak lód, a jej twarz powlekła się bladością. - Niestety, to są złe wieści.

- *Maman*. - Wyszeptwała przez zaciśnięte wargi. - Zabili ją.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że Jason od razu przypomniał sobie tamto popołudnie nad sadzawką. Ona wiedziała już wtedy. Czekala tylko, kiedy jej przecucia znajdą potwierdzenie.

- Boże... - zawiesiła głos, przeżegnała się...

I nogi się pod nią ugięły. Jason złapał ją, zanim upadła na podłogę, po czym zawołał służących i nie czekając na nich, ruszył z Gabrielle na rękach w stronę sypialni. Gdy przybiegła do niego jedna z pokojówek, czym prędzej nakazał jej odszukać Bernice. Po chwili natknął się na Alexandra.

- Spotkałem Conora przed domem. Powiedział mi, co się stało. - Tracę senior spojrział z niepokojem na synową. - Mam skoczyć po Farleya?

- Tego konowała? - Jason prychnął, dając do zrozumienia, co myśli o lekarzach. - Bernice i ciotka Ruth lepiej znają się na leczeniu niż wszystkie te łapiduchy razem wzięte.

- Bernice już idzie, a zaraz wyślę kogoś po ciotkę Ruth. Albo lepiej sam po nią pójde.

- Dobrze - powiedział Jason i przystanął, kiedy Alexander skierował się ku schodom. - Jeszcze jedno. Ojciec...?

Alexander odwrócił się na pięcie i spojrział na niego bystro. Jason nie nazwał go „ojcem” od czasu burzliwej rozmowy, której wynikiem było małżeństwo z Gabrielle.

- Słucham, synu?

- Dziękuję ci.

- Niepotrzebnie - odparł Alexander szorstkim tonem. - Myślę o Gabrielle... kocham ją jak córkę. Poza tym wreszcie będę mógł się do czegoś przydać.

Pod głównym apartamentem czekała Bernice. Bez słowa otworzyła i przytrzymała drzwi.

- Słyszałaś? - spytał Jason, kładąc Gabrielle na łożu.

- Tak, całe Fairhills o tym huczy. Ach, biedactwo, w takiej chwili dowiedzieć się o czymś tak strasznym...

Jason złapał ją za ramię.

- Myślisz, że życie dziecka jest w niebezpieczeństwie?

Bernice spojrzała na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu, po czym pochyliła się nad Gabrielle. Położyła dłoń na jej wystającym brzuchu, po czym ucisnęła go w kilku miejscach. Następnie stanęła przed Jasonem, zasłaniając mu widok; ale patrząc na jej zwinne ruchy, był pewien, że ta doświadczona kobieta wie, co robi.

Po chwili, która jemu wydała się wiecznością, wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

- Dziecku chyba nic się nie stało. Na szczęście, nie ma krwawienia. A jeśli chodzi o inne komplikacje... - wzruszyła ramionami - z czasem się dowiemy, czy...

- Czy taki wstrząs może wywołać przedwczesny poród? - Wcześniaki miały małe szanse przeżycia. Obawiał się, że Gabrielle nie zniosłaby utraty dziecka, zwłaszcza teraz, kiedy dopiero co dowiedziała się o śmierci matki. Pamiętał jej słowa: „Jason, ja już kocham to dziecko. Nad życie”. - Czy mogłaby stracić dziecko? - dodał posępnym tonem.

Bernice przez chwilę patrzyła na Jasona ponuro, jakby chciała odgadnąć jego myśli.

- Jestem tu, żeby to sprawdzić - powiedziała wreszcie. - Przecież po to mnie sprowadziłeś. A twój ojciec poszedł szukać ciotki Ruth?

- Ciotka Ruth nie będzie potrzebna! - Z łóża dobiegł głos, zblały, ale mimo to zadziwiająco silny. - Maleństwu nic się nie stanie. Mnie też - dodała Gabrielle, kiedy zwrócili ku niej spojrzenia.

Odzyskała świadomość w tej samej chwili, kiedy jej mąż z troskanym głosem pytał o dziecko. Tylko o dziecko. W ten sposób potwierdziło się to, co wiedziała już od dawna: Jason kochał dziecko, owszem, ale nie ją. Trudno było jej się z tym pogodzić, zwłaszcza teraz, kiedy *mamon*... ach, Boże...

Kiedy z jej ust wyrwał się jęk pełen bólu, Jason poczuł, że coś ściska go za serce.

- Zostaw nas na razie - powiedział półgłosem do Bernice. - Ale bądź w pobliżu.

Murzynka skinęła głową i wyszła. Jason usiadł na łożu, przy zonie. Gabrielle, odwrócona do niego plecami, skuliła się; choć milczała, jej ramiona dygotały.

Chciał odwrócić ją do siebie, ale mu się opierała. Nie ustępował jednak i udało mu się złamać jej opór. Przygryzła pięść, chcąc zdusić uczucia, które wrzały w jej duszy.

- Już dobrze, maleńka - szepnął, biorąc ją w objęcia. - Popłacz sobie... popłacz, a będzie ci lżej.

Zastygła w bezruchu. Pozwalał jej... płakać. Nikt, poza *maman*, nie powiedział jej czegoś takiego. Było to tak dawno temu, że już prawie zapomniała. Spadła wtedy z kucyka, a *maman* podniosła ją z ziemi, przytuliła do siebie i powiedziała... powiedziała...

Wreszcie coś w niej pękło i jej drobnym ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch. Dala upust uczuciom, które dusiła w sobie aż od tamtego dnia, w Varennes. Dotarło do niej, jak wielką poniosła stratę. Teraz pozostawała tylko rozpacz.

Łzy płynęły nieprzerwanym strumieniem. Jason trzymał ją w objęciach, jakby była dzieckiem, pragnąc w duszy wziąć na siebie choć część jej bólu.

Nareszcie zaczęła się uspokajać. Szloch przerodził się w ciche łkanie, a po chwili zapadła całkowita cisza. Mimo to Gabrielle nadal trzymała Jasona za koszulę i wciskała twarz w jego pierś. A on nie wypuszczał jej z objęć, zdając sobie sprawę, że jej cierpienie dopiero się zaczyna; chciał dodać jej siły, by mogła sobie z tym poradzić.

Wiedział, że Gabrielle ma w sobie moc. I odwagę. Przypomniawsobie pobyt w Paryżu, to, jak udawała Brielle... i Bernarda. Nie wahała się przed niczym, co mogłoby pomóc w uratowaniu jej ukochanej matki. Matki, która poświęciła się dla swojego dziecka. To było naprawdę niezwykle - te dwie kobiety oddałyby życie za siebie nawzajem.

Choć tak naprawdę, co w tym dziwnego? Czy rzeczywiście poświęcenie tych kobiet było czymś niezwykłym? No, powiedz to, nalegał jakiś wewnętrzny głos. Chodzi ci o to, że są Francuzkami. A może po prostu nie chcesz przejrzeć na oczy i dlatego nie widzisz, jaka jest prawda?

Uzmysłowił sobie, że tak właśnie było. Że zdrada Juliette stała się dla niego czymś na kształt uswięconego sztandaru, który

przesłonił mu prawdę. A Gabrielle boleśnie odczuła to na własnej skórze.

Nie pozwoliła jednak, by ją złamał. Ani razu się nie poddała, nawet kiedy traktował ją z niewybaczalnym okrucieństwem. Jego usta skrzywiły się w lekkim uśmiechu. Diabła tam, nawet mu się odgryzała, i to jak celnie! Stawiła mu czoło, niczym mały, niewieści Dawid, stojący oko w oko z Goliatem, pełen gniewu i determinacji...

Chryste, ona rozbija mnie swoją odwagą! - pomyślał. Ani na chwilę nie przestała się z nim zmagać, nawet kiedy los zawiódł ją za ocean, tysiące mil od matki, którą przysięgła uratować. Której uratować nie mogła z winy jego, Jasona.

Matki, która teraz już nie żyła.

W jego duszy obudziły się wyrzuty sumienia. Co prawda, rozsadek mu podpowiadał, że gdyby postąpił inaczej, Gabrielle też mogła stracić życie, ale to do niego nie docierało. Za długo był zaślepionym tchórzem, opętany przez demony przeszłości. Nadszedł czas, by spojrzeć prawdzie w oczy, by ponieść konsekwencje swoich czynów. I spróbował wszystko naprawić.

Jeśli to w ogóle było możliwe.

Gabrielle powoli zaczęła zapadać w sen, a on usilnie rozmyślał. Kiedy ostrożnie położył ją na plecach i przykrył kocem, wiedział już, co zrobi.

Nie mógł przywrócić życia jej matce. Miał tylko nadzieję, że uda mu się wypełnić lukę, jaka powstała w sercu Gabrielle. Wiedział, jak ciężko jest człowiekowi, gdy ponosi tak wielką stratę. Alexander udowodnił jednak, że nawet pęknięte serce może się zrosnąć.

Oczywiście, dziecko na pewno pomoże jej zaleczyć rany, ale on też musiał wesprzeć ją w tych ciężkich chwilach. Był jej mężem. Złożył przyrzeczenie przed Bogiem... na dobre i złe. A jak do tej pory korzystał tylko z tego, co dobre! Czy poza dawaniem jej przyjemności w łóżu zrobił cokolwiek, by wypełnić owo przyrzeczenie? Co zrobił dla niej? Nawet folgując jej humorom myślał przede wszystkim o sobie, swojej korzyści. I o tym, by nadal co noc rozkoszować się jej wdziękami.

Ale teraz to Gabrielle będzie dla niego najważniejsza. Na początek obiecał sobie, że zrobi wszystko, by pomóc jej poradzić sobie z rozpaczą. A potem, na Boga, uczyni ją...

Przemknęło mu przez myśl słowo „szczęśliwa”, ale ogarnęła go niepewność. Co, u diabła, czyni kobietę szczęśliwą? Pewnie dzieci. Wkrótce, jak Bóg da, dziecko będą mieli. Ale czego jeszcze trzeba?

Gabrielle długo marudziła, że musi mieć jakieś zajęcie. Czy kobiety potrzebują pracy, by wzbogacić swoje życie, tak jak mężczyźni? To wydawało się niemożliwe, ale, przynajmniej w przypadku Gabrielle, prawdziwe. No dobrze, mogła dalej siedzieć z nosem w tych księgach, których wypełnianie tak go nużyło. Chocierż dobrze jej to szło. Mogła też dalej uczyć, jeśli znajdzie czas - przecież wkrótce będzie musiała zajmować się dzieckiem. A dziecko obdarzy ją uczuciem, okaże czułość.

Czułość... może o to właśnie chodzi. Postanowił, że obsypie ją czułościami, że będzie umizgiwał się do żony dotąd, aż ją uszczęśliwi. Na pewno tego właśnie było jej trzeba.

Gdzieś w głębi jego umysłu zaczęła kiełkować myśl, że to nie wszystko. Że mógłby dać jej coś jeszcze. Ale co? Zanim zdołał się nad tym zastanowić, owa myśl rozplynęła się.

Wzruszył ramionami i nachylił się, po czym musnął palcami policzek Gabrielle. Jej skóra była tak miękka... jak ciepły atłas - pomyślał. Gabrielle przez sen odwróciła się i wtuliła twarz w jego dłoń. Uśmiechnął się.

No dobrze, więc czułość, dużo czułości.

Zmarszczył czoło. Nie mógł tylko przesadzić; kiedyś słyszał, jak Prentiss wyrzekał na swoją nadmiernie troskliwą siostrę. Jednak ostatnimi czasy Jason bez trudu potrafił odgadnąć nastroj Gabrielle. Wystarczy, że będzie bacznie obserwował jej zachowanie i, kiedy trzeba, stanie u jej boku. Tak... to łatwe.

Jason, zadowolony ze swojej decyzji, pocałował żonę w czoło i po cichu wymknął się z sypialni.

Wszyscy domownicy głęboko współczuli Gabrielle, pogrążonej w żalobie. Nie mogła powstrzymać łez wzruszenia, gdy dowiedziała się, że Alexander dał na mszę za duszę Louise de Saint-Germain. W Fairhills pojawił się też Conor, za co bardzo była mu wdzięczna. Opowiadając o swojej matce, zachęcił Gabrielle, by również podzieliła się z nim wspomnieniami. Przyniosło jej to wielką ulgę. A Bernice pomagała jej tym, że po prostu przy niej była.

Przyjechał też Jefferson z córkami. Włosy sekretarza stanu wydały się bardziej rude niż zwykle na tle czerni jego żałobnego płaszcza. Gabrielle podziękowała mu za wyrazy współczucia. Podziękowała też za informację przekazaną przez jego kuriera.

Służący z Fairhills chodzili po wielkim domu na palcach, rozmawiając przyciszonymi głosami. Wszyscy bardzo lubili i szanowali młodą panią o wielkim sercu, dlatego też łączyli się z nią w smutku. Wszędzie widać było czarną krepe, a do drzwi przybity został wieniec żałobny. Ktoś nawet poodwracał lustra do ścian, ale Gabrielle położyła kres tej praktyce.

A zrobiła to w drugim tygodniu żałoby, kiedy jedna z córek ekonomy spytała ją, czy w lustrach siedzi coś złego. Wtedy Gabrielle powiedziała Bernice, że docenia współczucie wszystkich, ale nie chce, by dzieci bały się z jej powodu. Dodała też, że jedynym miejscem, w którym tak naprawdę nosi żałobę, było jej serce; a tam niepotrzebna była czarna krepa i wieńce.

Najważniejsze, że był przy niej Jason. Choć na początku nawet nie zdawała sobie z tego sprawy, zawsze pojawiał się, kiedy tylko go potrzebowała. Stał się ostoją pośród ruchomych piasków jej smutku i rozpacz; mogła na niego liczyć w chwilach, gdy miała wrażenie, że unosi się bezwładnie na morzu, zdana na łaskę fal.

Wyglądało na to, że wiedział dokładnie, kiedy i w jaki sposób żona go potrzebuje. Czasami pragnęła, by ją przytulił; wtedy wystarczyło, by na niego spojrzała, i Jason brał ją w swoje silne ramiona. Niekiedy chciała tylko być przy nim; to też wyczuwał. Jeśli czytała wówczas jakąś gazetę - głównie żeby się dowiedzieć, co dzieje się we Francji, jako że nie potrafiła zapomnieć o swojej ojczyźnie - to mogła być pewna, że podniósłszy głowę, napotka ciepłe spojrzenie Jasona.

Zdarzało się też, że nade wszystko pragnęła samotności; i wtedy mąż ukradkiem zniknął. To wszystko było naprawdę dziwne. Zupełnie jakby czytał w jej myślach. A do tej pory udawało mu się to tylko w łóżu. Kiedy stał się tak wrażliwy na jej potrzeby? I, co ważniejsze, dlaczego?

Pewnego dnia siedziała samotnie w klasie, usiłując znaleźć odpowiedź na te pytania. Było to tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Wyplatała wieńce z ostrokrzewu, chcąc sprawić niespodziankę swoim uczniom, ale przyszło jej do głowy, że lepiej było-

by, gdyby przygotowali je sami. W ten sposób nauczyliby się nie tylko wypłacać wieńce. Nauczyliby się dzielić z innymi.

Nagle pomyślała o Jasonie. Czyż właśnie on, w pewnym sensie, tego nie robił? Nie tylko próbował uśmierzyć jej ból, ale połączył się z nią w żałobie, mimo że nigdy nie spotkał *maman*. Wiedziała jednak, że żałoba jest dla tych, którzy pozostali, a nie tych, którzy odeszli...

Serce skoczyło jej w piersi. Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, kiedy próbowała zebrać chaotyczne myśli. Nie, to niemożliwe!

Ale to miało sens. Skoro żałoba jest dla tych, którzy cierpią po utracie bliskich, a Jason połączył się z Gabrielle w smutku, to oznaczało, że zrobił to dla niej, a nie dla dziecka, które nosiła w sobie. Jego zachowanie w ostatnich dniach nie miało bezpośredniego wpływu na nie narodzone maleństwo. Ciotka Ruth i Bernice już dawno stwierdziły kategorycznie, że dziecko jest całkowicie bezpieczne.

Czyżby stało się to, co jeszcze niedawno wydawało się niemożliwe? Czy to możliwe, żeby on... Nie śmiała nawet o tym myśleć.

Jednak wychodząc z klasy, Gabrielle miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Musiała przyznać, że już dawno nie było jej tak lekko. Ostatni raz się czuła tak, kiedy jeszcze była dzieckiem, u boku matki.

Chyba już wyżej nie trzeba, do licha?

W salonie rozległ się perlisty śmiech Gabrielle.

- Ależ, Jason, ponoć potrafisz to lepiej od Prentissa. Sam tak mówiłeś.

- Ha! - Wskazał drabinę, na której stał, i wieniec w rękę żony.  
- I tak nieźle trafiłem. Rene skarżył się, że Bernice kazała mu włożyć fartuch i wyrabiać ciasto!

Zachichotała szelmowsko.

- To prawda. Jego wrzaski słychać było aż na piętrze. Ale tak sobie myślę, że może tylko udawał.

- Co, u diabła, chcesz przez to... a niech tam, nieważne. Ręka mi zaraz odpadnie, a zdaje się, że przed chwilą pytałem szanowną panią, czy taka wysokość wystarczy.

- Hmmm. - Gabrielle zamyśliła się na chwilę. Jej mąż cier-



pliwie trzymał w jednej ręce gwóźdź, a w drugiej ścisnął młotek.  
- Chyba tak.

- Dzięki Bogu - mruknął Jason, wbijając gwóźdź. - Już zaczynałem się czuć, jakbym wisiał na ścianie. Jeszcze chwila, a to ja stałbym się dekoracją tego przeklętego kominka. Jesteś pewna, że to już wszystko?

Gabrielle przytaknęła i podała mu ostatni z wieńców, które zrobiła z dziećmi. Za dwa dni zaczynały się święta i udało jej się przekonać wszystkich domowników, że trzeba coś przygotować na tę okazję. Powiedziała im, że jej matka uwielbiała Boże Narodzenie; zawsze po mszy cały dom wypełniał się radosnym śpiewem, stoły uginały się od specjalnych świątecznych potraw, a domownicy obdarowywali się prezentami. Jakże lepiej można było uczcić jej pamięć?

- No, przynajmniej to mamy z głowy - powiedział Jason, kiedy zszedł z drabiny i ogarnął spojrzeniem swoje dzieło. - Chodź tu, kobieto, i powiedz mi, co o tym sądzisz.

Przytulił ją, po czym ucałował w czubek nosa.

- No? - spytał, uśmiechając się do niej. - Może być?

Gabrielle odpowiedziała mu uśmiechem. Ogarnęło ją błogie ciepło. Dom był przyozdobiony gałęziami sosny i ostrokrzewu, a w powietrzu woń świec mieszała się z zapachami dochodzącymi z kuchni. Ale najważniejsze, że mąż był w doskonałym nastroju. Jason zmienił się nie do poznania. Zupełnie jakby ten gniewny, cyniczny człowiek, którego niegdyś poznała, nie miał z nim nic wspólnego.

Owszem, już wcześniej, po zażartej kłótni, która miała miejsce po wypadzie Gabrielle do stajni, w ich związku co nieco zmieniło się na lepsze. Ostatnio jednak zauważała o wiele więcej. Jason był dla niej niezwykle czuły i, o dziwo, nie dlatego, że chciał zaciągnąć ją do łóża. Wręcz nalegał, by ograniczyli intymne pieszczoty. Co prawda przyznał, że Gabrielle teraz wydawała mu się bardziej atrakcyjna niż kiedykolwiek, ale zdawał sobie też sprawę, że częściej niż zwykle bywa potwornie zmęczona i nie czuje się najlepiej. Powiedział jej, że człowiek nie potrafiący utrzymać żądź na wodzy nie zasługuje na żonę, która nosi w sobie jego dziecko.

Tak, zmienił się. Zamykając oczy, Gabrielle pomyślała o tej kruchej nadziei, która rozbudziła się w niej tamtego dnia, kiedy

w klasie plotła wieńce. Z każdą chwilą, kiedy była przy nim, ta nadzieja stawała się coraz silniejsza. Może Jason rzeczywiście zaczynał coś do niej czuć?

Nawet jeśli nie darzył jej tak silnym uczuciem, jak ona jego, to i tak był to dobry początek. Musiała tylko być cierpliwa i wierzyć, że zdarzy się cud. Że rozgorzeje w nim ta wielka namiętność, której za nic nie mogła wybić sobie z głowy. Tak, moje serce, powiedziała w duchu do męża, chcę, byś kochał mnie prawdziwie... by miłość zawładnęła twoim ciałem, myślami, sercem i duszą.

- Oj, chyba moja psotnica myśli, co by tu zbroić. - Jason wziął ją w ramiona. Jego usta znalazły się przy jej uchu. - Tak coś czuję - mruknął, muskając ją nosem po twarzy.

Przez jej ciało przebiegł dreszcz przyjemności.

- Wygląda na to, że moja żoneczka też coś czuje? - Nadal pieścił ją nosem, po czym delikatnie, koniuszkiem języka, polizał ją w ucho.

Gabrielle wciągnęła powietrze do ust.

- Jason, zachowuj się! Jesteśmy w salonie.

W odpowiedzi roześmiał się łobuzersko.

- Już niedługo, *cherie*. - Z tymi słowami wziął ją na ręce, jakby nic nie ważyła, mimo że była już w ósmym miesiącu.

- Ależ, Jason - jęknęła, czując, że topnieje pod jego uśmiechem - to środek dnia! Nie robiliśmy tego od...

- Od czasu, kiedy wreszcie nabrałem trochę rozumu? - Byli już na schodach; Gabrielle modliła się w duchu, żeby po drodze nie natknęli się na nikogo. Wystarczyło spojrzeć na rozpaloną twarz Jasona, żeby odgadnąć, co się szykuje.

- No cóż - szepnęła, rumieniąc się - mówiłeś, że...

- Ograniczymy to, moja słodka - powiedział z tym samym diabelskim uśmiechem. - A nie znaczy to, że będziemy żyć jak mnisi. Powiedz, jesteś teraz zmęczona?

-Nie.

- Doskonale. A może czujesz się nietego?

Kiedy była w jego ramionach? Skądże. Potrząsnęła głową. Ale wtedy w jej duszy pojawił się cień niepokoju.

- Nie boisz się o dziecko?

- Przez najbliższe kilka godzin chłopaczyna będzie bezpieczny jak nigdy - powiedział, gdy wniósł ją do sypialni i kopnięciem zatrzaskał za sobą drzwi.

Gabrielle uniosła brwi, gdy położył ją na łożu. Kilku godzin!  
- Co? Jason, jak to możliwe, żeby... - Urwała w pół zdania, słysząc jego cichy śmiech.

Jason ukląkł przy łożu i wsunął dłoń między jej uda, prosto w to wilgotne, gorące miejsce.

- Jason? - Jego kciuk trafił na małą fałdkę wychylającą się pomiędzy kręconych włosów łonowych. Usta Jasona rozkosznie drażniły jej piersi, doprowadzając ją do utraty tchu.

- Hmmm? - mruknął.

- Dlaczego kłęczysz na podłodze?

Podniósłszy głowę, spojrzał na nią przymrużonymi, rozpalonymi pożądaniem oczami.

- Ach, Gabrielle - westchnął. - Jakaś ty jeszcze niewinna. - Jego kciuk podjął przerwana pieśczętę. - Ale nie przejmuj się, skarbie - dodał spokojnie, słysząc jęk wydobywający się z jej ust. - Zaraz stracisz trochę z tej niewinności - przesunął palec po jej śliskiej szparce - kiedy zobaczysz, jak... pomysłowy może być człowiek, który wkrótce zostanie ojcem.

RS

Czy ta podróż nie będzie dla Gabrielle zbyt męcząca? - Alexander spojrział na Bernice, po czym popatrzył niepewnie na wypucowany do połysku niebieski powozik. Jason przed chwilą powiadomił ich, że zabiera żonę do Charlottesville. - Przecież droga jest nie brukowana. Dla kobiety, która już wkrótce będzie...

- Męcząca podróż? W tym nowym powozie? - Bernice zachnęła się. - Nie słyszałeś? Aniołowie woleliby podróżować nim, niż machać skrzydłami. Koła ponoć prawie nie dotykają ziemi!

Alexander roześmiał się.

- Pewnie dlatego mój syn zapłacił za niego taką pokaźną sumkę.

- Pokażną? Mój drogi Alexandrze, to była góra pieniędzy! Gdybym ja tyle kosztowała, nawet w młodości, kiedy kupił mnie ojciec Juliette, ludzie dopytywaliby się, czy znoszę złote jaja!

- Ależ, moja droga, przecież jesteś w kwiecie wieku. Inaczej nie igrałabyś tak z Prentissem.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Bernice prychnęła i uniosła podbródek, udając niewiniątko. Zdradziło ją jednak drgnięcie ust.

Alexander parsknął śmiechem.

- Niech tam będzie, jak chcesz, moja droga. Zresztą już ty się postarasz, żeby wyszło na twoje. W końcu i Prentiss zda sobie z tego sprawę. Nie ustąpisz, dopóki do reszty nie zawrócisz w głowie temu biedakowi.

Bernice prychnęła raz jeszcze i skierowała spojrzenie na powozik oddalający się od domu.

- Martw się lepiej o swojego syna. Ten to dopiero jest zadurzony. Alexander popatrzył na nią bystro.

- Naprawdę tak myślisz?

Zwróciwszy się twarzą do niego, uśmiechnęła się.

- A po co wydawałby górę pieniędzy na nowy powóz, skoro ten, który stoi w stajni, jest jeszcze całkiem sprawny? Pomyśl, kupił go tylko dlatego, że chciał zabrać swoją ciężarną żonę na zakupy o kilka mil od domu. No, słucham, jak wyjaśnisz tę nagłą szczodrość?

- No cóż, twierdził, że jada po rzeczy dla dziecka. Myślę, że Jason naprawdę nie może się już doczekać narodzin. Możliwe, że po prostu... - Urwał w pół zdania, widząc, że Bernice patrzy na niego z nie skrywanym rozbawieniem. - Poważnie myślisz, że się w niej zakochał?

Gospośia parsknęła śmiechem.

- Wybrał powóz w kolorze oczu żony. Tak, myślę, że ją kocha, chociaż możliwe, że sam jeszcze tego nie wie.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

- A Gabrielle?

- Nie widzisz?

- Chodzi ci o to, jak promienieje? Możliwe, że to z powodu dziecka.

Na werandzie zrobiło się chłodniej. Bernice otuliła się wełnianym szalem i na chwilę pograżyła się w zamyśleniu.

- Na pewno od dziecka się zaczęło - powiedziała wreszcie - ale ich łączy coś więcej. Ci dwoje są dla siebie stworzeni, Alexandrze. Prawdę mówiąc, nigdy jeszcze nie widziałam dwojga ludzi tak dojrzałych do wielkiej miłości. Ale jak zapewne wiesz, musieli pokonać wiele przeszkód.

- Ano, wiem - odparł, wspominając zapalczywość Jasona przed ślubem. Pomyślał też o tym, jak bardzo przybrany syn zmienił się od tamtego czasu. - Mój syn stał się zupełnie innym człowiekiem, odkąd to biedne dziecko straciło matkę. - Westchnął. - Pewnie nie pierwszy raz tragedia otwiera komuś oczy.

Bernice skinęła głową w zamyśleniu.

- Tragedia zbliża ludzi do siebie... ale może ich też rozdzielić. I Gabrielle, i twój syn wiele przeżyli...

Zmarszczyła czoło i spojrzała w dal.

- Miejmy nadzieję, że nie spotka ich już nic złego. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Charlottesville... - powiedziała Gabrielle w zadumie, gramoląc się z powozu. - Dziwne, że wy, Amerykanie, nie zmieniliście nazwy po tym, jak wywalczyliście niepodległość od Anglii i króla Jerzego.

Jason wzruszył ramionami.

- Nazwaliśmy tak miasto na cześć królowej, a ona nam nie zawadzała. Z urodzenia nawet nie jest Angielką.

- Tak, słyszałam, że prawdziwa z niej niemiecka Frau - skwitowała Gabrielle, myśląc zupełnie o czym innym. Podziwiała osobliwy urok tej wioski. Przy kilku sklepikach, rozrzuconych wzdłuż głównej ulicy, kręcili się ludzie, korzystający z wolnego dnia, by zrobić zakupy. Widok ten przywiódł jej na myśl małe miasteczka we Francji.

Jason powiedział coś do stangreta z Fairhills, po czym wziął Gabrielle pod rękę i razem ruszyli ulicą.

- Czasem zadziwia mnie to, jak dużo wiesz, Gabrielle.

- Tak? - Zerwał się wiatr; Gabrielle odruchowo przytrzymała czepiec, by nagle nie sfrunął jej z głowy. - Jak to?

- Po prostu czasem zapominam o twoim starannym wykształceniu. - Swego czasu opowiedziała mu o swojej edukacji i szczególnym nacisku, jaki jej ojciec, zapamiętały anglofil, kładł na wszystko, co wiązało się z Anglią.

Najeżyła się.

- Dlaczego? Bo jestem kobietą?

Roześmiał się.

- Spokojnie, maleńka. - Wskazał wzgórze, na którym wznosiła się posiadłość Jeffersona, Monticello. - W odróżnieniu od naszego czcigodnego sąsiada, uważam, że kobiety powinno uczyć się czegoś więcej niż tylko utrzymywania domu i wychowywania dzieci.

- Mam nadzieję - burknęła. - Jeśli „on” okaże się „nią”... - poklepała się po wystającym brzuchu - ...przypomnę ci te słowa!

-I niech mnie ręka boska broni, żebym miał zmienić zdanie!  
- Jason uniósł oczy ku niebu z udawanym przerażeniem.

Jego żona w odpowiedzi uderzyła go ukrytą w rękawicy piąstką w ramię.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem.

- Dziwi cię to, że wiem o pewnych rzeczach? - spytała po chwili.

Jason przystanął przed sklepem, nad którym wisił szyld z napisem TOBIAS SMITH, STOLARZ.

- Kiedy myślę o twoim pochodzeniu, o tym, kim byłeś przed naszym spotkaniem, zwykle mam przed oczami Brielle i Bernarda. A skąd oni niby mieli wiedzieć choćby o tym, że żona Jerzego jest Niemką?

- Tego nie dowiedziałam się na żadnej lekcji - powiedziała wytwornym tonem. - Takie rzeczy słyszało się na dworze.

- Tam to dopiero miałą szkołę - wymamrotał Jason pod nosem. - *Pardon?*

Biorąc ją za rękę, uśmiechnął się z przekąsem.

- Domyślałam się, że to, co widziałas w Wersalu, też wiele cię nauczyło. O ile wiem, dwór Burbonów bynajmniej nie słynął z pruderii. Kiedy przypominam sobie, ile spędziłaś tam czasu, nie mogę się nadziwić.

Gabrielle miała minę, jakby zupełnie nie wiedziała, o co mu chodzi. Jason uśmiechnął się szerzej.

- Że nie nauczyłaś się pewnych rzeczy, kochanie, i - spojrzenie Jasona zatoneło w jej oczach - ...że w moim łóżu okazałaś się dziewczą.

Gabrielle nie mogła wydobyć z siebie słowa. Stali przy ruchliwej ulicy, był środek dnia; a ona nie widziała niczego poza nim. W tej chwili wydawało jej się, że oprócz nich nie ma nikogo innego na świecie.

- To dzięki *maman* - nareszcie wydusiła z siebie, po czym musiała odkasznąć, żeby mówić dalej. - To *maman*... ona mnie chroniła i... - Słowa uwięzły jej w gardle. Myślała tylko o tym, że Jason powiedział do niej „kochanie”. Niby taka drobnostka, ale nigdy dotąd nie użył tego słowa. Poza tym tak na nią patrzył...

- No cóż, miałem szczęście - powiedział Jason, dziwiąc się, czemu jej oczy nagle rozbłysły. - Twoja matka musiała być naprawdę mądrą i niezwykłą kobietą. Szkoda, że jej nie poznałem.

Gabrielle nie mogła oderwać od niego oczu. W tej chwili kochała go tak mocno, że wydawało się wręcz niemożliwe, by człowiek...

- A kogóż to moje piękne oczęta widzą? Toż to Jason Tracę!

Obydwoje zwrócili twarze w stronę, z której dobiegł ten kobiecy, ociekający słodyczą głos. W dwukółce, która zatrzymała

się przy nich, siedziała modnie wystrojona brunetka, której towarzyszyła tęga Murzynka, niewątpliwie jej służąca. Gabrielle od razu zauważyła, że brunetka jest kobietą niezwyklej urody.

- Pani Bainbridge - powiedział Jason i pochylił głowę w ukłonie.

- Oj, Jason, Jason - ofuknęła go kobieta - przecie znamy się od wieków! Od kiedy to zapomniałeś, jak mam na imię? - Spojrzenie jej ciemnych oczu spoczęło na Gabrielle. - Nie przedstawisz mnie swojej... przyjaciółce?

To ostatnie słowo powiedziała niemal z pogardą, acz w jej głosie brzmiało też pewne zaciekawienie. Gabrielle zeszywniała. Jason, czując to, objął ją.

- Gabrielle, pozwól, że przedstawię ci panią Bainbridge. Roberto, to pani Trace, moja żona.

- Twoja żona? - Było to dla niej większym wstrząsem, niż gdyby dowiedziała się, że Gabrielle jest jego babcią. Zapewne wolałaby, żeby tak było.

- Zdaje się, Roberto, że powiedział to głośno i wyraźnie - rozległ się znajomy męski głos.

- Conor! - krzyknęła Gabrielle, kiedy wszyscy zwrócili spojrzenia na potężnego mężczyznę, który wyłonił się ze sklepu. - Co za miła niespodzianka!

Pani Bainbridge mruknęła pod nosem coś o niemiłych niespodziankach, po czym dała znak stangretowi, zdobyła się na sztywne skinienie głowy i bez słowa odjechała.

Conor parsknął śmiechem, pocałował Gabrielle w policzek i spojrzął na Jasona.

- Wdowa Bainbridge coś nie cieszy się z twojego szczęścia.

Jason wyszczerzył radośnie zęby i udając najwyższe zdumienie, podrapał się za uchem.

- Poważnie? Ciekawe, dlaczego.

- Oj, Jason, Jason - powiedziała Gabrielle, naśladując przesłodzony ton wdowy - ja ci powiem, dlaczego. Dlatego, że chciałyby, żeby ta baba u twojego boku, zamiast pójść z tobą przed ołtarz, poszła na stryczek!

Przez chwilę obydwaj mężczyźni patrzyli na nią ze zdumieniem. Gabrielle wzięła się pod boki, a jej oczy miały gniewne błyski. Nagle, jak na komendę, wybuchnęły głośnym śmiechem.



Czekała, aż się trochę uspokoją, żeby dopowiedzieć jeszcze to i owo. Mogłaby wydrapać oczy tej flądrze! Jednak kiedy jej spojrzenie powędrowało w ślad za dwukólką wdowy, zamarła.

Do sklepu ze sprzętem domowym, kilka domów dalej, wpadł mężczyzna w czerwonej czapce. Zanim zniknął, dojrzała jego twarz. Czyżby to był Le Feu? Nie, to niemożliwe!

- Cóż się stało, sikorko? - spytał Conor. Jason spoważniał i spojrzał na żonę. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Gabrielle? - rzucił Jason z niepokojem w głosie, po czym złapał ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. - Niech to diabli, rzeczywiście zbladłaś. - Spojrzał jej w oczy. - Dobrze się czujesz? Czy dziecko...

- Och, nie, nie, to nic takiego - zapewniła go, wmawiając sobie, że to, co widziała, było tylko złudzeniem. Cóż niby miałyby robić tu Le Feu? Po prostu światło odbiło się od szyby i... A może dawała znać o sobie jej bujna wyobraźnia? Tak, to na pewno o to chodziło! Sama sobie była winna! Za bardzo wczuła się w rolę tamtej... tamtej kobiety!

- Lekka niestrawność - dodała i machnęła ręką w stronę dwukółki. - Za dużo... cukru.

Conor znowu parsknął śmiechem, a Jason przyciągnął żonę do siebie i pocałował w czoło.

- No to obiecuję ci, kochanie, że na przyszłość w twojej diecie nie będzie tego, że tak powiem, składnika - zapewnił znacząco.

- Oby- odparła Gabrielle, usiłując zdobyć się na groźny ton, ale nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Znowu powiedział do niej „kochanie"! Ogarnięta radością, poczuła się, jakby była lżejsza od powietrza.

Conor obiecał, że dołączy do nich w tawernie, i poszedł załatwiać swoje sprawy. Gabrielle i Jason weszli do sklepu stolarza. Wewnątrz unosił się przyjemny zapach drewnianych opiłków i wosku, a w pomieszczeniu stały rozmaite, nie wykończone jeszcze meble. Czeladnik, chłopak mniej więcej trzynastoletni, przywitał się z Jasonem. Następnie uśmiechnął się nieśmiało do Gabrielle i poszedł na zaplecze sklepu po właściciela.

Tobias Smith był wysokim, chudym mężczyzną o kasztanowych włosach związanych w kucyk. Miał na sobie gruby skórza-

ny fartuch, nałożony na brązowe bryczesy z szorstkiego materiału; koszulę domowej roboty, z podwiniętymi rękawami, osłaniał kaftan z lżejszej skóry.

Smith uśmiechną się ciepło, wymieniając z Jasonem uścisk dłoni. Uśmiech nie zszedł z jego ust, kiedy Jason przedstawił mu żonę; stolarz skłonił się przed nią szarmancko. Znała tylko kilku mieszkańców Wirginii spoza Fairhills, ale wszyscy, poza wdową, wydawali się mili. Największe wrażenie robiło na niej to, z jakim szacunkiem i swobodą podchodzili do jej męża. Dobrze czuli się w jego towarzystwie, a on to odwzajemniał.

Zaczęła o tym myśleć, podczas kiedy stolarz wziął Jasona na stronę, żeby zamienić z nim parę słów. Nie ulegało wątpliwości, że obaj darzą się szacunkiem. Tak samo wyglądały kontakty Jasona z ludźmi takimi, jak na przykład Wilkes, kowal w Fairhills. Mimo że jej mąż był majątnym plantatorem, zaufanym człowiekiem ludzi władzy, jak choćby Jeffersona, a Smith i Wilkes - zwykłymi rzemieślnikami.

Jason po prostu taki już jest - pomyślała. I nagle jej serce wypełniła duma i miłość. Przy swoim bogactwie i wpływach Jason mógłby traktować ludzi pokroju Tobiasa Smitha z wyższością. Zmuszać ich do życia na kolanach i „pokazywać im, gdzie ich miejsce”. Jedna z córek Jeffersona użyła tego sformułowania, kiedy mówiła o swojej niewolnicy, Sally.

Zaczęła rozumieć, dlaczego ludzie tacy jak Jason, Alexander i Conor nie chcieli mieć niewolników.

Pomyślała o swojej ojczyźnie, gdzie ludzie zabijali się nawzajem właśnie w imię wolności. Ale wiedziała, że tak naprawdę chodzi o władzę. Ci, którzy ją mieli, chcieli zmusić do uległości całą resztę, choćby za cenę krwi.

Oczywiście, Amerykanie również przelali jej dużo. Oni też wywołali rewolucję. Ale jakże inne owoce przyniósł ich zryw! Kiedy uwolnili się spod jarzma króla, stworzyli państwo, w którym ludzie tacy jak Jason Trace mogli coś osiągnąć. Zresztą tacy jak Tobias Smith też - pomyślała, ogarniając spojrzeniem piękne meble powstające w tym pomieszczeniu.

- No, pani Trace co pani na to? - Z zamyślenia wyrwał ją głos stolarza.

Spojrzała na niego... i zaparło jej dech w piersiach.

Jeszcze nigdy nie widziała tak pięknej kołyski jak tu, którą trzymał Smith. Wykonana była z drewna klonu, od dokładnie wykończonych ozdób po zgrabnie wygięte bieguny. Gabrielle czuła nieprzeparłą chęć, by jej dotknąć, by ułożyć w niej dziecko.

- Och - westchnęła. - Jeszcze nie widziałam nic równie cudnego! - Zerknęła na męża, po czym znów przeniosła wzrok na kołyskę. - Czyż nie jest piękna, Jason?

Stolarz i czeladnik parsknęli śmiechem.

- Na pewno się z panią zgodzi, pani Trace - powiedział Smith.  
- W końcu to on ją zaprojektował.

Spojrzała na Jasona z najwyższym zdumieniem.

- Naprawdę ci się podoba? - spytał łagodnym tonem.

- Podoba? Och, Jason, jest przepiękna! - krzyknęła i padła mu w objęcia.

Smith, z szerokim uśmiechem na twarzy, stanowczym gestem ręki wygonił zarumienionego czeladnika na zaplecze. Wyglądało na to, że pani Trace nie zwykła skrywać uczuć; no, ale z tego, co słyszał, była Francuzką. Dobrze, że chociaż miała odpowiedni gust.

Jason ze śmiechem objął Gabrielle, która trajkotała po francusku niczym sroka, mówiła mu, że to prawdziwa niespodzianka, że weszła do sklepu po to, żeby znaleźć coś, co nadałoby się do użytku, ale nawet nie marzyła o czymś tak wspaniałym; że jego projekt był cudowny; że on, Jason był cudowny!

Wzruszył ramionami.

- Miałem parę godzin wolnego, kiedy ty uczyłaś dzieciaki albo siedziałaś nad tymi cholernymi księgami.

- Jason...!

- Przepraszam, kochanie. - Starła się odczyścić go przeklinania. Dziecko nie mogło wysłuchiwać tak brzydkich słów. - Ty mi... przekłętymi księgami?

Te słowa ledwie do niej dotarły. Znowu powiedział do niej „kochanie”. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Musi mnie pokochać, żeby nie wiem co! - pomyślała.

Jason przyglądał się w milczeniu, jak Gabrielle nabożnie przesuwając dłoń po gładko wypolerowanej powierzchni kołyski. Proszę, arystokratyczna córka *ancien regime*, przyzwyczajona do bogactwa i przywilejów, potrafi się radować z takiego podarunku.

Owszem, kołyska była dość ładna, ale na pewno nie dało się jej porównać z tym wszystkim, co otaczało Gabrielle w jej rodzinnym domu. Nic dziwnego, że tak łatwo przychodziło jej udawanie Brielle i Bernarda!

Wtedy uzmysłowił sobie, że jej miejsce nie było w kraju, do którego opuszczenia ją zmusił. Z *ancien regime* miała tyle wspólnego co on. Jej miejsce było tutaj, w Nowym Świecie, gdzie była bezpieczna i wolna. Z nim i ich dziećmi u boku.

Czekała ich wspólna przyszłość na ziemi, za którą walczył i gotów był oddać życie. I choćby miał zginąć, nie pozwoli, by ktokolwiek odebrał im szczęście.

Co u licha? - pomyślał, spojrzawszy w okno. Do sklepu zaglądał okrutnie brzydki człowiek w czerwonej frygijce; gdy tylko zauważył, że Jason na niego patrzy, odwrócił się i poszedł. Dziwne... ta czapka wyglądała zupełnie jak...

Z zamyślenia wyrwał go cichy okrzyk Gabrielle.

- Co się stało? Gabrielle, co jest, do diabła?

Błada jak płótno, potrząsnęła głową, powtarzając sobie w duchu, że nie mogła tego zobaczyć. Tylko ci się wydawało! - powiedziała sobie. Przecież widziałas tego człowieka tylko od tyłu, a że na głowie miał coś czerwonego? To nie mógł być Le Feu! To na pewno nie on.

Ale gdy zapewniała Jasona, że po prostu złapał ją skurcz w nogę, co w jej stanie było czymś najzupełniej normalnym, wcale nie była pewna, że to, co widziała, było li tylko złudzeniem.

Jason, przy pomocy Smitha, czym prędzej posadził ją na nie polakierowanym krześle, choć przekonywała ich usilnie, że nie jej nie jest. Tak naprawdę jednak potrzebowała chwili wytchnienia. To, co się stało, wystraszyło ją bardziej, niż była gotowa przed sobą przyznać.

W czasie gdy Jason ze stolarzem przygotowywali kolebkę do transportu, Gabrielle ogarnęły natrętne myśli. A może Le Feu i pozostali spiskowcy uważali, że jednak odnalazła Królową Morza? Że zdradziła królową i następcę tronu? Może przybyli tu, by odebrać jej klejnot? Nikt jeszcze nie wiedział, jaki los czeka młodego następcę tronu, ale dla rojalistów był teraz Ludwikiem XVII. Czy mieli nadzieję, że ten szafir pomoże im go uratować?

Ale ona nie miała Królowej Morza! Lecz czy uwierzyliby \v\, gdyby im to powiedziała? A jeśli...

Poczuła, że dziecko porusza się w jej łonie, i zmusiła się, by odzyskać spokój. To tylko twoja wyobraźnia - wmówiła sobie po raz kolejny. Nie zapominaj o tym, a wszystko będzie dobrze.

Oby! Ze względu na dziecko, na nich wszystkich - dodała w duchu, po czym zamknęła oczy i zaczęła się modlić. Wołała nie myśleć o tym, że kiedy ostatnim razem modliła się tak żarliwie...

*Maman* i tak umarła.

RS

No to jak myślisz, ile razy cię już widziała? - spytał od niechcienia Antoine d'Albret. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, pochłonięty przycinaniem paznokci sztyletem wygranym w oczko od włoskiego zabójcy. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka znudzonego lub co najmniej zupełnie nie zainteresowanego rozmową. Ale mężczyzna, który stał naprzeciw niego w kajucie, wiedział, że jest inaczej.

- Wystarczy - powiedział Le Feu. - Dokładnie pięć - dodał, widząc stalowy błysk w utkwionych w nim oczach.

D'Albret skinął głową.

- Jeszcze raz czy dwa, i mamy ją w garści.

- Raz czy dwa? D'Albret, zastanów się. Ta suka niedługo będzie rodzić i rzadko wyjeżdża z tej cholерnej plantacji!

- No to ty tam pojedź! - Antoine schował nóż do buta, gdzie trzymał go zazwyczaj, po czym nachylił się w stronę Le Feu. - Chcę, żeby była przerażona! Wtedy, jak już ją zgarniemy, wszystko wyśpiewa.

Le Feu potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Jest jeszcze ten jej mężuś. Jak mam...

- Głupcze! Tracę nie może być cały czas przy niej. Przecież musi zajmować się plantacją.

Le Feu nigdy nie dawał się nikomu zastraszyć. Gdyby tylko d'Albret nie miał przy sobie tego sztyletu... którym tak świetnie potrafił się posługiwać, zwłaszcza kiedy sprawy szły nie po jego myśli...

- Tracę przekazał zarządzanie plantacją w ręce ojca - powiedział - przynajmniej dopóki jego żona się nie okoci. Pierre i Georges mówią, że trzyma się tej swojej suki jak cielę krowy.

D'Albret wysyczał siarczyste przekleństwo i zerknął na kalendarz: był 16 *Nivôse*, czyli piąty stycznia według kalendarza obowiązującego przed rewolucją. Ich statek kotwiczył na Ravenne od połowy *Frimaire*, który mniej więcej odpowiadał grudniowi. Spędzili wiele tygodni na morzu; a wcześniej stracili mnóstwo czasu, zanim udało im się przekonać Komitet, że ta wyprawa jest opłacalna.

Ale klejnot był w rękach Gabrielle. D'Albret nie miał co do tego wątpliwości, odkąd jego ludzie, przeszukując jej pokój w Hotel Liberte, znaleźli ten wiersz. Po śmierci Rolandów przetrząsnęli cały *hotel* do góry nogami, ale poza tą jedną jedyną kartką nic godnego uwagi nie wpadło im w ręce.

D'Albret przypomniał sobie wyprawę Gabrielle do wiejskiego majątku Louise. Biorąc pod uwagę fakt, że jej zniknięcie nastąpiło w tym samym czasie, kiedy amerykański dyplomata wyjechał z Francji, doszedł do jedyne go racjonalnego wniosku: ta suka znalazła klejnot i prysnęła do Ameryki.

Wyrachowana była, to jej trzeba przyznać. D'Albret potrząsnął głową z czymś na kształt szacunku. Zradziła ich wszystkich. Nawet własną matkę! Sam bynajmniej nie zamierzał uwolnić Louise. Czy Marii Antoniny.

Zarówno D'Albret, jak i pozostali spiskowcy jakobińscy mieli tylko jeden cel: zdobyć pieniądze na dalsze finansowanie francuskich armii. W kraju panował jaki taki spokój, zwłaszcza odkąd wprowadzono rządy terroru, ale wojna pochłaniała wiele pieniędzy, a funduszy zaczynało już brakować.

D'Albret podejrzewał, że właśnie gwałtownie pogarszający się stan finansów państwa skłonił członków Komitetu do wysłania go w pościg za Gabrielle.

- Potrzebujemy pieniędzy - powiedział mu Robespierre. - Ale razem z wisiorkiem przywieszysz tę zdrażczynię, Saint-Germain. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek umknął spod ostrza giloty ny!

Ale poszukiwania tej suki pochłone ły sporo czasu. A kiedy wreszcie ją znalazł, dowiedział się od swoich szpiegów, że wyszła za Trace'a!

Kto by pomyślał? Niewinna Gabrielle de Saint-Germain, zawsze trzymająca się matczynej sukni! Była jak bryła lodu; nawet on oparł się pokusie, by zaciągnąć ją do łóża. Nie mógł sobie

wyobrazić, jak Trace'owi udało się nakłonić ją, żeby rozłożyła nogi. Po kiego licha się z nią ożenił? Przecież bez ziemi, bez konsekwencji była niczym.

Ale czy i Trace w pewnym sensie, nie jest niczym? - pomyślał Antoine, po czym przestał się nad tym zastanawiać. Owszem, Trace też go obchodził, ale w tej chwili były ważniejsze sprawy.

D'Albret od razu wysnuł wniosek, że Gabrielle tylko Królowej zawdzięczała to małżeństwo. Czyli albo sprzedała klejnot, żeby przekupić Trace'a, albo dała mu go w prezencie. Szczodrze szafując pieniędzmi, dowiedział się od dobrze poinformowanych ludzi, że w ostatnich miesiącach nikt nie sprzedawał kamienia szlachetnego o tak wielkiej wartości. A gdyby klejnot pojawił się gdzieś we Francji, z pewnością on pierwszy by o tym usłyszał. Ergo, Królowa nadal była w rękach Gabrielle i jej męża.

A on, d'Albret, wkrótce go zdobędzie.

Tylko kiedy? Upłynęło już wiele miesięcy. Owszem, nie był to czas całkowicie stracony. Chcąc wzbudzić strach w Gabrielle, kazał Le Feu za nią chodzić; najwyraźniej odnosiło to pożądany skutek. Ale nie przewidział, że będzie musiał jeszcze liczyć się z zadurzoną żoną, nie spuszczać oka z brzemiennej żony.

D'Albret zerknął na kalendarz, po czym zamyślił się nad tym, czego dowiedział się od swoich szpiegów: jej służący przewidywali, że dzieciak przyjdzie na świat jeszcze w tym miesiącu. No cóż, skoro czekali już tak długo...

Podjąwszy decyzję, skinał głową.

- Zgarniemy ją, jak już się okoci - powiedział do Le Feu. - Ale wcześniej pojedziesz na tę plantację i...

- Wiem, wiem! Mam postraszyć ją moją cudną bużką! - wyrzucił z siebie Le Feu.

- To też, ale przede wszystkim chcę, żebyś dokładnie obejrzał ten dom. Idź nocą, jeśli to konieczne. Możesz wziąć ze sobą Pierre'a i Georges'a. Poobserwuj ją trochę, dowiedz się, gdzie są jej pokoje. Dopiero wtedy będziemy mogli dobrze zaplanować porwanie.

Le Feu uniósł brwi.

- Dlaczego, do stu diabłów, mamy czekać, aż bachor się urodzi?

Antoine uśmiechnął się.



- Zastanów się. Kiedy to kobieta jest jeszcze bardziej bezbronna, niż gdy chodzi z brzuchem?

Le Feu zamyslił się, pocierając dłonią podbródek. Po chwili jego usta wykrzywiły się w uśmiechu.

- Oczywiście. Kiedy musi chronić swojego zarzyganego bachora - wyszczerzył radośnie zęby - przed takimi jak ja!

Coś nie masz apetytu, dziecko. Prawie nie tknęłaś jedzenia. - Alexander spojrział z niepokojem na synową. - Złe się czujesz?

Gabrielle z trudem zdobyła się na uśmiech. Dobrze, że jesteśmy tu sami - pomyślała. Poprzedniego dnia Jason też zwrócił uwagę na jej brak apetytu.

- Ciotka Ruth mówiła - skłamała - że takie są już uroki bycia w ciąży. Jednego dnia umiera się z głodu, a następnego... - Wzruszyła ramionami.

- No cóż, pewnie ciotka Ruth zna się na takich rzeczach lepiej niż ja - skwitował Alexander. - Choć muszę przyznać, nie przypominam sobie, żeby Juliette miała takie problemy.

Bo trzymała cię z dala od siebie - pomyślał - ale nie musisz zwracać temu dziecku głowy takimi głupstwami.

- Może jesteś zmęczona? - spytał.

- Jeszcze jak. A i tak chce ciągnąć te swoje lekcje - doszedł głos od strony drzwi. Bernice, podparta pod boki, z nachmurzonym czołem, wpatrywała się w Gabrielle. - Mimo że dziecko może przyjść na świat w każdej chwili. No, już, Gabrielle, jeśli jesteś zmęczona, idź, połóż się.

- Zaraz to zrobię - wpadła jej w słowo - ale... ale chciałam poczekać, aż wróci Jason. - Tego dnia spadł śnieg i ekonom zobaczył pod stajnią jakieś dziwne ślady. Jason poszedł tam, żeby to sprawdzić. Od tamtego czasu Gabrielle wręcz odchodziła od zmysłów ze strachu. Wiedziała, co te ślady oznaczają: Le Feu... szpiegował ją... chodził za nią; robił to już od co najmniej dwóch tygodni.

Była przerażona. Nie mogła już dłużej udawać. Na początku dusiła w sobie ten strach, wmawiając sobie, że po prostu ma zbyt bujną wyobraźnię. Dlatego nic nie powiedziała mężowi; nie chciała go niepotrzebnie niepokoić. Jakby myślała, że problem sam się rozwiąże. Ale w ten sposób tylko siebie okłamywała.

A teraz Jason był tam, na podwórzu, gdzie mógł czyhać na niego Le Feu, a ona nawet go nie ostrzegła. Boże, a jeśli...

- Przecież możesz zaczekać na męża w łóżu, *cherie*. - Bernice położyła jej dłoń na ramieniu i dała znak Alexandrowi; ten natychmiast podniósł się z miejsca.

Gabrielle, zrezygnowana, nie opierała się, kiedy teść pomógł jej wstać od stołu. Jasonowi nic się nie stanie - powiedziała sobie, wspinając się z trudem po schodach. Na pewno! Jest z nim Jenkins, a on zawsze nosi muszkiet. Ale nie zasną, dopóki Jason nie wróci. Najwyższy czas, żeby mu powiedziała!

Skrzywiła się na myśl, jak mąż na to zareaguje. Będzie wściekły, że nie powiedziała mu wcześniej. A niech sobie będzie wściekły! Już nieraz musiała znosić jego gniew. Nie było to nic przyjemnego, ale lepsze to niż strach. Strach, który pożerał ją żywcem.

Gdy godzinę później Jason wszedł do sypialni, Gabrielle była już pogrążona we śnie.

Coś nie daje jej spokoju - pomyślał, patrząc, jak żona rzuca się na łóżu. Gdy za dnia pytał, co ją niepokoi, nieustannie zapewniała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, że to, co się z nią dzieje, jest normalne u kobiety w dziewiątym miesiącu.

Jego spojrzenie padło na krzesło stojące przy łóżu. Na oparciu wisiała ta duża czarna peleryna, która niegdyś należała do jej matki.

Gabrielle była bardzo przywiązana do tej szaty. Jason widział, jak tuliła ją do piersi po tym, jak usłyszała wieść o śmierci matki. Wtedy nie mógł nic zrobić; była to jedna z tych chwil, kiedy Gabrielle pragnęła nade wszystko być sama. Ale tak bardzo chciał jej pomóc, gdy widział, jak ściskając tę cenną pamiątkę, patrzy pustym wzrokiem w okno.

Jednak od tamtego dnia nigdzie nie widział peleryny. Dlaczego akurat dziś wyjęła ją na wierzch i pozostawiła przy łóżu? Czy to rozpacz sprawiła, że Gabrielle straciła apetyt i wyglądała na tak zmęczoną? Ale przecież najgorsze minęło już wiele tygodni temu. Dlaczego znowu miałyby popadać w żałobę?

W tej chwili Gabrielle przewróciła się na drugi bok; Jason zauważył, że jej dłonie zaciśnięte są w pięści. Do diabła, coś tu naprawdę nie grało!

Szybko zszedł buty i położył się przy niej. Następnie wziął ją w ramiona tak mocno, jak to było możliwe przy jej rozmiarach; wyglądało na to, że trochę się uspokoiła. Pocałował ją delikatnie w skroń, po czym, nie wypuszczając jej z objęć, pogrążył się w zamyśleniu.

Jutro z samego rana porozmawia z ciotką Ruth. Ta sędziwa kobieta na pewno będzie wiedziała, czy martwi się niepotrzebnie. Ale jeśli powie mu co innego...

Będzie to oznaczało, że Gabrielle coś ukrywa... że kłamie. Jason zmarszczył czoło. Już od dawna nie żywił żadnych podejrzeń co do kobiety, która spoczywała w jego ramionach. Myślał, że wszystko to ma już za sobą; choć ich małżeństwo było na początku naprawdę burzliwe, zaczęła się tworzyć między nimi prawdziwa więź. A przynajmniej tak mu się wydawało.

W jego duszy obudziło się coś, co dziwnie przypominało ból, ale Jason otrząsnął się z tego. Zaczynał wysuwać pochopne wnioski, a nie czynił tego, odkąd...

Klnąc pod nosem, postanowił na razie za wiele o tym nie myśleć. Miał wiele innych spraw na głowie. Zasypiając, myślał o śladach butów na śniegu.

*Szła główną ulicą Charlottesville. Była sama; Jason zniknął w tłumie ludzi. Choć rozglądała się na wszystkie strony, nie mogła wypatrzeć. Gdzie on jest? Tłum zacieśniał się wokół niej. Zrobiło okropnie ciasno. Jason! Gdzie Jason?*

*Nagle potracił ją wielki, podejrzanie wyglądający mężczyzna. Ruchowo objął rękami brzuch. Ale kiedy to zrobiła, zauważyła, że trzyma dziecko. Z bijącym sercem przycisnęła je do siebie, podczas gdy ludzie popychali ją w różne strony. Z trudem utrzymywała równowagę. Gdzie jest Jason?*

*Tuląc dziecko do piersi, zawołała go. Wtedy tłum się rozstąpił rżąc przed siebie. Najpierw dostrzegła czerwoną czapkę; po chwili oczom ukazało się oblicze Le Feu. Podszedł do niej uśmiechając złośliwie i wyciągnął ręce po dziecko...*

*- Ja-a-a-son!*

- Już dobrze, kochanie, jestem przy tobie. - Słyszając, jak po raz drugi wykrzykuje jego imię, przygarnął żonę do siebie. Był w pełni przytomny, mimo że dopiero co zerwał się ze snu; stary

wojskowy nawyk. Mięśnie Gabrielle były naprężone, a dziecko kopało w jej brzuchu. Chryste, czy ona rodzi? - przeszło mu przez myśl. - Gabrielle, obudź się! - Przestała krzyczeć, ale nadal nie budziła się ze snu. Wyginała się gwałtownie, wijąc się i drapiąc niczym broniące się zwierzę. - Gabrielle!

Nagle ocknęła się i przez chwilę patrzyła na niego pustymi oczami.

- To... sen? - spytała chrapliwym głosem. Sypialnia spowita była w półmroku. Długie, poplątane włosy opadały w mokrych kosmykach na twarz Gabrielle.

- Tak, koszmar - mruknął Jason, delikatnie gładząc ją po głowie.

- Dzięki Bogu - wyszeptała i wtuliła twarz w jego ramię.

Jason spodziewał się, że zaraz usłyszy szloch żony, pamiętając jej reakcję na inny koszmar, tym razem jednak, mimo że drżała na całym ciele, nie rozpłakała się. Niemal żałował, że tak się nie stało; jako że słowa, które wypowiedziała po chwili, przejęły go większym niepokojem, niż gdyby z jej oczu popłynął cały ocean łez.

- Jason, tak się boję - powiedziała cichym głosem.

- Zapalę światło - szepnął po chwili. Musiał to wszystko przemyśleć.

Wziął szczapę drewna leżącą na obramowaniu kominka, po czym przyłożył ją do rozżarzonego węgielka i zapalił lampę stojącą przy łożu. Czuł na sobie spojrzenie Gabrielle. Nie odezwała się jednak ani słowem, nawet gdy położył się przy niej i wziął ją w objęcia. Dotykając jej brzucha, wyczuł, że dziecko się uspokoiło.

- Powiedz mi, o co chodzi - rzucił.

- Przyszedł po mnie Le Feu.

Jason uniósł brwi i oparł się na łokciu, żeby widzieć jej twarz.

- Co to, u diabła, znaczy? Przyszedł po ciebie ogień?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Le Feu to imię, a właściwie pseudonim mężczyzny. Był posłańcem d'Albreta, tym, który potajemnie spotykał się ze mną w ogrodzie *hotel*.

- A czemu uważasz, że... przyszedł po ciebie? - spytał ponurym tonem.

- Bo widziałam go już parę razy. - Czekwała, kiedy Jason wybuchnie. Gdy jednak milczał, przeraziła się, że jest bardziej wścickły, niż się spodziewała. - Wiem, że masz prawo być na mnie

zły - ciągnęła, usiłując zachować zimną krew - ale na początku myślałam, że to złudzenie, i nie chciałam cię niepotrzebnie niepokoić. A potem...Jezu! Czemu się uśmiechasz?

Sam nie był pewien, dlaczego, ale kamień spadł mu z serca. To idiotyczne - pomyślał. Przecież jej koszmar był tak przerażająco prawdziwy i...

- Jason? - Gabrielle, zdumiona, nie ustępowała. - Dlaczego?

- Dlatego, że usiłując mnie nie niepokoić, ty głupia smarkulo, napędziłaś mi niezłego stracha! Powinienem złościć ci tyłek. Zupełnie nie pojmuję, dlaczego... Nieważne, lepiej mi powiedz, co widziałaś.

Opowiedziała mu o tym, jak podczas zakupów w Charlottesville zauważyła mężczyznę w czerwonej frygijce, po czym ujrzała go znowu w tłumie ludzi pod kościołem i pośród kolędników, którzy zjawili się pod domem w Wigilię. Wreszcie, z drżeniem ramion, wspomniała, jak to przed dwoma dniami, wieczorem, podnosząc wzrok znad ksiąg, które właśnie wypełniała, zobaczyła za oknem ospowatą twarz Le Feu.

- A dzisiaj - ciągnęła Gabrielle - odkąd Jenkins powiedział ci o tych śladach i wyszedłeś, myślałam tylko o tym, że on gdzieś tam czyha, a ja nic ci nie powiedziałam! - Przywarła mocniej do Jasona i wtuliła twarz w jego pierś, a z jej gardła wyrwał się szloch.

- Och, wybacz mi! Zachowałam się jak tchórz i przeze mnie groziło ci takie niebezpieczeństwo!

- No już, już - szepnął, obejmując ją. - Gdybyś była tchórzem, nie wzięłabyś na siebie takiego ciężaru tylko po to, żeby oszczędzić mi zmartwień - dodał głosem pełnym napięcia. Poczł dziwne ukłucie w sercu. Ona się o niego bała. Przez parę tygodni zamartwiała się w duchu, by jemu tego oszczędzić. Dzisiaj już nie wytrzymała. - Ale niech mi to się więcej nie powtórzy - mruknął, czując, że coś chwyta go za gardło.

Załkała raz jeszcze, po czym skinęła głową. Jason przytulił ją i delikatnie otarł jej policzki z łez.

- A teraz powiedz, dlaczego myślisz, że przyszedł po ciebie - poprosił, ułożywszy ją wygodnie na łożu.

Wtedy opowiedziała mu o swoich obawach. O tym, że spiskowcy prawdopodobnie widzieli w niej zdrażczynię, która znalazła Królową Morza i uciekła z Francji.

- Bóg mi świadkiem, że ja jej nie mam! - krzyknęła. - Ale jak mam przekonać...

- Ciii - szepnął Jason, położywszy kciuk na jej ustach. - Zapominasz o jednym, maleńka. Ja też wiem, że nie masz tego klejnotu, i to ja ich o tym przekonam.

Spojrzała mu w oczy. Widząc płonący w nich ogień, wiedziała, że Jason mówi najzupełniej serio. Kochała go do bólu. Ale na myśl o Le Feu znowu ogarnął ją strach.

- Ci ludzie są niebezpieczni, Jason - powiedziała, czując, że do oczu napływają jej łzy. - Nie mają żadnych skrupułów. - Wtedy opowiedziała mu swój sen.

Jason zaklął cicho, kiedy opisała, jak Le Feu wyciągał ręce po ich dziecko. Wziął ją w ramiona.

- Dosyć! - mruknął z twarzą wtuloną w jej włosy. - Słyszysz mnie, Gabrielle? Nie pozwolę, żebyś myślała o takich rzeczach! - A potem, już łagodniejszym tonem, dodał: - Będę cię chronił, kochanie, przyrzekam. Tyle że musisz mi na to pozwolić. Obiecuj, że nie będziesz już wszystkiego dusić w sobie.

Skinęła głową, czując bijące od niego ciepło. Był obok niej, w tym chłodnym pokoju... gładził jej wzburzone włosy, składając pocałunki na jej czole. Tak, on będzie jej bronił. Już od wielu tygodni nie czuła się tak bezpieczna. I znowu powiedział do niej kochanie".

Podczas gdy jego żona zapadała w spokojny sen, Jason leżał z otwartymi oczami, pogrążony w zadumie. Nie miał wątpliwości: strachu Gabrielle nie da się przypisać żadnym urojeniom. Gdy wspomniała o czerwonej czapce frygijskiej, przypomniał sobie mężczyznę, który zaglądał przez okno do sklepu stolarza. Kiedy dodała, że Le Feu ma ospowatą twarz, Jason nabrał pewności, że to jego właśnie wtedy widział. No i te ślady na śniegu...

Zacisnął zęby na myśl o tym draniu, przyczajonym w pobliżu Fairhills. Jak on śmie niepokoić jego żonę! Dostaną nauczkę, ten Le Feu i jego kompani. Jason postanowił, że rano rozejrzy się tu i ówdzie. Dowiedzą się, co to znaczy zadzierać z Trace'em! Obiecał to sobie w duchu. Jutro, o tej porze, Fairhills zmieni się w fortecę.

Jason spełnił swoją obietnicę. Następnego ranka, gdy Gabrielle jeszcze spała, wziął się do działania. Najpierw powiedział Alexandrowi, jak wygląda sytuacja. Potem, w czasie kiedy ten zwołał spotkanie całej służby, Jason wybrał się do Conora, by poprosić go o pomoc. Wcześniej jednak wyrwał Renę ze snu i nakazał mu, by ani na chwilę nie spuszczał oka z Gabrielle.

- Masz być przy niej wtedy, kiedy mnie tu nie będzie - powiedział chłopcu, który przecierał zaspane oczy. - Ten Le Feu jest niebezpieczny i...

- *Oui, monsieur, tnaiss...*

- Nie gadaj, tylko się ubierz. Kiedyś zaklinałeś się, że zrobisz wszystko, byle odwdziżyć mi się za uratowanie ci życia. Teraz chcę, żebyś spełnił tę obietnicę.

Rene natychmiast oprzytomniał i zasalutował z poważną miną.

- Będę jej bronił własną pierś, *monsieur*

Jason z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Potrząsnął głową.

- Nie sądzę, żeby to miało być konieczne. Sam zamierzam trzymać się blisko niej. Ale czasem będę musiał zostawić ją samą, z takich czy innych powodów.

- Tak jak teraz, *monsieur*? - spytał Rene, ogarniając spojrzeniem strój do jazdy konnej Jasona.

- Na przykład. Muszę pojechać do Conora. W każdym razie, kiedy mnie tu nie będzie, miej oczy otwarte. Zrozumiano?

- Poza sobą, nie znał nikogo, kto byłby bardziej spostrzegawczy niż Renę.

- *Oui, monsieur.* - Dopiero teraz Rene, całkowicie rozbudzony, przypomniał sobie, żeby przejść na angielski. - A jak zobaczę tę świnię, mam strzelać bez pytania, tak?

- Nie. - Jason uniósł dłoń. - Przede wszystkim postaraj się o to, żeby moja żona nie znalazła się w niebezpieczeństwie. Gdyby coś się stało, masz wezwać kogoś z nas.

- Kogoś z... was? - Twarz Rene wyrażała głębokie rozczarowanie.

- Posłuchaj mnie, ty mały nicponiu! Nie chcę, żeby ktokolwiek bawił się w bohatera. Nie mam zamiaru dawać broni ani kobietom, ani dzieciom.

Na twarzy Renę odmalowało się przygnębienie. Coś nowego - pomyślał Jason.

- Spójrz na to od innej strony, przyjacielu - powiedział ciepłym tonem. - Każdy jest odważny z pistoletem czy muszkietem w rękę. O wiele trudniej jest stawić czoło niebezpieczeństwu, mając za broń tylko pomyślunek. To dopiero prawdziwa odwaga.

W oczach Renę błysnęło zrozumienie. Wyprostował się i wyjął pierś.

- *Courage... oui, monsieur.* - Był tak podekscytowany, że mimowolnie przeszedł na francuski. - *Je comprends!*

Jason mrugnął do niego porozumiewawczo.

- No, liczę na ciebie. A teraz ruszaj na pokoje pani!

Chłopak wybiegł w podskokach ze swojego pokoju. Jason zaczął się zastanawiać, czy aby nie popełnił błędu, dając mu to zadanie. Renę i tak już zachowywał się jak nadęty kogucik; teraz ten mały, bezczelny gałgan będzie zupełnie nie do zniesienia!

Co to ma znaczyć „najwyższy czas, żebyś już wyszła”? - Gabrielle przeszła Rene gniewnym spojrzeniem. Ten nicpoń najwyraźniej biwakował pod jej drzwiami; mało się o niego nie przewróciła, idąc na śniadanie.

Chłopak spozjrzał na duży zegar stojący na korytarzu.

- Czekam już całe czterdzieści minut, *madame*. A skoro przydzielono mnie do szanownej pani, to...

- Przydzielono do mnie! O czym ty, u licha, mówisz, Rene?

- Mąż na pewno ci o tym wspomniął, *madame*. Mam być twoją osobistą ochroną.

- Ochroną! Ty? Posłuchaj mnie, ty mały...

- Ależ, *madame*. - Pogroził jej palcem. - Nie wiesz, że nie wolno ci się denerwować? To niezdrowe dla maleństwa.



Gabrielle skrzyżowała ramiona na brzuchu i tupnęła ze złością, wpatrując się w Renę gorejącym spojrzeniem. Miała ochotę dać mu po uszach, ale kiedy wspomniał, że ma ją chronić, powstrzymała się przed tym. Oczywiście to, że Jason przydzielił taką rolę temu nicponiowi, zakrawało na kpinę. Tego ranka jednak zostawił jej wiadomość, że gdy wróci, jej bezpieczeństwo będzie już zapewnione.

- Wyłumacz się - powiedziała do Rene.

- Jak sobie życzysz - odparł, kłaniając się szarmancko. W tej samej chwili jednak w jego brzuchu rozległo się donośne burczenie, psując zamierzony efekt. Ponownie zerknął na zegar. - Ach, czyż nie byłoby lepiej, Gabrielle, gdybym wyjaśnił ci wszystko po drodze do sali jadalnej? Od ostatniego wieczoru nie miałem nic w ustach, a przecież człowiek musi być w pełni sił, żeby...

- No dobrze, ty gałganie! - Gabrielle chciała powiedzieć te słowa surowym tonem, ale była zbyt rozbawiona, żeby wypadło to przekonująco. - Ale ostrzegam cię - pogroziła mu palcem, gdy stanął obok niej - lepiej... O Boże!

- *Madamel* Gabrielle! - Gdy zgięła się wpół, Rene, przerażony, wyciągnął do niej rękę.

- Rene... idź... - wydyszała z trudem - po Bernice!

- Ale jakże mogę cię zostawić, kiedy to jasne, że... - Urwał w pół zdania pod jej wściekłym spojrzeniem. - Tak... Bernice, natychmiast, *madamel*

Wspierając się na małym stoliku, patrzyła, jak Rene biegnie korytarzem. Ból stawał się coraz silniejszy. Nie miała najmniejszych wątpliwości: to dziecko. Ale przecież z tego, co słyszała, na samym początku bóle porodowe nie powinny być aż tak straszne. Owszem, zaraz po przebudzeniu czuła lekki ucisk w lędźwiach, ale...

- Proszę się nie ruszać! - Betty znalazła się przy swojej pani. - Ten chłystek pobiegł po panią Bernice, ale tymczasem ja pani pomogę.

Gabrielle prawie się uśmiechnęła - Betty, choć chuda jak szczapa, była wysoka i nazywała Rene „chłystkiem”, odkąd poznała na własnej skórze, jak ten nicpoń potrafi działać na nerwy. Jednak w tej chwili ból przybrał na sile.

- Boże! - mruknęła Gabrielle przez zaciśnięte zęby.

Wyglądało na to, że dziecko się spieszy. To musi być chłopak - pomyślała, nie mogąc już znieść bólu. Tylko syn Jasona mógł być taki niecierpliw!

A. gdzie ona jest, do kroćset? - spytał Jason, wyraźnie zirytowany. Prentiss wyjechał mu naprzeciw z wieścią, że Gabrielle rodzi. W dodatku był na tyle zuchwały, aby powiedzieć bez ogródek, że nie ma przy niej ciotki Ruth!

- Pojechała pomóc przy narodzinach wnuka Elizabeth, tej od pana Jeffersona - odparł lokaj, poganiając rumaka, żeby nadażyć za swym panem, pędzącym na złamanie karku.

- Niech to diabli! - ryknął Jason. - Następnym razem powiedz Tomowi, żeby wreszcie załatwił sobie własną akuszerkę!

- Tak jest. - Popędzając konia, lokaj z trudem zachowywał poważną minę. Thomas Jefferson znany był z zapalczywości. Prentiss już szykował się na wysłuchanie jego dwudziestoczterokaratowych słówek. Diabła tam, tylko Bernice była w stanie dorównać Jeffersonowi, ale ona klęła wyłącznie po francusku.

Prentiss uśmiechnął się. Wojownicza nie miała pojęcia, że potajemnie uczył się francuskiego i rozumiał każde jej słowo. Jego ulubioną rozrywką stało się wyobrażanie sobie tej słodkiej chwili, kiedy ją tym zaskoczy. Ależ będzie miała minę! Ta kobieta stawiała się nie do zniesienia w swoim despotyzmie. Najwyższy czas, żeby ktoś dał jej nauczkę.

I właśnie mnie się to uda - pomyślał rozpromieniony.

Do diabła, chłopcze! - warknął Jason, ujrawszy Rene na schodach przed domem. Błyskawicznie zeskoczył z konia, rzucił cugle Prentissowi i szybkim krokiem ruszył ku drzwiom. - Chyba ci mówiłem, żebyś był przy mojej żonie!

- Nie chciały mnie wpuścić, *monsieur* - Cholera, pan Jason wyglądał, jakby lichy w niego wstąpiło! Rene czym prędzej otworzył mu drzwi, mając nadzieję, że w ten sposób choć trochę usmierzy jego gniew. - Mówiły, że w takiej chwili nie potrzeba tam chłopca.

- Och, tak powiedziały? - Jason dopadł schodów i wbiegł na górę. Niech to wszyscy diabli! Gabrielle rodzi, gdy nie ma przy niej ani akuszerki, ani męża. Jak ona śmie tak ryzykować!

Zatrzymał się w pół kroku, widząc, że Alexander idzie korytarzem w jego stronę.

- Co się dzieje? Czemu, do stu piorunów, się do mnie uśmiechasz?

Alexander oparł się pokusie, żeby wybuchnąć śmiechem. Jason zachowywał się, jak na świeżo upieczonego ojca przystało.

- Bo, mój synu, należą ci się gratulacje. Masz piękną, zdrową córeczkę, która przyszła na świat niecałe dwadzieścia minut...

- Gabrielle... czy z nią wszystko w porządku?

- Nawet lepiej! Jezu, pomyśl tylko, taka z niej drobinka, a wszystko trwało nie dłużej niż półtorej godziny...

Zawiesił głos, widząc, że Jason popędził już korytarzem.

- Do stu piorunów, gdzie ona? - ryknął Jason, gdy wpadł do swojej sypialni i zobaczył puste łóżce.

Drzwi do sąsiedniego pokoju otworzyły się i stanęła w nich Bernice. Przeszyła go groźnym spojrzeniem.

- Nieboszczyka obudziłyś tym swoim wrzaskiem. Gorzej, że obudzisz swoją...

- Dlaczego, u diabła, ona nie leży w moim łóżku? - rzucił Jason, podchodząc do Murzynki. Do kaduka, powinny były się domyślić, że chciał, by jego dziecko urodziło się w...

Jason zastygł w bezruchu, kiedy Bernice odsunęła się od drzwi. Gniew prysnął jak bańka mydlana. To, co ujrzał, odjęło mu mowę.

Gabrielle siedziała na środku swojego łóżka, wsparta na koronkowych poduszkach. Nigdy jeszcze nie wydawała mu się tak piękna. Miała lekko zaróżowione policzki, a jej włosy, związane na czubku głowy różową wstążką, opadały w lokach na twarz. Przy piersi trzymała małe zawiniątko.

Karmiła jego dziecko. Osobiście. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Kobiety z jej sfery nigdy same nie karmiły piersią. Diabła tam, kobiety z jego sfery też nie! Dlatego właśnie powiedział Bernice, żeby sprowadziła mamkę.

- *Bonjour*, Jason. - Zdobyła się na nieśmiały uśmiech.

- Gabrielle... - powiedział chrapliwym szeptem. Jakieś uczucie, którego nie potrafił nazwać, ścisnęło mu gardło. Podszedł do łóżka, po czym spojrzął na nią i dziecko. - Przyszedłem, jak mogłem najszybciej.

- O... - Nie mogła wydusić z siebie słowa. Był tak strasznie, niewymownie przystojny! Jego wzburzone od wiatru włosy wysunęły się z kucyka i opadały mu na kołnierz, okalając piękną, męską twarz, kontrastującą brązem z białą koszuli. A jego oczy... było w nich coś, czego dotąd nie widziała, coś... ale to niedorzeczne. Wyobrażała sobie to, co chciała zobaczyć. - Oczywiście, rozumiem - wykrztusiła wreszcie. - Kto mógł się spodziewać, że nasza córka przyjdzie na świat tak szybko i... - Usiłowała wyczytać coś z jego twarzy. - Bardzo jesteś rozczarowany, Jason?

- Roczczarowany? - O czym ona, u licha, mówi? Może przez poród pomieszało jej się w głowie? Nie wyglądała na zmęczoną czy zdeorientowaną, ale tak mało wiedział o...

- Że... nie dałam ci syna.

- Do stu piorunów, kobieto. Czyś ty oszalała? - Wybuchnął głośnym śmiechem i usiadł przy niej. - Nic nie mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić niż... oho!

Jego śmiech wystraszył ich córkę, której buzię zobaczył po raz pierwszy. Dziecko wypuściło sutek z ust i zaniósł się płaczem.

- Już dobrze, już dobrze, *ma chere* - uspokajała ją Gabrielle. Podniosła córeczkę wyżej i zaczęła delikatnie gładzić jej drobne plecy, mówiąc do niej kojącym tonem. Po chwili płacz ucichł, jakby za sprawą czarów.

Jason wpatrywał się w nie jak otępiały. Gdy jego żona uspokajała dziecko, jej oczy rozbłysły uczuciem, którego nie spodziewał się w nich ujrzeć. Miłością.

Nie mogąc wydobyć z siebie słowa, przyglądał się, jak Gabrielle próbuje podstawić dziecku drugą pierś. Wolną ręką niezdarnie usiłowała rozchylić koszulę nocną.

- Pozwól... że pomogę - szepnęła i ostrożnie wyjął jej pierś na wierzch. Ujawszy ją w dłoń, uświadomił sobie, że jest cięższa, niż to pamiętał. Ale skóra Gabrielle wciąż była tak ciepła i jedwabista jak zawsze, choć już dawno nie dotykał jej w ten sposób.

Kiedy przypomniał sobie o tym, nagle zaschło mu w gardle. Zwymyślał sobie w duchu od lubieżnych gburów. Zabierając rękę, podniósł wzrok na twarz Gabrielle.

Pod jego dotykiem poczuła, że po jej twarzy rozlewa się przyjemne ciepło; gdy spojrział na nią, jej policzki już płonęły. Zresztą nie tylko policzki; wiedziała, że jest czerwona od stóp do głów.

- Zarumieniłaś się, maleńka - powiedział z szerokim uśmiechem.

Wesołość malująca się w jego spojrzeniu sprawiła, że Gabrielle zakreśliło się lekko w głowie. Na chwilę zapało jej dech w piersiach. Dołki w policzkach czyniły jego uśmiech tak uroczym...

Ale przecież nie mogła pragnąć go tak niedługo po porodzie. Nie wypadało. Jednak ten przyjemny dreszczyk, który czuła, gdy dziecko ssało jej pierś, tak bardzo przypominał... Gabrielle! Weź się w garść!

- Jak... jak damy jej na imię? - spytała, chcąc ukryć swoje zakłopotanie.

Jason uśmiechnął się, po czym spojrzał na małą główkę dziecka, pokrytą meszkiem ciemnych włosów.

- Skoro tak bardzo lubi jeść - powiedział, chichocząc radośnie - może nazwiemy ją *Gourmand*?

- Ona nie jest żarłokiem! - odparła Gabrielle oburzonym tonem.

I znowu jej oczy zapłonęły tym uczuciem. Jason przeprosił ją ze śmiechem, choć kotłowało mu się w głowie. Tak głęboka troska! I... miłość?

Nagle poczuł się tak, jakby wielki ciężar spadł mu z serca. Oszołomiony szczęściem, uświadomił sobie, że ostatnie rany w jego sercu zasklepiły się.

Próbował zebrać rozszalałe myśli. Owszem, Juliette Tracę bycia złą matką, ale Gabrielle okazała się jej całkowitym przeciwieństwem. Oddana, ciepła, kochająca.

A ja ją kocham! - uświadomił sobie ze zdumieniem.

Już po raz drugi w przeciągu raptem kilku minut własne myśli wprawiły go w oszołomienie. Ale kiedy spojrzał na Gabrielle raz jeszcze - dziękował Bogu, że zajęta dzieckiem, nie patrzy na niego, bo poczuł, że ogarnęła go dziwna słabość - wiedział, że to prawda.

Czemu czuję się taki słaby? - spytał siebie w duchu. Odpowiedź była prosta: kochał Gabrielle, ale nie zrobił nic, żeby ona go pokochała. Do licha, przecież posądzał tę biedną dziewczynę o dwulicowość, uprowadził ją z Francji i na dodatek uczynił brzemienią. Zachowywał się wobec niej jak gbur. To cud, że mieszkali pod jednym dachem w takim spokoju!

Ale życie w spokoju nie wystarczało. Chciał, żeby Gabrieli go pokochała. Pragnął tego tym bardziej, że wiedział już, co on dla niego znaczy.

Cóż zrobić? W jego myśli wkradł się niepokój. Kiedyś stara się ze wszystkich sił, by pokochała go matka, i nic z tego nie wyszło. Ale Gabrielle była inna niż Juliette.

Jednak to nie oznaczało, że mógł, ot tak, zmusić ją, by go pokochała. Jak miał się do tego zabrać? Miłość była dla niego czym nowym. Owszem, kochał ojca, miłował przyjaciół, ale to było c innego. Takie uczucia narastały przez pewien czas i...

Właśnie! Musiał powoli, ostrożnie działać, by doprowadzić do tego wielkiego uczucia, którego tak pragnął. Czułość okazywana jej po utracie matki była dobrym początkiem. Ale wiel jeszcze pozostało do zrobienia. Trochę cierpliwości i...

Uśmiechnął się z przekąsem. Cierpliwość nie należała do jego zalet. Z drugiej strony, nigdy jeszcze nie grał o tak wysoką stawkę.

- Mam nadzieję, że ten uśmiech nie oznacza, że wymyślił jakieś nowe okropne imię dla naszej córki - powiedziała Gabrieli z oburzeniem w głosie, ale w jej oczach migotało rozbawienie.

Wyrwany z zamyślenia, Jason uśmiechnął się łobuzersko.

- Może być Niecierpliwość?

- Oczywiście, że nie! Jeszcze czego! Przyganiał kociół garnków

- No, ale z tego, co wiem, bardzo jej się spieszyło - nie ustępował. - Ojciec powiedział, że wszystko trwało nie dłużej niż...

- Półtorej godziny! - wykrzyknęła ze śmiechem. - Nie było na wet czasu, żeby zanieść mnie tam. - Wskazała drzwi do pokoju JE sona. - Choć o to prosiłam. Bernice powiedziała, że mam wybór zostać tu albo ryzykować, że maleństwo wyląduje na podłodze!

Widząc, że Jason zbladł jak płótno, parsknęła śmiechem.

- Spokojnie, mężu.

- Dobrze - wydusił z siebie, obiecując sobie w duchu, że ju ani słowem nie wspomni, iż chciał, by dziecko przyszło na świat w jego łóżu.

Ujrzawszy, że córeczka zasnęła, Gabrielle ostrożnie oparła się ramię, po czym pogłaskała po plecach. Po chwili z malutkich usteczek wydobyło się powietrze.

Jason uniósł brew i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Gabrielle przeszła go spojrzeniem.

- Jeśli powiesz, że nazwiemy ją Bekas, słowo honoru, zrobię :i krzywdę!

- Ja? - spytał udając niewiniątko. - W życiu nic takiego nie przysłoby mi do głowy!

Ich śmiech złał się w jedno z trzaskiem polan w kominku. Na wewnątrz zaczął padać śnieg. Duże, lekkie jak puch płatki przepływały w powietrzu za oknem. Ale do tego pokoju, w którym przyszło na świat ich dziecko, zima nie miała wstępu.

Jakże naturalne wydaje się - myślał Jason, upajając się wesołością bijącą z oczu jego żony - to ciepło, ta radość, która nas łączy.

Ah, Gabrielle! Tylko tak dalej, a twoje serce się rozbudzi. Bo pragnę, żebyś pokochała mnie całym sercem. Nie obchodzi mnie, jak długo będę musiał o to walczyć. Nic innego mnie nie zadowoli.

- No dobrze, Jason - powiedziała Gabrielle poważniejąc. - Dość żartów. Jak damy jej na imię?

- Tak sobie myślałam... może Louise? - spytał łagodnym tonem.

Do oczu Gabrielle napłynęły łzy wzruszenia. Zamrugała powiekami, usiłując je powściągnąć.

- Och, Jason... - Chciała powiedzieć „kocham cię”, ale w porę ugryzła się w język. - To świetny pomysł. Ale tak naprawdę *naman* nie znosiła tego imienia.

Mimo to, Jason widział, że Gabrielle była mu wdzięczna.

- No to jako drugie imię, co ty na to?

- Zgoda!

Uśmiechnął się szeroko.

- Gładko poszło. Ale co z pierwszym imieniem?

Odwzajemniła uśmiech.

- Zawsze miałam słabość do imienia „Alexandra”.

- Zgoda! - powtórzył ze śmiechem jej odpowiedź i uradowani, padli sobie w objęcia. Przez następną godzinę pokój co chwila wypełniał się śmiechem, aż wreszcie Gabrielle ziewnęła i zapadła w sen, równie twardy jak sen ich córeczki.

Jason delikatnie pocałował je obie w czoło, po czym wyjął niemowlę z ramion matki i spojrzał na anielską twarzyczkę.

- No, Alexandro Louise - szepnął - jak myślisz? Mam u niej szansę?

Jego córka milczała. Jednak Jason mógłby przysiąc, że uśmiechnęła się przez sen.

1 rzez następne dni w Fairhills panowała dziwna atmosfera. Z jednej strony wszyscy cieszyli się z narodzin dziecka, ale z drugiej żyli w ciągłym niepokoju i napięciu, świadomi ciągłego zagrożenia.

Jason dopilnował tego, by na plantacji każdy mężczyzna w pełni sił miał broń w ręku. Conor wysłał paru swoich ludzi do Charlottesville, by tam zasięgnęli języka. Wrócili z wiadomością, że rzeczywiście widziano w mieście obcych ludzi mówiących z francuskim akcentem, ale było to przed Nowym Rokiem. Ostatnio przestali się pojawiać. Ponadto okazało się, że przed świętami do portu zawinął statek pod francuską banderą, który nadal kotwiczyl na Ravennie.

Uzyskawszy te informacje, Jason wybrał się do Monticello, przekonany, że Jefferson mu pomoże. Tam jednak spotkało go rozczarowanie.

- Jason, naprawdę mi przykro - powiedział mu sekretarz stanu. - Mam związane ręce. Przecież nie zrobili nic...

- Nic? Dobry Boże, człowieku, grozili mojej żonie i śmiertelnie ją wystraszyli!

- Chwileczkę, mój panie! Chodziło mi o jakiś czyn, za który można by ich postawić przed sądem. Potrzeba nam dowodów. Ślady butów na śniegu i kobiece lęki to za mało, żeby...

- Diabła tam, Tom! - ryknął Jason. - Oni grozili mojej żonie, rozumiesz? Mówię ci, ten przeklęty statek powinien zostać...

- A ja ci mówię, nic się nie da zrobić! - odpowiedział mu Jefferson podniesionym głosem.

Widząc zaszępane oblicze Jasona, sekretarz stanu złagodniał.

- Jason, zastanów się. Nie możemy ich stąd wyrzucić bez powodu. Przecież wiesz, że Stany Zjednoczone są neutralne w stosunkach z Francją. - Westchnął ciężko. - Przykro mi, przyjacielu, ale dopóki ci Francuzi nie złamią prawa, a my tego nie udowodnimy, nie możemy ich tknąć.

To ty nie możesz ich tknąć - odpowiedział Jason w duchu, myśląc o uzbrojonych ludziach, którzy pilnowali Fairhills. Nie uważał siebie za człowieka stojącego ponad prawem, ale skoro Gabrielle groziło niebezpieczeństwo, nie zamierzał zawahać się przed niczym.

Miał tylko nadzieję, że to wystarczy.



Da dni później czarne myśli Jasona o mało się nie sprawdziły. Był słoneczny dzień, ciepły jak na styczeń i Gabrielle zapragnęła wyjść na świeże powietrze; od narodzin dziecka nie wystawiała nosa z domu.

Zostawiwszy córeczkę z Betty, włożyła wełnianą pelisę i wyszła ze swojego pokoju. Za drzwiami westchnęła ciężko. Jak zwykle siedział tam Rene Jason wyjaśnił jej, dlaczego dał mu takie właśnie zadanie, i przyjęła to do wiadomości - niechętnie. Ale ten nicpoń wszędzie za nią łąził! Nawet kiedy Jason był w domu. Łatwiej byłoby powiedzieć pchle, żeby zostawiła psa w spokoju!

- Posłuchaj mnie, Rene - powiedziała, gdy chłopak wyprężył się na jej widok. - Tym razem masz okazję do czegoś się przydać.

- Jestem do usług szanownej pani. - Skłonił się szarmancko.

- Daruj sobie te uprzejmości, gałganie! Potrzeba mi trochę ruchu. Może mi pokażesz, jak jeździsz na tym swoim koniu, co? Ciekawa jestem, jak ci to wychodzi. - Chciała choć popatrzeć, jak Rene jeździ konno, jako że sama nie mogła tego robić. Surowo zabroniła jej tego ciotka Ruth. Gabrielle nie wolno było też robić paru innych rzeczy; a najgorsze, że nie mogła...

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, *madame* i...

- Rene jeśli ukłonisz mi się raz jeszcze, daję słowo honoru, uduszę cię! Zresztą mam lepszy pomysł. Powiem Alexandrowi, żeby zmusił cię do nauki!

Do tej pory Rene opierał się wszelkim próbom włączenia go do jej klasy. Stwierdził, że jemu to nie jest potrzebne, bo umie już czytać, pisać i zna podstawy rachunków. To właśnie powiedział Alexandrowi. Tymczasem Trace senior był przekonany, że przydałoby się podszkolić chłopca w angielskim, ale jak słusznie zauważył w rozmowie z Gabrielle, uczyć kogoś, kto nie chce się uczyć, to mordęga - a Rene i tak już działał jej na nerwy. Dlatego też nie upierała się zbytnio.

Ale Rene doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby tylko chciała, mogłaby zmusić go, by wziął udział w jej lekcjach. Ostatnimi czasy Gabrielle stała się oczkiem w głowie wszystkich domowników. Nikt jej niczego nie odmawiał!

- Koniec z ukłonami! - obiecał skwapliwie.

- Gdzie wszyscy? - spytała Gabrielle, kiedy weszli do stajni. Były w niej tylko konie, stajenni gdzieś zniknęli.

Renę wzruszył! ramionami.

- Zdaje się, że *monsieur* Trace wezwał ich na... na spotkanie. Mają mówić o strategii. - Poprzedniego dnia w pobliżu domu pojawiły się świeże ślady, ale Renę miał Gabrielle nic o tym nie mówić. *Monsieur* nie chciał jej niepotrzebnie niepokoić. Rene rozumiał go. W końcu ta szalona kobieta sama karmiła piersią swoje dziecko.

- Strategii? Myślałam, że to już zostało... och, zobacz, kocięta! Czy nie są śliczne?

Rene w odpowiedzi mruknął coś pod nosem i wszedł na strych. Znając ją, będzie się bawić z tymi kociakami, dopóki ręce jej nie odpadną. Nieważne. Musiał wziąć swoje siodło. Zejdzie z nim na dół i...

Nagle w stajni zrobiło się ciemniej. Odwróciwszy się, Renę zamrugał, przyzwyczajając wzrok do półmroku. W pierwszej chwili myślał, że Gabrielle zamknęła wrota, ale nie, słyszał, że ciągle gaworzy z kociakami.

I wtedy zobaczył to. Ukrytą w cieniu sylwetkę człowieka zbliżającego się do Gabrielle. Chryste! Czerwona czapka! Ten widok zmroził mu krew w żyłach. To musiał być Le Feu. Świnia jedna, skradał się pod nim, przejściem między boksami. Rene zauważył, że mężczyzna ściska sztylet w dłoni. Cholera, dlaczego nie mam broni? - pomyślał.

Przypomniały mu się słowa Jasona. „O wiele trudniej jest stać czoło niebezpieczeństwu, mając za broń tylko pomyślunek. To dopiero prawdziwa odwaga”. Z bijącym sercem Rene szybko się rozejrzał. Po jego prawej ręce na bloku linowym wisiała bela siana. Ktoś nie zdążył opuścić jej do końca.

Nie tracił ani chwili. Wszystko stało się tak szybko, że potem pamiętał to jak przez mgłę. Najpierw usłyszał swoje stękanie, kiedy obracał korbę sterującą wciągarką. Potem pisk, kiedy maszyna ruszyła. Okrzyk tej świni. Krzyk przerażenia Gabrielle. Gniewne syczenie kotów.

Wreszcie przekleństwo z ust Le Feu, kiedy bela przygniotła go do podłogi.

- Gabrielle, uciekaj! - krzyknął Renę.

Le Feu z trudem gramolił się na kolana. Tymczasem Renę rzucał się po swoje siodło. Było strasznie ciężkie, ale udało mu się

przewiesić je przez krawędź strychu i zrzucić na dół, prosto na bandziora. Sztylet wypadł z ręki Le Feu. Wykrzykując przekleństwa, których nawet Rene nigdy dotąd nie słyszał, intruz spojrział ze zdumieniem na strych, po czym pobiegł do drzwi.

- Już uciekł - wyjąkała Gabrielle, przyciskając kocię do piersi.

- Uciekł... - powtórzył za nią Rene i zmrużył oczy, gdy do stajni znowu wdarło się światło słoneczne. A następnie zemdlał.

RS

Z zaciśniętymi zębami Jason rozglądał się ponurym wzrokiem po wnętrzu stajni. Przy siodle Rene leżała bela siana - dowód tego, co stało się tu przed chwilą. W drżącej dłoni ścisnął sztylet, który zaledwie kilka minut wcześniej przyniosła mu Gabrielle. Jego żona przeżyła spory wstrząs, ale, chwala Bogu, nie wpadła w histerię. Zmagając się z gniewem, Jason zastanawiał się, czy to samo mógłby powiedzieć o sobie.

Gabrielle, pod opieką Bernice, w spokoju dochodziła do siebie. Tymczasem Conor zajął się Rene, a Alexander wziął ze sobą resztę ludzi, by przeszukać okolicę.

Jason omal się nie uśmiechnął, wspominając słowa swojego ojca, zwykle nad wyraz opanowanego człowieka:

- Niech wszyscy wezmą broń, ale kiedy znajdziemy to ścierwo, ja strzelam pierwszy! Jeśli zechce stawiać opór, żaden sąd na świecie nie oskarży nas o zabójstwo. Ten cholerny łajdak napadł na członka rodziny!

Jason obejrzał sztylet. Był dość nieudolnie wykonany. Widział takie same w rękach paryskiego motłochu. Bez trudu jednak można nim było przebić ludzką skórę. Na samą myśl, że ktoś mógłby z czymś takim rzucić się na Gabrielle, krew zastygła mu w żyłach. Chryste! Gdyby nie Rene...

Z pokoju głównego stajennego dochodził głos Conora, chwającego chłopaka za jego błyskawiczny refleks. Rene udowodnił, że można na niego liczyć. Jason obiecał sobie, że gdy już będzie po wszystkim, założy w jego imieniu specjalny fundusz; chłopak będzie finansowo ustawiony na całe życie.

Powrócił myślami do chwili obecnej. Wiedział, że nawet gdyby Alexander i jego ludzie zabili Le Feu, problem nie zostałby

rozwiązany. Le Feu nie działał w pojedynkę. Zamieszani w to wszystko byli inni; Jason nie miał wątpliwości, że zaszyli się na pokładzie owego statku pod francuską banderą. Trzeba ich było powstrzymać.

Jason włożył sztylet do kieszeni. Nie czekając na stajennego, wyprowadził konia ze stajni i wrzucił mu siodło na grzbiet. Nie zamierzał tracić czasu na rozmowy z lokalnymi władzami w Charlottesville, Monticello było bliżej.

Tom chce dowodów? - pomyślał ponuro. Niech teraz spróbuje powiedzieć, że ich nie mam! Kiedy mogę przedstawić dwoje świadków. Ba! Kiedy podstawię mu pod nos brudny francuski sztylet!

Gabrielle ostrożnie ułożyła Alexandrę w kołysce. Spojrzała czule na jej małą buzię. Jej córeczka wyglądała jak Jason w miniaturze, ale wydawała się tak delikatna.

- Wolałbym, żeby była podobna do ciebie - powiedział Jason ostatniej nocy. Tak naprawdę jednak cieszył się, widząc w dziecku coś z siebie. - Czy zdajesz sobie sprawę - dobiegł ją jego szept - że jest jedyną osobą w moim życiu, w której żyłach płynie moja krew?

- Już smacznie śpi. - Bernice, która stanęła obok Gabrielle nad kołyską, nie mogła wyjść z podziwu. - Mimo tego wszystkiego, co się stało!

Gabrielle wzruszyła ramionami.

- Przecież ona nawet nie wie, co się dzieje.

- Owszem, ale niemowlęta są niezwykle wrażliwe. Potrafią wyczuć, kiedy matka czymś się martwi. Gratuluję ci opanowania, maleństwo.

Opanowania? - zdziwiła się Gabrielle. Może. Przynajmniej nie trzęsała się i nie płakała jak Betty. Żeby uspokoić tę biedną dziewczynę, dali jej do wypicia herbatę z brandy, po czym położyli ją spać.

Ale Gabrielle nie zniosłaby tego tak dobrze, gdyby nie Jason. Trzymał ją w ramionach tak mocno, że bała się, czy nie połamie jej żeber. Widok malującej się na jego twarzy ulgi, że nic jej się nie stało, był dla niej niczym kojący balsam. Przerażające zdarzenie w stajni wkrótce przestało zaprzątać jej myśli.

Ja go obchodzę! - powiedziała sobie w duchu. Naprawdę!

Zaraz po tym, jak mąż odprowadził ją na górę, zajrzała do córeczki. Zupełnie jakby się bała, że to, co się stało, mogło w jakiś sposób odbić się na dziecku.

Nagle poczuła, że zaczyna tracić panowanie nad swoimi emocjami. Docierało do niej, jak niewiele brakowało, a wydarzyłaby się prawdziwa tragedia. Boże! Gdyby nie Rene... Już nigdy nie nazwie go nicponiem!

- Posłuchaj, Bernice, chyba...

- O co chodzi, maleńka? Jesteś jakaś błada!

- Chyba muszę wyjść na powietrze. - Gabrielle podeszła do szafy i wyciągnęła czarną pelerynę, należącą niegdyś do jej matki. Poczuła, że musi się nią owinąć. - Czy mogłabyś popilnować maleństwa, kiedy ja...

- Wiesz, że to zrobię, ale powiedz mi, dokąd się wybierasz?

- Niedaleko, więc proszę, nie obawiaj się. - Gabrielle zapięła pelerynę. - Pospaceruję sobie po trawniku.

-Ale...

- Obiecuję, że nie odejdę daleko od domu - dodała, kierując kroki ku drzwiom. Musiała wyjść! Pomyśleć! Ci ludzie chcieli od niej wisiołek. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby ich przekonać, że wcale go nie znalazła!

- Gabrielle, na litość boską! - krzyknęła za nią Bernice. - Przynajmniej powiedz Prentissowi, że wychodzisz! - Lokaj był jedynym mężczyzną, który został w Wielkim Domu i wiedział, jak posługiwać się bronią. Na wszelki wypadek miał pod ręką dwa pistolety. - Niech ma cię na oku!

Potem Bernice miała pożałować, że sama nie zastosowała się do tej rady. Znalazła ją Gabrielle, zaledwie pół godziny po wyjściu na spacer. Bernice leżała na podłodze, a na potylicy miała guza wielkości jaja. Zanim Gabrielle zdążyła zawołać Prentissa, ujrzała otwarte okno. Jej spojrzenie natychmiast przeniosło się na kołyskę córki...

I wtedy z jej ust wyrwał się krzyk.

P rentiss stanął w drzwiach, z pistoletami gotowymi do strzału.

- Mój Boże!

Przez chwilę nie wiedział, do której z kobiet podejść najpierw. Bernice leżała w dziwnej pozycji i nie dawała znaku życia, ale...

- Pani Gabrielle! - krzyknął, podbiegając do drobnej postaci, skulonej na podłodze przy kołysce. Kołyska! Boże, gdzie jest...

Gdy usłyszał jęk dobywający się z ust Gabrielle, strach zmroził jego serce. Pomagając jej podnieść się na nogi, czuł, jak niešťczęsna pani drży na całym ciele. W dłoni ścisłała jakąś kartkę.

- Zabrali ją. - Jeszcze nigdy nie słyűał, żeby ktoś mówił z tak przejmującym bólem w głoűie, jak Gabrielle Trace w tej chwili. - Zabrali moją... zabrali moją... ach, w imię Boga, tylko nie moje dziecko!

Mówiła po francusku. Prentiss niemal żałował, że rozumie te słowa. Nawet gdyby ich nie rozumiał, wszystko powiedziałyby mu ból brzmiący w jej głoűie.

- Pani Gabrielle, powinna się pani położyć - przekonywał ją. Ścisłała kartkę tak mocno, że aż zbiałały jej kostki, a jej twarz... Jeszcze nigdy nie widział w oczach człowieka takiego cierpienia.

- Idź, zajmij się Bernice - powiedziała. - Muszę pomyśleć, co zrobić.

Niechętnie spełnił jej polecenie i podszedł do wojowniczkii, wołając innych słuűących. To, co słyűał za plecami, wzbudzało jego niepokój; miał nadzieję, że pan Jason wróci jak najszybciej.

- Muszę pomyśleć - powtarzała bezustannie Gabrielle. - Muszę pomyśleć...

Jason zamknął oczy, usiűując się skupić, ale czuł w ustach cierpki smak. Smak, który poznał wiele lat temu, przed swoją pierwszą bitwą. Smak strachu.

Otworzywszy oczy, jeszcze raz spojrział na kartkę papieru, którą wyszarpnął z zaciűniętej dłoni Gabrielle. Słowa, napisane w języku francuskim, nadal na niej widniały, choć oddałyby życie za to, by zniknęły. Zebrał całą siłę woli i zmusił się, by przeczytać je raz jeszcze.

*Obywatelko Saint-Germain!*

*Jeűli zależy ci na dziecku, przyniesiesz Królową Morza na pol Egalite, który kotwiczy na Ravennie. Przyjdź sama i upewnij się, nikt cię nie śledzi. Jeűli tego nie zrobisz, nigdy juű nie zobaczysz go dziecka... żywego.*

*Naród Republiki Francuskiej*

Gabrielle przewracała się we śnie z boku na bok. Jason spozjrzał na nią z troską. Bał się zarówno o nią, jak i o córeczkę. Alexander na wszelki wypadek nakłonił synową do wypicia wina doprawionego laudanum. Miał nadzieję, że trochę snu dobrze jej zrobi.

Ale Jason widział już ofiary takiego szoku w czasie wojny i szczerze powątpiewał, czy lek pomoże. Nawet będąc pod jego wpływem, ścisnęła tę przeklętą kartkę w pięści. Ach, kochanie! - pomyślał. Gdybym tylko mógł, wziąłbym cały twój ból na siebie!

- Wiesz, dałem jej bardzo mało. - Od strony drzwi dobiegł głos Alexandra, przypominający brzmieniem głos starego, zmęczonego człowieka. - To znaczy, laudanum. Nie wiem, czy słusznie postąpiłem, ale... ale ona wyglądała tak... - Słowa uwieźły mu w gardle.

- Jestem pewien, że to nie zaszkodzi - próbował uspokoić go Jason - a może przyniesie jej trochę spokoju. Spokoju! - pomyślał. Nie zaznamy ani chwili spokoju, dopóki nie odzyskamy naszego dziecka! Na chwilę zastygł w bezruchu, po czym odczuł potrzebę działania. Rzuciwszy okiem na żonę, podniósł się z łóżka. Na jego twarzy wyryła się wściekłość.

- Co chcesz zrobić? - spytał Alexander, wyraźnie zaniepokojony. Już nieraz widział Jasona w gniewie, ale nie aż takim. Jego oczy błyszczały żądzą mordu.

- Idę po moje dziecko. - Jason szybkim krokiem przeszedł do sąsiedniej sypialni.

Ojciec ruszył w ślad za nim.

- Sam? - Alexander wiedział, że Jason nie zastał Jeffersona w Monticello. Co gorsza, jego ludzie nie znaleźli Le Feu.

Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. To Le Feu znalazł nas, pomyślał. Spojrzał na Jasona.

- Zamierzasz wejść na ten statek... sam?

- Tak. - Jason podszedł do komody i otworzył szufladę. Następnie wyjął z niej jeden z dwóch pistoletów, które miał pod ręką, gotowe do strzału, odkąd dowiedział się o Le Feu.

- Jason, wysłuchaj mnie. - Alexander położył mu dłoń na ramieniu. - Nie idź tam w pojedynkę. To nierozsądne.

- Gdybym postąpił inaczej, to dopiero byłoby nierozsądne! - Jason sprawdził pistolet. - Przecież wiesz, że nie znalazła tego czołernego szafiru! Co mam zrobić? Siedzieć tu i czekać, kiedy oni...



- Jason, zastanów się! Bóg jeden wie, ilu ich tam jest, a niebezpieczeństwo...

- Nie pierwszy raz będę miał z nim do czynienia.

- Chodziło mi o niebezpieczeństwo, jakie grozi twojej córce.

- Choć Alexander powiedział te słowa cichym głosem, wywarły zamierzony efekt; Jason zamarł i spojrzał mu w oczy. Ojciec nie ustępował.

- Zaryzykowałbyś życie dziecka po to, by uśmierzyć gniew?

W oczach Jasona pojawiło się przygnębienie. Opuścił dłoń, w której trzymał pistolet, i westchnął ciężko.

- Z nas dwóch ty zawsze byłeś bardziej rozważny. Jak sądzisz, co powinienem zrobić?

- Jefferson na pewno wrócił już z Charlottesville. Tym razem nie będzie miał się do czego przyczepić. Dziecko zostało... - Głos Alexandra zadrżał. - Wystarczy, że pokażesz mu tę kartkę.

Jason kiwnął energicznie głową, po czym chwycił ojca za ramiona.

- Zostaniesz przy Gabrielle? - spytał.

Alexander zamrugał, powstrzymując łzy.

- Przecież wiesz, że zostanę. No, ruszaj.

Jason klepnął go mocno na ramię, po czym odwrócił się i wyszedł

Powlókłszy pełnym niepokojem spojrzeniem po Bernice, Prentiss ostrożnie przyłożył mokrą ścierkę do guza na jej głowie. Robił to samo już co najmniej od kwadransu. Czy nie powinna już się ocknąć? - pomyślał.

Wtedy jej powieki drgnęły, jakby w odpowiedzi na jego nie wypowiedziane głośno pytanie.

- Joshua... to ty?

Dzięki Bogu!

- Kobieto, nie ruszaj się. Masz guz większy od góry, na której pobudował się Jefferson!

- Hm! Myślisz, że nie wiem? - Podniosła rękę.

- Niech to wszyscy diabli, kobieto, nie dotykaj tego!

- Co się stało? - spytała i skrzywiła się, gdy mimo jego prestrógi dotknęła guza.

- Dobrze ci tak - mruknął. - Ale przecież tobie nie da się nic powiedzieć! A teraz leż spokojnie i...

- Joshua... co się stało?

Gdy Bernice spojrzała na niego kątem oka, Prentiss spróbował ukryć trawiący go niepokój. Po chwili jednak westchnął ciężko; jej oczom nic nie umknie. Mamrocząc pod nosem coś o uparciuchach, w paru zdaniach opowiedział jej, co się wydarzyło.

I natychmiast tego pożałował. Z piersi Bernice wyrwało się wycie zranionego zwierzęcia, a po jej twarzy popłynęły łzy. Czuł się całkowicie bezsilny. Nigdy jeszcze nie widział, żeby Bernice płakała, nigdy! Szepcząc do niej słowa otuchy, głaskał ją po plecach i ramionach. Poduszka nasiąknęła jej łzami.

Nagle Bernice odwróciła się i ze wściekłym rykiem zerwała się na kolana. Usiadłszy na piętach, zacisnęła pięści, a z jej ust popłynął strumień przekleństw; wszystkie były w języku francuskim, skierowane do porywaczy.

- Uspokój się, kobieto. - Miał nadzieję, że w jego głosie nie słysząc bólu. Bernice nie tolerowała słabości u mężczyzn. Wiedział o tym z doświadczenia.

- Nie uspokoję się! - rzuciła z gniewem, po czym jęknęła, kiedy ból przeszył jej głowę.

- Dasz mi coś powiedzieć? - Joshua pomógł jej się położyć. - Pan Jason na pewno zrobi to, co konieczne. A ty nie wyjdiesz z tego łóżka, dopóki nie będę wiedział, że z tobą wszystko w porządku.

Westchnęła, ale nie opierała się.

- Tyran z ciebie, Joshuo Prentiss. - Poczowała, że jej powieki stają się nadzwyczaj ciężkie. Jeszcze zanim zapadła w sen, wymamrotała pod nosem coś po francusku.

Powiedziała to bardzo cicho i niewyraźnie, ale Prentiss i tak zrozumiał. Na jego twarz wypłynął szeroki uśmiech.

- *Cependant, je t'aime* - szepnął, powtarzając słowa, które usłyszał chwilę wcześniej. - Mimo to kocham cię.

Jesteś pewna, że dobrze się czujesz, moja droga? - spytał Alexander. - Nie kręci ci się w głowie ani...

- Nie, wcale nie - zapewniła go Gabrielle, sącząc herbatę.

Najważniejsze, by uznał, że jest całkowicie opanowana. Jeśli chciała, żeby wyszedł z pokoju, musiała go przekonać, że laudanum ani trochę jej nie zaszkodziło.

- Chciałabym jednak, żebyś zobaczył, co z Bernice. - Zdobyła się na łagodny uśmiech. - Skoro mówisz, że mam zostać tu i odpoczywać, obawiam się, że będę dla ciebie tylko ciężarem...

- Nonsens, moja droga. Pójdę do niej, a potem wrócę i powiem ci, jak się czuje, dobrze?

- Gdybym spała, kiedy wrócisz...

- Och, nie martw się, dziecko. Spokojny sen naprawdę dobrze ci zrobi. Nie obudzę cię bez potrzeby.

-*Merci* - odparła, zmuszając się do kolejnego uśmiechu. Ale kiedy tylko drzwi zamknęły się za Alexandrem, uśmiech zniknął z jej twarzy. Musiała się spieszyć!

Czym prędzej wepchnęła poduszki pod koc. Cofnęła się od łóżka, oceniając efekt. Może być. Alexander da się zwieść, choćby przez chwilę.

Biegnąc do szafy, rzuciła okiem na zegar stojący na kominku. Otworzywszy drzwi, sięgnęła po pelerynę matki i zawahała się. Peleryna mogłaby dodać jej odwagi, ale jakoś nie mogła się zdobyć na to, by ją włożyć. Zwłaszcza że wybierała się tam, gdzie czekały na nią te świnię, które...

Zakłęta pod nosem, po czym chwyciła niebieską wełnianą pelisę. Wkładając ją, Gabrielle spojrzała w okno. Zapadał zmierzch. Doskonale. W ciemności łatwiej będzie uciec.

Przez chwilę zrobiło jej się ciężko na sercu. Jason na pewno chciałby ją powstrzymać. Zresztą, nie on jeden. Alexander zapewnił ją, że Jefferson weźmie sprawę w swoje ręce. Ale oni wszyscy byli mężczyznami. Cóż mężczyzna może wiedzieć o bólu matki? Miała już serdecznie dosyć mężczyzn i ich rządów! Nie mogła dłużej czekać, aż zaczną coś robić. Chciała odzyskać swoje dziecko - i to już!

Zamierzała wejść na pokład tego statku. Musiała przekonać tych ludzi, że nie udało jej się odnaleźć Królowej. Słowa wiersza *maman* wryły się w jej pamięci. Postanowiła, że powie o nim Le Feu, wyjaśni, co odkryła po przyjeździe do zamku w Auxerre.

Ale gdyby nic z tego nie wyszło, gdyby ta świnię nadal uważała, że szafir jest w jej posiadaniu, miała inny plan. Zaproponuje im siebie w zamian za córkę. Powie, że tylko ona, Gabrielle, zna miejsce ukrycia Królowej i że gotowa jest napisać list do męża, w którym poinstruuje go, gdzie jej szukać. Zrobi to jednak

pod jednym warunkiem: dziecko ma wrócić do Fairhills razem z owym listem.

Oczywiście, Królowej nie było w Fairhills i kiedy się zorientują, że ich okłamała...

Zmagając się z tymi mrocznymi myślami, Gabrielle ruszyła ku drzwiom. Najważniejsze, że dziecko będzie bezpieczne. Jason też. O Boże... Jason! Wybacz mi, ukochany! - krzyknęła w duchu, wyślizgując się na korytarz. Ale ty nigdy byś nie zrozumiał.

Schodząc bezszelestnie po schodach, odmówiła w duszy modlitwę do Maryi Dziewicy. Któż lepiej rozumiał matczyne cierpienie?

RS

Wstrzymując oddech, Gabrielle wsunęła rękę do kieszeni. Nie pomyślała, żeby wziąć pieniądze, a w tej chwili akurat przydałyby się. Obszarpany chłopaczyna z doków stwierdził stanowczo, że za darmo to on palcem nie ruszy i... ach. Poczwała pod palcami jakieś drobne monety, które zostały z ostatnich zakupów w Charlottesville.

Bóg ma baczenie na niewinnych i głupców. Przypomniała sobie, jak Conor powiedział te słowa wtedy, kiedy Jason uratował Renę z fal morskich. Niewinnych i głupców... Gdy mały obszarpaniec wyciągnął do niej rękę, zaczęła się zastanawiać, które z tych określeń jej dotyczy.

- Na razie jedna - powiedziała obdartusowi, który wybałuszył oczy, ujrawszy błyszczącą monetę. Gabrielle domyślała się, że jest dla niego zbyt szczodra, ale nie miała wyjścia. - Drugą dostaniesz, jak przyprowadzisz swojego kolegę. Powiedz mu, że jeśli zasłuży, dostanie tyle co ty.

Chłopak wcześniej powiedział jej, że zna kogoś, kto przewiezie ją łodzią na statek kotwiczący na rzece; miała tylko nadzieję, że nie kłamał.

Obdartus zniknął w mroku. Czując na twarzy mroźny podmuch wiatru, Gabrielle owinęła się szczelniej pelisą. Było po prostu zimno! I ciemno. Lustro wody i doki spowijała blada księżycowa poświata. Gabrielle dostrzegała wyłaniające się z mroku zarysy trzech zakotwiczonych statków, ale nie miała pojęcia, który z nich może być własnością Le Feu. Znowu zaczęła żałować, że musiała przyjść tu nocą.

Jej klacz niespokojnie wierzgnęła kopytem. Gabrielle nie była pewna, czy może ją zostawić w rękach tego małego obdartusa,

dopóki sama nie wróci ze statku. Jeśli w ogóle tam dotrę - pomyślała, po czym przeżegnała się i zmówiła modlitwę.

Tylko szczęściu zawdzięczała to, że nikt nie zauważył, jak wymknęła się z Fairhills. Mimo to droga była niezwykle ciężka; w ciemności klacz wiele razy potykała się o kamienie. Jednak Gabrielle parła naprzód, widząc oczyma duszy malutką, przerażoną Alexandrę, krzyczącą z głodu. Te myśli sprawiły, że jej piersi wypełniły się mlekiem, które teraz wsiąkało w suknię. Nabrzmiałe piersi bolały jak nieszczęście.

Usłyszała zbliżające się kroki. Klacz parsknęła i zaniepokojona podniosła łeb. Gabrielle odwróciła się z bijącym sercem. Nie wypuszczając uprząży z ręki, patrzyła na dwa przysuwające się cienie. Mniejszy z nich niósł latarnię, ale trzymał ją nisko, tak że ich twarze pozostawały w mroku.

- To ty, chłopcze? - spytała niepewnie.

- Oczywiście, że to ten chłopak. Przecież zależy mu na pieniądze - powiedział drugi cień dziwnie znajomym głosem. Mimo że Gabrielle wyteżała wzrok, nie mogła dostrzec jego twarzy. - Ale nie wątpię, że to mnie szukasz... nieprawdaż, *madame*?

Wtedy dopiero uświadomiła sobie, że nieznajomy mówi po francusku. Obdartus uniósł latarnię i...

Gabrielle napotkała ironiczne spojrzenie czarnych oczu Antoine'a d'Albreta.

Gabrielle nie mogła powstrzymać łez, kiedy położyła swoją uspioną córeczkę w koszyku stojącym na podłodze kajuty d'Albreta. Alexandra nie była zbyt czysta, ale przynajmniej na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że nic jej nie jest, dzięki Bogu. Teraz, kiedy Gabrielle wreszcie nakarmiła dziecko, ten okropny ucisk w piersiach, który obejmował całe jej ciało, stał się nieco lżejszy.

Z ulgą zawiązała stanik. Jej oczy spoczęły na tęgiej, ciemnoskórej kobiecie, która siedziała na dolnej koi owinięta szorstkim wełnianym kocem; na jej głowie zawiązana była brudna chusta. Nie potrafiła odgadnąć, ile owa kobieta ma lat, ale musiała być jeszcze zdolna do rodzenia dzieci, skoro Antoine zatrudnił ją jako mamkę.

Na tę myśl w duszy Gabrielle rozbudziła się słaba nadzieja. Nie przypuszczała, że d'Albreta stać było choćby na odrobinę

dobroci. A jednak okazał serce, skoro zatroszczył się, by dziecko nie było głodne. Z drugiej strony - pomyślała ponuro - być może po prostu chciał, by nic się nie stało jego zakładnikowi! Zadrzała na myśl o tym, że maleństwo zdane było na łaskę i niełaskę tego...

Drzwi otworzyły się i do kajuty wkroczył d'Albret.

- Możesz już iść - powiedział do mamki. - Mój człowiek zapłaci ci i odprowadzi do twojego pana.

Murzynka bez słowa wstała i wyszła, nawet na nich nie spoglądając. Gabrielle była ciekawa, jak też ta kobieta obchodziła się z Alexandrą. Czy tuliła ją do siebie? Nuciła cicho, kiedy maleństwo ssało jej pierś? Czy też miała małej Alexandrze za złe, że odbiera jej mleko, które było przeznaczone dla jej dziecka?

Drzwi zamknęły się za nią. Gabrielle została sama z d'Albretem.

- Coraz lepiej mówisz po angielsku - powiedziała, chcąc przerwąć nieprzyjemną ciszę. *Maman* zaczęła uczyć Antoine'a tego języka tuż przed wybuchem rewolucji.

Wzruszył ramionami.

- Może. Gorzej z czytaniem i pisanem.

Skinęła głową. Sama niezbyt sobie radziła z pisanym angielskim, choć uzmysłowiła to sobie dopiero, gdy zaczęła tu mieszkać.

Znowu zapadła nieprzyjemna cisza. Wcześniej Gabrielle długo powtarzała sobie w duchu, co powie porywaczom dziecka, ale teraz wszystko wyleciało jej z głowy. To d'Albret - d'Albret! - stał za tym potwornym czynem. Czyli stał się jej wrogiem. A w odróżnieniu od Le Feu, który był tylko przebiegły, Antoine'a cechowała spora inteligencja. Gabrielle wiedziała, że musi baczyć na każde swoje słowo.

D'Albret w milczeniu podszedł do stołu, na którym stała karka z winem i powyginany cynowy kubek.

- Mówiłeś coś o panu tej kobiety - powiedziała Gabrielle, kiedy zaczął nalewać. - Jest niewolnicą?

Spojrzał na nią. Jego urodziwa twarz wykrzywiła się w złośliwym uśmiechu. Mimo że zapuścił wąsy zgodnie z nową, rewolucyjną modą, nadal był najbardziej przystojnym mężczyzną, jakiego znała. Poza Jasonem. O dziwo, urodą d'Albret przypominał jej...

O Boże, Jason! Nie, nie wolno ci o nim myśleć - powiedziała sobie w duchu. A przede wszystkim nie myśl o tym, jak zareaguje, kiedy się dowie, co zrobiłaś. Nie miałaś innego wyjścia!

- Niewolnicą? - zdziwił się d'Albret. - Dziwi mnie twoje pytanie, obywatelko. Powinnaś pamiętać, że w dzisiejszych czasach wszyscy lojalni Francuzi brzydzą się niewolnictwem. Ta kobieta jest wolna. Pracuje w miejscowym burdelu.

- Rozumiem - mruknęła Gabrielle, czując, że na jej policzki wypływają rumieńce.

- Cnotka jak zawsze, co, Gabrielle? Dziwię się, że zdobyłaś się na to, czemu zawdzięczasz narodziny tego oto dzieciaka.

Kiedy zignorowała te wulgarnie słowa, parsknął śmiechem i wznosił kubek.

- Za rewolucję - powiedział uroczystym tonem, nie spuszczać z niej oczu. - Niechaj szczeną jej nieprzyjaciele!

Gabrielle zmrużyła oczy.

- Jesteś jednym z nich, prawda? Przez cały czas byłeś plugawym rewolucjonistą!

- Cóż za przenikliwość, *ma chere* - zadrwił, odstawiając kubek. - Ale określenie „jakobin” w zupełności wystarczy. Na twoim miejscu uważałbym, kogo nazywam „plugawym”. W twojej sytuacji znieważanie...

- Wcale nie miałaś zamiaru uwalniać *maman* ani królowej! - powiedziała, kiedy dotarło do niej pełne znaczenie jego słów. Ona tu zamartwiała się, jak go przekonać, że nie zdradziła spiskowców, a tymczasem to właśnie on był zdrajcą!

- Wdowy po Kapecie na pewno - odparł. Jego oczy były niczym czarny lód. - A jeśli chodzi o Louise... - Westchnął, udając głęboki smutek. - Przyznaję, że trochę brakuje mi jej w łóżu, ale... - Wzruszył ramionami.

Gabrielle ogarnęły mdłości. Musiała zacisnąć zęby, żeby nie zwymiotować. *Maman* nie miała żadnej szansy. Podobnie jak cała reszta więźniów rewolucyjnego reżimu! Gdyby nie Conor i Jason, ona, Gabrielle, też trafiłaby do wygłodniałej paszczy gilotyny.

- Co... - z trudem przełknęła dławiącą ją żołąć - ...co w takim razie chciałeś zrobić z szafirem, skoro nie miałaś zamiaru...

- *Ma chere* Gabrielle. Chyba jesteś na tyle inteligentna, żeby sama się tego domyślić. - D'Albret nalał sobie następną kubek



wina. - Królowa Morza jest więcej warta niż życie króla czy królowej. A narodowi francuskiemu brakuje pieniędzy, co zawdzięczamy chciwym harpiom, takim jak twoja matka czy jej ukochana „Madame Deficit”.

- Moja matka wcale nie była chciwa! - Ból przeszył serce Gabrielle, gdy przypomniała sobie, jak ta świnia wykorzystywała szczodrość *maman*. - Ty to co innego! Bez skrupułów korzystałaś z jej majątku i pozycji na dworze! I znajomości, jakie dzięki niej zdobyłaś!

- Dość tego! - uciał. - Zobaczmy, jaka będziesz harda, kiedy ujrzysz to. - wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę i machnął nią w stronę Gabrielle.

Wyglądała dziwnie znajomo.

-Co...

- „Jestem królową, błękitną jak morze...” - odczytał powoli, z silnym francuskim akcentem. Kiedy z ust Gabrielle wyrwał się okrzyk zdumienia, d'Albret podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko. - *Oui* — powiedział - znaleźliśmy ten liścik, kiedy przeszukaliśmy twój pokój. Trudno było się nie domyślić, że nasza panna Brielle coś niecoś przed nami ukrywała. A jeszcze łatwiej było odgadnąć, po co pojechała do pewnego zamku w Burgundii.

I oto nadeszła chwila, na którą przygotowywała się tak długo. Mogła wreszcie zaprzeczyć temu, jakże niesłusznemu oskarżeniu.

- Antoine, posłuchaj mnie. - Miała nadzieję, że d'Albret nie wyczuł desperacji w jej głosie. - Z zamku zostały ruiny...

Kiedy opowiedziała mu wszystko, co wydarzyło się od spotkania Jasona, uświadomiła sobie, że zrobiła to na darmo. D'Albret pozostał niewzruszony; jego harde, nieufne spojrzenie nie pozostawiało jej żadnych wątpliwości.

- Ładna bajeczka - mruknął. - Kto to wymyślił? Ty czy twój mąż?

- Antoine, proszę, wysłuchaj mnie. Ja...

- Nie, ty zdradliwa suko! Teraz to ty mnie wysłuchasz. Dość mam już cackania się z tobą. Ty i twój mąż macie wisiołek i oddacie go w moje ręce. Natychmiast.

Jego podniesiony głos obudził Alexandrę. Modląc się w duchu do Matki Bożej, Gabrielle podeszła do koszyka i wzięła córeczkę

na ręce, mówiąc do niej kojącym tonem. Zdawała sobie sprawę, że d'Albret baczenie im się przygląda. Alexandra uspokoiła się wreszcie; po chwili Gabrielle ostrożnie ułożyła ją w koszyku.

- No dobrze, Antoine - powiedziała, patrząc na niego. Mimo ogarniającego ją strachu, przystąpiła do realizacji swojego drugiego, rezerwowego planu...

- Uważasz mnie za głupca? - spytał d'Albret ze złością, kiedy skończyła mówić. - Dopóki bachor jest w moich rękach, zrobisz, co ci każę. A ty chcesz, żebym ją uwolnił?

- Tylko wtedy zrobię, co każesz, d'Albret! Jak już mówiłam, mój mąż nie wie, gdzie ukryłam wisiołek. Jeśli chcesz, żebym mu to powiedziała, a co więcej, żeby przyniósł ci klejnot...

-I tak mu to powiesz - uciał d'Albret.

Gabrielle patrzyła ze strachem, jak jej prześladowca wyjmuje z buta długi, wąski sztylet i sprawdza ostrze kciukiem. Strach przeistoczył się w przerażenie, kiedy spojrzenie d'Albreta powędrowało ku koszykowi leżącemu u jej stóp.

- A teraz posłuchaj mnie, zdrajczynie Saint-Germain. Tam - wskazał nożem kasetkę, która stała na półce przy koi - znajdziesz przybory do pisania. Napiszesz swojemu amerykańskiemu mężulkowi, co musi zrobić, żeby uratować żonę i córkę...

Kwadrans później d'Albret stał już na pokładzie i patrzył na Le Feu; ten, wchodząc na pokład łódki mającej zawieźć go na brzeg, uśmiechnął się szeroko i pomachał Antoine'owi listem z żądaniem okupu. D'Albret z trudem dostrzegł dołączoną do listu drugą kartkę; nie wiedząc czemu, postanowił przekazać Amerykaninowi wiersz Louise.

Suka ustąpiła. Wiedział, że tak będzie, kiedy tylko życie jej dzieciaka znajdzie się w niebezpieczeństwie. Musiała mieć nie-dobrze w głowie, jeśli myślała, że on wypuści bachora. Czyżby uważała, że jej mąż będzie ryzykował życie dziecka, by uwolnić żonę o żyłach ściętych lodem? Co tam żyły, ważniejsze, że lód miała gdzie indziej, między nogami. Tracę na pewno nie będzie się wahał, czy wykupić tę cnotkę, czy swoje dziecko, choć była to tylko córka.

Oczywiście, tak czy inaczej Gabrielle już do Trace'a nie wróci. Robespierre chciał, by ta suka skończyła pod gilotyną, i tak się

stanie. Gdy Amerykanin się o tym dowie, będzie już za późno. Pewnie będą musieli zabić i jego, i bachora...

D'Albret wżruszył obojętnie ramionami, wpatrując się w niknącą w mroku łądkę. Rewolucja pochłoneła już wiele ofiar. Jedna czy dwie więcej nie sprawią różnicy.

I odjeżdżając do domu, Jason uniósł brwi. We wszystkich oknach paliły się światła. Ze stajni wyłoniła się grupka ludzi z latarniami.

Co się stało, do kaduka? Nie było go raptem trzy godziny. Jefferson zgodził się pomóc, ale zastrzegł, że do rana niewiele da się zrobić, bo była niedziela. Ale coś takiego mogło się wydarzyć, żeby...

Dziecko! Może przysłała jakaś wiadomość? Rozmyślając gorączkowo, spał rumaka kolanami. Wśród ludzi zgromadzonych pod stajnią wypatrzył Conora.

- Co się dzieje, stary? - spytał Irlandczyka. - Czy są jakieś... - Urwał w pół zdania, widząc wyraz twarzy przyjaciela.

- Jason... - zaczął niepewnie Conor. Matko jedyna, co zrobi Jason, kiedy...

- Do diabła, powiedzże wreszcie! - Jason bezwiednie pociągnął za wodze. Koń, zaskoczony, nerwowo przesunął się w bok.

- Chodzi o Gabrielle, Jason. Ach, chłopie, szkoda, że to ja muszę ci to powiedzieć, ale ona... ona zniknęła.

Jason nie drgnął, nie odezwał się ani słowem, ale Conor natychmiast zauważył ból w jego oczach. Matko święta, on ją kocha! - pomyślał. Że też musiałem się o tym dowiedzieć w takiej sytuacji.

- Właśnie jedziemy jej poszukać...

- *Monsieur* Jason! - Z Wielkiego Domu pędem wypadł René.

- Chwała Bogu, że pan tu jest!

Chłopak podbiegł do nich. Mimo zimna był w samej koszuli. W dłoni ścisnął kamień, do którego sznurkiem przywiązane były jakieś papiery, szarpane podmuchem wiatru.

- Właśnie... to dos... dostałem - wyjaśnił René, dysząc ciężko. - Jezu! Ten kamień... wpadł przez okno... i mało co głowy mi nie rozbił!

- Niech mi ktoś poświeci - rzucił Jason. Natychmiast podsunęto mu trzy latarnie. Płomienie, tańczące na wietrze, przyda-

wały twarzy Jasona iście upiornego wyglądu. Widząc jego zacięte oblicze, Renę mruknął coś po francusku i się przeżegnał. - Chryste. - Jason wypuścił kamień z ręki i podał kartki Conorowi. Zgromadzeni wokół ludzie popatrzyli po sobie z obawą.

Twarz Jasona nie wyrażała żadnych uczuć. Przeczytawszy list, Irlandczyk zaklął przez zęby po celtycku i spojrzał pytająco na swojego druha.

- I co zamierzasz?

Przez dłuższą chwilę Jason nie odpowiadał. Nagle wyrwał się z odętwienia.

- Renę - powiedział - wracaj do domu, zanim złapiesz febrę, i powiedz mojemu ojcu, żeby przyszedł do stajni. Tylko szybko!

Następnie zsiadł z konia i podał wodze jednemu z ludzi, nakazując pozostałym, by osiodłali wypoczętego rumaka. Stajenni rozeszli się pospiesznie, wyraźnie zadowoleni, że mają coś do roboty.

- Jason, dokąd...

- Jadę tam, Conor.

- To pojedę z tobą.

Jason potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie możesz. Czytałeś jej... - Jego głos zadrżał. Zanim mógł mówić dalej, musiał odkaszląć. - Jej list. Chce, żebym przyjechał sam.

- Ale to może być pułapka! Nie...

- Chryste, przecież wziąłbym cię ze sobą, gdybym mógł! - Jason spuścił głowę i westchnął ciężko. Podniósłszy wzrok, przez kilka sekund patrzył w milczeniu na kartki.

Nagle wyrwał je z ręki Irlandczyka.

- Nie napisała by tego - powiedział - chyba żeby chciała... ach, diabła tam! Nie wiem, co chciała przez to powiedzieć, ale przecież wie, że nie mamy tego cholernego szafiru!

Wskazał kartkę z wierszem.

- I jeszcze to! To nie jej charakter pisma, założę się, że napisała to jej matka. Gabrielle zostawiła to w Paryżu, co oznacza, że znaleźli...

Wtedy coś rzuciło mu się w oczy. Zastygł w bezruchu, dał znak Conorowi, by podszedł bliżej z latarnią.

Idąc ku nim, Alexander usłyszał okrzyk syna.

- Nie chodzi o kominiek, na Boga! To peleryna, *mantle*

Alexander i Conor wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- O tutaj, widzicie? - Jason wyciągnął kartkę w ich stronę. - Spójrz na pelerynę, a ujrzysz mój znak, pod wieżą i fosą się ukryłam - zacytował, coraz bardziej podekscytowany.

- No tak - powiedział Conor, nadal nic nie rozumiejąc- ale...

- Przez cały ten czas - przerwał mu Jason - moja piękna, bystra Gabrielle, przy jej doskonałym angielskim... - Zaśmiał się nerwowo. - Źle to tłumaczyła! Bo chociaż jej mówiony angielski jest doskonały, z rozumieniem pisanego ciągle ma kłopoty!

- *Manth* znaczy „peleryna”, pomyliło jej się z *mantel* czyli „kominek”. - Conor dopiero teraz zaczynał pojmować, o co chodzi przyjacielowi.

- Otóż to - skwitował Jason.

- Kiedyś mi powiedziała - zaczął Alexander - że wydawała jej się, że „wieża i fosa” oznaczały rodowy herb wyrzeźbiony nad kominkiem w...

- Tak - mruknął Jason w zamyśleniu. - Ale była w błędzie. Przez cały ten czas szukała w niewłaściwym miejscu.

- No to gdzie, twoim zdaniem...

- Peleryna! - krzyknął Jason. - Ta przeklęta, ohydna, cudowna peleryna, którą zostawiła jej matka, ma na zapince wygrawerowaną wieżę i fosę! - Rzucił się pędem w stronę domu, po czym nagle stanął jak wryty.

- Chryste! - Odwrócił się do ojca i przyjaciela. - A jeśli ma ją na sobie? Czy...

- Nie - przerwał mu Alexander. - Widziałem tę pelerynę... - Nim zdążył dokończyć, Jason zerwał się do biegu.

Po chwili, trzymając pelerynę w drżących rękach, obejrzał zapinkę ze wszystkich stron. Nacisnął krawędź, przez którą biegło coś, co wyglądało na szew.

I nic.

Spróbował raz jeszcze. W zapamiętaniu naciskał tu i tam, aż wreszcie usłyszał cichy trzask. Przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na jego dłoni wylądował ciężki przedmiot, owinięty w papier.

- Królowa Morza - wyszeptał Jason odwinąwszy go.

A czemuż to pan Jason bierze ze sobą tego chłystka? Czemu nie - Betty z trudem powstrzymywała się od ziewania - kogoś takiego jak pan O'Shea?

- Niech cię o to głowa nie boli - odparła Bernice. Było już późno; przed chwilą nakazała podwładnym, by położyli się wreszcie spać. Wcześniej, pełni niepokoju, patrzyli z okien, jak Jason odjeżdża w mrok, zabierając ze sobą Królową Morza i, o dziwo, Rene.

Właśnie, dlaczego Rene? - dziwiła się Bernice. Ostatnio była kłębkim nerwów. Nawet nie miała się przed kim do tego przyznać.

- Zamiast tyle myśleć - odezwała się ostrym tonem - lepiej pomodliłabyś się o bezpieczny powrót *madame* i maleństwa.

- Dobrze, proszę pani - odparła Betty, pokorniejąc na myśl o tym, że pani i dzieciątko są w szponach tych diabłów z zagranicy.

- No, idź już, nie ociągaj się - powiedziała Bernice. - Ani się obejrzysz, jak będzie świt. Potem zaśniesz mi nad tymi srebrami, które trzeba wypolerować.

Pokojówka dygnęła posłusznie i wbiegła na schody dla służby. Bernice też zamierzała pójść do swojego pokoju, ale zanim zdążyła zrobić choćby krok, usłyszała znajomy głos.

- A ty znowu swoje, kobieto? - spytał Prentiss. - Jeszcze trochę i będę musiał zmienić zamek w szafce ze srebrami.

Bernice zwróciła się twarzą do lokaja i uśmiechnęła się aż na zbyt słodko. Już dziesiątki razy zarzekał się, że zmieni ten zamek.

- Skoro tak lubisz podsłuchiwać, Joshuo Prentiss, może mi powiesz, dlaczego Jason wziął Rene ze sobą na to spotkanie?

wadzał ją do szafu. - Pan Jason miał przyjechać sam, zgadza się? Nie sądzisz, że gdyby wziął ze sobą kogoś dorosłego, od razu by to zauważyli? Ale taki zwyczajny chłopaczyna przebrany za żebraka...

- Co z tego? Nie powiem, wtedy w stajni pokazał, że ma głowę na karku, ale to jeszcze dzieciak! Cóż on poradzi, jeśli Jasona spotka coś złego na tym statku?

- Pan Jason nie zabiera go ze sobą na statek. Rene zostanie na brzegu i będzie pilnował wisiorka.

-I co potem? A jeśli ci ludzie zechcą zobaczyć klejnot? Wtedy Jasona też wezmą na zakładnika czy co? A może gwizdnie na palcach i Rene wpław dopłygnie do statku?

Lokaj westchnął ciężko.

- Czyżbyś wątpiła, że pan Jason wie, co robi?

- A tam! Przecież to tylko mężczyzna.

Rozległo się następne westchnienie.

- Pan Jason, jak się domyślam - powiedział Prentiss tonem cierpliwego nauczyciela - zamierza sprowadzić panią Gabrielle i dziecko na brzeg, kiedy poprowadzi tych Francuzików do klejnotu. A do tego czasu władze...

- Władze? Toż to banda nieudaczników! Mówię ci, to mi się nie podoba.

- Oj, kobieto, tobie nie podoba się nic, czego sama nie wymyślisz.

- Jeszcze raz powiesz do mnie „kobietto”, a słowo daję... *Merde!* - Zaciskając pięści, Bernice wyrzuciła z ust potok francuskich przekleństw, które nawet na żołnierzu zrobiłyby wrażenie. Przeszyła Prentissa gniewnym spojrzeniem, pewna, że ten uprzykrzony nicpoń nie rozumie jej słów. Dlatego właśnie jego reakcja wzbudziła w niej najwyższe zdumienie. - No i czemu szczerzysz zębiska, idioto? - spytała.

Prentiss, nie mogąc się już powstrzymać, wybuchnął śmiechem. Nadeszła chwila, na którą tak długo czekał. Piękna wojowniczką nie poprzestała na skalaniu jego uszu potokiem wyzwisk; swoją tyradę zakończyła stanowczym stwierdzeniem. Nieświadoma, że ją rozumie, powiedziała, że gdyby nie to, że go kocha, już dawno urwałaby mu głowę!

- Joshuo Prentiss, ty ryczący ośle! - Bernice oparła pięści na biodrach, wytracona z równowagi jego radosnym śmiechem. - Jeśli nie przestaniesz w tej chwili, to...

- To co? - spytał uśmiechnięty szeroko. - Zabijesz mnie?

- Zabiję to za mało powiedziane, ja... *mon Dieul* - Zamarła patrząc na niego niepewnie. Nie, on nie mógł zrozumieć. Przecież mówiłam po francusku!

Joshua nadal szczyrzył zęby w uśmiechu.

- Ale jeśli mnie zabijesz, moja ty kochana wojowniczo, nie będę mógł odwzajemnić twojej miłości!

Bernice zamknęła oczy i jęknęła. Powiedział te słowa po francusku! I to bezbłędnie!

Wyczuła, że Prentiss podchodzi do niej, i po chwili znalazła się w jego objęciach. Najpierw próbowała mu się opierać, po czym znowu jęknęła, tym razem ciszej i z westchnieniem uległa.

- Wiesz, jak długo czekałem, żeby ci powiedzieć - szepnął, z twarzą schowaną w jej włosach - w twoim pięknym języku, co do ciebie czuję? *Je t'aime, ma belle Bernice... je t'aime.*

Nazwała go szubrawcem, nikczemnikiem, cwaniakiem. Ale nawet nie drgnęła, gdy przycisnął ją do siebie, obsypując jej czoło pocałunkami.

- Tak, moje serce - zgodził się chichocząc. - Taki właśnie jestem.

Kiedy cofnęła się o krok, by spojrzeć na niego, z jej piersi wyrwał się szloch.

- Ja też cię kocham, ty utrapieńcu... *je t'aime, je t'aime!*

- Wiem, *ma belle* - powiedział łagodnym tonem. Delikatnie otarł łzę, spływającą po brązowym aksamitnym policzku Bernice. - A skoro już to przyznałaś, zawsze będę przy tobie.

Spróbowała zdobyć się na uśmiech. Czyż nie marzyła o chwili, kiedy usłyszy od niego właśnie te słowa? Mimo to jej oczy wypełniły się łzami.

- Och, Joshua - szepnęła - tak się boję!

Przygarnął Bernice mocniej. Pochmurniejąc, pogładził ją po plecach.

- Wiem, moja wojowniczo - szepnął ponuro - wiem...

Dwaj francuscy marynarze wiosłowali pracowicie, kierując łódkę ku *Egalite*. Myśli Jasona, siedzącego między nimi, były rów-



nie ponure jak jego mina, mimo że do tej pory wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Rene był w bezpiecznym ukryciu w stajni za tawerną do której przybyli oddzielnie, z różnych kierunków. Na wypadek, gdyby stajenny miał wątpliwości, skąd taki obdartus wziął tak dobrego konia, Rene miał mówić, że pilnuje go dla jednego z klientów.

Jason pojawił się w stajni dokładnie dziesięć minut po chłopcu. Rzucił stajennemu jakąś monetę i kazał mu się zająć koniem. Następnie zostawił Rene, który miał w kieszeni Królową Morza, i wszedł do tawerny, zgodnie z instrukcjami w liście od Gabrielle. Ano, jak dotąd, wszystko szło jak po maśle.

Jednak kiedy z mgły wynurzył się ciemny pokład francuskiego statku, Jason zdał sobie sprawę, że najtrudniejsze dopiero przed nim. Od tej chwili żaden plan na nic się nie zda.

Dlaczego, na przykład, w tawernie czekali na niego ci dwaj marynarze? Owszem, wyglądało na to, że wiedzą, co robią. Nie zdziwił się, kiedy odebrali mu pistolety.

Ale czemu nie było z nimi Le Feu? Czy to rzeczywiście Le Feu stał za tym wszystkim? Może był tylko pionkiem, jak mówiła Gabrielle? O Boże - Gabrielle! Gdzie ją trzymają? Czy jej i dziecku nic się nie stało? Chryste, tak wiele pytań!

Z mgły dobiegły gardłowe głosy ludzi mówiących w surowym języku francuskiej ulicy. Ostre wezwanie wartownika... szybko wypowiedziane hasło... i opadająca drabinka sznurowa. Jason wiedział, że wkrótce pozna wszystkie odpowiedzi.

Ospowata twarz Le Feu, który poprowadził go ku nadbudowce na rufie, nie wyrażała żadnych uczuć. Jason też starał się niczego po sobie nie okazywać, choć ciężko mu było ukryć ulgę, że nie przeszukali go dokładnie. Za cholewą buta miał ukryty nóż, który dostał od Conora. Ten sam nóż, którym Irlandczyk nauczył się posługiwać ze śmiertelną precyzją, gdy był jeszcze chłopcem, usiłującym przeżyć w nękaniej nędzą Irlandii. Nóż, którym za namową przyjaciela i Jason nauczył się władać.

-To tutaj - mruknął Francuz, otwierając drzwi do przestronnej kajuty, prawdopodobnie zajmowanej przez kapitana, po czym bezceremonialnie wepchnął go do środka. Drzwi zamknęły się.

- Jason...? - Gabrielle niepewnie podniosła się z podłogi i nie dowierzając własnemu szczęściu, podeszła do męża.

Z wrażenia Jason przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

- Dzięki Bogu... Jason... Nie mogąc powstrzymać łez, padła mu w ramiona.

Z trudem wydusił przez ściśnięte gardło jej imię i przytulił ją mocno. Nie był już w stanie zapanować nad uczuciami.

- Gabrielle... - mruknął drżącym głosem - Gabrielle, ach, skarbie, nie płacz. Jestem tutaj i kocham cię, i wszystko będzie dobrze...

Ze stłumionym okrzykiem, Gabrielle zaczęła wrywać się z jego ramion, tak energicznie, że musiał ją puścić.

- Kochanie, co...

Z jej ust wypłynął strumień nieskładnych słów.

- Co powiedziałaś? To znaczy, po tym, jak mówiłeś, żebym nie płakała, ale muszę... och, na Boga, powiedz to jeszcze raz, Jason, bo, wiesz, chyba cię źle zrozumiałam, ale może zrozumiałam, a jeśli nawet, to muszę to jeszcze raz usłyszeć, chyba umrę, jeśli to było złudzeniem i...

Ich spojrzenia się zbiegły. Gabrielle brakowało już tchu, ale nie mogła przestać mówić. Łzy płynęły obficie po jej policzkach. Wiedziała, że oczy mówią to samo, co jej serce, ale nie miało to dla niej znaczenia. Myślała tylko o tym, że go kocha i być może już nigdy nie będzie miała okazji mu tego powiedzieć, a jeśli ja-kimś cudem on też...

- Ciii. - Jason położył jej palec na ustach. - Kocham cię, ma-leńka. - Uśmiechnął się ciepło. - Nie wiedziałaś? - Ujął jej twarz w dłonie i kciukami delikatnie otarł policzki z łez. - Muszę przyznać - ciągnął, gdy patrzyła na niego, nie mogąc wydobyć z siebie słowa - że na początku pociągało mnie tylko twoje słodkie ciało. Moje serce zapewne obudziło się wcześniej, niż ta prawda przeniknęła do moich myśli. Ale przysięgam, Gabrielle, przysięgam na moją duszę! Kocham cię.

Drżała na całym ciele, ale nie mogła się ruszyć, a słowa uwięzły jej w gardle. „Ciało, serce, myśli i dusza"... słowa Bernice miały się po jej głowie. Wreszcie zrozumiała, co się stało, i padła mu w objęcia.

- Jason - załkała - och, Jason, ko...

- Jakież to wzruszające.

Natychmiast oderwali się od siebie i zwrócili spojrzenia ku drzwiom. Na twarzy człowieka, który wszedł do kajuty, malował się drwiący uśmiech.

- D'Albret... - wycodziła Gabrielle przez zaciśnięte zęby.  
- Muszę przyznać, moja droga Gabrielle - ciągnął Antoine, jakby jej nie usłyszał - że nie spodziewałem się po tobie takiego zachowania. Wygląda na to, że Amerykaninowi jakoś udało się rozmrozić lód w twoich żyłach.

Jason poczuł, że Gabrielle zeszywniała, ale wszystko docierało do niego jakby z dużej odległości. Nie ruszył się z miejsca, nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Patrzył tylko na mężczyznę z wąsami, który najspokojniej w świecie przemierzył kajutę.

Ani wąsy, ani upływ lat nie zatarły różnicy. Jason rozpoznałby tę twarz na końcu świata. Nawiedzała go w snach od dzieciństwa. Twarz z koszmaru, czarne, jak dobrze znane oczy... te same, które każdego ranka, przy goleniu, patrzyły na niego szyderczo z lustra. Twarz człowieka, który odebrał mu matkę.

Twarz jego ojca.

Mroczne, gniewne myśli Jasona przeciął cichy okrzyk. Oderwawszy wzrok od d'Albreta, zobaczył, że Gabrielle sięga po koszyk stojący na stole.

- Zaraz, zaraz - powstrzymał ją d'Albret spokojnym głosem, w którym jednak brzmiała wyraźna groźba. Wyrwał jej koszyk z rąk i postawił go na podłodze.

- *Non!* - Gabrielle wyciągnęła rękę, ale Francuz chwycił ją za ramię.

- Puść ją, bo cię zabiję - powiedział zimno Jason. W jego uniesionej dłoni spoczywał nóż, przygotowany do rzutu.

- Proszę, czyli szczeniak coś jednak po mnie ma. Poza tym, co widzę w lustrze. - D'Albret uśmiechał się cynicznie, ale jego spojrzenie było śmiertelnie poważne. - Chociaż tak sobie myślę... - dodał, nie puszczając ramienia Gabrielle. Nagle jego głos stał się ostry. - A jeśli trafisz ją zamiast mnie, Trace? Jesteś gotów zaryzykować? Ja bym się nawet nie zawahał, ale ty?

- Spróbuj, to zobaczysz. - Jason mówił głosem znizowanym niemal do szeptu.

Gabrielle spoglądała ze zdumieniem to na jednego, to na drugiego, ale mąż nawet jej nie widział. W tej chwili liczył się tylko człowiek, który zniszczył mu dzieciństwo, a teraz zagrażał wszystkim, co nadawało sens jego dorosłemu życiu.

D'Albret zaśmiał się złowrogo, ale puścił Gabrielle. Z okrzykiem ulgi, rzuciła się w stronę koszyka.

- Gabrielle, nie!

Ostrzeżenie Jasona nadeszło za późno. Gdy pochyliła się nad dzieckiem, d'Albret objął ją w talii i zasłonił się nią jak tarczą. W tej samej chwili jego dłoń powędrowała do buta. Okrzyk Gabrielle przerodził się w cichy jęk, kiedy poczuła na gardle ostrze sztyletu.

- A teraz, mój ty synu marnotrawny - powiedział Antoine jadowitym tonem - zobaczymy, jak wiele jesteś gotów zaryzykować. Rzuć nóż!

- Jason... - wyjąkała Gabrielle, gdy nóż stuknął o podłogę. - Syn? - Kiedy mówiła, ostrze sztyletu kłuło ją w podbródek, ale się nie poddała. Musiała się dowiedzieć, co niedobrego wisi w powietrzu między tymi dwoma ludźmi. - O czym on mówi?

D'Albret zaśmiał się cicho.

- Powiesz jej czy ja mam to zrobić? - spytał.

Jason tylko spojrzał na Francuza i zacisnął usta. Antoine wzruszył ramionami, odsuwając ostrze sztyletu od gardła Gabrielle nie więcej niż o cal. Odetchnęła z ulgą.

D'Albret parsknął śmiechem, wyraźnie z siebie zadowolony.

- Matka twojego męża - choć mówił do Gabrielle, jego oczy utkwione były w oczach Jasona - była moją dziwką. Ignorując okrzyk Gabrielle, mówił dalej, rozłoszczony brakiem reakcji ze strony Jasona. - Innymi słowy, moja droga, to moje nasienie nosiła w swoim łonie Juliette Sancerre, kiedy poślubiła Alexandra Trace'a i przybyła z nim w te strony. Widzisz, ja nie miałem zamiaru się z nią żenić. Tak naprawdę myślałem, że mam już Juliette z głowy, choć, trzeba przyznać, była całkiem, całkiem. Pochodziła z dobrego domu, ale co z tego, skoro wszystko dziedziczył jej brat? Poza małym posagiem, który, że tak powiem, nie zaspokajał moich potrzeb. Bo już wtedy miałem pewne plany.

Ciągnął swoją opowieść, delektując się każdym słowem.

- Widzisz, byłem bez grosza. Owszem, miałem jakie takie wykształcenie, ale poza tym musiałem liczyć tylko na swój osobisty urok. Żeby osiągnąć to, co zamierzałem, potrzebowałem pieniędzy, mnóstwo pieniędzy. Na co mi zubożała żona z rozwrzeszczanym bachorem? - Ale się okazało, że popełniłem błąd, zostawia-

jąc Juliette. Kilka lat po jej wyjeździe z kraju dowiedziałem się, że jej rodzice zginęli w wypadku. Ich powóz się wywrócił czy coś takiego... A wkrótce potem jej brata, będącego jedynym żyjącym krewnym, zmogła śmiertelna choroba. Nie ożenił się, nie miał dzieci. Poszedłem się z nim zobaczyć. Powiedziałem mu o dziecku jego siostry, moim dziecku. Powiedziałem też, że mąż Juliette umarł i teraz biedaczka musi sama, w trudzie i znoju, wychowywać dziecko na obcej, dzikiej ziemi. Wreszcie go przekonałem, kiedy już leżał na łożu śmierci, żeby sporządził nowy testament, w którym zapisał wszystko Juliette. Miała dysponować całym majątkiem, dopóki dzieciak nie dorośnie. Pod jednym wszak warunkiem: musiała wrócić do Francji... i wyjść za mnie.

- Przecież Juliette nie była wdową! - krzyknęła Gabrielle.

Antoine parsknął złośliwym śmiechem.

- Owszem, ale jej brat tego nie wiedział. A skąd sądy miały wiedzieć, że jego mały siostrzeniec wcale nie umarł, zanim Juliette wróciła do Francji u boku świeżo poślubionego męża?

- Ożeniłeś się z nią? - W głosie Gabrielle brzmiało zdumienie.

I tym razem się roześmiał.

- Poślubiłem ją na pokładzie statku, którym wróciliśmy do Francji.

- Ale... ale to znaczyłoby, że ona popełniła...

- Bigamię? Oczywiście. Ale naprawdę świetnie to rozegrałem. W tamtym czasie miałem już dość szerokie znajomości. Bez większych kłopotów załatwiłem w koloniach fałszywe akty zgonu. Ten, który pokazałem jej bratu i wynajętym przez niego prawnikom, potwierdzał, że Juliette jest wdową. Natomiast ten, który przedstawiliśmy sądowi, dowodził, że moja żona nie ma dzieci. Prosta sprawa. A przez to, w jaki sposób sformułowany został testament, cała fortuna rodu Sancerre, wyjąwszy, oczywiście, pośledni tytuł nieboszczyka, przeszła na jego jedyną żyjącą krewną... i jej męża.

- Co potem się z nią stało? - Były to pierwsze słowa, które wyszły z ust Jasona od chwili, kiedy groził d'Albretowi. Jego głos był całkowicie pozbawiony uczuć.

Francuz przeszył go zimnym spojrzeniem.

- Miała pecha. Znowu zaszła w ciążę. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście, bachora spłodziłem ja. Juliette była we mnie

zadurzona i nawet nie patrzyła na innych mężczyzn. Dlatego właśnie nie wszystko poszło tak dobrze; była gotowa spełnić każde moje życzenie. - D'Albret skrzywił usta w pogardliwym uśmiechu. - Ale akurat bachora sobie nie życzyłem. Wszystko już zaczynało się układać po mojej myśli. Dzięki pieniądзом Juliette dwór królewski stał dla mnie otworem. Miałem wpływową kochankę, która była strasznie zazdrosna. Wmówiłem jej więc, że nigdy nie dzieliłem łóża z moją żoną. Gdyby nagle się rozeszło, że Juliette spodziewa się dziecka, miałbym kłopoty.

Gabrielle syknęła ze złością. D'Albret, nie przejmując się tym, ciągnął swoją opowieść.

- Dlatego kazałem jej pozbyć się dzieciaka. Poszła do kogoś, kto ponoć znał się na takich rzeczach. - Znowu wzruszył ramionami. - No i umarła.

- Potwór - wyszeptała Gabrielle.

Jason milczał.

- Tak myślisz? - spytał d'Albret, bynajmniej nie przejęty. - Gabrielle, twoja matka nie zgodziłaby się z tobą.

- Moja matka nie mogła wiedzieć, co zrobięś! Nie wiedziała, kim jesteś. Dałabym sobie głowę uciąć, że tak było.

Zaśmiał się nieprzyjemnie. Gabrielle poczuła, że ciarki przechodzą jej po plecach.

-Wszystko w swoim czasie, obywatelko. Komitet Bezpieczeństwa Publicznego uznał cię za wroga ludu francuskiego... *in absentia*, oczywiście.

Usłyszawszy gniewny pomruk Jasona, d'Albret spojrział na niego zimno.

- Szafir - rzucił. - Dawaj go! Już!

- Żebyś mógł zabrać moją żonę na szafot? - wycedził Jason. - Na to nie pozwolę.

- Harde słowa. - D'Albret odczuł sporą satysfakcję, widząc odrazę, jaka błysnęła w oczach Jasona, kiedy nazwał go „synem”.

- Wiem, że nie wypowiedziałbyś ich - ciągnął - gdybyś miał wiśiok przy sobie. Gdzie on jest?

Gabrielle z bijącym sercem czekała na odpowiedź męża. Nie mieli wiśiorka i teraz d'Albret się o tym dowi!e!

- Bezpiecznie ukryty na brzegu - powiedział Jason. Nie patrzył jednak na Francuza. Jego oczy podążyły za pełnym bólu

spojrzeniem Gabrielle i spoczęły na koszyku stojącym u jej stóp. Boże jedyny, dziecko! Ogarnięty nienawiścią do d'Albreta, nawet nie pomyślał o tym, co jest w koszyku.

Antoine zaklął siarczyście po francusku. Zauważył, na co Jason patrzy.

- Wiele ryzykowałeś, Trace - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Miałeś przynieść klejnot ze sobą!

Jason uśmiechnął się ponuro, co rozżłościło Francuza jeszcze bardziej.

- No dobrze - mruknął d'Albert po chwili. - Wygląda na to, że będziemy musieli się jakoś dogadać.

- W zamian za wisiolek uwolnisz moją rodzinę i mnie. Na nic innego się nie zgodzę - rzekł Jason beznamiętnym tonem.

D'Albret prychnął.

- Uważasz mnie za głupca? Skąd mam wiedzieć, czy naprawdę znalazłeś ten klejnot, co? Już raz mnie oszukałeś. Czemu niby...

Urwał w pół zdania i spojrzał na Gabrielle.

- Właściwie - odezwał się po chwili - puls twojej żoneczki bije tak gwałtownie... może wcale ci nie powiedziała, gdzie naprawdę jest Królowa? Może w tym wazonie, do którego w swoim liściku kazała ci zajrzeć, nic nie było.

Jason doskonale wiedział, że nic tam nie było; Gabrielle, przyciśnięta do muru, wymyśliła tę kryjówkę. Teraz, kiedy widział strach czający się w jej oczach, chciał jakoś dać jej do zrozumienia, że znalazł Królową.

- Wiesz, jak wygląda ten wisiolek? - spytał d'Albreta.

- Oczywiście. Louise często go nosiła.

- Uwierzysz mi, jeśli ci go opiszę?

Gabrielle drgnęła. Serce waliło jej jak młot. Jaką grę prowadził jej mąż? Przecież nie widział wisiora na oczy!

D'Albret zauważył jej reakcję i uśmiechnął się złośliwie.

- Coś mi się widzi, że twoja żoneczka powątpiewa, czy aby jesteś w stanie. Zresztą ja też. No, ale jeśli chcesz spróbować, proszę bardzo.

Jason uśmiechnął się do Gabrielle, próbując dodać jej otuchy.

- Owalny szafir wielkości gołębiego jaja... błękitny, otoczony dwoma rzędami idealnie dopasowanych brylantów wielkości dużych ziaren grochu. Wszystko to osadzone jest w ciężkim złotym...

- Dosyć! - rzucił d'Albret. Nie mógł widzieć zdumienia, ja kie odmalowało się na twarzy Gabrielle. - Widocznie strach twojej żony ma związek... z czym innym. - Spojrzył znacząco na nie mowę śpiące w koszyku. - No dobrze, Trace, wychodzi na to, że rzeczywiście znalazłeś klejnot. Teraz to ja mam propozycję dla ciebie: życie twoje i twojego dzieciaka w zamian za Królową.

- Nie zapominaj o mojej żonie, d'Albret. - Głos Jasona był zimny jak stal.

- To niemożliwe. Gilotyna już na nią czeka.

Jason prychnął pogardliwie.

Gabrielle zdecydowała się przerwać milczenie.

- Jason, kochanie, posłuchaj. Ja... nie boję się śmierci. Jeśli.

- Nie! - Tym razem w głosie jej męża dawało się wyczuć strach. Gabrielle, myślisz, że dopuszczę do tego, żebyś poświęciła się dla.

- Dla ciebie i Alexandry, Jason! Och, ukochany, nie patrz tak na mnie...

W czasie ich rozmowy d'Albret opuścił nieco rękę, w której trzymał sztylet. Gabrielle pochyliła się w stronę męża, przemawiając mu do rozsądku. Antoine nie zamierzał jej w tym przeszkadzać.

To był błąd.

Alexandra obudziła się nagle. Kajutę wypełnił jej głośny krzyk Gabrielle, bez zastanowienia, schyliła się po dziecko.

Może to instynkt macierzyński wzmógł jej siły; może d'Albret był po prostu zaskoczony; a może jedno i drugie. W każdym razie Gabrielle wyrwała się z rąk Francuza, pochyliła się nad kozykiem - i Jason w tym upatrzył swoją szansę.

Z cichym, gniewnym pomrukiem rzucił się na swojego starego wroga - człowieka, który go spłodził - po czym zdecydowanym ruchem ręki złapał go za podbródek i odchylił mu głowę do tyłu. D'Albret, zaskoczony, nie zdążył zareagować. W tej samej chwili druga dłoń Jasona zacisnęła się niczym stalowa obręcz nadgarstku ręki, w której Francuz trzymał sztylet.

Gabrielle krzyknęła i zaśloniła córeczkę własnym ciałem. Tymczasem d'Albret, otrząsnąwszy się z zaskoczenia, podniósł zacisniętą pięść. Jednak, z głową odchyloną do tyłu, nie widział przeciwnika; zamiast uderzyć w szczękę, drasnął go tylko niegroźnie w policzek.



Z okrzykiem wściekłości Jason puścił podbródek d'Albreta. Francuz zaklął siarczyście, gdy oba jego nadgarstki znalazły się w miażdżącym uścisku.

Teraz wszystko zależało już tylko od wytrzymałości i siły. Syn i ojciec byli godnymi siebie przeciwnikami. Pot wystąpił na dwie, jakże podobne do siebie twarze. D'Albret usiłował wyrwać z uścisku dłoń, w której trzymał sztylet, a Jason robił wszystko, by to mu się nie udało.

Wkrótce jednak różnica lat dała o sobie znać. Powoli, ale nieuchronnie, dłoń ściskająca sztylet zaczęła opadać.

Gabrielle odsunęła koszyk jak najdalej od walczących mężczyzn. Zdawała sobie sprawę, że sztylet niedługo wysunie się z dłoni d'Albreta. Ale co wtedy? D'Albret nie zamierzał sprzedać skóry tanio. Czy w chwili, kiedy straci broń, rzuci się na Jasona? I dalej będą walczyć, zagrażając dziecku?

Rozglądając się rozpaczliwie, dostrzegła na podłodze nóż Jasona. Gdyby tylko udało jej się go dosięgnąć...

Palce d'Albreta powoli rozwarły się i sztylet spadł na podłogę. Jason odruchowo zerknął w dół; wykorzystując jego chwilę nieuwagi, Antoine rzucił się do przodu z pochyłą głową.

Jason zauważył to w ostatniej chwili. Błyskawicznie puścił nadgarstki d'Albreta i obrócił się w bok. Dzięki temu uniknął ciosu w szyję, ale, trafiony w ramię, zatoczył się do tyłu. Odzyskawszy równowagę, skoczył d'Albretowi do gardła, ale Francuz był szybszy. Razem runęli na podłogę; jednak d'Albret przygniótł Jasona swoim ciężarem.

Palce Gabrielle zacisnęły się na rękojeści noża Jasona. Słyszając krzyki Alexandry, popatrywała niepewnie to na koszyk, to na walczących mężczyzn. Spojrzała na nóż. Boże, cóż jej przychodzi do głowy? Nigdy nawet nie kroїła mięsa na pieczeń! Na samą myśl o wbijaniu noża w żywe ciało, nawet człowieka tak nieprawego jak d'Albret, żołądek podszedł jej do gardła.

Dwaj mężczyźni wściekle się ze sobą zmagali; jeden i drugi na zmianę uzyskiwali i tracili przewagę. Wyglądało na to, że Francuz próbuje się zbliżyć do...

Nagle mocno kopnął koszyk, w którym leżała jej córka. Z pierśi Gabrielle wyrwał się okrzyk gniewu. Z zewnątrz kajuty, dobiegł czystszy głos. Gabrielle miała wrażenie, że słyszy chrobot klu-

cza w zamku. Zaraz potem jednak rozległ się krzyk Alexandry; d'Albret znowu trafił koszyk nogą.

- Łajdak! - krzyknęła Gabrielle w gniewie, po czym rzuciła się na d'Albreta z nożem. W tej samej chwili drzwi rozwarły się na oścież. Krzyki Alexandry na chwilę zagłuszył donośny huk. Nim pałacy ból przeszył Gabrielle, zdołała jeszcze wbić nóż w plecy znieawidzonego człowieka.

D'Albret zeszywniał i padł bez życia, przygniatając Jasona do podłogi. W tym samym momencie rozległ się huk wystrzału i okrzyk bólu kobiety.

- Gabrielle! - krzyknął Jason.

Wszystko, co stało się potem, trwało nie dłużej niż kilka sekund. Jason wygramolił się spod ciała d'Albreta i spojrzął z przerażeniem na Gabrielle leżącą bez życia na podłodze. Le Feu zaklął głośno, uniósł drugi pistolet i wymierzył prosto w serce Amerykanina, ale nie zdążył pociągnąć za spust. Trafiony nożem Conora O'Shea, osunął się na podłogę.

- Gabrielle! - powtórzył Jason i rzucił się do żony. Na zewnątrz rozległy się głośne okrzyki i przekleństwa. - Boże jedyny, nie!

Conor, czując dziwną bezsilność, ogarnął spojrzeniem wnętrze kajuty: martwi Francuzi... Gabrielle na podłodze, w kałuży krwi... ból na twarzy Jasona. Modląc się po celtycku, podszedł do koszyka i wziął na ręce dziecko, które miało być jego chrześniakiem. Zanucił jakąś piosenkę, by uspokoić maleństwo; jednocześnie patrzył z niepokojem na drobne ciało spoczywające w ramionach Jasona.

Kiedy Alexandra wreszcie przestała płakać, Irlandczyk ukląkł przy przyjacielu i Gabrielle.

- Jason... - zaczął niepewnie. Słowa nie chciały mu przejść przez gardło. - Czy ona...

Jason przyciskał do ramienia żony kawałek materiału odewany z jej halki.

- Żyje... żyje - wydusił - ale kula weszła głęboko i... - Przełknął ślinę. - Ona... ona próbowała nas uratować, Conor! - wyszeptał. - Dziecko... dziecko i mnie. Boże, Boże... Gabrielle, nie umieraj!

- Oczywiście, że nie... umrę.

Gabrielle słyszała jakieś dziwne, stłumione dźwięki... jak szloch mężczyzny. Otworzyła oczy. Boże, co za ból!

Westchnąwszy, ponownie zamknęła oczy, zbierając siły.

- Conor... - szepnęła z najwyższym trudem - czy... czy jej nie się nie stało?

- Jest cała i zdrowa, sikorko - odparł przez łyzy. - A ja tymczasem skoczę po lekarza.

- Gabrielle, nie ruszaj się! - krzyknął Jason, gdy próbowała podnieść głowę.

Kiedy zobaczył ją w kałuży krwi, ogarnęło go straszliwe przerażenie. W pierwszej chwili myślał, że ukochana nie żyje. Niczego wtedy tak bardzo nie pragnął, jak umrzeć razem z nią. Ta myśl i teraz nie dawała mu spokoju. Rana Gabrielle wyglądała dość poważnie. Nigdy jeszcze nie zaznał takiego strachu, jak w tej chwili.

Ale nie mógł dopuścić, by wyczytała to w jego twarzy.

- Nie rób nic. Zaraz przyjdzie lekarz - powiedział, zmuszając się do zachowania spokoju.

Ból przesywający ramię i pierś Gabrielle był nie do zniesienia. Zmusiła się, by ponownie otworzyć oczy. Zaskoczyło ją to, jak wielkie cierpienie wyzierało z oczu Jasona. Nie wiedziała jednak, że to nic w porównaniu ze strachem, który usiłował ukryć.

- Ja nie... nie... umrę, Jason.

- Nie, o... - głos Jasona zadrżał - ...oczywiście, że nie, maleńka. Gabrielle zdobyła się na słaby uśmiech.

- Naprawdę. Jeśli... jeśli myślisz, że odejdę... - potrząsnęła głową, kiedy otworzył usta, żeby zaprotestować - ...kiedy... kiedy mam po co żyć... to nie wiesz, na co... na co stać... Francuzkę!

Słyszając, jak mocno podkreśliła ostatnie słowo, wspomniął swoje dawne zaślepienie. Pamiętał, jak w duchu obiecał sobie, że będzie robił wszystko, by Gabrielle go pokochała. A teraz...

Jason uśmiechnął się słabo, wstrzymując Izę.

- Tak się składa, że kocham tę Francuzkę nad życie - powiedział tonem pełnym wzruszenia.

- A ja kocham pewnego... *Americain* - wyszeptała Gabrielle i uśmiechnęła się, widząc zdumienie malujące się w jego oczach. - Tak, kocham cię, Jason. Ciałem... sercem... myślami... duszą.

Potem zamknęła oczy i wszystko zatoneło w ciemności.

Gabrielle podeszła na palcach do zwierciadła w głównej sypialni. Noc była ciepła, jak zawsze w maju. Przed kilkoma godzinami odbył się ślub Bernice i Joshuy Prentissów. Zaraz potem młoda para udała się w podróż poślubną do Filadelfii, a Gabrielle poszła nakarmić Alexandrę. W wielkim domu wreszcie zapadła cisza. Panował błogi, niczym nie zmacony spokój.

Gabrielle westchnęła cicho i zerknęła na wielkie łoże z baldachimem, po czym przejrzała się w zwierciadle. Miała ochotę zachichotać jak niesforna dziewczynka.

- Mój Boże, Jason, jestem taka rozpustna!

- To świetnie - stwierdził jej mąż leżący w łożu. - Chcę, żebyś właśnie taka była. A teraz chodź tu, maleńka, to pokażę ci, jak rozpustni możemy być we dwoje.

Kiedy zwróciła się twarzą do niego, ogarnęła ją niepewność. Od tamtego feralnego dnia, kiedy została ranna, minęły trzy miesiące. Trzy długie miesiące, spędzone głównie w łożu. Rana pod ramieniem zagoiła się, pozostawiając czerwoną pomarszczoną bliznę.

Ostatni raz kochali się z Jasonem ponad trzy miesiące temu.

Było to jeszcze przed narodzinami Alexandry. Teraz mieli zrobić to po raz pierwszy od tamtego czasu; nie dlatego jednak czuła się niepewnie. Bała się, czy nadal będzie podobać się Jasonowi... skoro na jej ciele, które kiedyś nazwał „doskonałym”, pojawiła się tak szpetna skaza.

Patrząc mu w oczy, spróbowała przywołać na usta uśmiech. Jason leżał niedbale w łożu, oparty na łokciu, odziany tylko w szlafrok, który miał na sobie w noc poślubną. Ona ubrana była jeszcze bardziej skapo: w jej włosach, zaczesanych na ramię, by

zasłonić bliznę, tkwiła biała róża, a na szyi wisiał wysadzany brylantami wisiorek. Nie miała na sobie nic poza tym.

Przed przyjęciem weselnym Jason przekazał jej liścik, w którym zapewnił, że będzie tu na nią czekał. Do owego listu dołączył białą różę i wiersz, który Gabrielle знаła już na pamięć:

*Przez trzy miesiące, kochana, jak w piekle żyłem,  
Bo, jak wiesz, cierpliwością nigdy nie grzeszyłem,  
Ale cierpliwie czekam -by w łożu lec przy Tobie.  
Dlatego nie zwlekaj, przyjdź do mnie, miła,  
By nasza miłość wreszcie się spełniła.  
A do naszego małżeńskiego łoża  
Przystrój się w tę oto różę  
I Królową Morza.*

- Gabrielle? - spytał Jason łagodnym tonem. - Co się stało, kochanie?

-Ja... - Zrobiła parę kroków w stronę łoża, po czym się zawałała. - Nic takiego, ja...

- Diabła tam, nic takiego! - krzyknął zrywając się z łoża. - Powiedz mi, skarbie - mruknął, delikatnie podnosząc jej podbródek. Spojrzał jej głęboko w oczy.

Gabrielle z trudem przełknęła ślinę, przeklinając się w duchu za tchórzostwo. Nie wątpiła, że Jason ją kocha. Od tamtej strasznej nocy na francuskim statku niemal nie odstępował jej na krok. Co więcej, dowiedziała się od Conora, że przez dwa dni, kiedy jej życie wisiało na włosku, nie jadł ani nie spał; czuwał przy jej łożu, dopóki nie nabrał pewności, że będzie żyła.

Tak, kochał ją, a ona jego... ciałem, sercem, w myślach i duszy. Co za ironia losu! W pierwszych dniach ich burzliwego związku wiedziała jedynie to, że Jason pała do niej żądzą cielesną; wtedy jednak ona pragnęła czegoś więcej, choć czasem wydawało się to beznadziejne. A teraz... teraz bała się, że jej ciało nie wzbudzi w nim pożądania.

- Tak, ironia losu.

- Co jest ironią losu? - Na twarzy Jasona malowało się zdumienie. Dopiero kiedy zadał to pytanie, uzmysłowiła sobie, że coś powiedziała.

Westchnawszy ciężko, Gabrielle zebrała odwagę i zaczęła opowiadać mu, z trudem dobierając słowa, o swoim niepokoju. Unikając jego spojrzenia, nerwowo bawiła się różą, którą wplotła w kosmyki opadające jej na ramię.

- ...a ta blizna jest tak szpetna, Jason! - Kiedy kończyła mówić, po jej policzkach płynęły już łzy.

- Och, ty moja śliczna... - mruknął Jason, ujmując jej twarz w dłonie. - To nie wiesz jeszcze?

- Czego? - spytała przez łzy. Nazwał ją „śliczną”, uśmiechał się do niej ciepło, ale przecież nie widział jeszcze tej okropnej blizny!

- Tego, że miłość, jaką do ciebie czuję, to nie jakieś tam zwykłe zauroczenie - powiedział poważnym tonem. - Że zdobyłaś moją duszę, zawładnęłaś moim sercem i myślami dzięki pięknu, które jest w tobie - dodał, a na jego twarzy odmalowało się silne wzruszenie.

Uśmiechnęła się przez łzy. Już jakiś czas temu powtórzyła mu magiczne słowa Bernice, opowiedziała, jak nigdy nie przestała wierzyć, że kiedyś połączy ich prawdziwa, wszechogarniająca miłość. Do tej pory czuła na ustach słodki, długi pocałunek, którym Jason ją wtedy obdarzył, czuła na twarzy dotyk jego dłoni, drżących, gdy tak właśnie, bez słów, okazał jej, że owa prawdziwa miłość już ich łączy.

- To do ciebie podobne, Jasonie Trace - powiedziała pociągając nosem. - Zawsze musisz obrócić to, co powiem, przeciwko mnie.

Uniósł brew, ale nic nie powiedział. Nagle, bez ostrzeżenia, puścił ją, cofnął się o krok, po czym odgarnął jej włosy z ramienia.

Gabrielle zadrzała, ale nie ruszyła się z miejsca. Nie odezwała się ani słowem. Zmusiła się, żeby patrzeć, jak oczy Jasona wędrują po jej nagim ciele, by wreszcie spocząć na pomarszczonej skórze wokół blizny.

- Mój Boże... - wyszeptał i podniósł wzrok.

W jego oczach migotały łzy. Delikatnie, z namaszczeniem dotknął palcami czerwonej podrażnionej skóry.

- Jesteś niewiarygodnie piękna, Gabrielle - mruknął głosem drżącym ze wzruszenia. - Żadna kobieta nie dorówna ci pięknością. A właśnie to - ciągnął, nie odrywając palca od jej blizny - jest w tobie najpiękniejsze.

Ponownie spojrział jej w oczy, nie zważając na łzy płynące mu po twarzy.

- Wiesz dlaczego?

Potrząsnęła głową.

- Bo, moje serce - powiedział podniosłym tonem. - Ta blizna to dowód poświęcenia i honoru. Dla mnie jest nie tylko piękna, jest święta!

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, padł przed nią na kolana i przyciągnął ją do siebie, po czym pocałował ją z namaszczaniem w zabliznioną ranę.

- Jason... - wyszeptała i drżąc na całym ciele, objęła go ramionami i wtuliła policzek w jego włosy. - Boże, jak ja cię Kocham!

Jason wstał z klęczek, po czym przytulił Gabrielle i podniósł ją z podłogi. Następnie spojrział jej głęboko w oczy.

- Serce, myśli, dusza i ciało, Gabrielle - powiedział, a jego oczy zapłonęły namiętnością. - Wszystko to składa się na moją miłość, rozumiesz? I tak już zostanie, nawet kiedy się zestarzeję, a ty będziesz srebrnowłosym aniołem u mojego boku. Wtedy, tak jak teraz, będę cię kochał całym sobą!

Następnie pocałował ją, gwałtownie, a mimo to czule. Serce Gabrielle wypełniło się radością. Gdy oddała mu pocałunek, zakręciło jej się w głowie jak od wina. Przywarli do siebie, składając ciała, serca, myśli i dusze na ołtarzu ich związku.

Pocałunki jednak nie mogły wystarczyć. Jason wyczuwał przez cienki jedwab swojego szlafroka cudowne kształty ciała, z którego wdzięków tak długo nie mógł korzystać. Z cichym pomrukiem oderwał usta od ust Gabrielle i postawił ją na podłodze.

- Potrzebuję cię, Kochanie - powiedział chrapliwym głosem, patrząc jej w oczy. - Pragnę cię. - A ty pragniesz mnie - dodał z uśmiechem.

- Tak! - wydyszała Gabrielle. Czując między udami wilgotne ciepło, oparła dłonie o jego pierś, by utrzymać się na nogach.

Jego szlafrok stał się dla niej wybitnie niepożądaną przeszkodą. Mrucząc cicho, odsłoniła pierś męża. Jej spojrzenie powędrowało w dół, do kępki ciemnych, kręconych włosów; z jękiem pożądania przejechała mu paznokciami po sutkach.

Jason z sykiem wciągnął powietrze do ust i szybkim ruchem ręki uniósł jej głowę.

- Czarownica! - mruknął. Następnie, wpijając się w nią płomiennym spojrzeniem, zrzucił szlafrok i wziął ją na ręce, jeszcze zanim jedwab zdążył opaść na podłogę. Położywszy Gabrielle na łożu, cofnął się o krok i z uśmiechem na ustach ogarnął spojrzeniem jej ciało. - Tak piękna... - szepnął, podziwiając kształtne piersi, idealnie wykrojoną talię oraz gładkie, zgrabne nogi.

Jego spojrzenie powędrowało do klejnotu, który spoczywał między jej piersiami, połyskując błękitem w blasku świec.

- Za pierwszym razem, kiedy zobaczyłem ten szafir - powiedział chrapliwym głosem, patrząc jej w oczy - pomyślałem o tobie, Gabrielle. - Ukleknąwszy nad nią, dotknął klejnotu, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy. - Pomyślałem, że twoje oczy są tego samego koloru. Ale teraz wiem już, że się myliłem - wyszeptał, po czym położył się przy niej i przygarnął ją do siebie. - Twoje oczy są o wiele piękniejsze.

A potem zaczęli się kochać. Na początku Jason powoli, czule, pieścił ją, wsłuchując się w jej jęki rozkoszy, o których śnił przez długie miesiące. Jego ciało wręcz domagało się spełnienia, ale powstrzymywał żądzę, by ta chwila, gdy już nadejdzie, była dla nich obojga jak najcudowniejsza.

Wkrótce już Gabrielle leżała pod nim, wijąc się na wszystkie strony, a on z coraz większym trudem panował nad sobą. Ale jakoś mu się to udawało. Obsypawszy gorącymi, namiętными pocałunkami jej brzuch, przeniósł usta niżej, tam, gdzie kępka rudozłotych włosów skrywała małą fałdkę.

- Jason! - krzyknęła. - Oszaleję, jeśli nie...

Gdy jego usta wpiły się w nią, jej słowa przeszły w jęk. Łapiąc go za włosy, wygięła się pod nim z okrzykiem ekstazy. Po chwili krzyknęła raz jeszcze.

Dosyć już czekania. Jason, owładnięty pożądaniem, podniósł się na rękach i powoli w nią wszedł; w tej samej chwili przez ciało Gabrielle przeszedł kolejny spazm. Kiedy jej wilgotne ciepło otuliło go niczym rękawica, z jego gardła wydobył się chrapliwy krzyk.

- Gabrielle! - zawołał i zacisnął zęby, kiedy wstrząsnął nim pierwszy dreszcz. Potem był następny, i jeszcze jeden...

Połączyli się ze sobą w rozkoszy. Ich ciałami i duszami zawładnęła jedna zmysłowa namiętność. Wzniesli się ku rozległym, niepoznawalnym umyślnym przestrzeniom.



Skąd wiedziałeś o białej róży? - mruknęła Gabrielle, leżąc w ramionach Jasona.

Jej mąż właśnie przyciskał usta do jednego z płatków, który spoczął na jej ramieniu.

- Ach, biała róża. Miała jakiś związek z Marią Antoniną, prawda? - spytał, sięgając po coś, co leżało na szafce przy łożu.

- Z całą dynastią Burbonów - poprawiła go odruchowo, spoglądając na wymiętą kartkę w jego dłoni. - Ale była też ulubionym kwiatem *maman*. Co tam masz?

- Niespodzianka - powiedział i z uśmiechem podał jej kartkę. - Właściwie dałbym ci to już parę tygodni temu, ale tak się bałem o twoje zdrowie, że po prostu zapomniałem. Dopiero dziś wieczorem, kiedy poszedłem po Królową, przypomniało mi się, że wisiołek był w to zawinięty.

- Och, Jason - szepnęła, oglądając wymiętą kartkę. Jej oczy przesłoniła mgła. - To pismo *maman!*

- Zgadza się - powiedział z uśmiechem. - To list, który została dla swojej córki.

- Czy... czy mógłbyś mi go przeczytać? - spytała przez łzy. - Jakoś słabo widzę.

Jason przytulił ją do siebie i przycisnąwszy usta do jej skroni, zaczął czytać:

*Moja ukochana Gabrielle,*

*Gdy przeczytasz te słowa, zapewne mnie na tym świecie już nie będzie - ale tylko ciałem. Bo łączy nas więź, której nikt nigdy nie zerwie, i duchem zawsze będę z Tobą.*

*Nastały ciężkie czasy, ukochana, wiem o tym doskonale. Na wielki kataklizm. Jestem w zamku być może już po raz ostatni. Ty jesteś, ale, podobnie jak nasza przyjaciółka, królowa Maria Ani myślisz, że przybyliśmy tutaj, by odpocząć od życia w Wersalu. W chwili najważniejszej jest, by utrzymać wszystko w tajemnicy. D nawet tobie nie powiedziałam, że przyjechałam tu, by się spotkać z przyjaznym słuszarzem. Ten dobry człowiek pomógł mi schować się wewnątrz zacisku, tam, gdzie teraz ją znalazłaś. W Auxerre miałam też w spokoju ułożyć zagadkę, która cię do niej doprowadziła.*

*Weź pod uwagę słowa mojego skromnego wiersza, ukochana, że jeśli masz wisiołek w ręku, oznacza to, że nie mogłam podążyć*

*tobą. Nie zdradź się przed nikim! Nie ufaj nikomu! Może wyda ci się to dziwne, ale odnosi się to też do Antoine'a. Rozpalił w mojej duszy niebezpieczną - i godną wstydu - namiętność, ale nigdy mnie nie kochał. Antoine kocha tylko siebie.*

*Wykorzystaj wisiołek, żeby uciec z Francji. Nie zwlekaj! Myśl co będzie! Zapomnij, co było! Nie zapomnij tylko jednego: kocham moją córeczko, kocham Cię nad życie.*

*Maman*

*PS Gdyby napis na naszyjniku wprawił cię w zdumienie, pamiętaj, że papa był jedynym mężczyzną, którego naprawdę kochałaś i do tego nie musisz mieć żadnych wątpliwości.*

Gabrielle nie zareagowała. Jason trzymał ją w ramionach, bojąc się cokolwiek powiedzieć. Dopiero po dłuższej chwili odwróciła się i na niego spojrzała.

- Napis? Nie przypominam sobie...

- Spójrz. - Jason, wyjął wisiołek spod jej piersi i go odwrócił. -Widzisz? Jest tu dedykacja: „Mojej białej róży” i mała, wygrawerowana róża.

- Rzeczywiście - szepnęła Gabrielle ze zdziwieniem - nigdy nie oglądałam... - Zmrużyła oczy. - Jason, mógłbyś przynieść tu tę lampę?

Spełniwszy jej prośbę, przytrzymał lampę nad wisiorkiem.

- Jason! - wykrzyknęła po chwili Gabrielle.

-Tak?

- Jest tu coś jeszcze wygrawerowane pod różą!

- No i? - spytał Jason wesoło. - Powiesz mi, co to takiego, czy...

- Boże - wyszeptwała.

- Gabrielle...

Potrząsnęła głową ze zdumieniem.

- Są tu inicjały *maman* - powiedziała powoli - a obok nich inicjały „L. R.”, a dalej jest rzymska piętnastka... jak Louis Roi...

- Król Ludwik - Jason wszedł jej w słowo. - I rzymska piętnastka... dobry Boże! Czy to oznacza, że... że stary król podarował wisiołek twojej...

Urwał w pół zdania, słysząc śmiech Gabrielle.

- Chyba nie tylko wisiołek jej podarował, kochany - powiedziała, wciąż nie dowierając temu, co widziała na własne oczy.

Podstawiła tylną część wisiorka pod światło. - Pod tymi inicjałami jest data, Jason.

- Aha, widzę. *Seize Avril...* Boże jedyny! To twoje urodziny!

- Tak - skwitowała krótko, gdy Jason ze zdumioną miną spojrział jej w oczy.

- Ale... - Jego spojrzenie przeniosło się na wisiorek, po czym ponownie spoczęło na jej twarzy. - Czy twoja matka...

- Była kochanką starego króla? - Gabrielle wzruszyła ramionami. - To możliwe. Stary Ludwik ponoć przepadał za pięknymi kobietami. Słyszałam, że miał mnóstwo kochanek.

- Ale twój ojciec... eee... to znaczy...

- Tak. - Zachichotała. - Wiem, co próbujesz powiedzieć, *mon cher*. Nie martw się. Papa zawsze pozostanie moim ojcem, tak jak Alexander twoim.

Jason uśmiechnął się i skinął głową.

- Twoja matka kochała tylko jego - powiedział, wskazując gestem ręki list od Louise.

- Owszem - odparła, uśmiechając się smutno. - Ale papa był Francuzem i do wszystkiego miał praktyczne podejście. Skoro król zainteresował się *maman*, która do tego była w owym czasie najpiękniejszą kobietą w kraju...

Jason zamyślił się na chwilę. Owszem, on też był praktycznym człowiekiem, ale wiedział, że za żadne skarby świata nie oddałby żony innemu mężczyźnie.

- Nie martwi cię to? - spytał, ujmując ją za podbródek, by spojrzeć jej w twarz.

- Co? To, że być może jestem dzieckiem z nieprawego łoża?

- Tak.

Gabrielle na chwilę pogrążyła się w zadumie.

- Ty też jesteś nieślubnym dzieckiem, *mon cher* - powiedziała wreszcie. - I popatrz, wyrosłeś na ludzi.

Uniósł brew.

- To dlatego, że, dzięki Bogu, miałem Alexandra, Bernice i, przede wszystkim, moją żonę Francuzkę - dodał, po czym pocałował ją w czubek nosa.

- Jestem już Amerykanką - odparła Gabrielle z dumą w głosie. Spojrzawszy na wisiorek, uśmiechnęła się łobuzersko. - Ale pomyśl tylko, Jason! Dzieci dwojga tak uroczych nieślubnych ba-

chórów jak my dopiero będą musiały się namęczyć, żeby zachować rodzinną tradycję, co?

- Uchowaj Boże - jęknął Jason. Gdy dostrzegł błysk wesołości w jej oczach, wziął ją w ramiona i wybuchnął głośnym śmiechem. Gabrielle zawtórowała mu.

Ten śmiech miał już nigdy nie ucichnąć, był niczym pean na cześć ich miłości.

RS